

CZAS2
20911/2002

MANACH MUSZYNY

2002

*czyli co każdy wczasowicz, kuracjusz, gość
i przyjaciel Muszyny wiedzieć powinien*



MUSZYŃSKIE INFORMACJE

Numer kierunkowy do Muszyny i Krynicy: 0-18

Krynica:	Pogotowie ratunkowe	— 471 23-77	Muszyna:	Komisariat policji	— 471 40-07,
	alarmowy	— 999			— 471 45-44,
	Straż Pożarna	— 471 23-15,			— 471 45-45
		— 471 23-16		alarmowy (Krynica)	— 997
	alarmowy	— 998		Komendant OSP	— 471 45-16
	Szpital miejski	— 471 28-07,		Postój taxi	— 471 40-54
		— 471 51-95		Dworzec kolejowy	— 471 40-76
	PKS - informacja	— 471 55-66		Sąd Rejonowy, ul. Kity 18	— 471 40-88
	Pogotowie gazowe	— 471 28-28		Poczta, Rynek 23	— 471 49-05
	Energetyka	— 471 55-44		Ośrodek zdrowia, ul. Zefirka	— 471 40-37
	CPN	— 471 54-45		Apteka, ul. Ogrodowa	— 471 41-58
				Apteka, ul. Kity	— 471 40-28
centrala międzymiastowa	— 900			Stacja benzynowa	— 471 48-57
informacja telefoniczna	— 913			Bank PKO BP	— 471 42-55
nadawanie telegramów	— 905			Bank Spółdzielczy	— 471 40-25,
					— 471 42-33

Lekarze ordynują w ośrodku zdrowia przy ul. Zefirka, tel. 471 40-37

Dentyści — w ww. ośrodku zdrowia oraz prywatnie:

— H. Jabłońska, ul. Zielona 22, tel. 471 80-28 (pon., czw. 16-20)

— L. Jabłoński, (chirurg szczękowy) telefon i adres jw. (śr. 16-18)

— M. Bajdas, ul. Kościuszki, tel. 471 48-69 (czw. 17-19)

— H. Korona, Rynek 20, tel. 471 42-41 (wt., czw. 15-18)

Apteki — (ul. Kity, ul. Ogrodowa 1) czynne w godzinach 9-16, w soboty 9-13, dyżury nocne pełnią apteki w Krynicy.

Istnieje możliwość wykupienia zabiegów (za zaleceniem lekarskim) w różnych sanatoriach oraz innych ośrodkach.

Restauracje — „Zamkowa”, Zazamcze, tel. 471 41-61

— „Rzym”, Rynek

Kawiarnie — „Szarotka”, Rynek

— „Kama”, ul. Piłsudskiego

— „Śnieżka”, ul. Piłsudskiego

Bary — „Anetka”, Rynek

— „Kinga”, ul. Piłsudskiego

Lodziarnia — „Wanda”, ul. Piłsudskiego

Miejska Biblioteka Publiczna w Ryнку, tel. 471 41-14, czynna: pon. 9-16, wt., śr., pt. 10-18, sob. 9-15,

Filia Biblioteki dla młodzieży, ul. Piłsudskiego (osiedle) czynna: pon., wt., śr., pt. 11-17

Muzeum Regionalne PTTK, ul. Kity 26, tel. 471 41-40

Fax — Urząd Pocztowy, Rynek 23, nr 471 40-48

— Placówka Usług Telekomunikacyjnych, ul. Kity 1, nr 471 49-26

Kantory — Urząd Pocztowy, Rynek 23

— Dom Handlowy „Poprad”, Rynek

Biuro Prawne „Per Procura” M. T. Nowakowscy, tel. 471 82-82

Kancelaria adwokacka, Maria Nowakowska, Rynek w pasażu, tel. 471 46-83, 471 82-82

Biuro Turystyczne Vector, ul. Kity 24, tel. 471 80-03, fax 471 80-04, czynne 9-17

Zakłady Fotograficzne — Foto HEWA-FILM, ul. Kościelna 13, czynne 9-17, sob. 9-13

— Foto HANS, ul. Piłsudskiego 2, czynne 9-17, sob. 9-13

Pijalnia wody mineralnej, Zazamcze 23, tel. 471 90-67 (68)

Wypożyczalnia rowerów — ul. Piłsudskiego 2, tel. 471 80-60

Niedzielne msze św.:

Kościół parafialny pw. św. Józefa: 5.45, 8.00, 9.15, 10.30 (w roku szkolnym dla dzieci 11.45), po południu: 16.30 i 19.00 latem oraz 15.00 i 17.00 w okresie zimowym

Kościół parafialny pw. bł. M. T. Ledóchowskiej (Folwark): 8.00, 10.00, 16.00

Andrzejówka: 9.30

Leluchów: 7.00 i 11.00

Szczawnik: 8.15

Dubne: 9.00

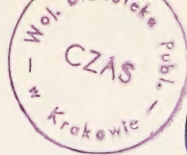
Milik: 7.30 i 11.00

Złockie: 7.00, 9.30 i 11.00 oraz 16.00 (zimą 15.00)

Jastrzębik: 8.15

Powroźnik: 7.00 i 11.00

ALMANACH
MUSZYNY
2002



ProLib
020911

Almanach Muszyny 2002

Rocznik pod patronatem Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej,
33-370 Muszyna, ul. Kity 26,
wydanie I, nakład 1000 egz.

Redaktor naczelny: Bożena Mściwujewska-Kruk

Adres redakcji: Willa „Wanda”, 33-370 Muszyna, ul. Piłsudskiego 56, tel. (0-18) 471-48-59
www.almanachmuszyny.iap.pl www.kolekcjonerstwo.pl

Rocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów i redakcji

Druk i papier finansowane ze środków prywatnych

oraz dotacji Starostwa Sądeckiego i Międzynarodowego Funduszu Wyszehradzkiego

Wpływy ze sprzedaży *Almanachu* przeznaczone są na Fundusz Stypendialny *Almanachu Muszyny*
oraz realizację statutowych celów Biblioteki Publicznej i Muzeum Regionalnego w Muszynie

Rada Programowa:

Łucja Bukowska, Witt Kmiotowicz, Ryszard Kruk, Adam Mazur, Magdalena Małecka-Mysłik,
Bożena Mściwujewska-Kruk, Barbara Rucka

Komitet Stypendialny:

Witold Kaliński, Grzegorz Gołyźniak, Janina Kumorek, Krystyna Murzyn, Małgorzata K. Przyboś,
Andrzej Tokarczyk, Adam Ziemianin
Skarbnik Funduszu Stypendialnego: Aleksandra Wołowicz

Dotychczas ukazały się: *Almanach Muszyny* 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001

Egzemplarze archiwalne osiągalne są do wglądu w:

Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego,
Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu,
Bibliotece Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego,
Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu,
w The New York Public Library, Bibliotece Miejskiej w Muszynie oraz w Redakcji

Ilustracja na okładce:

Pętla Popradu z lotu balonem. Fot. Piotr Basałyga

Łamanie komputerowe: Wydawnictwo *Bigraf* s.c. 02-786 Warszawa, ul. W. Lachmana 2/41,
tel. 641-68-25 e-mail: bigraf_sc@poczta.onet.pl

Wyciągi barwne: **ewo** Warszawa, ul. Malinowskiego 5,
tel. 644-74-44

Druk: GIMPO, 02-788 Warszawa, ul. M. Grzegorzewskiej 8, tel. 855-53-79; fax. 855-53-78

ISSN 1234-6276

Akt. 41/2010

SŁOWO DO CZYTELNIKA

Tuzin *Almanachów Muszyny!* Pierwszy raz spotkaliśmy się z Państwem na czterdziestu stronach; teraz, podobnie jak w dwóch poprzednikach rocznikach, jest tych stron ponad dwieście. Mamy nadzieję, że w dalszym ciągu są ciekawe. Nie byłoby ich bez wysiłku wszystkich społecznych działaczy i współpracowników, a także bez zainteresowania ze strony Czytelników, które jest dla nas najlepszą formą nagrody i zachęty do dalszej pracy wydawniczej.

Wzorem lat ubiegłych sporą część artykułów umiejscawiamy w bliższej lub dalszej przeszłości naszego regionu. Tym razem jednak cofniemy się o wiele dalej, niż czyniliśmy to zazwyczaj. Spróbujemy bowiem pokazać Państwu, jakie ślady pozostawiły na Muszyńskiej Ziemi stworzenia żyjące tu przed trzydziestoma milionami lat! Później zajmiemy się także i bliższą nam w czasie historią, poczynawszy od piętnastego wieku, aż po nasz raczkujący wiek dwudziesty pierwszy. Opowiemy zatem o losach biskupa Jana Muskaty, rozważając przy okazji, czy przez Muszynę maszerował ze swymi wojskami Władysław Łokietek, przedstawimy także postać jednego z kolejnych właścicieli państwa muszyńskiego, biskupa krakowskiego Jakuba Zadzika. Zarysujemy genezę Kościoła greckokatolickiego i jego dzieje w obrębie klucza muszyńskiego, a także u naszych słowackich sąsiadów. Okres międzywojenny pojawi się we fragmentach wspomnień o muszyńskiej elektrowni i tartaku oraz w opowieści o społecznej organizacji żydowskiej B'nei B'rith z Krynicy, której zapewne niejednen działacz spoczął na krynickim Kirkucie, gdzie również na chwilę wejdziemy. Krynicy poświęcimy sporo uwagi także w artykule o dawnych pocztówkach, uwieczniających to miasto. Zamknimy w ten sposób cykl tekstów, poświęconych pocztówkom z interesującego nas terenu – w poprzednich rocznikach omówiliśmy historię karty muszyńskiej i żegiestowskiej. Wspomnimy o katastrofie samolotu, jaka miała miejsce w Krynicy w maju 1930 roku. Zajrzymy również do krynickiego Liceum, by powspominać szkolne przygody i poflirtować z wypchaną sową.

Kilka artykułów to relacje z okresu II wojny światowej i okupacji. Przeczytacie Państwo o pierwszych dniach wojny obronnej we wrześniu 1939 roku, o próbach przekroczenia muszyńskiej „zielonej granicy”, o dniach spędzonych w niemieckim areszcie w Muszynie, gdzie między innymi uwięziony był wielki człowiek teatru – Józef Szajna, obchodzący w tym roku osiemdziesiątą rocznicę urodzin. Na pewno zainteresuje Czytelników także opowieść o dalekiej wojennej tułaczce członków rodu Kmiotowiczów i walce Antoniego pod Monte Cassino. Czy ktoś z Państwa wie, że w latach 1938-1939 wakacje w Muszynie spędzał z rodziną sędzia Adam Bień, jeden z 16 sądzonych w procesie w Moskwie przywódców Państwa Podziemnego? O tym także piszemy w *Almanachu*.

Dla wytechnienia zabierzemy Czytelników w świat poezji; zaprezentujemy zbiory Biblioteki Sądeckiej, opowiemy o losach znanego malarza Bolesława Barbackiego, a także o życiu i walce o prawa kobiet pisarki słowackiej Terézii Vansovej, z domu Medweckiej, o której napisał po słowacku przyjaciel *Almanachu* ze Słowacji. Będzie też okazja do

nacieszenia oka, bo oprócz obrazów Barbackiego zobaczymy rysunki jednego z wielbicieli Muszyny – Mieczysława Sierosławskiego, piękne fotografie cerkwi Ziemi Muszyńskiej oraz ikon słowackich, stare pocztówki krynickie i słowackie, a także obrazy wielu artystów polskich i słowackich, którzy wzięli udział w wystawach organizowanych w Muszynie i w Starej Lubowli.

W roku ubiegłym w Muszynie i w Starej Lubowli powstały Młodzieżowe Kluby Wyszehradzkie; młodzież, która realizowała ten pomysł, opowie Czytelnikom o swoich dokonaniach i planach na wakacje tegoroczne. Tym razem w sesjach Klubów uczestniczyć też będzie młodzież z Węgier i Czech. Niech symbolem nowych czasów będzie fakt, że zawarte przyjaźnie zaowocowały cotygodniowymi dyskusjami na specjalnie utworzonym cz@cie internetowym.

Z dumą wypada nam wspomnieć o wspianiale rozwijającej się idei Funduszu Stypendialnego. Dzięki hojności darczyńców udało nam się spełnić warunki programu „Równe szanse”, prowadzonego przez Fundację Batorego, i w ten sposób uzyskać dalsze środki na stypendia. W następnym roku szkolnym może być ich zatem więcej – poza młodzieżą z muszyńskiego Liceum Ogólnokształcącego nasz program obejmie także dzieci uzdolnione muzycznie.

W przeciągu ostatniego roku odbyło się w muszyńskiej Bibliotece i w Muzeum Regionalnym kilka ciekawych imprez – wernisaże, koncert, a także spotkanie czytelników z izraelską pisarką, Miriam Akavią. Powstało koło Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, któremu *Almanach* z całego serca kibicuje.

Niestety, obok zdarzeń radosnych życie przyniosło także smutne. Pożegnać nam wypada kolejnych Przyjaciół *Almanachu Muszyny*, dwóch Panów Stanisławów. Najpierw jesienią 2001 roku odszedł Stanisław Stojek, znany Państwu z artykułów w *Almanachu* 2000 i 2001, sekretarz Gminy w okresie przedwojennym i w trudnych latach okupacji. W kwietniu bieżącego roku zmarł Stanisław Gajewski, wnuk międzywojennego burmistrza Muszyny, Antoniego Jurczaka, podchorąży broni pancерnej, w czasie II wojny światowej żołnierz 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich w Wielkiej Brytanii. Obaj spoczęli w rodzinnych grobowcach na muszyńskim cmentarzu.

Pod koniec naszej tegorocznej przygody z Muszyną opowiemy Państwu o różnych ciekawych lokalnych zwyczajach, powspominamy muszyńskie wakacje, pojedziemy do Żegiestowa, zagłędniemy w leśne ostępy, a korzystając z dobrej pogody, pomożemy Państwu szukać skarbów, ukrytych gdzieś na Muszyńskiej Ziemi. To Ziemia naprawdę gościnna, wita chętnie wszystkich, w tym roku szczególnie ciepło kłaniając się Ojcu Świętemu, który z kolejną pielgrzymką przybywa do Ojczyzny.

Bożena Mściwujewska-Kruk

Jarosław Stolarski

SKAMIENIAŁE FOTOGRAFIE Z MUSZYNY

Szczególny klimat mają miejsca, w których do naszych czasów przetrwały ślady historii. Ich magia bierze się zapewne ze świadomości, że zachowane do obecnej chwili ślady przeszłości w sposób niemal cudowny oparły się niszczącej sile czasu. Trwają, mimo że koła historii, niczym koła młyńskie, zmieliły wszystko, lub prawie wszystko, co się pomiędzy nie dostało. Różne są skale tego nieustannego mielenia i zacierania obrazu życia, różne są sytuacje czy strategie ucieczki od tego, co wydaje się nieuchronne. W skali ludzkiego życia, z cyklem narodzin i śmierci, ucieczką wydaje się tworzenie kultury trwającej dłużej niż generacja. Uciekający przed zatraceniem tworzą materialne pomniki. W skali cywilizacji, z trwającymi tysiąclecia cyklami ich narodzin i upadków, przetrwać mogą już tylko najtrwalsze pomniki w dziejach – chiński mur czy egipskie piramidy.

To, co najbardziej ulotne – zachowania żywych istot – dopiero od kilku pokoleń udaje się przechowywać na fotografiach, kłatkach filmów, płytach gramofonów, czy taśmach magnetofonów. Jednak nawet te wynalazki nie podważyły do końca wiary w trwałość kamienia. Na hollywoodzkiej czy sopockiej alei gwiazd aktorzy i reżyserzy odciskają swoje dłonie w nadziei, że przetrwają dłużej niż celuloidowa lub magnetyczna pamięć. Ślady zachowań, jeśli uda im się odcisnąć, zostają w kamieniach rzeczywiście długo. Od wieków utrwalają się dzięki szczęśliwym lub nieszczęśliwym zbiegom okoliczności. U podnóża Wezuwiusza ślady te są bardzo dramatyczne – gorące popioły wulkaniczne, jak maska pośmiertna, zapisały ostatni grymas konających w 79 roku Pompei i Herculanium. Wypełnione gipsem, pozostałe po nieszczęsnych mieszkańcach miasta, skalne próżnie ukazują m.in. ostatnie chwile troskliwej gospodyni, która nie rozstawała się z domowymi kluczami, kapłana próbującego ocalić skarby ze świątyni Izdydy, czy w końcu psa, który na próżno usiłował się zerwać z łańcucha, aby ująć cało przed deszczem popiołów. Przesuwając wskazówki zegara jeszcze bardziej do tyłu, docieramy do czasów, kiedy ślady dłoni, niczym hollywoodzcy aktorzy, pozostawili na ścianach niektórych jaskiń we Francji i Hiszpanii paleolityczni twórcy. Jeszcze głębiej w czasie zakorzenione są ślady wędrowki trzech postaci po wilgotnym popiele wulkanicznym w Laetola w Tanzanii. Przed około 3,8 milionami lat wędrowała tam rodzina australopiteków – pierwszy kroczył zapewne ojciec, jego śladami podążała kobieta, po lewej stronie, być może trzymane za rękę, szło dziecko. Na warstwie popiołu, jak na błonie filmowej, zapisał się dowód na dwunożność tych wczesnych ludzkich istot.

W ten sposób przybliżyliśmy się do czasów, kiedy ślady zachowań – jeśli tylko dane im było przetrwać w kamieniu – nie były tworzone przez człowieka. Praktycznie z każdego okresu dziejów życia znajdziemy takie skamieniałe „klisze fotograficzne”, na których utrwalone są jakieś wydarzenia, impresje z życia lub ostatnich chwil dawnych istot. W Polsce, w Górach Świętokrzyskich, uwagę zwracają utrwalone w osadzie ślady grzebania, pełzania czy żerowania tajemniczych trylobitów (organizmów przypominają-

cych ogrodowe „stonogi”) sprzed blisko 500 milionów lat, spektakularne tropy dinozaurów sprzed 200 milionów lat, czy regularne jamki w wapiennych skałach, wydrążone przed kilkunastoma milionami lat przez małże, jeżowce, czy gąbki żyjące w płytyznach ostatniego ciepłego morza, jakie zalewało teren naszego kraju. Podobne skamieniałe klisze każdy z nas może przywieźć również z muszyńskich wakacji do domu.

SKAMIENIAŁE KLISZE

W okolicach Muszyny na ślady zamierzchłych historii, na impresje zachowań dawnych zwierząt, natrafić można niemal na każdym kroku. Najlepiej jednak pójść do opuszczonego kamieniołomu w drodze na Wapienne albo – jadąc rowerem na przykład z Powroźnika w kierunku Tylicza – zatrzymywać się przy przydrożnych odsłonięciach warstw skalnych i uważnie przyglądać się leżącym na ziemi lub wydobytym ze ściany kamieniom.

Na powierzchniach piaskowców, czasami wewnątrz skalnych płytek, dojrzeć można dziwne ślady – właściwie rzadko która powierzchnia jest zupełnie gładka. Mogą to być pojedyncze lub krzyżujące się rurkowate wypukłości (ilustracja 1B), czasami jakby dwie pozawijane nitki makaronu (il. 1D), dziwne spirale (il. 2E), promieniście rozchodzące się wypukłości (il. 2B), rytmicznie przewężane korytarze (il. 2D), i wiele innych kształtów. Są to tzw. skamieniałości śladowe (ang. *trace fossils*), których twórcami są dawno wymarłe organizmy. W okolicach Muszyny napotykamy skały głównie wieku eoceńskiego (tzw. jednostki magurskiej; więcej danych m.in. w: Guzik, Ślącza i Żytko 1973; Oszczypko 1979; Ślącza i Kamiński 1998). Organizmy, które wytworzyły te ślady, żyły przed około 30 milionami lat na dnie głębokiego morza, na którym regularnie osadzane były piaski i łupki przynoszone przez podmorskie spływy osadów, tzw. prądy zawiesinowe. Podmorska chmura niosąca żwir, piasek i drobniotki ił, wyhamowując stopniowo swój impet, traciła zdolność przenoszenia niesionego materiału, począwszy od tego najcięższego – żwiru, a kończąc na najdrobniejszym – ił. Jak łatwo wywnioskować, dno było przez większość czasu pokryte ilastym całunem, na którym odciskały się ślady ruchu i aktywności zwierząt, później całun pokrywał piasek, potem ił... i cykl zaczynał się od nowa. Efektem tego są skalne przekładaniec zwirowcowo-piaskowcowo-ilaste (czyli flisz), które dostrzeżemy prawie w każdym beskidzkim kamieniołomie czy przekopie drogi. W tych właśnie cechach sedymentacji (powstawania osadów na dnie mórz) dopatrzeć się można warunków, w których ślady zwierząt zachowują się szczególnie licznie. Wyobraźmy sobie dużą wysychającą kałużę, której ilaste dno pokrywają wgłębienia kijanek, ślady pozostawione przez rozmaite owady i tropy ptaków, odżywiających się kałużową fauną. Zapis tych kilkudziesięciu dni intensywnego życia bezpowrotnie zniknie, o ile ktoś nie pokryje wyschniętej kałuży np. warstwą gipsu. Tymczasem w warunkach eoceńskiego morza zachodziło właśnie takie regularne pokrywanie, a więc konserwowanie śladów. Piasek, który pokrył ślady na ilastym dnie, z czasem kamieniał, zachowując na wiele milionów lat ślad wędrówki pewnego skorupiaka, jeżowca czy wieloszczeta.

Wiele ze śladów, jakie dostrzeżemy na powierzchni skalnych płytek, pozostawiły żywe organizmy. Jednak część struktur ma pochodzenie nieorganiczne. Podobnie zresztą, jak we współczesnej, wysychającej kałuży – część śladów na dnie pozostawiły kijanki, owady i ptaki, część to zwyczajne szczeliny wysychającego iłu, dziurki po pęcherzykach gnilych

gazów, czy ślady uderzeń kropel deszczu. Trudno podać jednoznaczną i prostą receptę na odróżnienie struktur, które z pewnością stworzyły żywe organizmy, od tych, które są efektem działania prądów wody, przetaczania przedmiotów po dnie, czy pogrążania się w miękkim osadzie leżącego wyżej osadu o większej gęstości. Ślady tworzone przez organizmy będą jednak najczęściej zawierały jakiś element regularności, wskazujący na zrutynizowaną czynność życiową ich twórców (np. poruszanie się ruchem robaczko-watym czy ruch po spirali, wskazujące na determinację w poszukiwaniu pokarmu). Oczywiście, rybi krąg niesiony prądem wody też pozostawiać będzie regularny ślad – jak regularnie stawiana pieczęć – jednak odróżnienie tej mechanicznej i „żywej” regularności musimy pozostawić naszej przyrodniczej wyobraźni. Regularne zmarszczki, tworzone przez wiatr na pustynnym piasku, łatwo przecież odróżnimy od regularnych śladów sunącego po piasku węża. Wyostrając w ten sposób wyobraźnię, zaczniemy dostrzegać w muszyńskich skałach coraz więcej śladów, które wcześniej uznalibyśmy tylko za „dziwaczne ornamenty”, „hieroglify” (tą ostatnią nazwą posługują się również geolodzy na określenie różnego kształtu i pochodzenia nierówności, występujących na powierzchniach warstw skalnych). Ślady dostrzegać zaczniemy szczególnie na jednej, dolnej, powierzchni skalnej warstwy. Zjawisko to możemy już wytłumaczyć – skoro ślady tworzyły się na ilastym dnie, to przykrywający je piasek (z czasem piaskowiec) zawierać będzie negatywową obraz tego, co działo się na powierzchni łu (patrz jednak rozdział poniżej). A że fragment warstwy piaskowca daje się łatwiej niż łu wydobyć w całości, właśnie na dolnej powierzchni piaskowców widzimy negatywy śladów. Wiemy już, że większość regularnych śladów pozostawiły organizmy; w coraz większe zdumienie będzie nas zatem wprawiać fakt, że poza śladami nie pozostały po nich żadne inne szczątki, np. szkielety. Przeczy to intuicji – coś, co jest tylko ulotną chwilą, śladem, nie powinno przecież trwać dłużej niż to, co w organizmie tak trwałe, jak jego kości czy muszle. Przyczyn takiego stanu rzeczy może być sporo. Być może organizmów nie było aż tak wiele (gdyby było ich bardzo dużo, to powierzchnia osadu byłaby „zadeptana” śladami) – zatem szansa napotkania ich szczątków jest niewielka. Być może warunki nie sprzyjały zachowaniu się wapiennych szkieletów, może wiele z organizmów zostawiających ślady w ogóle nie tworzyło szkieletu, a może większość organizmów zdołała uciec przed coraz gęściej padającym piaskowym deszczem z prądu zawieszinowego. Dlatego nie znajdujemy ich szczątków zarówno w warstewkach łu, jak i w piaskowcach. Wracając do użytej na początku tego tekstu metafory mielących wszystko kół historii, warto zauważyć, że reszki organizmów, pozostające po ich śmierci, z reguły zostają natychmiast spenetrowane i wykorzystane zarówno przez padlinożerców, jak i miliardy mikroorganizmów, które tylko „czekają” na swoją dolę w obiegu materii. Dlatego skamieniałości są zawsze czymś wyjątkowym, mimo że miejscami występują bardzo licznie. Jeśli, jak podejrzewamy, organizmów tworzących ślady na „muszyńskim” morskim dnie było i tak stosunkowo niewiele – brak ich skamieniałości można też wytłumaczyć szybkim wprowadzeniem ich szczątków do obiegu materii. Na powierzchniach skał, jak na skamieniałych kliszach fotograficznych, pozostały jednak ślady życia tych organizmów. Choć istoty te są niewidzialne, pozostają po nich ślady – zupełnie jak niewidzialne dziecko z opowiadań Tove Jansson o Muminkach, pozostawiające wgłębienie niewidocznej główki na poduszce. Jak wywołać te skamieniałe klisze? Jak tchnąć w nie życie? Czy można odtworzyć zachowania tworzących ślady organizmów?

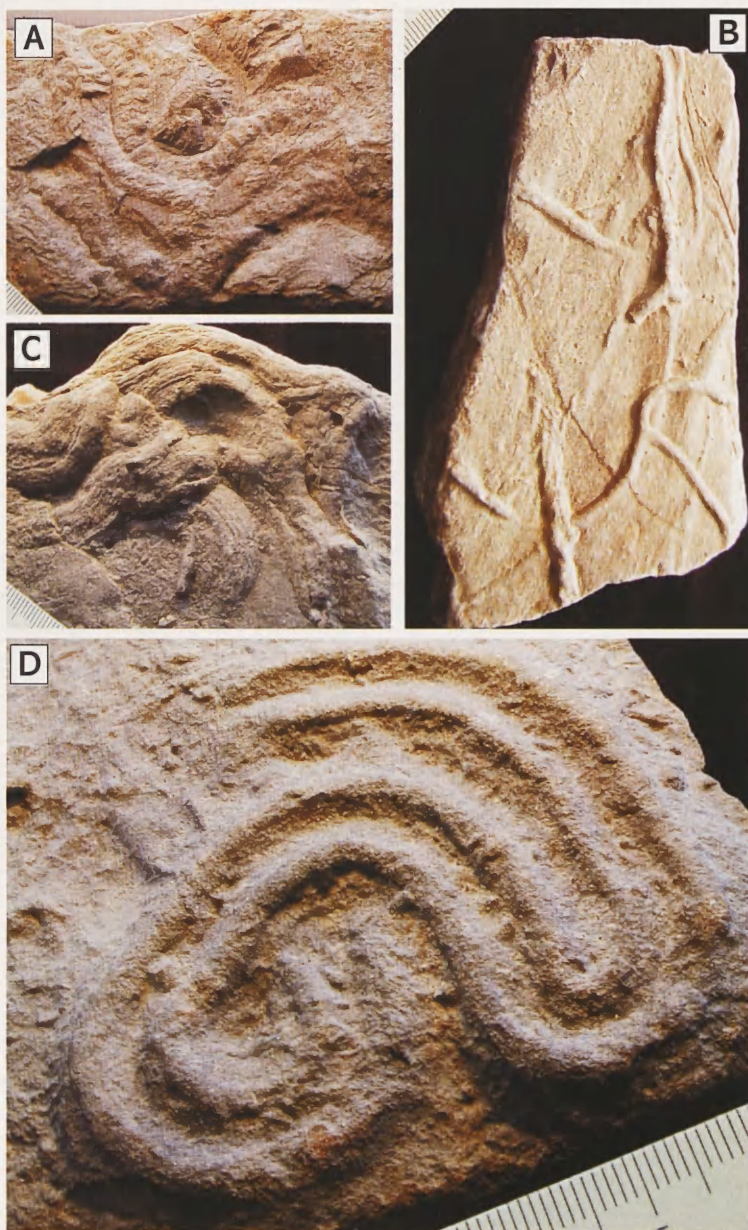
WYWOŁYWANIE SKAMIENIAŁYCH FILMÓW

Wywoływaniem filmów o skamieniałej przeszłości zajmują się paleontolodzy, spośród których ichnolodzy zajmują się kopalnymi śladami. W pracy ichnologa najważniejsza jest wiedza o zachowaniach współczesnych zwierząt, żyjących w różnych strefach mórz, oraz wyobrażenia, pozwalająca rozmiękczyć twarde skały i uczynić je na powrót grzaskim piaskiem morskiego dna. Warto zastrzec, że sięganie po przykłady współczesne – czyli posługiwanie się metodą aktualizmu geologicznego – nie zawsze może ułatwiać rozwiązanie problemu. W przeszłości geologicznej to, co dziś bierzemy za stan odwieczny (np. obecność czap lodowych na biegunach), było często tylko efemerydą w liczącej kilka miliardów lat historii Ziemi. Na szczęście zachowania zwierząt sprzed 30 milionów lat, a więc tych, jakie pozostawiły ślady na muszyńskich skałach, niewiele zmieniły się w stosunku do dzisiejszych odpowiedników. Spójrzmy zatem na codzienną krzątanie zwierząt z „muszyńskiego” morza, a w rzeczywistości części tzw. basenu magurskiego, w którym tworzone były osady fliszu, będące dziś malowniczymi wzgórzami Beskidu Sądeckiego.

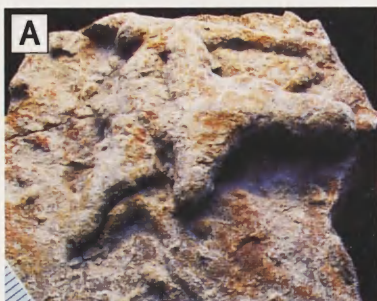
Ślady znajdowane w okolicach Muszyny (ilustracje 1 i 2) sugerują, że powstawały one w warunkach głębokiego morza. Im głębiej bowiem zanurzamy się w morskiej toni, tym bardziej zmienia się obraz życia – przy braku słonecznego światła zmieniają się strategie pozyskiwania pokarmu. Na płycznach, nawet jeśli są to wody jałowe pod względem składników odżywczych (np., paradoksalnie, morza w rejonach raf koralowych), bogactwo życia, przywabionego tutaj przez żyjące w symbiozie z glonami koralowe polipy, zapewnia wszystkim dostatnie życie. Silne falowanie oraz niebezpieczeństwo zjedzenia przez drapieżnika powoduje, że wiele z płytkowodnych, pozbawionych własnych pancerzyków zwierząt tworzy najrozmaitsze norki i schrony pozwalające im przeżyć. Mogą to być wydrążenia w skałach czy wzmacniane ziarenkami kwarcu rurki w piaszczystym dnie. Tylko te ślady działalności życiowej mają szanse zachować się wraz ze szkieletami płytkowodnych zwierząt – subtelniejsze tropy pozostawiane na dnie bardzo szybko są „zadeptywane”, zaś osad jest wielokrotnie przepuszczany przez jelita mułojadów. Tymczasem na dużych głębokościach – poniżej 2000 metrów – organizmów nie ma już tak dużo, jak na płycznach, a wiele z nich korzysta z zapasów materii organicznej, zawartych w osadzie. Skuteczną strategią zdobywania pokarmu jest spasanie dennego osadu, centymetr po centymetrze – głębokowodna analogia pastwiska. Determinacja i sumienność w przeczesywaniu morskiego dna przez rozmaite zwierzęta znajduje odzwierciedlenie w niezwyklej kształtach niektórych śladów – są to spirale, silnie powyginane meandry, czy ślady przypominające wielokątne plastry miodu. Nie zawsze ślady powstają tylko na powierzchni dna, często organizm w poszukiwaniu pokarmu „orze” osad lub jest w nim całkowicie zanurzony; ślady widoczne na płaskiej powierzchni osadu (skały) bywają tylko częścią skomplikowanej, trójwymiarowej struktury. Co ciekawe, fragmenty tych trójwymiarowych struktur mogą się zachować również na powierzchni przykrywającego ich piaszkowca. Sytuacja ta zachodziła wtedy, gdy „fala uderzeniowa” prądu zawiesinowego rozmywała ilasty osad dna, odsłaniając nory i ślady przemieszczania się zwierząt wewnątrz osadu i dopiero w te ślady dostawał się piasek, z czasem tworzący piaszkowiec.



Skamieniałe fotografie z Muszyny



ILUSTRACJA 1



ILUSTRACJA 2

Zachowaniom zwierząt można przypisać rozmaite typy śladów, a zatem przeprowadzić ich tzw. etologiczną klasyfikację: ślady krótkotrwałego postoju zwierzęcia na dnie określane są jako CUBICHNIA, różnego rodzaju nory to DOMICHNIA, ślady rycia w osadzie dna to REPICHNIA, ślady żerowania to PASCICHNIA, zaś ślady żerowania w obrębie nor określa się jako FODINICHNIA. Poszczególne typy śladów określa się łacińskimi nazwami, podobnie jak nazwy gatunków zwierząt czy roślin (por. Książkiewicz 1977, Uchman 1998); pierwsza jest łacińską nazwą rodzaju (z dużej litery), druga nazwą gatunku (obie nazwy powinny być wydodrębnione krojem czcionki, w normalnym tekście kursywą), podane jest również nazwisko autora i data opublikowania pierwszego opisu [np. *Scolicia stozzii* (Savi & Meneghini, 1850)]. Ichnotaksony (czyli nazwy śladów) nie odpowiadają jednak nazwom gatunków biologicznych organizmów, które tworzyły ślady, a cała procedura klasyfikacji odbywa się po łacinie, z racji konwencji przyjętej w środowisku przyrodników. O ile ślady pozostawione na przykład przez człowieka łatwo odróżnić i tworzenie specjalnych nazw dla śladu trampka czy gołej stopy byłoby przesadą, o tyle twórców głębokowodnych śladów rzadko potrafimy jednoznacznie zidentyfikować. Często nie wiemy, czy takie same ślady nie są dziełem różnych zwierząt, które poruszały się na dnie w ten sam sposób. Dlatego lepiej używać precyzyjnej, choć sztucznej nomenklatury. Na szczęście są sytuacje, kiedy udaje się jednoznacznie powiązać skamieniały ślad ze zwierzęciem, które ślad ów tworzyło. Służą temu m.in. laboratoryjne eksperymenty, w których działalność życiowa różnych organizmów jest monitorowana, a pozostawiane przez nie ślady utrwalane i porównywane ze śladami znanymi w stanie kopalnym (w ten sposób okazało się, że ślady określane jako *Scolicia* tworzone są przez jeżowce, a nie wieloszczety czy strzykwy, jak podejrzewano dawniej). Podobnie organizmy tworzące ślady udaje się zidentyfikować dzięki podmorskim fotografiom. Do wyjątkowych znalezisk należą też skamieniałości organizmów zachowane na końcu marszruty znaczonej śladami tego organizmu. Do takich spektakularnych znalezisk należą skamieniałości jurajskich skrzypłoczy (ich współczesnym przedstawicielem jest np. amerykański *Limulus*), zachowane na końcu tworzonych przez nie śladów w wapieniach litograficznych z Solnhofen w Bawarii. Zwierzęta dostawały się do toksycznych wód i – zanim zginęły – zdążyły pozostawić w osadzie swoje ślady.

W tym bardzo ogólnym i popularnym wykładzie o skamieniałościach śladowych, jakie możemy znaleźć w okolicach Muszyny, trudno poruszyć wszystkie fascynujące aspekty badania kopalnych śladów. Jest jednak pewna właściwość skamieniałości śladowych, o której warto wspomnieć na koniec tej opowieści. Występują one zawsze in situ, czyli na miejscu swego powstania. Inaczej niż szkielety czy muszle, które potrafią być kilometrami przenoszone, zanim zostaną pogrzebane. Ślady transportowane być nie mogą, zatem pokryta nimi skała stanowi niezmienny fragment morskiego dna. Dobrą analogią jest tu poplamiony i pokryty okruchami obrus – plamy to skamieniałości śladowe przywiązane do miejsc, w których powstały, okruchy to muszle i szkielety, które mogły zostać przyniesione z daleka. Pofałdowanie obrusa może zmienić położenie okruchów, ale nie zmieni położenia plam. Dlatego w Muszynie, choć skały są – jak obrus – silnie pofałdowane (w czasie ruchów górotwórczych zostały tu przeniesione z południa), skamieniałości śladowe pozwalają nam poczuć się jak na prawdziwym morskim dnie sprzed ponad 30 milionów lat. Możemy po nim przejść suchą nogą!

APEL

Nasz pobyt w Muszynie może stać się wielką intelektualną przygodą, podczas której staniemy się odkrywcami nieznanej części przeszłości. Mamy szansę natrafić na nienotowane dotąd ślady zachowań zwierząt. Pojedyncze znaleziska, choć często bardzo interesujące, nie dostarczają jednak pełnego obrazu życia z „muszyńskich” głębin. Natomiast spora kolekcja zaczyna mieć już wartość naukową, umożliwiając dokładną rekonstrukcję życia sprzed milionów lat. Autor tej opowieści zwraca się z prośbą o przekazywanie informacji o występowaniu ciekawych śladów i, w miarę możliwości, dostarczanie znalezionych skamieniałości śladowych do redakcji *Almanachu Muszyny*. Zbiory posłużą do zorganizowania wystawy.

Literatura:

1. Guzik, S., Ślaczka, A., Żyto, K. 1973. *Przewodnik geologiczny po wschodnich Karpatach fliszowych* (praca zbiorowa pod red. K. Żyto). 1-222. Wydawnictwa Geologiczne, Warszawa [Przewodnik geologiczny po terenach na północ i na wschód od Muszyny. W materiałach zawarta jest jednak mapa geologiczna, m.in. cały obszar Beskidu Sądeckiego].
2. Książkiewicz M. 1977. *Trace fossils in the flysch of the Polish Carpathians*. *Palaeontologia Polonica* 36: 1-208. [Monografia skamieniałości śladowych z Karpat].
3. Oszczytko N. 1979. *Budowa geologiczna północnych stoków Beskidu Sądeckiego między Dunajcem a Popradem (płaszczowina magurska)*. *Rocznik Polskiego Towarzystwa Geologicznego* 49: 293-325. [Praca omawiająca szczegółowo budowę geologiczną obszaru na północny zachód od Muszyny].
4. Ślaczka A. i Kaminski M. A. 1998. *A guidebook to excursions in the Polish Flysch Carpathians*. 1-173. The Grzybowski Foundation, Kraków. [Nowoczesny przewodnik geologiczny po całych Karpatach fliszowych. Choć wycieczki omijają okolice Muszyny czy Krynicy, jednak część wstępna przewodnika pozwala zaznajomić się z ogólną problematyką geologiczną tego obszaru].
5. Uchman A. 1998. *Taxonomy and ethology of flysch trace fossils revision of the Marian Książkiewicz collection and studies of complimentary material*. *Annales Societatis Geologorum Poloniae* 68: 105-218. [Rewizja oznaczeń skamieniałości śladowych z klasycznej monografii Książkiewicza 1977].

Opis ilustracji, znajdujących się na kolorowej wkładce:

Ilustracja 1. Ślady życia organizmów sprzed ponad 30 milionów lat z okolic Muszyny. **A, C-D**. Różne formy zachowania śladów przemieszczania się jeżowców nieregularnych określane jako *Scolicia*. **A, C** – Wojkowa, **D** – Powroźnik. **B**. Rozgałęziające się, a miejscami nakładające się ślady żerowania ? wieloszczeta, określane jako *Megagraption*. Wojkowa.

Ilustracja 2. Ślady życia organizmów sprzed ponad 30 milionów lat z okolic Muszyny (cd.). **A**. Wypełniony osadem wypukły ślad, określane jako *Thalassinoides*, produkowany przez skorupiaki. Muszyna - Wapienne. **B**. Promieniście rozchodzące się ślady żerowania określane jako ? *Lorenzina*. Różni badacze wyrażają odmienne przypuszczenia co do twórców tego typu śladów (strykwy, kraby, pierścienice). Niekiedy ślady żerowania mogą tworzyć tak regularne gwiaździste wzory, że dawniej uważano je za odciski meduz. Powroźnik. **C**. *Helicolithus* – ślad żerowania. Twórca śladu nieznany (być może wieloszczet). Muszyna - Wapienne. **D**. Boczna ścianka nory skorupiaka z poprzecznymi zawężeniami (skamieniałość określana jako *Ophimorpha*). Powroźnik. **E**. Ślad żerowania po spirali określane jako *Spirophycus*. Twórca śladu nieznany, być może wieloszczet? Powroźnik.

Adam Ziemianin

DOM

Z okiem dobrze mu patrzy
Na wszystkie świata strony
U drzwi miedziana klamka
I w niebo wmodlony komin

Jest w nim wiele spokoju
Twarde są jego ściany
W stronę letniego wieczoru
Przyjaźnie mrugają firany

On arką z bukowego lasu
Która zieloną płynie łąką
A w oknie pokojowe kwiaty
Są dla nas oliwną gałązką

Ten dom rękami przodków
Od fundamentów zbudowany
Nie straszne mu zawieruchy
Do dziś ma mocne ściany

Z okien dobrze mu patrzy
Na wszystkie świata strony
Od gościńca gość nadchodzi:
Niech będzie ten dom pochwalony!

Tomasz Pietras

BISKUP KRAKOWSKI JAN MUSKATA A DZIEJE MUSZYNY



Pieczęć biskupa krakowskiego Jana Muskaty
zachowana przy dokumentach z 1296 i 1304 r.

Dlaczego Muskata?

„Pierwszy piewca Ziemi Sądeckiej”, Szczęsny Morawski, w I tomie swego dzieła pt. „Sądeckczyzna”, wydanym w 1863 roku, wywiódł nazwę Muszyny od przydomka głośnego biskupa krakowskiego, działającego na przełomie XIII i XIV stulecia – Jana Muskaty. Jego koncepcja, oparta na skojarzeniu łacińskiego trzonu przydomka tego biskupa: „musca”, czyli „muchy”, z nazwą tej miejscowości, należącej już wtedy – od 1288 roku – do biskupów krakowskich (Muskata = Muszyn = Muchy syn) nie da się już dziś obronić. Przypuszcza się raczej, że przydomek, czy raczej osobiste przezwisko przyszłego biskupa krakowskiego, nadane mu podczas studiów na sławnym uniwersytecie bolońskim, urobiono od znanej do dziś przyprawy korzennej, gałki muszkatołowej – „muscata” (łac.). W XIII wieku był to produkt drogi i luksusowy. Być może handlował nim nieznany bliżej ojciec biskupa Jana – mieszczanin wrocławski. Mimo odrzucenia fantastycznych pomysłów Szczęsnego Morawskiego na temat nazwy Muszyny, o biskupie tym nadal warto wspomnieć w Almanachu, gdyż kilka wątków jego burzliwego i barwnego żywota wiąże się właśnie z Muszyną, a analiza jego biografii pozwoli być może rozjaśnić pewne nieznane, a ważne fragmenty dziejów tej miejscowości.

Biskup krakowski Jan Muskata to postać niezwykle barwna i kontrowersyjna. Już współcześni opowiadali senne widzenia, w których inuwał ten występował w postaci krwiożerczego wilka lub smoka. Polscy historycy niemal jednogłownie oceniali go niezwykle surowo, nazywając np. „biskupem - germanizatorem”, „renegatem”, czy „nieoficjalnym przywódcą politycznym krakowskich Niemców, nieprzejednanym wrogiem Łokietka i polskości”. Aby zrozumieć, czym zatem zasłużył sobie ów dziwny biskup na tak „złą prasę”, trzeba przyrzeć się nieco bliżej jego biografii na tle burzliwych czasów, w których przyszło mu żyć.¹

Kariera Jana Muskaty.

Nasz bohater przyszedł na świat około 1250 roku. Rodzinnym miastem Jana Muskaty był Wrocław. W domu posługiwał się zapewne językiem niemieckim, odziedziczonym po przodkach – osadnikach, przybyłych nad Odrę z zachodu. Przez całe życie często powracał na rodzinny Śląsk, który uważał za swą bliższą ojczyznę. Był on człowiekiem bardzo, jak na te czasy, wykształconym. Studiował na słynnym Uniwersytecie Bolońskim, uzyskując tam tytuł magistra sztuk wyzwolonych. Karierę kościelną rozpoczął Muskata jako kanonik we wrocławskiej kapitule katedralnej. Przed wyborem na biskupa krakowskiego sprawował jeszcze m.in. urzędy archidiacona łęczyckiego i papieskiego kolektora świętopietrza. W 1294 roku odegrał niejasną rolę w sporze, jaki wybuchnął między potężnym królem Czech – Wacławem II, rządzącym wtedy w Małopolsce, a ówczesnym biskupem krakowskim Prokopem, dając się poznać królowi z jak najlepszej strony. Nagroda nie kazała na siebie długo czekać. W dniu 11 lipca 1294 r. prałaci i kanonicy kapituły krakowskiej zebrali się w celu dokonania wyboru nowego biskupa. Elekcja ta miała przebieg bardzo niecodzienny. Sam kandydat zadbał o swój sukces wyborczy, obiecując kanonikom awanse i zjednując ich kosztownymi podarunkami (w postaci drogich szat) oraz pozyskując królewskiego starostę obietnicą nadania wsi i dochodów. W czasie trwania elekcji przed budynek, w którym obradowała kapituła, przybył starosta wraz z wojskiem i okazał zebranym duchownym list króla Wacława, popierający kandydaturę ambitnego Ślązaka. Takim argumentom nie można było się przeciwstawić.

W służbie króla Czech i Polski.

Już od początku pontyfikatu spotykał się nowy biskup krakowski z dowodami niezwyklej łaski króla Wacława II, który tytułował go swoim księciem i kapelanem oraz obdarzał licznymi nadaniami. Trzeba zresztą przyznać, że na tę łaskę sam nieźle zapracował, uczestnicząc w różnych akcjach politycznych, dyplomatycznych i wojskowych króla w Polsce, na Śląsku, a nawet na Węgrzech. W 1300 roku Wacław zaatakował, pokonał i wygnał z kraju Władysława Łokietka, koronując się w Gnieźnie na króla Polski. W akcji tej mógł uczestniczyć Muskata. Kiedy w 1301 roku na Andrzeju III wygasła prastara węgierska dynastia Arpadów, najpoważniejszym kandydatem do opustoszałego tronu okazał się król Czech i Polski Wacław II, a właściwie jego syn i imiennik,

¹ Zainteresowanych postacią Jasna Muskaty odsyłam do jego naukowej biografii: Pietras T., *Krwawy wilk z pastorałem. Biskup krakowski Jan zwany Muskatą*, Warszawa 2001, ss. 260.

koronowany na króla Węgier jako Władysław V. Przemyślidzi czescy na krótko zjednoczyli w swym ręku trzy królestwa środkowoeuropejskie – Czechy, Polskę i Węgry. Przed zjednoczoną monarchią otwały się ogromne perspektywy, niestety później zaprzepaszczone. W triumfalnym pochodzie młodszego Wacława po koronę św. Stefana uczestniczył i Jan Muskata. Musiał on oddać królowi jakieś cenne, a nieznane nam bliżej usługi, został bowiem mianowany podkanclerzym Królestwa Węgierskiego, dla swego biskupstwa uzyskując jednocześnie 26 września 1301 r. cenne nadanie na pograniczu spiskim – Pławiec. Niedaleka posiadłość biskupa w Muszynie miała dla Jana Muskaty kluczowe znaczenie jako bezpośrednie zaplecze. Podejmując starania o uzyskanie Pławca, myślał zapewne Muskata o umocnieniu na tym górskim pograniczu niezależności dóbr biskupich, może nawet o stworzeniu właśnie tu, na wzór biskupów wrocławskich, biskupiego księstwa – prawdziwego państwa w państwie. O tych planach może świadczyć określanie go przez zaprzyjaźnionego króla czeskiego księciem. Na razie nic z tego nie wyszło z powodu niekorzystnego dla Muskaty obrotu wypadków politycznych. Nim biskup krakowski zdążył objąć nowe nadanie, w sprawy węgierskie wmieszał się – przeciw Wacławowi, a po stronie jego rywala do korony, Karola Roberta Andegaweńskiego – kościelny zwierzchnik Muskaty, papież Bonifacy VIII. Wacławowie zaczęli tracić poparcie i wycofywać się z Węgier. Jan Muskata musiał pośpiesznie wracać do Krakowa. Nawiasem mówiąc, w akcie nadania Pławca z 1301 roku jest mowa o bardzo szerokich przywilejach gospodarczych tej posiadłości, w tym o prawie osadzania lennego rycerstwa. Być może ma to związek z wojskowym znaczeniem tego nadania i wskazuje na wczesne próby stworzenia przez Muskatę „wojska klucza muszyńskiego”. Niewykluczone, że jego największą ambicją i dalekosiężnym celem było oderwanie diecezji krakowskiej od Kościoła polskiego i włączenie do planowanej przez Wacławów metropolii praskiej, co dałoby Muskacie bardziej niezależną pozycję i pozwoliło odegrać rolę „wicekróla” Małopolski.

Namiestnik Małopolski.

Od początku pontyfikatu nasz bohater bardzo dbał o umacnianie gospodarczej i militarnej pozycji biskupów krakowskich oraz królewskiego protektora na obszarze powierzonej sobie diecezji. Po uzyskaniu w 1295 roku stosownego przywileju Wacława, otoczył Muskata murami najbogatsze z biskupich miast – górniczy Sławków – oraz obwarował inne ośrodki dóbr – Hżę, Tarczek i Kielce. Jego największym przedsięwzięciem budowlanym było wzniesienie bardzo nowoczesnego, jak na te czasy, zamku z kamienia w biskupiej wsi Lipowiec. Przypisuje mu się także rozpoczęcie budowy zamku w Chęcinach, w swej najstarszej części bardzo podobnego do Lipowca. Mógł dokonać tego jako królewski starosta. Jeśli doliczyć do tego kilka inkastellowanych przez Muskatę kościołów (np. kolegiaty wiślickiej), obronnych gródków (np. w Kurowie nad Dunajcem, Pełczyskach koło Wiślicy) i dworów – stworzył on całkiem imponujący kompleks obronny na terenie Małopolski. Z tą szeroko zakrojoną akcją budowlaną Muskaty o znaczeniu politycznym i wojskowym korespondują dane o umocnieniach Muszyny. Rzeczywiście mógł tu mniej więcej w tym czasie, czyli w latach 1295-1304, powstać – lub przynajmniej zostać rozbudowany – wcześniejszy nieco gródek ziemny, a zwłaszcza wały od strony

Węgier. Byłoby to w pełni zgodne z ówczesną działalnością biskupa i samego króla Wacława II, zwłaszcza na niebezpiecznym pograniczu węgierskim. W latach 1298-1299 biskup Muskata z powodzeniem odpierał pretensje węgierskiego arcybiskupa Ostrzyhomia i jego kapituły spiskiej do zwierzchności kościelnej nad 3 osadami pogranicznymi – Podolińcem, Gniazdami i Lubowlą. Król Wacław do tego stopnia darzył Jana Muskate zaufaniem, że powierzył mu ważną funkcję starosty, czyli królewskiego namiestnika w ziemiach krakowskiej i sandomierskiej. Miało to miejsce zapewne dwukrotnie, w latach 1303-1305 i 1305-1306. Większość oskarżeń skierowanych przeciw Muskacie w wytaczanych mu potem procesach dotyczyła czynności związanych z tym niewdzięcznym urzędem. Mówiono więc np. o licznych „mężobójstwach” Muskaty, które w rzeczywistości były egzekucjami dokonanymi na rozkaz biskupa - starosty na wrogach politycznych króla Wacława i osobistych Muskaty. Pierwszymi ofiarami byli trzej bracia zwani Possepte. Gdy wieziono ich na wozie na ścięcie, głośno oskarżali biskupa jako sprawcę. Niejaki Wolfrad, pisarz Muskaty, który go opuścił, po schwytaniu został za karę ścięty... Takie drastyczne przykłady można mnożyć.

Powrót Łokietka.

Rządy czeskie, cieszące się w początkowym okresie w Polsce dużym społecznym poparciem, stopniowo traciły popularność. Coraz bardziej ciążyły twarde rządy królewskich starostów, zazwyczaj mianowanych spośród obcych – Czechów lub Niemców, którzy, z dala od królewskich oczu, dopuszczali się licznych nadużyć. Mimo złożonych dawniej obietnic, król czeski rządził Polską centralistycznie, nie dopuszczając do głosu lokalnych elit i mało dbając o polską rację stanu. Opozycja antyczeska zaczęła coraz bardziej podnosić głowę, potrzebny był tylko odpowiedni kandydat do tronu. Jesienią 1304 roku, z pomocą zaprzyjaźnionych możnowładców węgierskich (m.in. Amadeja Aba), powrócił do Polski niezłomny wygnaniec – książę Władysław Łokietek. Zrekonstruowana przeze mnie prawdopodobna trasa tej wyprawy prowadziła dolinami Popradu i Dunajca, przez Muszynę i Stary Sącz, w kierunku zdobytej Wiślicy. Jest to konstrukcja czysto hipotetyczna, wynikająca ze względów strategicznych. Chcąc od początku umacniać swą pozycję w Małopolsce i jednocześnie zabezpieczyć ewentualny odwrót w razie klęski, nie mógł Łokietek pozostawić na tyłach punktów umocnionych, pozostających w ręku załóg czeskich lub czeskiego starosty i stronnika – biskupa Jana Muskaty. Jednym z najważniejszych takich punktów musiała być właśnie biskupia Muszyna. Dlatego sądzę, że Łokietek i Węgrzy zadali sobie trud zdobycia z zaskoczenia tego gródka, mimo że mogło to nieco spowolnić marsz w głąb Małopolski. Mniej więcej w tym samym czasie utracił Muskata na rzecz Węgrów albo rycerzy – stronników Łokietka, nadany mu niedawno przez Wacława II, ważny gród Biecz, którego obronę powierzył benedyktynom tynieckim. Król czeski odbił Biecz, ale nie zwrócił go już biskupowi, tylko wcielił do dóbr królewskich. Podobnie mogło stać się i z Muszyną. Sądzę, że od jesieni 1304 roku pozostała ona już w ręku Łokietka i jego następców, mimo późniejszych formalnych obietnic zwrotu biskupom krakowskim. Muszyna powróciła do nich dopiero za Władysława Jagiełły, w roku 1391. Nie można jednak wykluczyć także innych dat utraty Muszyny i Biecza – roku 1307 lub 1311. Źródła milczą!

Po zajęciu Wiślicy na stronę Łokietka przeszła duża część rycerstwa, zwłaszcza sandomierskiego. W 1305 roku książę kujawski w szybkim tempie opanował całą Sandomierszczyznę. W Małopolsce trwała krwawa wojna domowa, którą ze szczegółami opisali świadkowie procesów Muskaty. Dowódcy najemnych oddziałów biskupa - starosty Muskaty, nazywani przez przeciwników Niemcami, w swych ciągłych wyprawach pacyfikacyjnych palili i grabili miasta (m.in. Skalbmierz, Wieliczkę, Stary Sącz i Miechów), wsie i kościoły (ogółem podobno aż 37). Sam biskup krakowski miał wskazywać swym podwładnym topór jako najlepszy „klucz św. Piotra” do otwierania kościołów zarządzanych przez księży wiernych Łokietkowi. Świątynie, po wyłamaniu drzwi, były gruntownie rabowane ze sprzętów kościelnych i ksiąg oraz dewastowane w poszukiwaniu ukrytych przez ludność pieniędzy. Dochodziło przy tym nieraz do scen profanacji Najświętszego Sakramentu. W poszukiwaniu kosztowności rozkopywano nawet cmentarze. Ludzie biskupa Jana chwyтали i więzili dla okupu niewinnych ludzi w zamkach i warowniach, m.in. w lochach Lipowca i Sławkowa... W miarę kolejnych sukcesów Łokietka, posiadłości i dochody Muskaty kurczyły się coraz bardziej, a potrzeby obronne rosły. Stąd rozpaczliwe poszukiwanie pieniędzy na wojnę i tolerowanie rozmaitych ekscesów niepłatnych najemnych żołdaków, co w żadnym przypadku nie usprawiedliwia postępowania tego niegodnego infułata. Biskup Muskata często przebywał pod jednym dachem ze swoimi dowódcami, winnymi niejednej zbrodni, uczłował z nimi, udzielał im sakramentów, błogosławił, a nawet, o czym nie mogli mówić bez zgrozy współcześni, ... udzielał im dyspensy od jedzenia mięsa w okresie Wielkiego Postu i rozgrzeszał ze wszystkich grzechów.

Walka o Kraków.

Kiedy w ziemiach krakowskiej i sandomierskiej trwała wojna domowa, 21 czerwca 1305 roku w dalekiej Pradze zmarł, złożony jakąś dziwną niemocą, król Czech i Polski – Wacław II. Jego następcą został syn i imiennik – Wacław III, u progu panowania przez wielu uważany za lekkomyślnego i rozwiązłego młokosa. Jeśli wierzyć Długoszowi, wraz ze śmiercią starszego Wacława większość rycerstwa i panów małopolskich poczuła się zwolniona z przysięgi wobec niego i przeszła na stronę Łokietka. Najważniejszym celem dla młodego Wacława stało się utrzymanie w swym ręku przynajmniej części północnych zdobyczy ojca, a zwłaszcza zamożnego Śląska i Małopolski. Przystąpił on więc do montowania wielkiej wyprawy przeciw najsilniejszemu z polskich rywali – Łokietkowi. Tymczasem w Krakowie Jan Muskata – biskup i zarazem starosta Wacława, przygotowywał grunt pod wielką wyprawę zbrojną młodego króla, któremu dochował wierności do końca, mimo krótkotrwałego uwięzienia przez rycerzy Łokietka z rodu Toporów w Kunowie nad Kamienną. Układy Muskaty z Mieszkim, księciem cieszyńsko-oświęcimskim, dowodzą, że to właśnie on był autorem niezwyklego układu małżeńskiego. Wacław III w dniu 5 sierpnia 1306 r. niespodziewanie pojął za żonę córkę tegoż Mieszka – Violę. Był to tylko pozornie mezalians, bo Wacław przez ślub z tą córką drugorzędnego księcia śląskiego otworzył sobie bezpieczną drogę na Kraków przez posiadłości teścia. Jednocześnie w Małopolsce Muskata zadbał o zabezpieczenie dalszej trasy spodziewanej wyprawy. Jego szwagier i współpracownik – Gerlach de Culpen, razem z oddziałem

z biskupiego Lipowca, obległ niespodziewanie, zdobył i spalił sprzyjające Łokietkowi opactwo benedyktynów w Tyńcu. Archeolodzy odnaleźli tu ślady walk i pożaru z tych lat. Klasztor ten strzegł jednej z przepraw przez Wisłę pod Krakowem. Chcąc sparaliżować niebezpieczne działania biskupa krakowskiego, do akcji przystąpił, popierający Łokietka, arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka wytaczając mu, już po raz drugi, proces kościelny. W dniu 6 sierpnia 1306 r. Jan Muskata przebywał w podwawelskim mieście, wspólnie z wiernymi Czechom mieszczanami krakowskimi przygotowując zamek i miasto do obrony przez wojskami Łokietka i przyjęcia armii młodego Wacława. Losy niezłomnego księcia wydawały się przesądzone w obliczu przeważających sił czeskich. Takiego obrotu sprawy, jaki miał miejsce, nikt się wtedy nie spodziewał. Oto w dniu 4 sierpnia 1306 r., podczas poobiedniej drzemki w Ołomuńcu na Morawach, został skrytobójczo zasztyletowany król Czech i Polski – Wacław III. Autor tej zbrodni – rycerz niemiecki Konrad von Botenheim, natychmiast uśmiercony przez straż królewską, zabrał ze sobą do grobu tajemnicę, kto był jego mocodawcą. Współczesne mu źródła wymieniały m.in. naszego Łokietka. Dziś wskazuje się raczej na panów czeskich. Zebrana w Ołomuńcu armia czeska odmówiła dalszego marszu na Kraków, a Czechy na kilka lat pograżyły się w zamęcie dynastycznych walk o koronę. W tej sytuacji Muskacie i innym stronnikom czeskim w Polsce usunął się grunt spod nóg. W dniu 1 września 1306 r., w Krakowie, odbył się wielki wiec, na którym rycerstwo, mieszczenie i biskup krakowski uznali za swego władcę księcia Władysława, zwanego dla małego wzrostu Łokietkiem. Opuszczona załoga czeska na Wawelu skapitulowała lub została pokonana i nowy książę uroczyście rozpoczął swe panowanie. Nagrodą za zmianę postawy politycznej były dwa wielkie przywileje Łokietka dla mieszczan Krakowa i biskupa Muskaty. Ten ostatni akt, wydany na wiecu elekcyjnym w dniu 2 września, pełen był daleko idących obietnic i nowych nadań, których chyba nigdy nie zrealizowano. Prawdopodobnie także Muszyna nie wróciła wtedy do dóbr biskupów krakowskich. Dla Jana Muskaty tragiczna śmierć Wacława III oznaczała całkowitą klęskę planów politycznych wiązanych od lat ze Śląskiem i Czechami.

Dalsze spory i wygnanie.

Już wkrótce konflikt biskupa Muskaty z nowym władcą, Władysławem Łokietkiem, miał się odnowić – Wawel nie mógł pomieścić takich dwóch indywidualności. Do nowych sporów doszło wiosną 1307 roku, w wyniku ekscesów wywołanych przez niepłatne wojska książęce w dobrach biskupich. Kiedy biskup zaczął spiskować przeciw księciu z ościennymi władcami, zapewne z rządzącym wtedy w Wielkopolsce rywalem Łokietka, Henrykiem III Głogowskim, albo z Mikołajem, księciem opawskim, został wygnany z kraju wraz ze swoimi stronnikami. Schronił się najpierw w zamku Lipowiec, a potem na rodzinnym Śląsku, pod opieką przyjaciela – biskupa wrocławskiego Henryka z Wierzbna. Tymczasem książę Władysław na wiecu w Wiślicy 7 czerwca 1307 r. cofnął biskupstwu krakowskiemu nadania i przywileje, otrzymane od Wacławów i wcześniejsze własne, oraz zaczął zajmować zbrojnie pozostałe zamki i grody biskupie. Jeśli nie w 1304 roku, to na pewno teraz odebrał biskupstwu naszą Muszynę, a z pewnością – Sławków. W Krakowie sprzyjający Łokietkowi kościelny zwierzchnik Muskaty – arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka, wznowił jego proces kanoniczny i wyrokiem z 14 czerwca 1308 r. złożył z urzędu.

Parę miesięcy później książę Władysław wezwał Muskatę, pod pozorem rozmów, do Krakowa, gdzie w końcu 1308 roku biskup krakowski został wiarołomnie aresztowany i uwięziony w wawelskiej wieży. Mógł opuścić więzienie dopiero pół roku później, po wymuszonej 2 lipca 1309 r. kapitulacji. Rezydujący w dzisiejszej Bratysławie legat papieski Gentilis, w odpowiedzi na skargę biskupa krakowskiego, obłożył Łokietka klątwą, a w sporze Muskaty z metropolitą gnieźnieńskim wydał 12 czerwca 1310 r. wyrok korzystny dla krakowskiego infulata. Brak zgody ze strony Łokietka uniemożliwił jednak realizację litery tego wyroku. Nasz bohater nadal przebywał na wygnaniu na Śląsku, docierając być może ze swą sprawą aż do odległego francuskiego Awinionu – nowej stolicy papieża. Niewykluczone, że nawiązał też jakieś stosunki ze zbuntowanymi w latach 1311-1312 przeciw Łokietkowi mieszczanami krakowskimi wójta Alberta, brak jednak na to jakichkolwiek dowodów w źródłach. W czasie wygnania Muskaty jego – w sensie kościelnym – sąsiad, arcybiskup Ostrzyhomia, zagarnął ostatecznie dla siebie jurysdykcję i dochody z dziesięcin płynące ze wspomnianych już 3 spornych pogranicznych miejscowości spiskich – Lubowli, Podolińca i Gniazd, które około 1312 roku zostały włączone do Królestwa Węgierskiego. Dopiero starania o koronację, podjęte przez księcia Władysława Łokietka w Kurii papieskiej, zmusiły go do wyrażenia niechętniej zgody na powrót na Wawel wyganego krakowskiego ordynariusza, co miało miejsce zapewne latem 1317 roku. Ostatnie 3 lata życia spędził Jan Muskata przede wszystkim w podkrakowskim klasztorze cystersów w Mogile, unikając Krakowa i katedry wawelskiej, gdzie rządził niechętny mu książę i jego stronnicy z kręgu krakowskiego duchowieństwa, z przyszłym następcą – Nanckerem – na czele. Ostatni akt, w którym uczestniczył Muskata, można uznać za symbol klęski jego dawnych planów politycznych. Był on zmuszony, jako gospodarz katedry wawelskiej, asystować przy koronacji dawnego wroga, Łokietka, na króla Polski w dniu 20 stycznia 1320 r. Muskata, być może załamany i wyczerpany tymi uroczystościami, zmarł zaledwie parę tygodni później – 7 lutego 1320 r. Został pochowany nie na Wawelu, przy swoich poprzednikach i następcach, lecz w klasztorze mogińskim, gdzie od czasu pożaru w roku 1743 nie pozostała po nim nawet brązowa tablica nagrobna, sprzedana przez mnichów na złom.

Można powiedzieć, że był on jednym z wielkich przegranych swoich czasów, marnując życie na realizację chorobliwie ambitnych planów politycznych, z których ostatecznie i tak nic nie wyszło. Koszty jego ambicji płaciła powierzona mu diecezja i dobra biskupstwa, w tym i Muszyna, odebrana biskupom krakowskim na prawie 100 lat.



Pozostałości wałów, okalających Muszynę, widoczne do dziś między ulicami Piłsudskiego a Zefirka, za torami kolejowymi

(fot. Barbara Rucka)

Adam Ziemanin

**PIOSENKA SIEDMIU ŻOŁNIERZY
– W TYM CZTERECH NIEZNANYCH –
POLEGŁYCH W 1914 ROKU W OKOLICACH MUSZYNY**

Leżą pod lipami
Chwila odpocznienia
Karabiny spocone
Mrówki czyszczą broń

Chciałoby się zapalić
Lecz zapalek nie ma
Papierosów brakło
A wokół już mrok

Oczy nasze
Nocą zaszły
Aby w waszych
Dzień nowy zaświtał

Księżyc w nasze
Oczy patrzy
W oczach waszych
Dzień wstaje do życia

W dole jest miasteczko
I dziewczyny młode
W gospodzie jest piwo
A w kieszeni żołd

Tak ciężko się urwać
Choć grają tam w dole
A nogi do tańca
To do śmierci krok

Oczy nasze
Nocą zaszły
Aby w waszych
Dzień nowy zaświtał

Księżyc w nasze
Oczy patrzy
W oczach waszych
Dzień wstaje do życia

Tak płaczą żołnierze
W dziewięćset czternastym
Polegli pod Muszyną
W pierwszej światowej

Damian Madryga
Fedko Kuzach
Jan Biliński
I czterech nieznanych

Oczy nasze
Nocą zaszły
Aby w waszych
Dzień nowy zaświtał

Księżyc w nasze
Oczy patrzy
W oczach waszych
Dzień wstaje do życia

Widzę ich nocami
Po sadach się kręcą
Z jabłoniemi tańczą
Tulą się do kory

Co robić w miasteczku
Dzień sądu daleko
A życie takie krótkie
I długie wieczory

Oczy nasze
Nocą zaszły
Aby w waszych
Dzień nowy zaświtał

Księżyc w nasze
Oczy patrzy
W oczach waszych
Dzień wstaje do życia

Stanisław Heilman, Jerzy Krzys

DZIAŁANIA WOJENNE W OKOLICACH MUSZYNY 1 - 6 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Chociaż od wybuchu wojny polsko-niemieckiej, która dała początek II wojnie światowej, minęło już przeszło sześćdziesiąt lat, to jednak te brzemiennie w skutkach dni pozostały trwale w pamięci wielu ludzi. Z ich relacji oraz dokumentów i opracowań można odtworzyć poniższy obraz tamtych czasów i działań wojennych, także w okolicach Muszyny.

1. Sytuacja ogólna w 1939 roku

Sytuacja polityczna i militarna Polski uległa katastrofalnemu pogorszeniu począwszy od marca 1939 roku, co miało od razu ujemny wpływ na życie mieszkańców Muszyny. Ekspansja III Rzeszy Niemieckiej i jej dążenie do powiększenia „przestrzeni życiowej” doprowadziły do wysunięcia szeregu żądań terytorialnych, także i w stosunku do naszego kraju. Równocześnie powstała w dniu 14 marca Republika Słowacka, której proniemiecki rząd (oparty na aktywistach Słowackiej Partii Ludowej) zawarł wkrótce w Berlinie, już 23 marca, porozumienie o wzajemnej pomocy i współpracy wojskowej¹. Tym samym wojska niemieckie mogły przebywać swobodnie na terytorium sprzymierzeńca, co stwarzało możliwość agresji Niemców z baz w kraju południowego sąsiada Polski. Ojczyzna nasza dostała się jakby w „kleszcze” niemieckie, przez co granica polsko-słowacka wymagała pilnego zabezpieczenia.

Słowacja przystąpiła także do tworzenia własnego wojska narodowego w sile korpusu, na którego czele stanął gen. Ferdinand Catloš. Korpus składał się z trzech dywizji piechoty i grupy szybkiej, złożonej z kawalerii, cyklistów i pododdziałów zmotoryzowanych oraz pancernych. Wojsko to było dobrze uzbrojone w pozostawioną broń czechosłowacką. Rozpętała się kampania antypolska, zwłaszcza że dołączyli do niej koloniści pochodzenia niemieckiego, zwolennicy polityki Adolfa Hitlera. Zaczęli oni tworzyć odrębne szowinistyczne bojówki pod nazwą „Freiwillige Schutztruppen”, oczywiście wrogie Polsce. Władze słowackie zezwoliły także na utworzenie u boku własnej armii odrębnego oddziału w sile dwóch batalionów, złożonego z nacjonalistów ukraińskich (i częściowo Łemków). Dowodził nimi ppłk Roman Suszka².

Słowacy zaczęli więc uważać Polaków za swoich wrogów, a lokalną przesłankę ku temu dała także „korekta granicy” z końca 1938 roku, w wyniku której m.in. gmina zbiorowa w Muszynie powiększyła się o Czeską Łopatę ze źródłem „Sulin” w Żegiestowie i o pas drogowy wzdłuż lewego brzegu Popradu, począwszy od Sulina do Małego Lipnika. Była to jedna z przyczyn pojawienia się wrogości i nieprzychylności ze strony dotychczas spokojnych sąsiadów, powiększona penetracją Niemców aż nad Poprad. Wskutek tego Muszyna znalazła się w zagrożonej strefie, na „gorącym pograniczu”. Dlatego wzrosło znaczenie strategiczne miasta, choć było ono tylko wziętym uzdrowiskiem. Muszyna

stała się węzłem, broniącym naturalnych „wrót”, prowadzących w głąb kraju. Była przecież dużą graniczną stacją na linii kolejowej, przecinającej Karpaty wzdłuż Popradu i równocześnie leżała na początku ważnej, drogowej linii komunikacyjnej, biegnącej na północ przez Beskid Sądecki: przez Powroźnik - Krynice - Grybów - Gorlice do Tarnowa i Jasła. Gdyby nieprzyjaciel opanował ten trakt, wdarłby się na głębokie tyły nowo utworzonej Armii „Kraków”, przewidzianej do obrony Śląska i Małopolski zachodniej³.

2. Ochrona granicy w dolinie Popradu

Jednym z pierwszych poczynań strony polskiej było profilaktyczne uszczelnienie granicy ze Słowacją, strzeżonej dotychczas wyłącznie przez Straż Graniczną (SG). Placówka w Muszynie oraz posterunki w Leluchowie, Miliku i Żegiestowie podlegały inspektoratowi w Krynicy. Straż Graniczna miała już uprzednio wprowadzoną strukturę wojskową: inspektorat odpowiadał kompanii piechoty, a placówka plutonowi⁴. Na przełomie 1938/1939 roku obowiązywał w SG stan wzmożonej czujności. W tym samym dniu, kiedy Słowacja zawarła układ wojskowy z Niemcami, z rozkazu naczelnego dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) ogłoszono alarm w zapasowym batalionie „Żytyń”, wchodzącym w skład pułku „Zdołbunów” Brygady „Wołyń”. W ciągu kilku godzin miał się załadować pierwszy rzut batalionu na transport kolejowy (to jest 8 oficerów i 460 szeregowych, podoficerów i strzelców z bronią osobistą i ciężką, liczącą 27 ręcznych, 9 ciężkich karabinów maszynowych, 2 moździerze oraz 2 działka przeciwpancerne). Wieś Żytyń była położona o 8 kilometrów na wschód od miasta Równego i tę odległość pokonano od razu marszem pieszym. Końcową stacją tego nagłego przegrupowania był Stary Sącz. Już w dniach następnych wojsko wzmocniło patrole SG, pełniąc służbę ochronną wzdłuż granicy. Wkrótce nadjechał drugi rzut batalionu z zapasami materiałowymi. Oddział został następnie uzupełniony żołnierzami i bronią do pełnych stanów, przewidzianych etatami wojennymi. Przybyli więc w 30% rezerwiści, powołani na wezwania imienne, a także żołnierze przesunięci z pododdziałów przygranicznych KOP w Delatynie i Skolem. Wskutek tych poczynań batalion osiągnął liczbę ośmiuset żołnierzy, którzy pozostawali pod rozkazami dowódcy, majora Włodzimierza Kraszkiewicza⁵.

Warto przytoczyć skład ostateczny tegoż batalionu. Oto on:

- dowództwo i kwatermistrzostwo,
- trzy kompanie strzeleckie (z 27 ręcznymi karabinami maszynowymi i 9 karabinami przeciwpancernymi Ur),
- kompania karabinów maszynowych (12 ciężkich karabinów maszynowych, 4 armaty przeciwpancerne o kalibrze 37 mm, 4 moździerze 81 mm). Dla trakcji bieków i działek batalion posiadał 20 koni,
- rozbudowany pluton łączności (1 oficer + 70 telefonistów i gońców), dysponujący stacją 50 gołębi pocztowych w Starym Sączu,
- drużyna przeciwgazowa (1 dowódca, 12 podkomendnych),
- sekcja minerska (2 podoficerów + 4 szeregowców - saperów),
- sekcja sanitarna⁶.

Mieszkańcy Muszyny często widywali żołnierzy batalionu „Żytyń” w charakterystycznych, okrągłych czapkach garnizonowych. Chociaż oddział ten był liczny i stosunkowo

dobrze uzbrojony, to jednak strefa jego działania była nadmiernie rozciągnięta, od Czorsztyna do przełęczy Beskid koło miejscowości Grab. Wojsko zabezpieczało tylko granicę przed ewentualnymi wypadami dywersantów, a funkcjonariusze SG nadal pełnili swoje zwykłe obowiązki. Dla ich lepszego wykonywania przydzielono od 12 kwietnia do każdego z inspektoratów po plutonie rezerwistów piechoty w składzie: 1 oficer + 60 szeregowych z 1 lekkim karabinem maszynowym i 3 ręcznymi. Wzmoczoną czujność nakazano także Policji Państwowej z posterunków strefy przygranicznej⁷.

Aby w porę rozpoznawać zamiary potencjalnego nieprzyjaciela za Popradem i ruchy jego wojsk, utworzono w Jasle placówkę wywiadowczą nr 11 (dowódca: kpt. J. Robak) z zadaniem penetracji „płytkiej i głębokiej”, to jest otoczenia granicy i wnętrza państwa. Albowiem korpus słowacki stale się rozbudowywał i przygotowywał współdziałanie z wojskami niemieckimi: przebudowywano drogi, wzmacniano mosty, urządzano magazyny paliw, a lotnisko w Nowej Wsi Spiskiej oddano wkrótce do dyspozycji lotnictwa niemieckiego. W ciągu letnich miesięcy Słowacy zajęli stanowiska obronne w odległości 2 - 4 km od granicy z Polską, a nad Popradem jeszcze bliżej. Dlatego też z okien pociągów na trasie Muszyna - Piwniczna widać było kąpiących się żołnierzy słowackich i prawdopodobnie poprzebieranych żołnierzy niemieckich bojówek i Wehrmachtu. Obsadzenie granicy z Polską miało także przeciwdziałać nielegalnemu przechodzeniu ochotników cywilnych i dezertów innej orientacji, którzy przedostawali się do formującego się w Krakowie niezależnego Legionu Czechów i Słowaków (d-ca płk Ludwik Svoboda). Ale mimo wszystko zwykły ruch graniczny odbywał się bez przeszkód. Np. chłopci z lewo-brzeżnych wsi, którzy mieli pola w Andrzejówce, po polskiej stronie, posiadali stałe przepustki i mogli przekraczać graniczny Poprad dowolnie w każdym miejscu i o każdej porze dnia, aby udać się do swoich pól⁸.

Uszczelnienie granicy południowej kraju przez wzmocnioną Straż Graniczną i wojsko stanowiło rodzaj kordonu profilaktycznego, który skutecznie zapobiegał do końca sierpnia zbrojnym incydentom granicznym. „Kordon” ów miał swój kryptonim „Horyń”, a tworzyły go batalion „Żytyń”, kompania KOP „Snów” oraz inspektoraty SG „Krościenko”, „Rytro”, „Krynica” i „Polanka”. Zgrupowaniem tym dowodził nadal major W. Kraszkiewicz. Pewną ciekawostką było to, że na liczniejsze patrole zabierano ze sobą w góry po kilka gołębi pocztowych, które potem przenosiły meldunki do sztabu w Starym Sączu⁹.

3. Przygotowania w Polskich Siłach Zbrojnych

Już pod koniec marca przeprowadzono pierwszą tzw. mobilizację kartkową (na imienne wezwania), celem zwiększenia stanów osobowych pułków w dotychczasowych koszarach pokojowych. Pod pozorem ćwiczeń powołano także wielu mieszkańców Muszyny, najczęściej do 1. pułku strzelców podhalańskich (1. psp) w Nowym Sączu. Ruszyła wtedy cała machina mobilizacyjna i na bazie tegoż pułku zaczęto formować zręby trzech batalionów Obrony Narodowej (bON), a to: bON „Gorlice”, „Limanowa” i „Nowy Sącz” (d-ca: kpt. Ignacy Jeleń). Ten ostatnio wymieniony batalion składał się z trzech kompanii strzeleckich, noszących nazwę od miejscowości zasadniczego formowania, były to więc: 1. kompania „Nowy Sącz” (d-ca: por. Roman Samogyj), 2. kompania „Krynica” (d-ca: kpt. Sołtysiak) i 3. kompania „Grybów” (d-ca kpt. Roman Zaziemski)¹⁰. Bataliony ON

miały charakter wojsk terytorialnych, przeznaczonych do zadań pomocniczych i złożone były głównie ze starszych wiekiem rezerwistów i młodocianych ochotników ze Związku Strzeleckiego. Przynależący tu żołnierze mieli mundury i oporządzenie w domach, a zgłaszali się na ćwiczenia lub alarmy „przez skrzyknięcie”. Ich broń była przechowywana w koszarach lub na posterunkach Policji Państwowej. Ćwiczenia zgrania bojowego trwały po kilka dni przez całą wiosnę.¹¹

Wszystkimi posunięciami organizacyjno-mobilizacyjnymi kierował początkowo sztab Dowództwa Okręgu Korpusu nr V w Krakowie, ale w dniu 11 lipca utworzono odrębną Armię „Karpaty” z gen. dyw. Władysławem Fabrycym na czele. Dowództwo tej Armii znajdowało się w Rzeszowie (Staromieściu). 2. Brygada Górską podlegała teraz temu dowództwu.¹²

Wobec konieczności rozgraniczenia rejonów działania własnych wojsk, podzielono umownie linie przyszłej obrony granicy południowej na odcinki i pododcinki. Odcinek „Nowy Sącz” sięgał od Czorsztyna aż do miejscowości Grab (położonej na zachodnim skraju obecnego Magurskiego Parku Narodowego) i liczył ok. 80 km długości. Z kolei odcinek ten został podzielony na trzy pododcinki: zachodni, środkowy i wschodni. Muszyna znalazła się w odcinku środkowym, który rozciągał się od Andrzejówki do rejonu Wysowej - Zdroju.

Wielkie przemiany zaszły w 1. pułku strzelców podhalańskich. Po połączeniu go z trzema wymienionymi batalionami ON i batalionem KOP „Żytyń” powstała 2. Brygada Górską (2. BG) z d-cą płk. dypl. Aleksandrem Stawarzem na czele. Została ona jeszcze nieco wzmocniona artylerią, a to 153. baterią artylerii górskiej (poaustriackie 4 haubice górskie 65 mm) oraz 51. i 52. plutonem artylerii pozycyjnej (4 stare działa 3 calowe wz. 02 z obsługą, ale bez zwiadu¹³) dla zwalczania broni pancernej przeciwnika. Dowództwu brygady została podporządkowana Straż Graniczna ze zgrupowania „Horyń”. Była to cała obsada nader długiego „sądeckiego frontu” – bez odwodów, lotnictwa i własnej broni pancernej.

Oparciem dla obrony, obok górzystego terenu i przeszkód wodnych (Dunajec, Poprad), miały być świeże fortyfikacje polowe w szczególnie ważnych strategicznie punktach Beskidu Sądeckiego. Rozpoczęcie robót przyniósł ogólnopolski rozkaz Sztabu Generalnego z dnia 24 czerwca. W tym celu powołano dla 2. BG. odrębną Grupę Fortyfikacyjną nr 2 (d-ca mjr Karol Kleczke), złożoną z oficerów - projektantów, podoficerów - instruktorów i robotników najemnych. Do prac przystąpiono dopiero pod koniec sierpnia, po żniwach. Duży węzeł oporu miał powstać w otoczeniu przełęczy Huta, koło wsi Krzyżówka, ze względu na dogodny do obrony teren oraz na możliwość równoczesnego blokowania czterech szos, w tym dwóch dróg wiodących ze Słowacji. Były to drogi: Bardiów - Muszynka - Tylicz - (Krynica) - Mochnaczka - Krzyżówka oraz Mniszek nad Popradem - (Orlov) - Muszyna - Krynica - Krzyżówka. Dwie dalsze drogi krajowe prowadziły do Łabowej (Nowego Sącza) i do Grybowa. Blokada obejmowała także ścieżkę do wsi Piorunka. Takie usytuowanie przewidywanego węzła oporu świadczyło dobitnie, że ciężar wymuszonej obrony na własnym terytorium będzie miał miejsce na północ od Krynicy, a wskutek tego przygraniczna Muszyna znajdzie się tylko we wstępnej strefie przesłaniania przez ubezpieczenia bojowe, przed główną pozycją oporu. Przyznać trzeba,

że miasto to było bardzo trudne do dłuższej, intensywnej obrony, gdyż już np. z dominującej nadgranicznej góry Wielkiej Polany (796 m), Kurczyńskiej Magury (893 m), czy Zbójnickiego Wierchu (722 m) był doskonały wgląd w okolicę i nieprzyjaciel po obsadzeniu zboczy mógłby dowolnie ostrzeliwać z broni maszynowej i artylerii nie tylko tory, mosty i stację kolejową, ale i drogi na Wapiennem, pod Mikową Górą oraz Basztę, Zazamcze i wiele ulic z Rynkiem włącznie. Wówczas miasto doznałoby wielu zniszczeń w zabudowie i strat osobowych. Wobec tego potencjalne działania wojenne w Muszynie słusznie przewidziano tylko w małym zakresie, jako etap działań opóźniających przed główną pozycją w lesistej przełęczy Hucie. Natomiast zaplanowano całkowite zablokowanie magistrali kolejowej, co miano uzyskać przez dokonanie przygotowanych zniszczeń, a więc przez wysadzenie części tunelu z Żegiestowie i uszkodzenie mostów poprzecznych. Przewidziano także czasowe opuszczenie Muszyny i zajęcie jej przez nieprzyjaciela, dlatego zawczasu przeszkolono grupę Związku Strzeleckiego i rezerwistów w tzw. „dywersji pozafrontowej”. Ci zaufani żołnierze podziemia mieli w czasie ewentualnej okupacji rozwinąć działalność wywiadowczą i dywersyjną.¹⁴

4. Ostatnie dni pokoju

Stan powszechnego napięcia stosunków międzynarodowych w Europie, ogólne podenerwowanie zbliżającą się wojną, podsycane przez wiadomości prasowe i radiowe, udzieliły się także kuracjom i letnikom. Skracali oni swoje kuracje czy pobyty wypoczynkowe i wracali szybciej do swoich miejsc stałego zamieszkania. Dotyczyło to zwłaszcza Żydów. Nie osiągnięto więc tak rekordowej liczby przybyszów, jaką zanotowano w Muszynie w 1938 roku, przekraczającą dziesięć tysięcy osób¹⁵. Pociągi były stale przepełnione, gdyż opuszczano także Krynice, chociaż pogoda była idealna – upały bez opadów. Pewien wpływ na szybszy powrót do domów miał widok żołnierzy rezerwy, powoływanych rotacyjnie do batalionów ON na różne ćwiczenia, jak i wzmożona działalność prewencyjna Policji Państwowej, Straży Granicznej i straży kolejowej, których funkcjonariusze bacznie obserwowali zachowanie się przybyszów i wnikliwie strzegli porządku. Wskutek ich działalności nie doszło w Muszynie do jakichś akcji sabotażowych, jak to miało miejsce np. na dworcu w Tarnowie czy pod Kamionką Wielką.

Z samej Muszyny ubyłoby wielu mężczyzn po otrzymaniu imiennych wezwań mobilizacyjnych – np. 24 sierpnia wyjechało około 70 rezerwistów. Został także powołany, do służby w żandarmerii, urzędujący burmistrz miasta, dr prawa Jan Jędrzejowski. Jego funkcję przejął wiceburmistrz, Stanisław Porth¹⁶. A gminą zbiorową kierował wówczas jej sekretarz, Adam Przybujewski. Stali mieszkańcy miasta przygotowali się także do wojny po swojemu. Robiono zapasy żywności, ziemiopłodów, opału, świec, nafty itp., wykupując towary w sklepach i na targach. Zaklejało się szyby w oknach skrzyżowanymi paskami papieru, co miało zapobiegać ich wypadnięciu w czasie detonacji. Przygotowano także schrony w piwnicach, przykrytych rowach oraz tzw. pomieszczenia uszczelnione i tampony, gdyż straszono użyciem przez nieprzyjaciela gazów bojowych.

Pod koniec sierpnia ostatni już letnicy i kuracjusze opuścili zamierzające uzdrowisko, zatrwożeni tym, że 29 VIII został ostrzelany pociąg osobowy między Żegiestowem a Piwniczną. Ale ruch w dniu 30 VIII nie ustawał, gdyż minister spraw wojskowych ogłosił

mobilizację powszechną. Wyjeżdżali więc ci żołnierze, którzy mieli zgłosić się w pierwszym dniu mobilizacji (31 VIII) w dalekich garnizonach. Natomiast ci, którzy otrzymali późniejsze terminy wcielenia, mieli kłopoty z wyjazdem, albowiem całkowicie ustał na linii od Sącza ruch kolejowy – 31 sierpnia o godz. 3:00 rano został omyłkowo wysadzony most kolejowy (zamiast drogowego) na Popradzie nad Piwniczną. Wskutek tego zostało odciętych na stacji w Żegiestowie 4 parowozy, ok. 15 wagonów osobowych i 10 towarowych. Odpowiedzialny za tę omyłkę dowódca 1. kompanii batalionu „Żytyń” został aresztowany¹⁷. Utrudniło to znacznie ewakuację łóżek, pościeli, materaców, bielizny z opustoszałych pensjonatów i domu zdrojowego w Żegiestowie, którą z polecenia starostwa przeprowadziła ekipa władz samorządowych z Muszyny¹⁸. Część zasobów wywieziono dwoma furmankami drogą okrężną przez Muszynę, Krynice do koszar w Nowym Sączu, znacznie przepełnionych.

5. Ugrupowanie obronne Wojska Polskiego

Powołania kartkowe, przeprowadzone w marcu, uruchomiły całą maszynę mobilizacyjną. Pododdziały 1. psp zostały postawione w stan pełnej gotowości, intensywnie ćwiczone rezerwistów. Z otwartych magazynów pobrano uzupełnienie broni oraz nowoczesne ciężkie karabiny maszynowe typu Browning i karabiny przeciwpancerne Ur, polskiej produkcji, dotychczas trzymane w tajemnicy. Druga mobilizacja kartkowa miała miejsce 24 sierpnia. Wtedy uzupełniono także stany batalionów ON.

Skrytalizował się wówczas konkretny przydział pododdziałów na poszczególne pododdziały obrony 2. BG. Odcinek zachodni (do Żegiestowa włącznie) powierzono batalionom „Żytyń” i „Limanowa”, a odcinek środkowy przydzielono 1. pułkowi strzelców podhalańskich (d-ca: płk dypl. Alfred Krajewski) i batalionowi ON „Nowy Sącz”, które wzmocniono artylerią. Wojsko obsadziło w dniach 27-30 sierpnia nakazane rejon przyszych działań i przygotowało się do walki, doskonaląc pozycje. W opróżnionych koszarach nowosądeckich formowały się dwa dalsze bataliony marszowe 1. psp oraz pododdziały 155. rezerwowego pułku piechoty¹⁹.

Na pozycje na przełęczy Huta skierowano batalion ON „Nowy Sącz”, który liczył ok. 700 żołnierzy, zgodnie z etatami batalionu ON typu IV (4 oficerów służby stałej, 15 oficerów rezerwy, 9 podoficerów zawodowych, 129 podoficerów rezerwy i 545 szeregowców). Chociaż pododdział ten był dość liczny, to jednak uzbrojenie jego było niewystarczające i pozostawiało wiele do życzenia: broń osobista przestarzała, mało broni maszynowej (9 ręcznych i 6 ciężkich karabinów maszynowych), tylko 1 moździerz, bez działek przeciwpancernych²⁰. Organizacyjnie w skład batalionu wchodziły trzy kompanie i pododdziały specjalne. Batalion był mało ruchliwy, zwłaszcza w terenie górskim, dysponując jednym samochodem ciężarowym, czterema motocyklami, pięćdziesięcioma rowerami, trzema kuchniami polowymi, dwudziestoma dziewięcioma wozami taborowymi i siedemdziesięcioma końmi pociągowymi. Koni jucznych nie było. W sumie powyższy batalion miał małą wartość bojową. A jak były przygotowane owe umocnienia dla obrony przełęczy pod koniec sierpnia, świadczy najlepiej relacja mjra Bolesława Miłka, której większy fragment warto przytoczyć:

„Miałem czasowo objąć ten batalion i przygotować obronę Huty. Po przybyciu na miejsce stwierdziłem, że batalion nie zdążył jeszcze niczego przedsięwziąć, a saperzy

budowali umocnienia stałe z drzewa z dala od szosy, w gęstym lesie, bez pola ostrzału, bez drutów kolczastych i bez przeszkód przeciwpancernych. Na razie był ukończony (o ile pamiętam) jeden schron, drugi w trakcie budowy, a na trzeci dopiero zaciągano drzewo. Zapytałem więc dowódcę saperów, kiedy ukończy budowę, zwłaszcza przy szosie, a gdy otrzymałem odpowiedź, że za kilka miesięcy – rozkazałem natychmiast przystąpić do budowy umocnień polowych, założyć druty kolczaste oraz przeszkody przeciwpancerne i dopiero po ukończeniu tych prac – o ile wojna nie wybuchnie w tym czasie – przystąpić do dalszych robót przy umocnieniach stałych. Zatelefonowałem do dowódcy pułku i otrzymałem akceptację mojego rozkazu. W ten sposób do 1 IX 1939 r. zostały jako tako wykończone umocnienia polowe, w których można było się już bronić.”²¹

To zaprowadzenie właściwej linii postępowania spowodowało, że i w dalszych dniach, bez styczności z nieprzyjacielem, żołnierze obsady wspólnie z saperami udoskonalili swoją pozycję przez wykonanie transzei, zapór i stanowisk ogniowych broni maszynowej. W ostatnich godzinach dnia 5 września wykonano na drodze szereg zawał ze świeżo ściętych i powalonych na szosę drzew i zamknięto szlabany z belek. Jako wzmocnienie przydzielono batalionowi jedno stare działo artylerii pozycyjnej (pieszej) z siedmioma żołnierzami obsługi celem zwalczania broni pancernej przeciwnika ogniem na wprost, oczywiście z zamaskowanego stanowiska (działobitni).

W otoczeniu Krzyżówki zajęło też wyznaczone pozycje kilka pododdziałów 1. psp, a to 4. kompania, która rozwinęła się w rejonie szczytu góry Runek (1082 m), aby bronić podejść ze ścieżek przez pasmo Jaworzyny. Natomiast 5. kompania obsadziła wieś Piorunkę. Pozostała część II batalionu oraz dowództwo pułku kwaterowały w Łabowej. W odwodzie pozostawał I batalion, który wraz ze 153. baterią artylerii górskiej i dwoma plutonami działek przeciwpancernych rozmieścił się w Śnietnicy nad rzeką Białą. W ten sposób obsadzono rejon głównej pozycji blokującej węzeł drogowy w Krzyżówce, a na przedpolu rozwinął się na tzw. „linii czat” III batalion 1. psp (d-ca: mjr Marian Serafiniuk) jako pierwszorzutowa osłona, mając część 7. kompanii w Muszynie, a większość jej sił w Tyliczu, zaś 8. kompanię w rejonie Wysowej, a 9. w Banicy. Kompanie te były poprzedzielane pasmami górskimi Beskidu Sądeckiego i Niskiego i nie mogły współdziałać ze sobą.²²

Do obrony samej Muszyny przewidziano tylko jeden pluton 7. kompanii (d-ca: kpt. Mieczysław Białkowski) i wzmocniony pluton placówki Straży Granicznej. W sumie było to niewiele ponad sto karabinów i kilka karabinów maszynowych. Żołnierze i funkcjonariusze tej słabej obsady zabezpieczyli w pierwszym rzędzie mosty kolejowe i drogowe oraz wschodni wylot tunelu żegiestowskiego – w obawie przed sabotażami. Swoje stanowiska okopano. Rozwinięto także regulaminowe ubezpieczenie bojowe w postaci placówek i podsłuchów. Strażnicy graniczni zajęli punkty obserwacyjne i patrolowali strefę przygraniczną (Dubne, Wojkową), używając także psów wartowniczych. Powstała więc sieć wczesnego ostrzegania. Żołnierzy batalionu „Żytyń” nie było już w Muszynie, gdyż obsadzili zachodni odcinek obrony, skupiając się w kilku węzłach oporu. Jednym z nich były stanowiska Oddziału Wydzielonego „Piwniczna” o kryptonimie „Stanisław”, który zablokował drogę prowadzącą ze Starej Lubowli w rejonie wsi Mniszek nad Popradem (rejon dzisiejszego przejścia granicznego). Pluton Straży Granicznej

inspektoratu „Rytro” zabezpieczał zachodni wylot tunelu żegiestowskiego, osłaniając prace minerskie.

Nie można więc mówić, że wybuch wojny zaskoczył 2. Brygadę Górską. Wojsko było w całości już na kilka dni przed ogłoszeniem mobilizacji powszechnej na stanowiskach, gotowe do obrony kraju. Jednak przewidziane do tego siły były zbyt słabe...

6. Siły nieprzyjacielskie

Żołnierze słowaccy już od kilku tygodni tkwili nad polską granicą, obawiając się jakiegoś ataku. Po 24 sierpnia przeprowadzono i w Słowacji mobilizację kartkową, zwiększając liczebność oddziałów. Przeciwko Polsce na odcinku Tylicz - Muszyna - Żegiestów - Piwniczna miała uderzyć dywizja piechoty o kryptonimie „Rázus”. Nie posiadała ona siły do działań zaczepnych na większą skalę, dlatego też miała tylko wspomagać wojska niemieckie, których czołówki rozpoznawczo-kwatermistrzowskie były już w Słowacji.

Główne siły niemieckie przybyły nad Poprad dopiero po wybuchu wojny, aż z Bawarii. Albowiem tam, w Garmisch-Partenkirche, formował się od 25 sierpnia związek operacyjny, który miał się tak daleko przegrupować. Była to 1. Dywizja Górską (1. DGn), związek wyborowy, złożony z młodych górali obeznanych z działaniami wysokogórkimi. Etat przewidywał 459 oficerów, 16 466 podoficerów i strzelców górskich oraz 88 urzędników wojskowych. Uzbrojenie dywizji przystosowane było do działań w górach, gdyż wiele rozkładanego sprzętu przenoszono za pomocą jucznych koni, których było aż 4545. A cała dywizja dysponowała zarówno wozami konnymi (659 sztuk), jak i dużą liczbą pojazdów mechanicznych, zwłaszcza lekkich. Posiadała więc 253 samochodów osobowych i terenowych, 529 motocykli i 6116 ciężarówek²³. Połączenie trakcji konnej i motorowej pozwalało na działania w najtrudniejszym górzystym terenie, zarówno po stromych ścieżkach, jak i po istniejących szosach.

Dywizja ta składała się z trzech pułków piechoty górskiej (98., 99. i 100 ppg), silnej grupy artylerii (79. pułku artylerii górskiej + dywizjonu ciężkiej, zmotoryzowanej artylerii górskiej + dywizjonu artylerii przeciwpancernej), batalionu zwiadu, 54. batalionu pionierów i 54. batalionu łączności. Na uzbrojeniu artyleryjskim było 48 haubic górskich 105 mm, 12 haubic polowych 149 mm i 36 działek przeciwpancernych²⁴. 1. DG (d-ca: gen. mjr Ludwig Kuehler) dysponowała więc potężną siłą bojową, która miała zostać rzucona do walki po 11 dniu formowania i przerzutu, to jest dokładnie 5 września. Po długiej jeździe transporty kolejowe – eszelony – wyładowywano na stacjach w Starej Lubowli, Lubotinie i Bardiowie. Wyższe niemieckie dowództwo ustaliło, że główne siły 1. DG uderzą na Nowy Żmigród i następnie w kierunku Gorlic oraz Jasła. Na lewym skrzydle tego związku operacyjnego, na kierunku pomocniczym przez Leluchów - Muszynę - Krynicę, miał zaatakować sam 99. ppg (d-ca: Oberst Hermann Kress). Czyli mniej więcej jedna trzecia część wymienionej dywizji miała uderzyć swoimi siłami przez Muszynę. Gdy porówna się je z garstką obrońców miasta, to otrzymamy obraz niezmierniej przewagi nieprzyjaciela, zwłaszcza w technice bojowej. Uderzenie Niemców od południa miało spowodować ogromny wyłom w polskim systemie obrony, gdyż 1. DGn znalazłaby się na głębokich tyłach Armii „Kraków” i „Karpaty”, zagrażając okrążeniem. Wojska słowackie pełniły funkcje pomocnicze.

7. Działania wojenne od 1- 4 września

O wybuchu wojny polsko-niemieckiej mieszkańcy Muszyny dowiedzieli się z apeli i dzienników informacyjnych warszawskiej radiostacji Polskiego Radia. Pogoda tego piątkowego dnia była nadal wspaniała, słoneczna. W mieście zapanowało wielkie poruszenie. Przekazywano sobie różne wiadomości, w tym wiele panikarskich o ataku Słowaków w okolicy. Dzieci szkolne były zdezorientowane, gdyż właśnie miał się rozpocząć nowy rok szkolny, a tu wybuchła wojna. Będzie nauka, czy nie? Od granicy dochodziły odgłosy pojedynczych wystrzałów. Oczy mieszkańców zwracały się na Wielką Polanę, ale tam panował spokój. Natomiast szosa Żegiestów - Muszyna w rejonie Milika była pod ostrzałem z lewego brzegu Popradu, czego doświadczyła muszyńska ekipa samorządowców, wracając z Żegiestowa. Około godziny 11:00 dał się słyszeć głuchy odgłos eksplozji podczas wysadzenia zachodniego wylotu tunelu kolejowego w Żegiestowie Zdroju. Masy obsuniętej ziemi i głazów zablokowały także szosę. Ubezpieczająca grupa funkcjonariuszy Straży Granicznej została skierowana na Halę Pisaną celem zablokowania górskich ścieżek.

Według rozkazów operacyjnych naczelnego dowództwa słowackiego, Grupa Operacyjna „Rázus” miała prowadzić tzw. aktywną obronę, to jest pozostawać na dotychczasowych umocnionych stanowiskach na południe od granicy, dokonując tylko nękających wypadów na stronę polską. Dlatego też Słowacy przedsięwzięli kilka lokalnych ataków na terenie muszyńskiej gminy. I tak w Leluchowie rozbroili słabą obsadę posterunku SG przy stacji kolejowej, patrolowali okolicę Dubnego na polskim terytorium, a w Żegiestowie siłami batalionu piechoty zajęli utracony Sulin i Czeską Łopatę oraz część wsi Żegiestów. Tam pozostali, okopali się i przygotowali do dłuższej obrony²⁶. Część zdrojowa została także opanowana na kilka godzin przez kawalerię słowacką, której towarzyszyła cała rzesza płdrujących chłopów, zabierających pozostałości wyposażenia pensjonatów i sanatorium. Większa potyczka miała miejsce na sąsiednim, prawym pododcinku obrony, w Piwnicznej, gdzie duże siły nieprzyjacielskie usiłowały przedrzeć się przez polską obronę w rejonie Mniszka nad Popradem i stacji kolejowej Piwniczna. Towarzyszące wozy pancerne zostały zatrzymane przed barykadą ogniem Oddziału Wydzielonego „Stanisław”. Wieczorem żołnierze polscy dokonali rewanżowego wypadu na stronę słowacką w okolicy Mniszka²⁷.

Podkreślić należy, że Słowacja nie wypowiedziała wcale Polsce wojny, a wszelkie jej działania zbrojne były nieformalne w myśl prawa międzynarodowego. Może dlatego Słowacy atakowali jakby „nieśmiało”, niechętnie, prowadząc tylko działania na małą skalę w oczekiwaniu na siły niemieckie. Jak napisano w licznych relacjach, żołnierze słowaccy występowali przeciwko Polakom pod przymusem, uważając ich za bratni naród, bliższy niż Niemcy.

Jednak „mała wojna” trwała nadal. W sobotę (2 IX) pluton nieprzyjacielskich samochodów pancernych wtargnął na rynek Tylicza, ale został wkrótce wyparty ogniem części 7. kompanii podhalańczyków III batalionu. W rejonie Muszyny, od Żegiestowa po Tylicz, nie było większej styczności z nieprzyjacielem. Droga i linia kolejowa wzdłuż Popradu były zablokowane, wobec tego można się było wydostać z Muszyny tylko przez Krynice - Krzyżówkę. Drogą tą ubyto wielu rezerwistów, którzy mieli późniejsze terminy stawiennictwa do wojska, np. do Ośrodka Zapasowego 2. BG w Żółkwi. Wyjechało tedy

także wiele osób, obawiających się okupacji wroga. Określano ich wówczas mianem „uciekierów”. Także niedziela (3 IX) upłynęła dość spokojnie i nic nie zakłóciło normalnego toku nabożeństw.

Mieszkańcy słuchali chciwie wiadomości radiowych. Cieszono się, że Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom, a martwiono się sukcesami wojsk niemieckich i bombardowaniami kraju, zwłaszcza stolicy. Jednak odgłosy strzałów były nadal słyszalne, albowiem ścierały się patrole w rejonie Leluchowa i Dubnego, a droga do Żegiestowa nadal była pod ostrzałem. Natomiast ciężkie walki toczyły się na innym pododcinku „sądeckiego frontu”, a mianowicie pod Kłodnem, Wysokiem, Limanową i Tymbarkiem.²⁸ Garnizon w Nowym Sączu przystąpił do bezpośredniej obrony miasta. Wróżyło to ciężkie walki w najbliższych dniach. Aby odciąć muszyńską stację kolejową od Słowacji, aby np. nie wjechał tu niemiecki pociąg pancerny, rozkręcono w nocy z 3 na 4 września szyny i rozebrano całkowicie trzy odcinki toru z Leluchowa. Progi i szyny przewieziono na stację w Muszynie. Uszkodzono także most kolejowy we Folwarku. Nastąpiła więc na tym odcinku całkowita blokada linii kolejowej. Trzeba tutaj wspomnieć o komisarzu SG z komisariatu „Jasło”, Józefie Bocheńskim, kapitanie rezerwy WP, lat 40. On to został ranny podczas inspekcji między Żegiestowem a Muszyną „od kul łemkowskiego karabinu maszynowego”. Rannego ewakuowano służbowym samochodem (kierowca: Stanisław Chojnacki) aż do szpitala polowego w Równem. Tam komisarz dostał się do niewoli radzieckiej i był internowany w obozie w Kozielsku, a następnie stracony w Katyniu. Po ekshumacji zwłok został zidentyfikowany pod nr 1047. Jego szlak wojenny wiódł więc od Muszyny do Katynia.²⁹

Pogodny dzień 4 września upłynął dla mieszkańców Muszyny w nerwowej atmosferze. Urzędy, policja przygotowywały się do ewakuacji, trwał już bowiem bój o Nowy i Stary Sącz. Na niebie, od czasu do czasu, pojawiały się samoloty nieprzyjacielskie i szybko znikwały. Ludzie, nastawieni patriotycznie, współdziałali z żołnierzami, karmili ich i poili oraz pomagali stawiać barykadę przy murze kościelnym na zakręcie, pomagali też urządzać stanowiska ogniowe. Ochotnicza Straż Pożarna, pracownicy służby zdrowia gotowi byli nieść pomoc współmieszkańcom.

Ale przed samą północą, około godz. 23, nastąpiła gwałtowna zmiana sytuacji. Otóż Słowacy dużymi siłami zajęli cały Leluchów i Dubne, najbardziej wysunięte na południe wsie muszyńskiej gminy, położone już po prawej stronie Popradu. Uzyskali w ten sposób dobrą podstawę do koncentracji wojsk niemieckich i do rozpoczęcia natarcia dużymi siłami połączonych wojsk. W tym czasie w rejonie Lubotina kończyła się koncentracja 99. niemieckiego pułku strzelców górskich (99. psg), który zgodnie z rozkazami miał od rana wyruszyć do boju. Pułk ten liczył ponad 3 000 żołnierzy, a jego etatową, organiczną broń ciężką stanowiło 108 ręcznych karabinów maszynowych, 24 ciężkie karabiny maszynowe, 18 moździerzy 81 mm, 12 działek przeciwpancernych, 9 rusznic przeciwpancernych, 6 lekkich dział piechoty 75 mm i dwa ciężkie działa 150 mm³⁰. Oprócz tego pułk na pewno otrzymał jeszcze z artylerii dywizyjnej wsparcie kilku baterii z dwunastu baterii haubic (strzelających ogniem stromotorowym), jakie posiadano.

8. Działania w dniu 5 września

I oto nadszedł brzemienny w wydarzenia piąty dzień wojny (wtorek). Słowacy pozostali przez całą noc w opanowanym przez siebie rejonie wsi Leluchów, ubezpieczeni patrolami na stokach góry Kracznik od strony Muszyny. Razem z niemieckim 99. pg mieli uderzyć jako straż przednia na polskie ugrupowanie obronne Armii „Karpaty”. Był to nader zaskakujący manewr, którego polskie dowództwo nie przewidywało, nie spodziewając się stąd nieprzyjaciela, czego dowodem było to, że nie wykonano w Leluchowie jakichś umocnień i nie obsadzono większymi siłami dogodnego do obrony terenu. Dla Niemców natomiast te bezdroża z wąską, wyboistą górską drogą Leluchów - Muszyna były wybawieniem, gdyż szosa wzdłuż Popradu była zablokowana w kilku miejscach, a zdobywanie Tylicza i forsowanie przeszkody wodnej, jaką stanowił Poprad, urządzenie przepraw, stawianie mostu było bardzo czasochłonne. W przeciwieństwie do tego przekroczenie granicznego potoku Smereczka w Leluchowie nie przedstawiało żadnego problemu. Natomiast sama droga była trudniejsza do pokonania dla zaprzęgów konnych z ciężkimi furgonami i działami, zwłaszcza przebycie wzniesienia koło leśniczówki Majdan. Uderzenie pułku miało przełamać obronę środkowego pododcinka odcinka „Nowy Sącz” i ułatwić ofensywę związków pracujących od zachodu.

Już od rana posuwało się więc ku Muszynie najpierw wojsko słowackie w sile batalionu, powoli, ale bez styczeńności ogniowej z Polakami. Stopniowo zajęto Majdan, Wapienne, Rusinów, rejon przejazdu kolejowego, zbliżając się do dworca. Część żołnierzy prawego skrzydła maszerowała w szyku luźnym przez Ćwierci i Stadło, a także przez pola u podnóża południowych stoków Malnika, zabezpieczając z tej strony główne siły. Ponieważ w rejonie stacji kolejowej nie napotkali Słowacy na opór Polaków, posuwali się wachlarzowato dalej naprzód wzdłuż ulicy Marszałka Józefa Piłsudskiego. Po opanowaniu przejazdów kolejowych wydzielili z kolei silny pododdział z bronią maszynową, który zajął stanowiska obronne u podnóża Baszty, przy początku ulicy Zazamcze (na „Majerzu”), blokując skrzyżowanie dróg do Żegiestowa oraz do Złockiego i Szczawnika.³¹ Po takim zabezpieczeniu także lewego skrzydła, główne siły batalionu nieprzyjacielskiego zajęły Rynek i przyległe ulice i posuwały się dalej ulicą Kościelną. W rejonie zakrętu przy kościele zagrodziła im drogę barykada, doraźnie wykonana w poprzek ulicy, broniona przez krótki czas przez Straż Graniczną.

Już uprzednio Polacy, w porę zaalarmowani, ściągnęli obserwatorów Straży Granicznej oraz czołowe ubezpieczenia bojowe i rozpoczęli odwrót, stosując taktykę „odskoku”. Po krótkotrwałej obronie jakiejś dogodnej rubieży wycofali się bliżej sił głównych, to jest w stronę Krynicy i Krzyżówki. Opóźniało to znacznie posuwanie się żołnierzy nieprzyjacielskich, którzy musieli walczyć o każdy odcinek drogi. Barykada przy kościele była pierwszą taką rubieżą oporu. Inni żołnierze słowaccy przystąpili w opanowanym już mieście do rozbijania sklepów, głównie żydowskich, i do wynoszenia wszelkich towarów. Towarzyszyli im chłopcy słowaccy z przygranicznych wiosek i biedota łemkowska. Aby utorować Niemcom drogę do Krynicy, przystąpiono do rozbiórki wymienionej barykady. Wtedy wybuchł granat, raniąc kilku żołnierzy (jak to opisał Frank Kmietowicz). Został on rzucony nieznaną ręką – być może była to też pułapka zastawiona przez obrońców. O ten czyn podejrzewano bezpodstawnie księży, przebywających na plebanii.³² Innych incyden-

tów nie było w Muszynie, miasto nie zaznało żadnych zniszczeń wojennych w swojej zabudowie, nie było też poległych, ani wśród obrońców, ani wśród mieszkańców.

Wojsko słowackie było awangardą głównych sił, jaką stanowili żołnierze niemieccy. Pojawili się oni w Muszynie ok. godz. 10:00 przybywając tą samą drogą z Leluchowa. Przez miasto (ul. Piłsudskiego, przez Rynek, ul. Kościelną) maszerowali ostrożnie pod ścianami domów, po lewej i prawej stronie ulicy. Nigdzie nie zatrzymywali się, spiesząc w stronę Krynicy. Żołnierze szli w hełmach, z bronią gotową do strzału, a po jezdni jechały powoli motocykle z przyczepkami, na których ustawiono karabiny maszynowe z taśmami naboju.

Od Powroźnika dochodziły odgłosy strzelaniny, gdyż Polacy nadal prowadzili działania opóźniające. Jedną z kolejnych rubieży obrony była okolica tzw. Szczawiczego, (w rejonie ujścia Kryniczanki do Muszynki), gdzie dzielny Jan Szewczyk, ukryty za kopą zboża, ogniem swojego ręcznego karabinu maszynowego powstrzymywał przez dłuższy czas marsz wojsk nieprzyjacielskich.³³ Kolejna barykada broniła się na skraju Krynicy - Wsi, a następna na wysokości krynickiego dworca kolejowego, co znacznie opóźniło zajęcie miasta, które dokonało się pod wieczór.

W tym czasie od południa, drogą z Leluchowa, maszerowały przez całe śródmieście Muszyny główne siły 99. pułku górskiego. Mieszkańcy Folwarku i Wesołówki, odcięci przez brak mostu na Popradzie, przyglądali się z ciekawością kolumnom nieprzyjacielskim, posiadającym zarówno liczne pojazdy i armaty konne, jak i pojazdy motorowe, a nawet lekkie pancerne wozy bojowe.³⁴ Przemarsz ten trwał kilka godzin i całe miasto wypełniło się mundurami w kolorze „Feldgrau”. Powstały dotychczas rozgardiasz, wywołany przez Słowaków, ukrocił już komendant miasta Hauptmann Gundel i jego podkomendni. Mianował on zaraz burmistrza w osobie Stanisława Portha i wójta dla gminy, Aleksego Milanicza. Byli oni pośrednikami między wojskiem a mieszkańcami.³⁵

Po zajęciu Muszyny, Tylicza i Krynicy czołowe pododdziały niemieckie, maszerując dalej w kierunku Krzyżówki, zaczęły zbliżać się do polskich stanowisk i umocnień. Podejście utrudniały liczne, świeżo ścięte drzewa i zapory z belek. Ale bitwa nie rozpoczęła się, ponieważ już wcześniej zapadły w dowództwie 2. Brygady decyzje co do prowadzenia dalszych działań. Sytuacja strategiczna stawała się wielce niepomyślna, bowiem Niemcy przerwali obronę linii Dunajca i przystąpili do boju o Nowy Sącz oraz wdarli się klinem na tyły Brygady dzięki zdobyciu Muszyny i Krynicy. Dlatego też na pilnie zwołanej odprawie wyższych oficerów w Grybowie o godz. 17:00, płk. dypl. A. Stawarz zarządził odwrót podległych mu oddziałów 2. BG na nową rubież oporu wzdłuż rzeki Białej³⁶. Wszystkie oddziały miały się oderwać od nieprzyjaciela i w ciągu nocy przegrupować na nowe pozycje. Rozkazy powyższe dotyczyły naturalnie także batalionu ON „Nowy Sącz”, który był rozłożony na stanowiskach na przełęczy Huta, oczekując zbliżającego się wroga. Trzeba było więc opuścić pozycje obronne, już jako tako przygotowane wspólnym wysiłkiem saperów i piechurów, i odejść bez walki, bez przysłowiowego „chrztu bojowego”, wpuszczając nieprzyjaciela bez oporu w głąb polskich ziem. Równocześnie miały się wycofać asekurujące kompanie 1. psg z Runka, Piorunki i Łabowej. Odwrót działań bardzo deprymująco na żołnierzy, zwłaszcza że wielu z nich opuszczało swoje rodzinne strony. Batalion „Nowy Sącz” maszerował przez całą

noc bocznymi, górskimi drogami do Szymbarku, gdzie tyły baonu dotarły dopiero w południe przy dużych stratach marszowych. Najdłuższą drogę do przebycia miała dotychczasowa obsada pozycji pod Piwniczną (część batalionu KOP „Żytyń” i bON „Limanowa”), maszerując przez Rytro - Stary Sącz - Zawadę - Ptaszkową - Grybów do Ropy.³⁷

Niemcy opanowali więc łatwo, bez walki, umocniony rejon Krzyżówki i kontynuowali swój marsz na północ. Pierwszorzutowy 99. pg (ten sam, który zajął Muszynę) uderzył w pełnym składzie już 6 września przed południem na nową polską linię obrony między górą Chełm (koło Grybowa) a wsią Klimkówką. Po stronie polskiej biły się tam I batalion 1. psp oraz – po krótkim odpoczynku – batalion ON „Nowy Sącz”, w którym służyło wielu muszynian.

A przez samą Muszynę i w dniach następnych przejeżdżały długie kolumny pojazdów i pododdziałów tyłowych związków XVIII niemieckiego Korpusu Armijnego. Komendant wojenny wprowadził zaraz szereg obostrzeń okupacyjnych, takich jak wyznaczenie zakładników, oddawanie broni i radioaparatów, zakaz słuchania radia, godzinę policyjną itp. Zaczęła się ciemna noc okupacji, która trwała pięć lat, cztery miesiące i siedemnaście dni. Wojna była dla Muszyny katastrofą, przerywającą na wiele lat jej rozwój jako uzdrowiska.



Stacja gołębi pocztowych Korpusu Ochrony Pogranicza

Przypisy:

1. Z. Goetel, *Kampania wrześniowa na Sądecku w 1939 roku*, Rocznik Sądecki t. 12, 1971, s. 161.
2. W. Steblik, *O koncentracji niemieckiej w Słowacji*, Wojskowy Przegląd Historyczny, t. 6, 1961, nr 2, s. 298.
3. W. Steblik, *Armia „Kraków” 1939*, Warszawa 1989, s. 19.
4. H. Dominiczak, *Granice państwa i ich obrona na przestrzeni dziejów 966 - 1966*, Warszawa 1997, s. 254.
5. Według obszernej relacji (sprawozdania) mjr Włodzimierz Kraszkiewicz, d-cy batalionu KOP „Żytyń”, Polski Instytut i Muzeum Sikorskiego Londyn, B I/61 D (odbitka kserograficzna do wglądu u pierwszego z autorów).
6. Tamże.
7. H. Dominiczak, op. cit., s. 283.
8. J. Semczyszak, *40 lat soltyśowania w Andrzejówce*, Almanach Muszyny 2000, s. 202.
9. W. Kraszkiewicz, op. cit.
10. Relacja kpt. Ignacego Jelenia, d-cy batalionu ON „Nowy Sącz”, Centralne Archiwum Wojskowe, Kampania wrześniowa nr II 3/19; J. A. Radomski, *Kampania wrześniowa na ziemi sądeckiej*, Rocznik Sądecki t. 13, 1972, s. 296.
11. K. Pindel, *Obrona terytorialna w II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1995, s. 109, 129.
12. R. Dalecki, *Armia „Karpaty” w wojnie obronnej 1939 roku*, Rzeszów 1989, s. 17.
13. F. Zarzycki, *Artyleria piecha w Wojsku Polskim II Rzeczypospolitej*, Przegląd Historyczno-Wojskowy, t. 2 (53), 2001, nr 2 (187), s. 67.
14. F. Kmietowicz, *Muszyna*, Muszyna 1997, s. 160.
15. J. Szczepański, *Uzdrowisko Muszyna w latach trzydziestych*, Almanach Muszyny 1999, s. 106.
16. R. Chrystowski, *Mistrz kowalski, społecznik, urzędnik – Stanisław Porth we wspomnieniach*, Almanach Muszyny 2000, s. 110.
17. R. Dalecki, op. cit., zał. nr 7 na s. 395.
18. S. Stojek, *Samorząd gminy w Muszynie, lata trzydzieste*, Almanach Muszyny 2000, s. 108.
19. Z. Kosior, *Armia „Karpaty” w kampanii wrześniowej*, Wojskowy Przegląd Historyczny, t. 5, 1960, nr 1, s. 75.
20. K. Pindel, op. cit., s. 135, 138.
21. Według listu do Redakcji mjr Bolesława Miłka, d-cy II batalionu 1. psp, Wojskowy Przegląd Historyczny, t. 9, 1964, nr 1, 430.
22. Według relacji mjr Mariana Serafiniuka, d-cy III batalionu 1 psp., Polski Instytut i Muzeum Sikorskiego, Londyn nr B I/64 B.
23. H. Lanz, *Gebirgsjaeger, Die I Gebirgsdivision 1939 - 1945*, Bad Nauheim 1954, s. 14-18; W. Iwanowski, *Wysilek zbrojny narodu polskiego w czasie II wojny światowej*, t. I Kampania wrześniowa, Warszawa bez roku wydania, s. 607.
24. Tamże. Oprócz tego były działa w pułkach piechoty według etatów.
25. E. Kozłowski (red.), *Wojna obronna Polski 1939*, Warszawa 1979, s. 407. Przytoczono tam słowacki rozkaz operacyjny; W. Steblik, *O koncentracji niemieckiej w Słowacji*, Wojskowy Przegląd Historyczny, t. 6, 1961, nr 2, s. 299.
26. W. Kraszkiewicz, op. cit.
27. Tamże.
28. Z. Goetel, op. cit., s. 168-170; J. A. Radomski, op. cit., s. 277.
29. Biogram kapitana Józefa Bocheńskiego vide Wojskowy Przegląd Historyczny, t. 34, 1989, nr 4, s. 267, lista ofiar katyńskich. W tekście użyto słowa „łemkowski”.
30. H. Lanz, op. cit.; E. Kozłowski (red.), op. cit., s. 204.
31. Według relacji wielu mieszkańców Muszyny.
32. F. Kmietowicz, op. cit., s. 161.
33. Tamże.
34. E. Drozd, *Szkoła na Folwarku*, Almanach Muszyny 1999, s. 61.
35. S. Stojek, *Miasto i gmina Muszyna w czasie II wojny światowej*, Almanach Muszyny 2001, s. 25.
36. Relacja mjr dypl. Zygmunta Węgorka, szefa sztabu 2. BG, Polski Instytut i Muzeum Sikorskiego, Londyn, nr B I/61 A.
37. W. Kraszkiewicz, op. cit.; M. Serafiniuk, op. cit.

Krystyna Dulak-Kulej

NA POWRÓT OJCA ŚWIĘTEGO

(na melodię Krakowiaka sądeckiego)

Wróćcie Ojce Święty nowe znaczyć casy (2x)
My Was zaprosimy w serc naszych sałasy

Oj ceko na Was Polska, Beskid cały w łąkach
Tam się Wasa młodość we dzwoneckach błąka

Choćbyście w Watykanie mieli małmazyje
Dopiero w Beskidzie dusa w Was ozyje

Wróćcie Ojce Święty do Starego miasta
Tam się sława Kingi łaskami rozrasta

Wróćcie Ojce Święty nojsłynniejsi w rodzie
My Was przewiezemy tratwą po Poprodzie

Wróćcie Ojce Święty, dyscyk się odzeni
My Was nakормiemy misecką mordeni¹

Wróćcie Ojce Święty smakuwać Muszynke
I ziemie muszyńskie w serce wziąć krusynke

Wróćcie Ojce Święty do swoich Wadowic
Tam Was oczekuje stado wiernych owiec

Oj rwą się w nos serduska do Was na audyencje
By w dziele miłości Wasze wesprzeć ręce

Wróćcie Ojce Święty w nowem tysiącleciu
By Was duch w norodzie stare cnoty wznieciui

Choćby Oni² zwiedzili nojpiykniejse kraje
Nad Popradem leżą świętych stóp wyraje

Wróćcie Ojce Święty świat niesący w dłoni
A nauce Wasy ludzkość się pokłoni

¹ **Mordenie** – słynne łomniczańskie pierogi z tartych ziemniaków i sera.

² Staropolska forma grzecznościowa – trzecia osoba liczby mnogiej.

Elżbieta Ślusarczyk

KOŚCIÓŁ GRECKOKATOLICKI W KLUCZU MUSZYŃSKIM

Klucz muszyński, z uwagi na swoją ciekawą, złożoną, czasem wręcz intrygującą historię, jest przedmiotem dociekań wielu badaczy. Ogromnie interesująco przedstawiały się w nim sprawy wyznaniowe, które miały szczególny, niespotykany gdzie indziej charakter. Ten zakątek polskiej ziemi był w przeszłości w kwestii wyznaniowej ewenementem. Muszyna, siedziba starosty – zarządcy dóbr i centrum administracyjne klucza, była miastem, gdzie znajdowała się parafia rzymskokatolicka. Natomiast wszystkie okoliczne wsie miały parafie obrządku wschodniego. Nigdzie w Polsce, poza Muszyną, nie spotykamy podobnego zjawiska. Funkcjonowanie tak dziwnego organizmu, jakim był region muszyński, należy przypisać zarówno trosce biskupów – jego właścicieli, jak i tolerancji wyznaniowej, z której Rzeczpospolita znana była w Europie.

Wyjaśnijmy pojęcie „klucz”. Otóż dobra ziemskie w ówczesnej Polsce dzieliły się na królewskie, kościelne, szlacheckie (rycerskie) i dobra miejskie. W przypadku własności ziemskich kościelnych istniał dalszy podział na: posiadłości biskupie, klasztorne i pozostałe dobra. Posiadłości biskupie były zorganizowane w gospodarcze jednostki administracyjne, zwane kluczami. Jedne były rozległe, jak muszyński, inne złożone z zaledwie kilku wsi. Dowodem istnienia podziału na klucze jest zachowany *Inwentarz dóbr biskupów krakowskich* z 1668 r., gdzie wyszczególnione są wszystkie posiadłości biskupów w układzie kluczy¹.

Wypada nadmienić, że w stosunku do Muszyny i okolic spotyka się również określenie „państwo muszyńskie”. Nazwa wywodzi się od sposobu zarządzania terytorium, które było jakby osobnym państwem w państwie polskim, ponieważ biskupi krakowscy – właściciele obszaru – od początków zorganizowania klucza wydawali wszelkie ordynacje (czyli zbiory ustaw), a także sami mianowali administratorów dóbr, niezależnych od władzy starostów królewskich. Funkcjonowały także nazwy: „starostwo muszyńskie” – od funkcji zarządzającego, lub „kres muszyński” – od geograficznego położenia, tj. na końcu południowo-wschodniej Sądecczyzny, czyli na kresie².

Przyjmuje się, że rok 1391 był początkiem organizacji klucza muszyńskiego, którego terytorium rozciągało się od doliny Wierchomli na zachodzie po rzekę Ropę na wschodzie, oraz od wzniesienia Jaworzyny na północy – po rzekę Poprad na południu. W zasadzie przez cały okres swego istnienia jego granice miały charakter stały. W skład klucza wchodziły wówczas miejscowości wyliczone w dokumencie Władysława Jagiełły z 30 lipca 1391 roku, przekazującym prawo do tych terenów Janowi z Radlicy, ówczesnemu biskupowi krakowskiemu³. Dalsza organizacja klucza muszyńskiego postępowała w miarę kolonizowania tej ziemi i wzrostu liczby mieszkańców.

Nie wiadomo, jakie wsie wchodziły w skład klucza w XV i XVI wieku, gdyż źródła dotyczące Muszyny nie zawierają takich danych. Franciszek Piekosiński w dziele pt. *Akta Sądu Kryminalnego Kresu Muszyńskiego* wspomina, że Długosz w *Liber beneficiorum*

dioecesis Cracoviensis „... pominął zupełnie posiadłości stołu biskupiego ...”⁴. Jerzy Czajkowski, pisząc o osadnictwie na Podkarpaciu, podaje liczbę wsi klucza muszyńskiego; i tak w 1581 roku było ich 12, a w 1620 roku już aż 28⁵. Henryk Stamiński natomiast, powołując się na Pawińskiego, podaje, że w 1581 r. państwo muszyńskie obejmowało 1 miasto i 12 wsi, a następnie dodaje: „... prawdopodobnie było ich więcej ...”⁶. Z najstarszych zachowanych, a przechowywanych w Archiwum Kapituły Krakowskiej, inwentarzy dla klucza muszyńskiego, pochodzących z lat 1645 i 1668, dopiero ten z roku 1668 obejmuje całość dóbr muszyńskich i wymienia 2 miasta oraz 35 wsi.

W okresie przekazania (w roku 1391) Muszyny i okolicznych, nielicznych wtedy, osad biskupowi krakowskiemu, w istniejących wówczas miejscowościach panował obrządek łaciński. Przykładem może być Andrzejówka, założona przywilejem królewskim w 1352 roku. Wiemy także, że istniała tam parafia katolicka, która w okresie osadnictwa wołoskiego uległa procesowi rusyfikacji⁷. W Andrzejówce zmieniono wtedy nie tylko prawo (z niemieckiego, zwanego też magdeburskim, na wołoskie), ale i organizację kościelną, skoro już w roku 1575 wzniesiono tam cerkiew „ruską”⁸. Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku wsi Brunary, które założone pierwotnie przywilejem królewskim otrzymały: „... kościołowi św., który tamże zbudowany będzie, przydajemy rolę jedną ...”⁹. Po powtórnej lokacji w okresie kolonizacji wołoskiej, we wsi istniała parafia unicka. Do wsi lokowanych dwukrotnie, w XIV stuleciu przywilejem królewskim na prawie niemieckim, a następnie w XVI wieku za sprawą biskupów krakowskich na prawie wołoskim, oprócz Andrzejówki i Brunar, należą także: Jaszkowa, Szczawnik, Milik i najprawdopodobniej Powroźnik, dla którego brak danych o lokacji królewskiej.

Początki parafii greckokatolickich na interesującym nas terytorium należy ściśle wiązać z jednej strony z kolonizacją wołoską, zapoczątkowaną w XV wieku i zintensyfikowaną w wieku XVI, a z drugiej strony z zawartą w 1596 roku unią kościelną i powołaniem do życia Kościoła greckokatolickiego, zwanego także unickim.

Geneza tego Kościoła sięga jednak daleko wstecz, bo już od czasów unii w Krewie (1385 r.) snuto w Polsce plany połączenia zwaśnionych Kościołów. W granicach Polski, połączonej unią personalną z Litwą, znalazły się bowiem dwie różne religie. Po unii lubelskiej (1569 r.) stała się Rzeczypospolita państwem wielonarodowościowym i jednocześnie wielowyznaniowym. W Koronie dominowała religia rzymskokatolicka, natomiast w Wielkim Księstwie Litewskim – w większości prawosławie. Pertraktacje w sprawie zjednoczenia Kościołów trwały długo, a ostatecznie zakończyły się zawarciem unii Kościoła prawosławnego i łacińskiego, ogłoszonej na specjalnie zwołanym synodzie w Brześciu, w październiku 1596 roku. Od czasu unii brzeskiej w Polsce zaczął funkcjonować nowy Kościół, nazwany greckokatolickim, gdyż zawarto w nim dogmatykę rzymskokatolicką, wschodni obrządek oraz słowiański język liturgiczny. Wierni tego Kościoła to grekokatolicy (unicy).

W państwie muszyńskim sprawy wyznaniowe miały, ze względu na przynależność tych ziem do biskupstwa krakowskiego, szczególny i, jak wyżej wspomniano, niespotykany gdzie indziej charakter. Wiek XIV to kolonizacja rejonu muszyńskiego przez ludność polską, która, zakładając osady, organizowała swoje parafie rzymskokatolickie. W następnym stuleciu zaczęły docierać tu, w poszukiwaniu pastwisk, wędrownie gromady

wołoskich pasterzy, pociągając za sobą inne grupy etniczne, chociaż pojedyncze przypadki takich grup można zauważyć już w XIV wieku. Przesuwające się masy wędrowców porywały za sobą także ruskich chłopów. Prawdziwa jednak, główna fala tej pasterskiej migracji przypadła na wiek XVI; jednocześnie nastąpiła zmiana charakteru osadnictwa, gdyż przewaga liczebna elementu ruskiego wytworzyła kolonizację mieszaną: wołosko-ruską. Przy czym warto dodać, że pod pojęciem „osadnictwo wołoskie” należy rozumieć nie element etniczny, a formę organizacyjną. W wyniku asymilacji Wołochów z Rusinami wytworzyła się nowa grupa ludności, istotnie się pod względem etnicznym i etnograficznym różniąca się od zbiorowości polskiej. Ta rusnacka grupa etnograficzna została z czasem nazwana (dopiero pod koniec XIX wieku) Łemkami, a teren przez nią zamieszany Łemkowszczyzną, która obejmowała środkową część Karpat.

Wołoski etap kolonizacji Beskidu Sądeckiego, a więc i interesującego nas klucza muzyńskiego, zawdzięczamy przede wszystkim biskupom krakowskim, którym zależało na rozwoju gospodarczym terenów będących ich własnością, a omijanych przez wcześniejsze fale osadnictwa z uwagi na trudne warunki geograficzne, rolnicze i klimatyczne. Biskupi proponowali wspólnotom pasterskim zamianę trybu życia z wędrownego (koczowniczego) na osiadły, oferując korzystne warunki osadnicze i zapewniając przybylszom pełną możliwość, przynajmniej na początku, utrzymania ich dotychczasowego obrządku religijnego, wykształconego na wzorcach greckich. Ludność napływająca w okresie XVI stulecia na tereny muzyńskie była, niezależnie od pochodzenia, wyznania prawosławnego, co nie przeszkadzało właścicielom dóbr, przeciwnie – sprzyjali oni przybylszom, by związać ich z ziemią. Takie postępowanie sprawiło, że w ślad za osadnictwem rusko-wołoskim następowało zakładanie i uposażanie parafii Kościoła wschodniego oraz budowanie cerkwi. Potwierdzeniem są zapisy w aktach lokacyjnych, w których dla zasadzcy przyznawano najczęściej 1 łan ziemi, przeznaczony pod budowę cerkwi i jako uposażenie popa. Warto nadmienić, że łan ziemi to 30-43 morgów ziemi ornej, co w przeliczeniu na obecne jednostki wynosi 16,8-24 ha, przyjmując, że 1 morga to 5600 m².

Sytuacja taka miała miejsce we wsiach nowo lokowanych. Natomiast w przypadku osadzania się przybylszy we wsiach polskich, opuszczonych lub częściowo zasiedlonych, z czasem, przewyższając liczebnie „starych” mieszkańców, stawali się oni gospodarzami wsi i przejmowali istniejące budynki kościołów łacińskich do sprawowania swoich obrzędów religijnych. Potwierdzeniem ostatniej tezy jest przykład wsi Andrzejówka.

Fundatorami parafii ruskich, z racji własności ziemskiej, byli biskupi krakowscy, co wytworzyło wyjątkowe zjawisko, niespotykane poza rejonem muzyńskim, a już wtedy noszące znamiona ekumenizmu. Na terenie klucza parafie były najczęściej jednowioskowe. Należy przypuszczać, że na taką sytuację wpływ miały warunki geograficzne, charakteryzujące interesujący nas obszar. Górski, pokryty gęstymi lasami teren utrudniał komunikację. Zapewne czynnikami decydującymi były także: oddalenie jednej wsi od drugiej i panujący tu ostry klimat. Nie bez znaczenia był fakt, że istnienie cerkwi we wsi przynosiło jej właścicielowi korzyści materialne. Te, a może i jeszcze inne czynniki sprawiły, że w zasadzie w każdej wiosce była cerkiew, jeśli nie parafialna, to filialna.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że w stosunku do osoby sprawującej posługę duchownego w cerkwi używano kilku określeń, gdyż oprócz zwyczajowo przyjętej: pop,

funkcjonowały także: paroch, prezbiter, swiaszczenik. Jak wspomniano wyżej, uposażeniem popa był najczęściej 1 łan, a czasem jego uposażenie powiększało się o dodatkowe łany, jak w przypadku Muszynki, lub o pozwolenie na przykład na młyn (Krynica, Śnietnica). Zgodnie z obyczajem duchownych łańskich, pop otrzymywał dziesięcinę. W przypadku dóbr muszyńskich spotykamy różny wymiar (a może tylko zapis) tej powinności wiernych wobec popa. Raz jest to kopa, w innym przypadku gbel.

Biskupom zależało na szerzeniu i utrwalaniu unii w swoich dobrach, dlatego wydawali stosowne zarządzenia i przywileje. Z czasów biskupa Marcina Szyszkowskiego (1616 - 1640), który miał największe zasługi w działaniach na rzecz unitów, pochodzi szereg zapisów podnoszących rangę duchownych ruskich, przyłączających się do unii, oraz zachęających pozostałych, trwających przy prawosławiu, do zmiany obrządku. W osiągnięciu tych zamierzeń biskup zastosował ulgi podatkowe dla duchownych unickich, wyłączył ich w sprawach karnych spod jurysdykcji sądowej starostów muszyńskich, w sprawach cywilnych natomiast dawał prawo apelacji do trybunału biskupiego. Zapewniając nietykalność osobistą przed wyrokiem i nakazując staroście muszyńskiemu stosować wobec popów unickich pisemną formę pozwania do stawienictwa, przyrównał ich do ludzi z wyżyn społecznych, zwiększając tym samym ich poszanowanie u wiernych.

Następcy biskupa Szyszkowskiego starali się również, by dzieło zjednoczeniowe Kościołów było trwałe. Biskup Andrzej Lipski w 1631 roku, potwierdzając przywileje nadane duchowieństwu unickiemu przez swego poprzednika, żądał od nich potwierdzenia trwania w posłuszeństwie wobec władzy przemyskiego, zwierzchnika unii. Biskup Jakub Zadzik kontynuował dzieło swoich poprzedników i w 1636 roku zwolnił dodatkowo popów unickich od płacenia składki na pobór żołnierza i od wszelkich szarwarków. Zadzik zasiadał wprawdzie krótko na biskupiej stolicy (1635 - 1642), ale dał się poznać wydanymi ordynacjami jako dobry gospodarz. Szczególną wagę przywiązywał do spraw religii, do których podchodził „... namiętnie i z dużą dozą nietolerancji ...”¹⁰.

Trosce i opiece nad unitami w kluczu służyło powołanie przez biskupa Andrzeja Trzebieckiego osobnego oficjała unickiego dla okolic Muszyny, a został nim w 1659 roku Andreas Mieyski. Powodem decyzji był fakt, że ludność wołosko-ruska, zamieszkała w prawosławnej diecezji przemyskiej, w tym w kluczu muszyńskim, z chwilą zawarcia unii brzeskiej i utworzenia w Rzeczypospolitej Kościoła greckokatolickiego, a jednocześnie nieprzystąpienia diecezji do unii, podzieliła się na prawosławnych i unitów. Ponieważ ci ostatni pozostali bez diecezjalnego zwierzchnictwa, biskupi krakowscy, z racji przynależności terenów muszyńskich do ich dóbr, przejęli opiekę nad grekokatolikami.

Na temat funkcjonowania Kościoła greckokatolickiego w kluczu muszyńskim wiele informacji dostarczają najstarsze zachowane ordynacje i inwentarze klucza pochodzące z XVII wieku. W jednej z ordynacji, datowanej na rok 1636, biskup nakazał swym poddanym, by uczęszczali do cerkwi na nabożeństwa, a uchylających się przed tym zarządzeniem zobowiązał do płacenia na utrzymanie cerkwi 6 groszy. Natomiast ordynacja, wydana w 1647 roku przez biskupa krakowskiego Piotra Gembickiego dla starosty Wojciecha Bedlińskiego, zalecała: „Odszczepieńców, to jest schizmatyków w państwie tym naszym być nie ma, ale wiary i nabożeństwa katolickiego Kościoła Powszechnego według jedności, której Ruś greckiego nabożeństwa zachować ma i inaczej

nie wierzyć tylko jako prezbiterowie ich w niej nauczają żyjąc pod jednością Kościoła Rzymskiego.”¹¹.

W dziele utrzymania swych poddanych przy obrządku Kościoła unickiego biskupi bądź zwiększali uposażenia biedniejszych parafii unickich, bądź je łączyli. Temu samemu celowi przyświecało zmniejszanie lub całkowite znoszenie obciążeń podatkowych duchownych unickich. Biskup Marcin Szyszkowski wydał w 1626 roku ordynację dla popów grekokatolickich klucza muszyńskiego, w której wyraźnie wskazuje na swój stosunek do unii: „Słuszna rzecz się znajduje, aby i popi ruscy w państwie naszym muszyńskim, którzy są już przyłączeni do Kościoła Rzymskiego i posłuszeństwo oddawają władcy przemyskiemu, większe nad inszych poddanych ludzi świeckich w tamtymże kluczu wolności mieli. – Przeto dajemy im te wolności ...”¹².

Warto dodać, że biskupi krakowscy wykazywali wielką troskę i dbałość o edukację swoich poddanych. W miastach wprowadzili obowiązek szkolny, a nie zapominając o mieszkańcach wsi i troszcząc się o ich należyte uczestnictwo w życiu religijnym, wydali zarządzenie, w którym znalazł się taki zapis: „Dziatki swoje, jako mieszczankowie obojga miasteczek, tak i poddani ze wsiów, do szkół na naukę dawać mają, aby się w naukach nabożeństwa ćwiczyli i pacierza uczeli, tak jak przy kościołach katolickich, jako i przy cerkwiach ruskich ...”¹³. W kluczu muszyńskim było kilka szkół cerkiewnych, a według danych z 1765 r. były one na pewno w Powroźniku, Miliku, Dubnem, Muszynie, Zubrzyku, Mochnacze, Szczawniku i Złockiem. Później założono je także w Wierchomli i w Krynicy.

Nad sprawami wyznaniowymi w kluczu muszyńskim czuwał mianowany przez biskupów starosta, który w tej kwestii otrzymał szerokie kompetencje nadane w ordynacji. Miał czuwać nad jednością religii katolickiej, a w szczególności dbać o utrzymanie i rozszerzanie obrządku rzymskokatolickiego. Wobec innowierców, zwłaszcza schizmatyków, mógł postąpić z całą surowością prawa, gdyż biskup nakazywał zgodnie z wydaną ordynacją: „Tak sprawować się mają i żyć według P. Boga, inaczej jako z schizmatykami, czarownikami według ordynacyjnej antecesorów naszych postąpićby nam przyszło takowych gardłem karząc i dobra ich konfiskując.”¹⁴.

Zapisy powyższe w pełni oddają zainteresowanie biskupów sprawami wyznaniowymi w kluczu muszyńskim oraz ich stosunek do prawosławnych. Troską biskupów było nie tylko nakłanianie ludności prawosławnej do przyjęcia unii, ale i obrona przed ponownym nawrotem do schizmy. Jan Krzemieniecki, pisząc o zarządzeniach krakowskich biskupów wydawanych dla klucza muszyńskiego w XVII wieku, stwierdził, że były one „... dobrze przemyślane i przygotowane, a dokonane w trosce, tak o duchownych, jak i o wiernych unickich”.

Przeważająca ilość cerkwi i parafii grekokatolickich w kluczu muszyńskim powstała w XVII wieku. Trudno jednak wypowiadać się co do ilości tych parafii na początku tego wieku. Stamirski wskazuje jako minimum cyfrę 4, biorąc za podstawę liczbę opodatkowanych popów. Wyżej wspomniany przywilej biskupa Szyszkowskiego z 1626 roku wymienia w kluczu 15 cerkwi unickich: „w Krenicy, Bereście, we Florynce, w Brunarach, Śnietnicy, w Staniszy, w Czyrnej, w Banicy, w Izbach, w Mochnacki [s], w Muszynie, w Dubnej, w Wójkowej, w Andrzejówce, w Złocki [s]”.¹⁵ Kumor wyraził wątpliwości co

do tej cyfry stwierdzając, że dokument biskupa nie wymienił wszystkich istniejących wówczas w kluczu, ponieważ pominął cerkwie w Miliku, Żegiestowie i Muszynie. Według inwentarza z 1732 roku w kluczu muszyńskim istniało wówczas 27 parafii greckokatolickich. Jedno jest pewne, cerkwie unickie znajdowały się prawie w każdej wsi klucza, a fundatorami parochii byli biskupi krakowscy. Z całą pewnością wiek XVII pod względem wyznaniowym w kluczu muszyńskim pełen był ciekawych i złożonych zjawisk. Były to czasy trudne, nieraz wymagające stosowania drastycznych zarządzeń administracyjnych lub kościelnych.

Brak bliższych danych na temat ilości wiernych w poszczególnych wsiach w rejonie muszyńskim, chociaż problem obejmuje całą Łemkowszczyznę, gdyż nie zachowały się żadne źródła mogące w sposób bezpośredni posłużyć do tego typu statystyki. Metryki kościelne (rejestrujące liczbę ludności) w przypadku grekokatolików zostały wprowadzone dopiero w ostatnim dwudziestolecu XVIII wieku, dlatego jest to najwcześniejszy z możliwych przekrój czasowy, dla którego można dokonać wiarygodnych szacunków demograficznych. Z okresu wcześniejszego do obliczeń liczby ludności posłużyć mogą źródła pośrednie, w tym rejestry podatkowe, ale uzyskane w ten sposób dane będą tylko przybliżone. Szacunkowe zaludnienie klucza muszyńskiego w XVI oraz XVII wieku, podane przez Bębyńka, opiera się na obliczeniach będących wypadkową liczby kmieci w danej wsi i średnią liczby osób przypadającą na rodzinę. Wiadomo, że wyliczenie to nie będzie oddawało stanu rzeczywistego ze względu na niemiarodajność „średniej” w kmieci rodzinie oraz fakt, że we wsiach mieszkali również komornicy i zagrodnicy.

Zarys dziejów Kościoła greckokatolickiego w kluczu muszyńskim prześledzić można na podstawie dostępnych materiałów z dziejów parafii i cerkwi unickich klucza muszyńskiego, w skład którego wchodziło 35 wsi i 2 miasta. W niniejszym artykule zajmiemy się niektórymi miejscowościami, należącymi do obecnej gminy Muszyna, bądź najciekawszymi z punktu widzenia historii i turystyki. O pozostałych napiszemy w kolejnym roczniku *Almanachu Muszyny*. Zainteresowanych pogłębieniem wiedzy historycznej o regionie muszyńskim odsyłamy do innych pozycji, wymienionych na końcu opracowania, omawiających dzieje Muszyny i okolic.

Andrzejówka – wieś leżąca nad graniczną rzeką Poprad, założona za zezwoleniem Kazimierza Wielkiego na prawie niemieckim w 1352 roku, przez bliżej nieznanych Macieja i Michała. Powtórna lokacja osady nastąpiła prawdopodobnie przed rokiem 1575, bowiem wówczas założono sąsiednią wieś – Milik, a jej zasadzca pochodził z Andrzejówki. Parafię obrządku wschodniego w Andrzejówce datuje się na wiek XVI, w związku z przejściem przez nowych osadników istniejącego już wcześniej we wsi obiektu sakralnego, należącego do parafii łańciskiej. Świątynia w Andrzejówce jako cerkiew unicka zostaje wymieniona w dokumencie biskupa Marcina Szyszkowskiego z dnia 5 II 1626 roku. Fundacja parafii greckokatolickiej nastąpiła jednak znacznie później, bo jak podaje Bolesław Kumor – przed rokiem 1741¹⁶. Wiadomo, że w 1668 roku pop miał 1 łan, jako swoje uposażenie, a otrzymywał również z każdego kmiecego łanu 1 gbel owsa i żyta. W czasach funkcjonowania „państwa muszyńskiego” Andrzejówka była odrębną parafią, a przez pewien okres należała do niej cerkiew milicka. Dziś sytuacja jest odwrotna: parafii w Miliku podlega dawna cerkiew w Andrzejówce.

Cerkwie Ziemi Muszyńskiej



Żegiestów



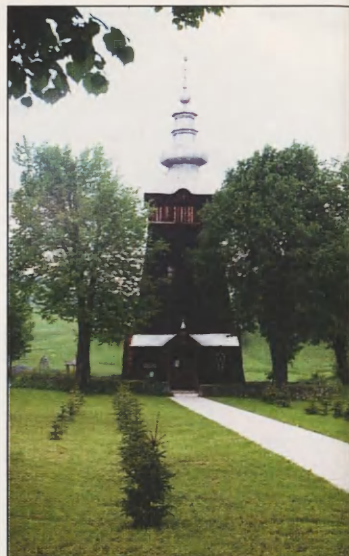
Dubne



Anrzejówka



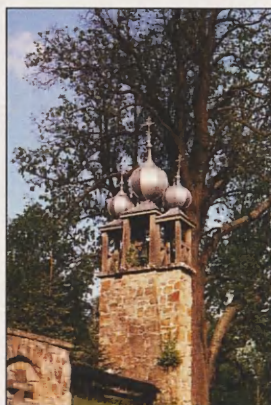
Wojkowa



Szczawnik



Mitlik



Tylicz



Leluchów

Dubne, wieś założona obyczajem wołoskim, nad potokiem o tej samej nazwie, przez Michała z Leluchowa, na mocy przywileju biskupa Bernarda Maciejowskiego z dnia 5 II 1603 r. Cerkiew istniała we wsi już w pierwszej połowie XVII wieku, bo wzmiankę o niej znajdujemy w dokumencie biskupa Szyszkowskiego, nadającym przywileje duchowieństwu unickiemu. Wśród 15 wymienionych tam wsi, posiadających cerkwie, jest właśnie Dubne, co jest o tyle ciekawe, że Dubne, założone później niż sąsiedni Leluchów, parochię unicką zyskało wcześniej. Z późniejszych zapisów wiemy, że w 1668 roku do popa należało $1\frac{1}{2}$ łanu, a ponadto otrzymywał on dziesięcinę snopową po kopie owsa z kmiecego łanu.

Jastrzębik został założony za sprawą biskupa Myszkowskiego, który 22 XII 1577 r. wystawił w Krakowie przywilej lokacyjny, zezwalający Piotrowi Teliszczakowi z Krynicy osadzić na surowym korzeniu wieś nad potokiem. Brak wzmianek w literaturze na temat istnienia cerkwi w Jastrzębiku na początku XVII wieku. Nie wymienia jej przywilej dla duchowieństwa unickiego z roku 1626. Dopiero dokument biskupa Zadzika ze stycznia 1637 roku przeznacza wieś Jastrzębik, a także Wojkową, do nowo fundowanej parafii w Powroźniku. Natomiast w 1651 roku biskup Gembicki cerkiewny grunt w Jastrzębiku, nieprawnie będący w posiadaniu tamtejszych sołtysów, przyłączył dożywotnio prezbiterowi powroźnickiemu, przychylając się do jego prośby. Jednak po śmierci prezbitera grunt ten miał stanowić uposażenie jastrzębickich „swiaszczenników”. Cerkiew w Jastrzębiku – jako parafialna – istniała do 1791 roku.



Cerkiew w Jastrzębiku

(rys. Grażyna Petryszak)

Krynica lokowana została 8 I 1547 r. przez biskupa Maciejowskiego. Trudno ustalić rok powstania popostwa w Krynicy; prawdopodobnie wraz z lokacją wsi erygowano cerkiew. Pierwotne uposażenie popa okazało się niewystarczające, skoro w 1581 roku

Michał (ówczesny krynicki pop) otrzymał pozwolenie na kupno i przyłączenie do swego popostwa roli Tomka Łuczkiwicz. Niektórzy przesuwają ten fakt na rok 1664, ale wiadomo, że 10 V 1664 r. biskup Andrzej Trzebicki przychylił się do prośby prezbitera Stefana i zezwolił na zbudowanie młyna o dwóch kołach: jednym do mielenia zboża, a drugim służącym jako stępa sukienna, czyli folusz. Przywilej na posiadanie młyna został następnie potwierdzony w 1711 roku przez biskupa Kazimierza Łubieńskiego. Pewne jest, że w roku 1668 do popa należał 1 łan, a ponadto otrzymywał on od krynickich kmieci, których było wówczas 59, dziesięcinę snopową po 1/2 kopy żyta i owsa.

Żałożenie parafii unickiej w Krynicy Kumor datuje dopiero na rok 1651; potwierdza to również inny autor dodając, że uposażenia parafii dokonał biskup Andrzej Trzebicki w 1664 roku. Jednak było to tylko doposażenie, ponieważ na wcześniejsze istnienie parafii unickiej w Krynicy wskazuje wymienienie jej w przywileju dla duchowieństwa greckokatolickiego, udzielonego przez biskupa Szyszkowskiego w 1626 roku.

Dokładna data lokacji **Leluchowa**, wsi leżącej w ściśniętej, górskiej dolinie nad potokiem Smereczek, nie jest znana. Przywilej bpa Piotra Myszkowskiego z 12 II 1583 r. wydany dla Iwana, syna Łukasza Ludka (dawnego sołtysa leluchowskiego), jest dokumentem odnawiającym spalony wcześniejszy przywilej założenia sołectwa w Leluchowie. Fundację parafii w Leluchowie Kumor datuje na rok 1722. W 1771 roku przyłączono do niej tzw. „Sandalikowską rolę”. W ordynacji biskupa Szyszkowskiego z 1626 roku nie ma wzmianki ani o popie, ani o cerkwi w Leluchowie. Budzi to zastanowienie, tym bardziej, że w ordynacji wzmiankowana jest cerkiew w Dubnem – wsi sąsiedniej, lokowanej jednak znacznie później niż Leluchów. Według inwentarza z roku 1668 do popa z Leluchowa należał 1 łan, a oprócz roli uposażenia popa stanowiła dziesięcina: po kopie owsa z każdego kmiecego łanu. Albo rzeczywiście przed rokiem 1626 nie było w Leluchowie cerkwi, albo nie była ona jeszcze unicka i dlatego nie uzyskała w roku 1626 od biskupa przywilejów.

Milik – wieś nad potokiem o tej samej nazwie, założona na surowym korzeniu przez Teodora – sołtysa z Andrzejówki na mocy przywileju biskupa Franciszka Krasieńskiego, wydanego 26 VII 1575 r. Jednak w dokumencie Władysława Jagiełły z 1391 roku wymieniona jest miejscowość pod nazwą Mikowa, a ślad po niej stanowi zapis w inwentarzu dóbr muszyńskich z 1645 roku, gdzie „pole Mikowo, równina nad Popradem” należy do folwarku w Muszynie. Zatem przywilej biskupa Krasieńskiego byłby lokacją wtórną Milika. Za przesunięciem do XIV wieku (lub początku XV) daty założenia osady skłania także zapis w Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego, w którym autorzy – powołując się na Sz. Morawskiego i J. Długosza – podają, że w XV wieku między Milikiem a Szczawnikiem wydobywano rudę złota, z czym wiąże się powstanie osady Złockie. Wraz z przywilejem założenia wsi Milik, sołtys Teodor otrzymał pozwolenie na przekazanie 3/4 części trzeciego swego łanu dla ruskiego „świaszczenika”. Brak źródeł mówiących jednoznacznie o czasie fundacji parafii milickiej. Prawdopodobnie początkowo mieszkańcy Milika należeli do sąsiedniej parafii, czyli do Andrzejówki, a dopiero w XVIII wieku erygowano w Miliku samodzielną organizację kościelną, chociaż niektóre źródła podają informację o wyodrębnieniu się milickiej parafii już w XVII stuleciu. Cerkiew pw. św. Kosmy i Damiana powstała w 1639 roku, chociaż Kumor datuje ją na rok 1575. Za pierwszą datą przemawia fakt, że cerkwi w Miliku nie wymieniono w dokumencie biskupa Szyszkowskiego z 5 II 1626 r.

Pomiędzy prezbiterem Konstantym Miejskim a sołtysami wsi Milik (we wsiach było często po 2, a nawet 3 sołtysów) doszło w pierwszej połowie XVIII wieku do sporu o grunty cerkiewne, który rozstrzygnął biskup krakowski Kajetan Ignacy Sołtyk w 1770 roku na korzyść parocha oraz jego następców, przyznając obszar poświętny większy, niż cerkwi przysługiwało przed sporem.

Przywilej na osadzenie na prawie magdeburskim Małej Muszyny, czyli **Muszynki**, wydał Kazimierz Wielki 19 VII 1356 r. Parafia unicka w Muszynie została uposażona w roku 1636, w czasach biskupa Jakuba Zadzika (1635 - 1642), który miał szczególne baczenie na życie religijne w kluczu muszyńskim. Prawdopodobnie pierwotnym uposażeniem cerkwi był 1 łan, podobnie jak w pozostałych wsiach klucza. Ponadto tytułem dziesięciny pop otrzymywał od każdego kmiecia po pół gbla żyta. Jak wynika z zapisów w aktach wizytacyjnych parafii greckokatolickich z 1780 roku, uposażenie parafii w Muszynie stanowiło już 2 i $\frac{1}{2}$ łana, co można przypisać nie tyle szczodrości biskupa, co nieurodzajnej ziemi, którą określano jako „kamienistą” i „uprawnianą z wielkim mozołem”¹⁷.

Powroźnik, wieś nad potokiem Muszynka, założona na mocy przywileju wystawionego przez biskupa Filipa Padniewskiego. Osoba nie budzi wątpliwości, a jedynie rozbieżności w kwestii datowania dokumentu lokacyjnego. Kumor podaje 9 V 1562 r., natomiast Czajkowski twierdzi, że chodzi o datę 3 III 1565 r. Wydanie przywileju przez biskupa Padniewskiego budzi zastrzeżenia niektórych badaczy, zwłaszcza w kontekście dokumentu Władysława Jagiełły pochodzącego z 1391 roku, w którym wśród innych nazw wsi wymieniony jest Powroźnik. Prawdopodobnie w XVI wieku wieś była lokowana powtórnie. Wiadomo, że cerkiew w Powroźniku istniała już od 1604 roku, co potwierdzają wyniki badań historyków sztuki. Świadczy o tym także przywilej biskupa Szyszkowskiego wydany w 1626 roku, gdzie powroźnicka cerkiew jest wymieniona. Parafia jednak powstała znacznie później, bo dopiero 13 I 1637 r. biskup Jakub Zadzik przyłączył do istniejącej cerkwi (na prośbę Andrzeja Miejskiego, ówczesnego prezbitera powroźnickiego) łan ziemi i fundował w Powroźniku popostwo, a jednocześnie zwolnił prezbitera od wszelkich powinności z przyłączonego gruntu. Uczynił także z Powroźnika farę dla dwóch sąsiednich wsi: Wojkowej i Jastrzębika. Następcy biskupa Zadzika również dbali o powroźnicką parochię. Biskup Gembicki w 1644 roku zezwolił prezbiterowi na zbudowanie młyna, a biskup Trzebicki w 1663 roku potwierdził przywilej na młyn, ponadto nadał prawo pobierania należności od robocizny z Wojkowej. Powroźnik był dużą wsią, funkcjonowała tu nawet huta szkła. Ciekawsze jest jednak istnienie we wsi szkoły cerkiewnej, założonej przez biskupa Zadzika przywilejem z dnia 13 II 1638 r., której zadaniem było uczyć dzieci sołtysa i poddanych „... polskiego pisma, pacierza i obrzędów cerkiewnych.”¹⁸.

Szczawnik należy do jednej z pierwszych wsi lokowanych w ramach akcji osadniczej za sprawą biskupów krakowskich. Dokonał tego w 1516 roku biskup Jan Konarski, chociaż mając na uwadze zaistnienie nazwy wsi w dokumencie z 1391 roku, należy przypuszczać, że była to lokacja wtórna. Trudno określić datę fundacji parafii w Szczawniku. Kumor w swoim opracowaniu sieci parafialnej dekanatu muszyńskiego podaje rok 1610, ale nie potwierdza istnienia parafii lub cerkwi unickiej w tym okresie przywilej dla popów greckokatolickich, wydany w 1626 roku przez biskupa Szyszkowskiego. Kumor w przypadku lokowania Szczawnika podaje rok 1576, podczas gdy większość badaczy wymie-

nia rok 1516.¹⁹ Wiadomo o istnieniu w Szczawniku samodzielnej parafii aż do 1809 roku, czyli do czasu reformy kościelnej rządu austriackiego, w ramach której między innymi łączono mniejsze parafie, a szczawnicką przyłączono wówczas do sąsiedniej wsi, Złockiego.

Tylicz – jedno z dwóch miast klucza muszyńskiego, zajmujące dolinę nad potokiem Muszynka, przechodziło w przeszłości zmienne koleje losu. Pierwotnie istniało jako osada miejska pod nazwą Miastko, następnie spadło do roli wsi, a w 1612 roku biskup krakowski Piotr Tylicki nadał ponownie osadzie prawa miejskie. Od nazwiska fundatora przyjęła się również nazwa miasta. Tak jak na przestrzeni lat zmieniały się losy miejscowości, tak niestałe były w niej stosunki kościelne. Przy ponownej fundacji Tylicza (1612 r.) zezwolono na budowę cerkwi unickiej, a jednocześnie zakazano osiedlać się w mieście prawosławnym, co zapoczątkowało spór religijny, trwający ponad 100 lat. Kiedy zatarg w stosunkach pomiędzy prawosławnymi i unitami nabrał ostrego charakteru, a wysłani przez biskupa Zadzika komisarze nie rozstrzygnęli sprawy, zagroził on wysiedleniem wyznawcom prawosławia. Ostatecznie biskup wydał w sierpniu 1636 roku dekret znoszący tylicką parafię unicką, a jej wiernych przyłączył do parafii muszyńskiej. Nie zakończyło to jednak sporu, gdyż po przystąpieniu diecezji przemyskiej do Kościoła unickiego (w 1692 r.) Rusini z Tylicza wnieśli prośby do biskupów krakowskich, a nawet do Stolicy Apostolskiej, o przywrócenie unickiej parafii. Nastąpiło to dopiero za czasów kardynała Jana Aleksandra Lipskiego (1733 - 1746), a w 1747 roku cerkiew tylicka gromadziła już 300 wiernych obrządku greckokatolickiego.

Wojkowa (Wójkowa), to wieś nad potokiem o tej samej nazwie, lokowana na surowym korzeniu za sprawą kardynała Radziwiłła, który dnia 3 X 1595 r. nadał przywilej założenia wsi Homie Powroźnickiemu. Podobno uposażenia cerkwi w Wojkowej dokonano łącznie z aktem lokacji wsi, a sołtys miał wykarczować 1 łan ziemi pod świątynię. Za wczesnym erygowaniem parafii przemawia fakt wzmianki o popie i cerkwi w Wojkowej w przywileju biskupa Szyszkowskiego z lutego 1626 roku, zwalniającego z podatków duchownych ruskich, którzy już przyłączyli się do unii. W 1637 roku, w momencie fundacji popostwa w Powroźniku, Wojkowa została przyłączona do nowo powstałej parafii unickiej, stając się filią powroźnickiej.

Złockie położone nad potokiem, dopływem Szczawnika, zostało lokowane na mocy przywileju wydanego dnia 12 II 1580 r. przez biskupa Myszkowskiego. Prawdopodobnie parochia w Złockiem została uposażona wraz z przywilejem lokacyjnym wsi, gdyż z początku XVII wieku zostaje wymieniona cerkiew i pop, jako ten, któremu przyznano przywileje należne duchownym greckokatolickim. Zapis ten świadczy, że parafia w Złockiem w 1626 roku była już unicka. Według zapisów w inwentarzu z 1668 roku, do dyspozycji popa należał 1 łan, ponadto otrzymywał on dziesięcinę w wysokości po pół gbla żyta i po gbelu owsa z kmiecego łanu.

Żegiestów lokowany został przywilejem biskupa Krasieńskiego z 26 VII 1575 r., nadanym Hawryle Juraszkowi z Andrzejówki (Czajkowski, *Studia nad Łemkowszczyzną*). Czas powstania cerkwi w Żegiestowie trudno określić, bowiem nie wymienia jej przywilej biskupa Szyszkowskiego z 1626 roku. Ks. Kumor uważa jednak, że przed tą datą już istniała, chociaż fundacja parafii nastąpiła dopiero w 1674 roku. Być może przed 1626 rokiem cerkiew w Żegiestowie była, ale nie przyjęła unii i nadal trwała w prawosławiu.

Z czasem do parafii greckokatolickiej w Żegiestowie przyłączono cerkiew w Zubrzyku. Według inwentarza dla klucza muszyńskiego z 1668 roku uposażenie popa stanowił 1 łan, ponadto otrzymywał on tytułem dziesięciny po kopie owsa z każdego kmiecego łanu.

Przypisy:

1. *Inwentarz dóbr klucza muszyńskiego z 1668*, Archiwum i Biblioteka Krakowskiej Kapituły Katedralnej (dalej: In. 1668).
2. T. E. Modelski, *Prawo kreskie w państwie muszyńskim i lubowelskim*, odbitka z „Księgi pamiątkowej ku czci Oswalda Balzera”, Lwów 1925, s. 1.
3. F. Piekosiński, *Kodeks Dyplomatyczny Katedry Krakowskiej św. Wacława*, Kraków 1874, t. II, 379, s. 162-163; H. Stamirski zakwestionował wiarygodność dokumentu Jagiełły, wg tegoż autora Muszyna i okolice należały do dóbr biskupów krakowskich dopiero od 1449 r. (Stamirski, *Rozmieszczenie punktów osadniczych Sądeczyzny w czasie /do r. 1572/ i w przestrzeni* [w:] *Rocznik Sądecki*, t. XII, s. 27-28). Wątpliwości Stamirskiego stanowczo odpiera F. Kyrk (Kyrk, Tylicz. *Ze studiów nad miastami i miasteczkami w rejonie osadnictwa lemковского w okresie przedrozbiorowym* [w:] *Lemkowie w historii i kulturze Karpat*, cz. 1, Sanok 1995 r., s. 184).
4. F. Piekosiński, *Akta Sądu Kryminalnego Kresu Muszyńskiego 1647-1765* [w:] *Starodawnych praw pomniki*, t. 9, Kraków 1889, s. 4.
5. J. Czajkowski, *Dzieje osadnictwa historycznego na Podkarpaciu i jego odzwierciedlenie w grupach etnograficznych* [w:] *Lemkowie w historii i kulturze Karpat*, pod red. J. Czajkowskiego, cz. 1, Sanok 1995, s. 154.
6. H. Stamirski, *Sądeczyzna w roku 1629* [w:] „*Rocznik Sądecki*”, t. III, Nowy Sącz 1957, s. 106 – przypis.
7. B. Kumor, *Przejęcie Rzymskokatolickich parafii w Archidiaconacie Sądeckim przez Kościół Prawosławny*, *Rocznik Teologiczno Kanoniczny*, t. 4 (1957), z. 3, s. 140.
8. T. M. Trajdos, *Osadnictwo na Łemkowszczyźnie* [w:] *Magury 90*, Informator Krajoznawczy, Warszawa 1990, s. 34.
9. W. Bębynek, *Starostwo muszyńskie własność biskupstwa krakowskiego*, Lwów 1914, s. 25.
10. J. Bieniarzówna, *Gospodarka miejska biskupa krakowskiego Jakuba Zadzika (1635-1642)* [w:] *Prace z dziejów Polski feudalnej* ofiarowane J. Grodeckiemu, red. J. Mitkowski, Warszawa 1960, s. 472.
11. S. Kuraś, *Ordynacje i ustawy wiejskie z Archiwów Metropolitalnego i Kapitulnego w Krakowie 1451-1689*, Kraków 1960, Nr 99, s. 104.
12. Ibidem, nr 86, s. 86.
13. Kuraś S., *Ordynacje ...*, s. 104.
14. Ibidem.
15. Kuraś S., *Ordynacje ...*, s. 86.
16. Kumor B., *Osadnictwo lemkowski i sieć parafialna w kluczu muszyńskim biskupstwa krakowskiego (do 1780)* [w:] „*Rocznik Sądecki*”, t. XXIV, Nowy Sącz 1996, tab. nr 1, s. 13.
17. *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego*, red. F. Sulmierski, B. Chlebowski, W. Walewski, Warszawa 1885, t. 6, s. 819, Muszyna.
18. Ibidem.
19. Dla przykładu: Stamirski, *Rozmieszczenie punktów osadniczych Sądeczyzny w czasie (do r. 1572) i w przestrzeni* [w:] „*Rocznik Sądecki*”, tom XII, Nowy Sącz 1971, s. 30; Kumor B., *Osadnictwo ...*, tab. nr 1, s. 14.

Literatura (oprócz ujętej w przypisach):

1. J. Czajkowski, *Studia nad Lemkowszczyzną*, Sanok 1999.
2. *Lemkowie w historii i kulturze Karpat*, pod red. Jerzego Czajkowskiego, cz. 1, Sanok 1995, cz. 2, Sanok 1994.
3. J. Krzemieniecki, *Kilka dokumentów do dziejów greckokatolickich parafii w dobrach muszyńskich dawnego biskupstwa krakowskiego*, Kraków 1935.
4. B. Kumor, *Dzieje diecezji krakowskiej*, t. I, Kraków 1997.
5. B. Kumor, *Osadnictwo Lemkowskie i sieć parafialna w kluczu muszyńskim biskupa krakowskiego (do 1780)* [w:] „*Rocznik Sądecki*”, t. XXIX, Nowy Sącz 1996.
6. K. Pieradzka, *Na szlakach Lemkowszczyzny*, Kraków 1939.

Waldemar Oszczęda

ZARYS HISTORII KOŚCIOŁA GRECKOKATOLICKIEGO W SŁOWACJI

W lecie 1054 roku doszło w bizantyjskim Konstantynopolu do wielkiej schizmy (od greckiego słowa *schísma* = *rozdarcie*, *rozdwojenie*), czyli rozłamu religijnego Kościoła chrześcijańskiego.

W tym czasie w stolicy cesarstwa wschodniego przebywała delegacja kościelna, wysłana z Rzymu przez papieża *Lwa IX*, której celem było osiągnięcie pokoju między Zachodem i Wschodem ówczesnego świata chrześcijańskiego oraz porozumienia w sprawie wzajemnych sprzeczności i nieporozumień religijnych. Jednak wbrew pierwotnym założeniom i posłaniu misji oraz przewodniczącego jej kardynała *Humberta da Silva Candida*, doszło do brzemiennej w skutkach wydarzeń, które spowodowały trwający aż do chwili obecnej podział Kościoła.

W dniu **14 lipca 1054 roku** przed dostojnikami i duchowieństwem Kościoła bizantyjskiego oraz licznie zgromadzonymi w katedrze Mądrości Bożej (*Hagia Sofia*) wiernymi, kardynał *Humbert* położył na ołtarzu głównym kościoła bullę papieską, zawierającą klątwę kościelną i ekskomunikę patriarchy konstantynopolskiego, *Michała Kerullariosa*.

Tydzień później, w dniu 24 lipca tego samego roku, synod, któremu przewodniczył patriarcha, wydał klątwę kościelną na legatów papieskich. I chociaż obydwie klątwy dotyczyły tylko konkretnych dostojników kościelnych, zostały jednak później odbierane i interpretowane jako skierowane do ogółu wyznawców obydwóch części składowych Kościoła chrześcijańskiego.

Od tego właśnie momentu nastąpiło gwałtowne pogorszenie się wzajemnych stosunków między wschodnią i zachodnią częścią Kościoła na płaszczyźnie religijnej, zerwanie wspólnych wielowiekowych więzi i doprowadzenie do trwającego już prawie tysiąclecie rozłamu. Schizma spowodowała podział na ortodoksyjny, prawosławny Kościół wschodni z patriarchą w Konstantynopolu na czele i katolicki, łaciński Kościół zachodni z papieżem na biskupim stolcu w Rzymie (Watykanie).

Mimo, że wiele wieków później, w dniu 7 grudnia 1965 roku, zarówno papież *Paweł VI*, jak też patriarcha *Athenagoras*, odwołali wzajemne klątwy kościelne i ekskomuniki, będące historycznie przyczyną rozłamu, jednak do dnia dzisiejszego żadna z wcześniej lub później podjętych prób zjednoczenia Kościoła nie przyniosła oczekiwanego rezultatu.

Nawet „wielkie” unie¹, do których dążono na soborze w Lyonie (1274 r.) i Florencji (1439 r.) nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Częściowym sukcesem zakończyły się natomiast próby zjednoczenia Kościoła katolickiego z niektórymi Kościołami wschodnimi. Na przykład już w 1184 roku doszło do zjednoczenia z maronitami² – chrześcijanami syryjskimi żyjącymi w Libanie. W czasach nowożytnych utworzonych zostało na Wschodzie pięć patriarchatów katolickich: Kościół chaldejski (1551), Kościół syryjsko-katolicki (1663), Kościół melchicki (1724), Kościół ormiański (1740) oraz Kościół koptyjski (1895).

Chrześcijan należących pierwotnie do różnych Kościołów wschodnich, którzy zjednoczyli się z Kościołem katolickim na i po soborze florenckim w 1439 roku, jak również obecnych wyznawców Kościoła greckokatolickiego, który powstał w wyniku unii części duchowieństwa prawosławnego (Metropolia Kijowska) z Kościołem katolickim w Polsce, Słowacji, Ukrainie, Białorusi i w innych krajach słowiańskich, nazwano ogólnie unitami (od łacińskiego *unitus* = zjednoczony).

W końcu XVI wieku w zjednoczonym, wielonarodowościowym i wielowyznaniowym państwie polsko-litewskim, w kręgu osób skupionych wokół księdza *Piotra Skargi*, właściwie *Piotra Pawęskiego* (1536-1612), podjęte zostały próby zmierzające do zjednoczenia Kościoła prawosławnego i katolickiego. Odnotowano nawet pod tym względem pewien sukces, gdy w okresie pontyfikatu papieża *Klemensa VIII* część prawosławnego duchowieństwa i wiernych, skupiona wokół metropolity kijowskiego *Rahozy* i kilkunastu prawosławnych biskupów, zjednoczyła się z Kościołem w Rzymie. To ważne wydarzenie religijne było nawet przedmiotem wydania specjalnej bulli papieskiej zatytułowanej „*Magnus Deus et mirabilis*”. Do oficjalnego zjednoczenia i unii kościelnej doszło w 1596 roku na synodzie w *Brześciu Litewskim*. Unici przystępując do unii uznali zwierzchność papieża jako głowy Kościoła. Zachowali jednocześnie między innymi swoją odrębność liturgiczną i obrzędową, celebrując na przykład msze święte w starym języku cerkiewno-słowiańskim i obrządku wschodnim, wywodzącym się z obrządku greckiego.

Unia brzeska (1596 r.)³ była próbą pojednania obydwóch obrządków chrześcijańskich – zachodniego, czyli rzymskiego, zwanego również łacińskim, oraz wschodniego, greckiego, zwanego bizantyjskim, które oddzieliły się od siebie po wielkim rozłamie Kościoła w 1054 roku. Tym razem osiągnięty został znaczący sukces w dziele odbudowy wspólnoty kościelnej.

Zjednoczony w ten sposób z Kościołem rzymskim Kościół wschodni o obrządku greckim nazwano ogólnie Kościołem unickim (Cerkwią unicką) lub – od 1774 roku – greckokatolickim. Za wierność unii *grekokatolicy* (*unici*) niejednokrotnie w historii oddali życie.

Przyznać trzeba, że dla części prawosławnych duchownych i wiernych zamieszkujących bardziej na wschód wysunięte obszary Ukrainy, Białorusi i Litwy, którzy obawiali się zbytnej dominacji duchownej i świeckiej Polaków po przystąpieniu do unii oraz utraty swoich dotychczasowych pozycji, zjednoczenie było nie do przyjęcia. Prawosławni przeciwnicy unii stworzyli więc swoją własną organizację i hierarchię kościelną, przechodząc pod ochronę miejscowych bojarów, wielmoży, skupionych wokół osoby księcia *Konstantego Strożskiego*.

Na kwestii realnego zjednoczenia Kościoła w wielonarodowościowej Polsce ciążyły nierozwiązane, narastające długoletnie spory przede wszystkim natury politycznej. Kościół prawosławny uważano tradycyjnie za przedstawiciela interesów nieprzyjaznej Polsce Moskwy. Wyobrażenie takie często przenoszono bezpodstawnie na Kościół unicki, jego duchowieństwo i wiernych.

W okresie licznych wojen polsko-moskiewskich prawosławie było bardzo ważnym czynnikiem jednoczącym ludność rosyjską, ukraińską, białoruską czy litewską przeciwko Polsce i Polakom, zwłaszcza nazbyt chciwej polskiej szlachcie i magnaterii, bogacącej się szybko na urodzajnej Ukrainie i Białorusi. Prawosławie odgrywało podobną rolę, jak

później Kościół katolicki w podzielonej przez zaborcze kraje ościennie Polsce – było dla miejscowego ludu symbolem patriotyzmu, więzi narodowej i wspólnoty Słowian wschodnich w obliczu ucisku pochodzącego z Zachodu. Nie należy się więc dziwić, że w takich okolicznościach dochodziło do różnego rodzaju aktów gwałtu i przemocy pomiędzy przedstawicielami obydwóch wyznań chrześcijańskich. Ich ofiarą był na przykład zamordowany przez prawosławnych w 1623 roku przedstawiciel Kościoła greckokatolickiego *Josafat Kuncewicz*, arcybiskup połocki. Do aktywnego rozbijania unii i prześladowania jej wyznawców i obrońców przyczyniali się również popierający prawosławie kolejni władcy Rosji⁴.

Utrata niepodległego bytu państwowego i zniknięcie Polski z mapy świata na okres stu dwudziestu trzech lat miało niekorzystny wpływ na sprawę zjednoczenia. Kościół greckokatolicki i jego wierni byli srogo traktowani i prześladowani przez carat, zwłaszcza w okresie władzy absolutnej carycy *Katarzyny II*. Wycierpieli wiele za swoją odwagę i nieustępliwość w obronie wiary i więzi z Kościołem katolickim. Z pewnej wolności religijnej na obszarach polskich, zajętych przez zaborcę, unicy cieszyć się mogli jedynie w Galicji, gdzie zachowało się arcybiskupstwo we Lwowie.

Po krótkim, kilkunastoletnim okresie odbudowy i integracji Kościoła greckokatolickiego w Polsce w latach międzywojennych, po zakończeniu II wojny światowej, w wyniku nowego podziału Europy uzgodnionego na konferencji koalicji antyhitlerowskiej w radzieckiej Jałcie, obszary, będące tradycyjnie terenem działania Kościoła greckokatolickiego i zamieszkiwane przez jego wyznawców, znalazły się na długie lata pod władzą Związku Radzieckiego. Mimo dążeń do osłabienia, rozbicia i likwidacji unii Kościoła greckokatolickiego z Rzymem, współpracuje on nadal z Kościołem katolickim, służąc wspólnej religii chrześcijańskiej.

* * * * *

Według wzoru unii brzeskiej doszło do podobnego zjednoczenia Kościoła w innych krajach i regionach wschodniej i południowej Europy.

W końcu lat 40. XVII wieku w ukraińskim *Użhorodzie* doszło do oficjalnej unii prawosławnych Rusinów (Ukraińców) z Kościołem katolickim na Węgrzech i Słowacji. Utworzone zostało greckokatolickie biskupstwo najpierw w miejscowości *Mukačevo* (*Mukaczewo*) i później w słowackim mieście *Prešov* (*Preszów*).

Również część Rumunów w Siedmiogrodzie i na Węgrzech przystąpiła do Unii zawierając umowę w 1697 roku, w mieście *Alba Iulia*. Za siedzibę nowego biskupstwa wybrano *Blaj* (*Blaż*). Starosłowiański język liturgiczny jednak w tym przypadku zastąpiony został rumuńskim. Natomiast unicy w Serbii, po znacznych kłopotach zjednoczeniowych, utworzyli w 1777 roku diecezję w miejscowości *Križevaci*.

* * * * *

Zjednoczenie części Kościoła prawosławnego w Słowacji z Kościołem katolickim nastąpiło w połowie XVII wieku, gdy obszary słowackie były częścią składową ówczesnych Węgier.

SŁOWACKIE IKONY



Ikonostas z cerkwi w Bratisławie



Carskie Wrota



Chrystus Nauczyciel



Święci Cyryl i Metody



Bogurodzica

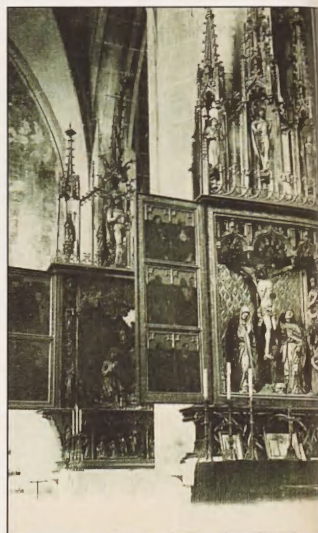
Słowacja na starej pocztówce



Wodospad w Tatrach



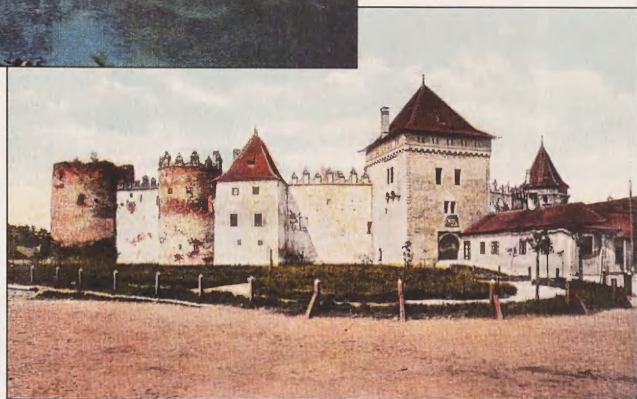
Słowaczka



Ołtarz Wita Stwosza
w Bardiowie



Jezioro Poprad
w Tatrach



Zamek
Kieżmark

Kościół bizantyjsko-katolicki obrządku słowiańskiego sięga swoimi początkami czasów działalności katechizacyjnej i apostołskiej *Konstantego - Cyryla i Metodego*. Święci bracia z greckich *Salonik* przynieśli w IX wieku na Wielkie Morawy chrześcijaństwo z Konstantynopola i wprowadzili do miejscowej tradycji kościelnej obrządku bizantyjskiej religii katolickiej. Oprócz przetłumaczenia Pisma Świętego i innych świętych ksiąg na zrozumiały przez tutejszych chrześcijan język starosłowiański, dokonali wielkiego dzieła wprowadzenia liturgii słowiańskiej do obrzędów religijnych i odbywania służb bożych, tak jak to wtedy było zwyczajem na Wschodzie. Po śmierci słowiańskiego arcybiskupa św. Metodego i wypędzeniu przez biskupów niemieckich z Wielkich Moraw jego uczniów i następców w 885 roku, wschodni obrządek bizantyjsko-słowiański powoli zniknął z życia religijnego wielkomorawskich Słowian, lecz zachował się gdzieś na terenach obecnej Słowacji. Okres władzy królewskiej dynastii Arpád na Węgrzech (XI - XII w.) był czasem sprzyjającym odnowie i rozwojowi obrządku wschodniego. W Słowacji i w innych dzielnicach ówczesnego Królestwa Węgierskiego powstało wiele bizantyjskich klasztorów. Nawet papież *Innocenty III* w 1204 roku przychylnie odnosił się do utworzenia biskupstwa obrządku wschodniego. Jednak niechęć i opór znaczącej części zachodniego duchowieństwa łacińskiego, w połączeniu z niektórymi czynnikami natury historycznej, doprowadziły wkrótce do zmiany sytuacji na niekorzyść duchowieństwa bizantyjskiego. Rozpoczęty został okres silnego nacisku na duchowieństwo wschodnie i wyznawców religii bizantyjskiej, aby przyjęli oni obrządek łaciński. Formy przymusu były różne, np. poprzez zakaz wznoszenia bizantyjskich świątyń w miastach, na obszarach mieszanych wyznaniowo podporządkowanie wikariuszy obrządku wschodniego biskupowi łacińskiemu i inne. Przybycie i osiedlanie się kolonistów wołoskich na obszarach wschodnich i północnych terytorium Słowacji, widoczne od XIV wieku, doprowadziło do zwiększenia liczby wyznawców obrządku wschodniego, uzupełniając dotychczasowe ubytki wiernych. Od XV wieku wiarygodne źródła historyczne już wzmiankują istnienie bizantyjskiego biskupstwa w miejscowości Mukačevo (Mukaczewo), które obejmowało swoim zasięgiem również wschodnie obszary Słowacji (po Spisz). Wiadomo z nich, że na przykład w 1620 roku książę węgierski *Bethlen* mianował greckiego biskupa o imieniu *Jeremiaś (Jeremiasz)* na biskupa historycznych słowackich dzielnic: *Maramoš*, *Zemplín*, *Šariš* i *Abov*. W dokumencie opactwa *Leles* wspomina się o przyznaniu godności biskupa mukaczewskiego dla *Bazylego Tarasovica*, w powiązaniu od 1643 roku z administrowaniem m.in. obszarów słowackich: *Zemplín*, *Šariš*, *Spis* i *Abov*.

W 1646 roku 63 prawosławnych duchownych ze wschodniej części Słowacji zjednoczyło się z Kościołem rzymskokatolickim, przeciwstawiając się naciskom i przemocy węgierskich magnatów ze znanego protestanckiego i antykatolickiego rodu *Rákoczi*, którzy chcieli ich siłą zmusić do przyjęcia protestantyzmu.

Na zamku w ukraińskim Użhorodzie doszło do podpisania unii i formalnego zjednoczenia Cerkwi bizantyjskiej z Kościołem rzymskokatolickim na Węgrzech. Wyznawcy prawosławia, wywodzący się głównie spośród ludności rusińskiej i ukraińskiej, wzorem unii brzeskiej zachowali oryginalny wschodni obrządek liturgiczny oraz starosłowiański język liturgiczny. W zamian za to uznali biskupa Rzymu, czyli papieża, za zwierzchnika nowego Kościoła greckokatolickiego.

Umowa zawierała zobowiązanie, że Kościół łaciński nie będzie ingerował w liturgię i życie duchowe katolików wschodnich, nie będzie im narzucać zachodnich zwyczajów i form religijnych, ani podejmować prób asymilacyjnych. Jednak mimo to już sto lat później dostrzegalne było niedotrzymywanie niektórych podjętych w unii zobowiązań ze strony przedstawicieli duchowieństwa zachodniego i naciski na zmianę wyznania. W okresie późniejszym z różnych względów pojawiły się nawet wewnątrz samego Kościoła grekokatolickiego (taką nazwę od 1774 roku przyjęto ogólnie – z inicjatywy cesarzowej *Marii Teresy* – dla zjednoczonego z Rzymem Kościoła wschodniego o obrządku bizantyjskim) próby większego zbliżenia, wręcz przystosowania się i przyjęcia obrządku zachodniego, czyli łacińskiego. U podstaw powyższego stanu leżał być może fakt, że główni przedstawiciele państwa nie uważali biskupów bizantyjskich za równych biskupom łacińskim i nie wspomagali grekokatolików finansowo tak, jak robili to w przypadku wyznawców rzymskokatolickich. Powyższy stan przetrwał do 1692 roku, gdy cesarz austriacki *Leopold I* zrównał w prawach duchowieństwo obydwu wyznań katolickich. Grekokatolicy księża zdobywali w tym czasie wyższe wykształcenie teologiczne, najczęściej na wydziałach i uczelniach rzymskokatolickich (w Słowacji np. w mieście *Trnava*). W Kościele rzymskokatolickim, zwłaszcza po IV soborze laterańskim, odczuwać można było, aż do czasów nam współczesnych, pewne pozbawione uzasadnienia przekonanie duchowieństwa zachodniego o wyższości obrządku łacińskiego nad grekokatolickim. Nawet sami grekokatolicy uważali często, że obrządek zachodni jest w porównaniu ze wschodnim lepszy, doskonalszy. Dlatego też szybko przejmowali i wprowadzali do swojej liturgii różnego rodzaju elementy liturgii łacińskiej (np. Drogę Krzyżową, adoracje eucharystyczne), sposób życia duchowego i teologicznego myślenia.

Unia użhorodzka obejmowała obszary wschodniej Słowacji, Zakarpacia i północno-wschodnich Węgier. Pierwsze grekokatolickie biskupstwo, na czele którego stanął *Peter Parthéni Petrovič z Sekúl* koło miejscowości *Moravský Svätý Ján*, będący kiedyś prawosławnym duchownym serbskiego pochodzenia, utworzone zostało z siedzibą w miejscowości *Mukačevo* (Mukaczewo) na Ukrainie. Wiele lat później przeniesione zostało do słowackiego miasta *Prešov*.

Już wkrótce po zawarciu unii zauważalna była intensywna działalność nowego Kościoła wschodniego, także i misyjna, którą rozpoczęto z inicjatywy ówczesnego biskupa w *Egerze* (Węgry).

W wyniku licznych wojen religijnych prowadzonych przeciwko katolickiej monarchii habsburskiej przez przeważnie protestancką magnaterię i szlachtę węgierską, większa część wschodnich i północnych obszarów Słowacji, będących terenem działalności Kościoła grekokatolickiego, została opanowana przez rebeliantów. Było tak zwłaszcza po 1680 roku. Na zajętych przez siebie terenach buntownicy, którym przewodził magnat *Thököly* ze spiskiego miasteczka *Kežmarok* (*Kieżmark*), prześladowali wszystkich grekokatolików, zajmowali i plądrowali ich klasztory, niszczyli i odbierali świątynie, przekazując je później w ręce prawosławnych duchownych. Katolicy greckiego obrządku zmuszani byli do przejścia na prawosławie. Zabraniano im wyznawania własnej wiary. Dopiero po stłumieniu buntów i zakończeniu działań wojennych, życie Kościoła grekokatolickiego na obszarze wschodniej Słowacji i Zakarpacia mogło znowu rozwijać się bez większych przeszkód.

Część parafii greckokatolickich przyłączono do terenów administrowanych przez archidiecezję w *Ostrzyhomiu* (węg. *Esztergom*). Jednak większość z nich podlegała diecezji w *Egerze*. Biskup egerski również nadzorował sprawy Kościoła greckokatolickiego za pośrednictwem wyświęconego biskupa greckokatolickiego, którego siedzibą było Mukaczewo (tzw. rusiński biskup). Powyższy stan rzeczy uległ zmianie po reorganizacji Kościoła na Węgrzech w XVIII i XIX wieku, gdy w wyniku zwiększenia ilości diecezji katolickich utworzono też samodzielne diecezje greckokatolickie.

W XVIII wieku znacznie nasiliły się ze strony biskupów łacińskich próby podporządkowania sobie grekokatolików, zmuszenia do zmiany wyznania i madziaryzacji. Jednak, dzięki *Marii Teresie*, bullą papieską *Klemensa XIV* zostało 19 września 1771 roku oficjalnie utworzone greckokatolickie biskupstwo w mieście Mukačevo (Mukaczewo), złożone z 711 parafii i 560 tysięcy wyznawców, które było bezpośrednio podporządkowane Rzymowi. Pierwszym biskupem greckokatolickim był w tym czasie *Ján Bradáč* (1732-1772), zarządzający również słowacką dzielnicą *Gemer* i *Turňa*.

Ponieważ obszary administrowane przez biskupa mukaczewskiego były dosyć rozległe, występowały znaczne trudności w zarządzaniu i działalności duszpasterskiej. W celu rozwiązania problemu i usprawnienia administracji w zachodniej części biskupstwa, a więc na obszarach słowackich, 27 lipca 1787 roku biskup *Andrej Bažinský* utworzył wikariat w mieście *Košice* (*Koszyce*). Pierwszym koszyckim wikariuszem został *Ivan Kováč-Pásteli*.

Wikariat w Koszycach dołączył do istniejącego już od 1723 roku greckokatolickiego wikariatu w komitacie *Máramos*, zarządzającego najbardziej na wschód wysuniętymi parafiami oraz wikariatu w komitacie *Szatmár* (obecnie *Satu Mare*), utworzonego w roku 1776.

Dokument założycielski przewidywał, że na wikariusza będzie zawsze mianowany któryś z kanoników mukaczewskich. Na jego siedzibę wybrano miejscowy klasztor dominikanów, który w tym czasie jednak służył celom publicznym i władzom miasta. Wikariusz zmuszony więc był podjąć próbę urządzenia swojej siedziby w opuszczonym klasztorze franciszkanów. Tutaj ubiegł go rzymskokatolicki biskup z Egeru, który urządził w nim wcześniej niewielkie seminarium duchowne. Zniechęcony stwarzanymi przeszkodami i brakiem zrozumienia, kanonik zrezygnował ze swojego urzędu. Zastąpił go mianowany 13 stycznia 1790 roku na wikariusza *Michal Bradáč*, który po kolejnych niepowodzeniach i nieefektywnych staraniach o urządzenie wikariatu w Koszycach, zdecydował się ostatecznie na jego przeniesienie w 1792 roku do miasta *Prešov* (Preszów). Nowa siedziba wikariusza została zatwierdzona przez cesarza w roku 1806. W 1813 roku wikariuszem preszowskim był *Gregor Tarkovič*, który został później pierwszym biskupem Kościoła greckokatolickiego w Słowacji.

Eparchia, czyli diecezja, w Preszowie utworzona została z części obszarów eparchii Mukaczewo w 1818 roku. W 1815 (1816) roku cesarz *Franciszek I* zdecydował o założeniu samodzielnej diecezji, którą 22 września 1818 roku potwierdziła oficjalnie Stolica Święta. Obszary środkowej i południowej części słowackiej dzielnicy *Zemplín* (około 70 wschodniosłowackich parafii) pozostały jednak jeszcze w diecezji mukaczewskiej. Był to okres, kiedy grekokatolicy musieli stawiać opór i bronić się przed silnymi próbami madziaryzacji.

Pod administrację diecezji preszowskiej podlegały parafie na Spiszu i w pozostałych regionach Słowacji, którymi zarządzał dotychczas biskup ostrzyhomski. Obydwie diecezje należały do prowincji kościelnej z siedzibą w Ostrzyhomiu. W 1866 roku nastąpił ponowny podział diecezji mukaczewskiej. Z nowych, odłączonych od niej terenów, zamieszkałych przez większość węgierską, utworzona została diecezja hajdudorogska (w *Hajdúdorog*), która posiadała również cztery parafie w Słowacji.

Powyższa sytuacja (istnienie dwóch diecezji greckokatolickich) utrzymywała się bez większych zmian do 1939 roku, gdy po likwidacji wspólnego państwa Czechów i Słowaków – Republiki Czechosłowackiej i zajęciu przez Węgrów terenów Zakarpackiej Rusi, część parafii eparchii Mukaczewo znalazła się na terytorium Państwa Słowackiego (1939-1945). W celu bezpośredniego zarządzania parafiami słowackimi utworzona została 13 kwietnia 1939 roku Administracja Apostolska eparchii Mukaczewo w Słowacji, podlegająca bezpośrednio Watykanowi. Urząd administratora powierzony został ówczesnemu władcy *Pawłowi Gojdiczowi* (1888-1960), od 1927 roku tytularnemu biskupowi greckokatolickiemu, za którego powyższe obowiązki pełnił wikariusz generalny *Anton Tink*.

Po zakończeniu działań II wojny światowej wszystkie parafie, znajdujące się na obszarze odrodzonej Czechosłowacji, dostały się po wpływy biskupa preszowskiego, podobnie jak to miało miejsce wiele lat później – po odnowie Kościoła greckokatolickiego w 1968 roku.

W 1950 roku komunistyczne władze Czechosłowacji przeprowadziły zakrojoną na szeroką skalę akcję likwidacji Kościoła katolickiego i greckokatolickiego na terytorium całego kraju. Smutnym wydarzeniem w bogatej i ciekawej historii słowackiego Kościoła greckokatolickiego był 28 kwietnia 1950 r. Wtedy, na tzw. soborze preszowskim, część duchowieństwa i hierarchii greckokatolickiej zmuszona została do wypowiedzenia i nieważnienia unii z Użhorodu oraz przejścia na prawosławie. W prawosławiu zachować mogli swoją liturgię obrządku wschodniego albo uczestniczyć w liturgii rzymskokatolickiej. Kościół greckokatolicki w Czechosłowacji został ogłoszony za nieistniejący. Większość duchowieństwa greckokatolickiego, skupionego wokół osoby preszowskiego biskupa *bł. Pawła Piotra Gojdicza* (*Pavol Peter Gojdič*), nigdy się z tym faktem nie pogodziła i odrzuciła jakąkolwiek kolaborację z przeciwnikami swego Kościoła. Biskupi *Peter P. Gojdič* i *Vasil' Hopko* wraz z innymi księżmi, którzy nie zgadzali się z decyzją soboru, zostali aresztowani i uwięzieni. Pozostali duchowni albo przeszli na prawosławie, albo musieli emigrować za granice kraju.

Znaczna część wiernych i duchowieństwa nie uległa wtedy naciskom politycznym ze strony czechosłowackiej władzy „ludowej” oraz religijnym – ze strony prawosławia. Dostojnicy Kościoła greckokatolickiego i duchowni, którzy się nie poddali i zostali wierni unii, byli zmuszani do opuszczenia swoich klasztorów, parafii, następnie internowani, więzieni w obozach tzw. reedukacyjnych lub w więzieniach, zsyłani do przymusowej pracy, prześladowani i niejednokrotnie torturowani.

Podczas osiemnastu lat „nieistnienia” Kościoła greckokatolickiego śmierć poniosło w różny sposób co najmniej 123 wiernych Kościołowi księży greckokatolickich. Ojciec duchowy słowackich grekokatolików, biskup *Paweł Gojdicz*, zmarł w 1960 roku w więzieniu *Leopoldov*. Do grona męczenników grekokatolików dołączył również

redemptorysta, *bl. ojciec Metody Dominik Trčka (Trczka)* (1886-1959), który przybył na Słowację z Moraw i założył szereg klasztorów zakonnych.

Cerkwie, klasztory, parafie i cały majątek Kościoła greckokatolickiego stały się majątkiem Skarbu Państwa i Kościoła prawosławnego.

Uchwałą rządu Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej nr 205 z 13 czerwca 1968 r. działalność Kościoła greckokatolickiego została wznowiona i dekretem nr 70/1968 Dz. U. zapewniono jej możliwości podobne, jak Kościołowi rzymskokatolickiemu. Chodziło o stworzenie pozorów demokracji w państwie rządzonej przez nieprzychylnie religii katolickiej władze ateistyczne. Znaczna jednak część majątku kościelnego nie została zwrócona.

Po roku 1968 odnowione zostały niektóre parafie we wschodniej Słowacji oraz siedziba biskupa w Preszowie, podlegającego bezpośrednio Ojcu Świętemu w Rzymie. Wznowione zostało wydawanie wychodzącego do dnia dzisiejszego słowackiego miesięcznika „Slovo” oraz rusińskiego – „Blahovistník”.

Dopiero zmiany społeczno-polityczne w państwie Czechów i Słowaków w latach 1989-90 pozwoliły w pełnym zakresie na odnowienie normalnej działalności Kościoła. Odtąd mówić można o prawdziwym odrodzeniu życia religijnego społeczeństwa, w którym aktywny udział bierze również ciągle się rozwijający i prowadzący działalność misyjną Kościół greckokatolicki.

Wyraźne zmiany w stosunku do grekokatolików przypisać można wynikom II soboru watykańskiego (1962-1965), a w ostatnim okresie Ojcu Świętemu, *Janowi Pawłowi II*, który napisał i wydał list apostolski „*Oriente Lumen – Światło ze Wschodu*”.

Po rozpadzie Czechosłowacji w stolicy Czech Pradze powstał praski egzarchat (13 marca 1996). W dniu 21 lutego 1997 roku utworzono w Koszycach na podstawie dekretów papieskich, wydanych przez Kongregację ds. Kościołów wschodnich, samodzielny egzarchat apostolski, podlegający bezpośrednio Watykanowi. Pierwszym administratorem apostolskim został mianowany ówczesny pomocniczy biskup preszowski, *Milan Chatur, CSsR*.

Administracji w Koszycach podlegają parafie i wierni z obszaru obecnego słowackiego województwa koszyckiego (*Košický kraj*). Pozostałe parafie w Słowacji są zarządzane z Preszowa, któremu również podlega kilka parafii znajdujących się w środkowej i zachodniej Słowacji (*Telgárt, Šumiac, Žilina-Martin, Nitra, Bratislava*).

Według wyników statystycznego spisu ludności, w byłej Czechosłowacji w 1990 roku było 208 tysięcy wyznawców Kościoła greckokatolickiego. W chwili obecnej, według spisu ludności Słowacji przeprowadzonego w 2001 roku, wyznanie greckokatolickie deklarowało 219 831 osób, czyli 4,86% ogółu wierzących. Dla porównania w 1948 roku w 241 parafiach i 1059 filiach parafialnych było 305 645 grekokatolików.

Podpisane na początku XXI wieku porozumienie najwyższych przedstawicieli słowackiego duchowieństwa greckokatolickiego i prawosławnego, umożliwiło zakończenie długotrwałych sporów i nieporozumień w sprawach majątkowych oraz w kwestiach naprawienia krzywd wyrządzonych w przeszłości ich wyznawcom.

Warto na koniec jeszcze dodać, że dzień 4 listopada 2001 roku w szczególnie sposób zapisał się w historii obydwu Kościołów katolickich w Słowacji. W dniu tym bowiem biskup *Pavol Peter Gojdič* oraz redemptorysta, ojciec *Metod Dominik Trčka* przyjęci zostali w Rzymie w poczet błogosławionych.

Przypisy:

- 1) **Unia** (łac. *unio* – zjednoczenie, połączenie) – w kontekście religijnym dążenie Kościoła katolickiego do połączenia z Kościołem prawosławnym, starożytnymi chrześcijańskimi Kościołami wschodnimi, maronitami, itd. we wspólnym Kościele, w oparciu o religię katolicką. Przyłączone i zjednoczone z Kościołem katolickim kościoły uznają dogmaty katolicyzmu rzymskiego i prymat papieża, zachowują tradycyjny obrządek i własną liturgię, nie muszą zachowywać celibatu. Zjednoczone z Rzymem kościoły nazywane są ogólnie unickimi, a ich członkowie unitami. Do unii z Kościołem katolickim od czasu wielkiej schizmy w XI wieku przystąpiła część Kościołów wschodnich i maronici. Współdziałanie tych Kościołów może być znakomitą przykładową „jedności w różnorodności”. W szczególnie sposób dąży się do zjednoczenia z prawosławiem. Próba zjednoczenia o charakterze ogólnym była unia florencka w 1439 roku. Większym i znaczącym sukcesem zakończyły się próby podjęte w XVI i XVII wieku, kiedy po unii w Brześciu Litewskim w 1596 r. z Kościołem katolickim zjednoczyła się część Kościoła prawosławnego na Ukrainie, Białorusi i na Litwie. W 1686 r. do idei zjednoczenia przyłączyła się część prawosławnych chrześcijan arabskich – melchitów na Bliskim Wschodzie. W latach 1698-1700 podpisana została unia w Alba Iulia, do której przystąpiła część prawosławnych w Rumunii i Siedmiogrodzie.
- 2) **Maronici** (od imienia syryjskiego świętego Jana Marona, żyjącego w V w. n.e.) – zwolennicy jednego z nurtów chrześcijaństwa, którzy założyli własny Kościół z patriarchą na czele. Hierarchia maronicka około 675 r. grupowała się w klasztorze św. Marona w Himse (Liban). Od XII w. maronici nawiązali kontakty z Kościołem katolickim i w XIII w. zjednoczyli się z Rzymem. Uznali zwierzchność papieża jako najwyższego autorytetu Kościoła. Ich dogmaty są zgodne z katolickimi. Zachowali niezależność organizacyjną, odrębność obrządku i liturgii w języku syryjskim. Liczbę maronitów określa się na ok. 700 tysięcy wyznawców (ok. 400 tysięcy w Libanie, 300 tysięcy w Syrii).
- 3) **Unia brzeska** – zjednoczenie części Kościoła prawosławnego na Ukrainie, Białorusi, Litwie z Kościołem rzymskokatolickim, w wyniku którego powstał Kościół grekokatolicki o własnym obrządku wschodnim, greckim, z zachowaną liturgią starosłowiańską i bez obowiązku celibatu. Przedstawiciele najwyższego prawosławnego duchowieństwa Ukrainy na synodzie kościelnym w Brześciu Litewskim w 1596 r. zdecydowali się zjednoczyć z Rzymem. Kościół unicki utworzony na podstawie unii brzeskiej nazwano wg obrządku Kościołem grekokatolickim. Ważną rolę w jego działalności odegrał zakon bazylianów. W XVII i XVIII wieku podobne unie zawarto w Rumunii, Serbii i Słowacji.
- 4) **Kościół prawosławny** w Rosji przejął po zdobyciu przez Turków Konstantynopola (29. 05. 1453) spuściznę Kościoła wschodniego, czyli bizantyjskiego. Od 1589 roku Moskwa była siedzibą patriarchy wschodniego. W 1660 r. car Aleksy Michajłowicz pozbawił władzy nad Kościołem prawosławnym patriarchę Nikona. Podporządkowanie władzy kościelnej świeckiej władzy cara potwierdzone zostało decyzją soboru w 1667 r. W 1718 r. car Piotr I Wielki ostatecznie zlikwidował opuszczony przez osiemnaście lat urząd patriarchy i na jego miejsce powołał Najświętszy Synod, kolegialny organ biskupów nadzorujący sprawę kościelne. W ten sposób Kościół prawosławny w Rosji aż do roku 1917 był całkowicie pod wpływem i rządami kolejnych rosyjskich władców.



bł. biskup P.P. Gojdič



bł. ojciec M.D. Trčka

Kazimierz Przyboś

JAKUB ZADZIK, BISKUP KRAKOWSKI (1582-1642) WŁAŚCICIEL PAŃSTWA MUSZYŃSKIEGO

Był najmłodszym synem z dwanaściorga dzieci Jana Zadzika i Jadwigi Borsównej z Iwanic w Prusach. Miał pięciu braci i sześć sióstr. Wywodził się z drobnej szlachty z województwa sieradzkiego, piszącej się z Borek, Rzechty i Drużbina. Część historyków w latach poprzednich wątpiła w szlachectwo Zadzików. Adam Szelański (*O ujście Wisły. Wielka wojna pruska*, Warszawa 1905, s. 413) twierdził nawet, iż Zadzikowie wywodziли się z ludności poddańczej jakiegoś miasteczka duchownego lub szlacheckiego. Jeszcze w XIX wieku w Drużbinie krążyło podanie, że Jan Zadzik miał być kowalem. Jednak Zadzikowie byli drobną szlachtą siedzącą na częściach wsi. Bracia Jakuba szukali szczęścia jako żołnierze. Maciej zginął na wojnie z Moskwą ok. roku 1612, Stanisław i Remigian zmarli po kampanii moskiewskiej przed rokiem 1614. Najstarszy z braci, Hieronim, zmarł młodo w trakcie pobierania nauk. Piąty z braci, Jan – dzięki protekcji Jakuba uzyskał w 1627 roku urząd podczaszego sieradzkiego, a w 1628 awansował na chorążego sieradzkiego.

Jakub Zadzik być może urodził się w Drużbinie – tam bowiem ufundował kościół, konsekrowany w 1630 roku. Tam też spoczęły ciała jego rodziców. Rodzina była bardzo katolicka. Około 1595 roku Jakub rozpoczął naukę w kolegium jezuickim w Kaliszu. W 1597 roku już studiował w Akademii Krakowskiej teologię i prawo. Dzięki pomocy finansowej dalekiego krewnego, Stanisława Warszzyckiego, wówczas kasztelana warszawskiego, oraz protekcji wpływowego na dworze królewskim Andrzeja Boboli, Zadzik w latach 1602-1604 odbył studia prawnicze w Perugii. Doktorat obojga praw uzyskał 13 sierpnia 1604 roku. Studia włoskie ugruntowały prawniczą wiedzę Zadzika. Władał łaciną, włoskim, gorzej greką. Był to znaczny kapitał intelektualny jak na 22-letniego syna drobnego szlachcica, ale nie gwarantował mu dalszej kariery. O niej zadecydowała protekcja Warszzyckiego i Boboli, a także skomplikowana sytuacja wewnętrzna Rzeczypospolitej, jaką zastał Zadzik, wracając w początkach 1605 roku z Włoch. Dla osłabienia wpływów Jana Zamoyskiego – kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, król mianował podkanclerzym koronnym biskupa przemyskiego, Macieja Pstrokańskiego. Nowy podkanclerzy wprowadził do kancelarii koronnej swoich ludzi, m.in. swojego powinowatego Jakuba Zadzika, mianowanego sekretarzem królewskim. Jednocześnie Zadzik przyjął święcenia kapłańskie. Dzięki Pstrokańskiemu w 1607 roku został kanonikiem gnieźnieńskim. Przełomowe znaczenie dla dalszej kariery Zadzika miał ponad roczny pobyt w obozie królewskim pod obleganym Smoleńskiem (1610-1611) i stały kontakt z Zygmuntem III. W 1611 roku otrzymał prepozyturę włocławską i kanonię krakowską, a w 1613 roku awansował na urząd sekretarza wielkiego koronnego – dawało mu to nadzieję na osiągnięcie biskupstwa i tym samym wejście w skład senatu Rzeczypospolitej.

Systematycznie kumulował beneficja duchowne. W roku 1618 liczył na podkanclerstwo koronne, ale nie żyli już obaj jego protektorzy – Warszzycki (wojewoda podlaski) i Bobola

(podkomorzy koronny); obaj zmarli w 1617 roku. Na dodatek Zadzik, z racji swojej umiarkowanej postawy i kompromisowości, nie nadawał się na wykonawcę planów królewskich. Osłoda było wyniesienie go na biskupstwo chełmińskie, niezbyt wysoko usytuowane w hierarchii i słabo uposażone, ale dające miejsce w senacie i odgrywające ważną rolę w funkcjonowaniu autonomicznych Prus Królewskich. Po otrzymaniu 2 grudnia 1624 roku zatwierdzenia papieskiego na biskupstwie, Zadzik 7 kwietnia 1625 roku zrezygnował z urzędu sekretarza wielkiego koronnego. 13 kwietnia tego roku nastąpiła jego konsekracja na biskupa, a 30 kwietnia odbył się ingres w Chełmży. Diecezja była niewielka, wraz z pozostającą w administracji biskupów chełmińskich diecezją pomeząńską, obejmowała mniej niż 6000 km² i była najmniejsza w całej Rzeczypospolitej. Obszar obu diecezji obejmował województwo chełmińskie i część województwa malborskiego. Żył tu sporo protestantów mających silne oparcie w wielkich miastach pruskich, które za Zygmunta Augusta otrzymały przywileje zapewniające swobody religijne. Nadto ludność diecezji była zróżnicowana także pod względem narodowościowym. Zadzik nie znał języka niemieckiego, co poważnie utrudniało kontakt z większością ludności parafii miejskich i w znacznym stopniu wiejskich.

Gdy w 1626 roku Szwedzi najechali Prusy Królewskie, Zadzik nie opuścił swojej diecezji, a jesienią 1627 roku uczestniczył w nieudanych rokowaniach ze Szwecją. Niebawem na sejmie, 18 listopada 1627 roku, otrzymał pieczęć mniejszą koronną. Awans Zadzika na pieczętarza koronnego spowodował, że biskup stał się rzadkim gościem w diecezji. Od momentu objęcia podkanclerstwa do złożenia godności biskupa chełmińskiego jesienią 1635 roku, zatem w okresie prawie 8 lat, Zadzik spędził w Prusach zaledwie 1/5 roku przy okazji kolejnych tur rokowań polsko-szwedzkich. Nie uczestniczył nawet w synodach prowincjonalnych w 1628 i 1634 roku. Za to nieustępliwie bronił stanu posiadania i swobód wyznaniowych katolików w Prusach Królewskich. Jako biskup chełmiński był drugim w hierarchii – po biskupie warmińskim – senatorem Prus Królewskich. Z powodu małoletności biskupa warmińskiego, królewicza Jana Olbrachta Wazy, biskup chełmiński faktycznie stał się urzędującym prezesem ziem pruskich. Do niego należało m.in. przyjmowanie i wysyłanie do prowincji ekspedycji sejmikowej, a po sejmie zabieganie o zwołanie sejmiku generalnego pruskiego. On też przewodniczył obradom tego sejmiku. Stany pruskie nie były jednak zadowolone z postawy Zadzika, bo ten jako podkanclerzy zawsze przedkładał interes państwa nad ich partykularne dążenia. Na sejmie w Warszawie, w 1627 roku, doszło nawet do paradoksalnej sytuacji, gdyż na punkty przedłożone przez Zadzika jako prezesa ziem pruskich, odpowiedział on sam jako podkanclerzy koronny.

W pół roku po nominacji Zadzika na podkanclerzego zmarł, nieudolny jako pieczętarz wielki koronny, Wacław Leszczyński. Zgodnie ze zwyczajem w razie wakowania kanclerstwa awansowano na nie dotychczasowego podkanclerzego. Tak więc 10 lipca 1628 roku Zadzik został kanclerzem wielkim koronnym. Tym samym stał się jednym z najważniejszych urzędników Rzeczypospolitej. Sukcesem Zadzika było przeforsowanie Tomasza Zamoyskiego na podkanclerzego. Powodem wyboru Zamoyskiego było jego słabe zdrowie, co ograniczało jego aktywność publiczną i częsty pobyt u boku króla, nadto wprawdzie wywodził się on z wielkiego rodu, lecz w gruncie rzeczy był przeciętnym

politykiem bez większych ambicji. Tym samym Zadzik bez trudu mógł zdominować Zamoyskiego. Za kanclerstwa Zadzika, nie bez jego wpływu, polityka rozdawnicza Zygmunta III przyniosła zmiany w elicie senatorskiej – w kierunku centrum katolickiego i prokrólewskiego, któremu przewodzili senatorowie związani z kanclerzem. Do znaczącego politycznie trifolium (trójlistnej koniczynki) należeli oprócz Zadzika: Stanisław Koniecpolski i Stanisław Lubomirski. Wspierali Zadzika biskupi wywodzący się z województwa sieradzkiego – Jan Wężyk, arcybiskup gnieźnieński (1626-1638), Maciej Łubieński, biskup płocki (1627-1640), nadto szwagier Zadzika – Jan Łowicki, kasztelan inowrocławski oraz teść jego brata Jana – Andrzej Kretkowski, wojewoda brzeski (Brześć Kujawski). Natomiast nieudanym, wręcz kompromitującym, protegowanym Zadzika okazał się Stanisław Warszycki, wyniesiony w 1632 roku na urząd wojewody mazowieckiego. Głośna afera spowodowana była niespotykanym w warunkach polskich pobiciem przez Warszyckiego żony – Heleny z Wiśniowieckich. Warszycki został za to skazany na infamię. Sprawa kosztowała jednak utratę sympatii dla Zadzika, tym bardziej, że biskup jako kanclerz wydał list żelazny Warszyckiemu, zapewniając mu bezpieczeństwo. Nadto Zadzik miał poparcie posłów reprezentujących jego województwo – jak: Łubieńscy, Wężykowie, Walewscy, Pstrokońscy, Zalescy czy Zapolscy, którzy byli spokrewnieni bądź spowinowaceni z kanclerzem.

Jako kanclerz Zadzik odegrał ważną rolę w czasie zawierania traktatów ze Szwecją w 1629 roku w Altmarku i w 1635 roku w Sztumskiej Wsi oraz pokoju wieczystego z Moskwą w 1634 roku. Jego dążenie do zapewnienia pokoju Rzeczypospolitej było zgodne z oczekiwaniami szlachty. Jednak za uregulowanie stosunków ze Szwecją i z Moskwą po myśli szlachty, lecz ze szkodą dla interesów Władysława IV (obranego 8 listopada 1632 roku, a koronowanego 6 lutego 1633 r.), kanclerz Zadzik zapłacił utratą zaufania króla, a wkrótce i utratą urzędu. Z końcem 1634 roku zmarł królewicz Jan Olbracht Waza, biskup krakowski. Król zaproponował Zadzikowi objęcie wakującego biskupstwa. Ten zgodził się i już 8 lutego 1635 roku król podpisał jego nominację. Ponieważ nie wolno było łączyć godności biskupa krakowskiego z pieczęcią – Zadzik musiał zrezygnować z urzędu kanclerza wielkiego koronnego. Rezygnacja z pieczęci niosła jednak ze sobą utratę wpływów i znaczenia w elicie władzy. Jak pisał znany XVII-wieczny pamiętnikarz, kanclerz wielki litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł (*Pamiętnik*, t. I, s. 472), zaraz po rezygnacji „jedni odkrywali, że kanclerz żałuje zrzeczenia się urzędu, inni chwalili zrzeczenia się w nadziei osiągnięcia wyższego stanowiska, inni objawszy rolę szpiegów dokładnie przeliczali orszak towarzyszący mu w powrocie, jeszcze inni wróżyli melancholię przyzwyczajonemu do pracy, po jej zaniechaniu. I właśnie jeżeliby prawo i wstyd nie stały na przeszkodzie, a nawet nie wskazywałyby drogi postępowania, może [Zadzik] zatrąbiłby odwrót. Ale już porzucić wizję wysokiego stanowiska duchownego i naznaczyć piętnem niestałości nie godziło się przy długoletnim doświadczeniu, powadze wieku, sławie uczoności i mistrzostwie w polityce”. Ponieważ biskupstwo chełmińskie objął już Jan Lipski, Zadzik nie mógł się wycofać i 28 listopada 1635 roku złożył na sejmie urząd – otrzymał go Tomasz Zamoyski. Już 30 października 1635 roku Zadzik objął rządy w diecezji krakowskiej przez zastępcę, sam 2 lutego 1636 roku przybył do Krakowa i uroczystie dokonał ingresu. Rządy zaczął od

obsadzenia prałatur katedralnych krakowskich swoimi krewnymi, powinowatymi oraz protegowanymi biskupów z sieradzkiego. Praktyka taka była w tamtych czasach zjawiskiem normalnym i choć nepotyzm Zadzika przybrał poważniejsze rozmiary, to jednak nowy biskup krakowski w polityce kadrowej kierował się przede wszystkim kryterium osobistej wierności i kompetencji współpracowników. Poza Janem Tarnowskim, późniejszym arcybiskupem lwowskim, żaden z współpracowników Zadzika nie awansował po śmierci protektora.

Diecezja krakowska obejmowała duży obszar – około 54 000 km² – i była dziewięciokrotnie większa od chełmińskiej wraz z pomezańską. Obejmowała całe województwo krakowskie i lubelskie, większość sandomierskiego, kawałek sieradzkiego, Spisz oraz część Śląska leżącą poza granicami Rzeczypospolitej. Było tu aż 1439 kościołów parafialnych i filialnych, świeckich i zakonnych w 930 parafiach. W samym Krakowie było 15 kościołów świeckich i 30 zakonnych. Dzięki Zadzikowi przeprowadzono sumienną wizytację diecezji (ale bez powiatu sądeckiego i terenów na wschód od Wisły). Biskup szczególnie dbał o szpitale dla ubogich. Jednak mimo dbałości o diecezję, silniejsze były u niego zainteresowania polityką niż aktywnością typowego biskupa doby kontr-reformacji. Po 1635 roku osłabło znaczenie Zadzika w trifolium. Wprawdzie nadal cieszył się poważnym autorytetem u ogółu szlachty (przede wszystkim za szacunek dla prawa i dążenie do kompromisu), ale wśród Małopolan miał słabsze wpływy niż Koniecpolski czy Lubomirski. Jako biskup krakowski Zadzik nie występował z otwartą krytyką króla, choć nie brakowało powodów do tego. Zachowawczy legalizm biskupa powodował, że pełnił on rolę bufora w konflikcie między królem a szlachtą. Nadal zabiegał o osiągnięcie kompromisu, ale rzadko z powodzeniem, niemniej zawsze w przekonaniu, że taka postawa powinna wynikać z podstawowego obowiązku senatora Rzeczypospolitej. Zadzik jako biskup chełmiński rozbudował rezydencję w Lubawie. Jako biskup krakowski, mając znaczne dochody, zbudował w Warszawie u zbiegu ulic Miodowej i Senatorskiej pałac biskupów krakowskich. W Krakowie przed 1636 rokiem polecił odrestaurować pałac biskupi i pokryć go nowym dachem. W 1637 roku rozpoczął budowę wspaniałej rezydencji w Kielcach wg projektu Jana Trevano, tworząc prawdziwą perłę architektury barokowej. Umocnił zamek w Siewierzu, wznosił też nowe dwory w dobrach biskupich w Radłowie i Szczurowej, odrestaurował zamek w Lipowcu, a w jego pobliżu zbudowano dwa drewniane dwory (niestety zniszczyli je Szwedzi w latach „potopu”). Na co dzień prowadził skromny sposób bycia, żeby „biskupiej godności zbytymi nie zmazał”. Nawet nuncjusz Honorat Visconti zwięźle określił biskupa jako „zbyt oszczędnego w wydatkach”. Dwór biskupa był mało liczny. W Kielcach i w pogranicznej Muszynie utrzymywał oddziały piechoty. Piechota z Kielc stanowiła jego asystę i ochronę w czasie wyjazdów.

Po ukończeniu 50. roku życia Zadzik zaczął zapadać na zdrowiu. Już w 1633 roku, podczas uroczystości koronacyjnych Władysława IV, chorował na podagrę. Poważny nawrót choroby nastąpił w 1634 roku, podczas rokowań z Moskwą w Polanowie. Na posiedzenia z komisarzami moskiewskimi musiano nosić biskupa w lektyce. Wiosną i latem 1635 roku cierpiał na kamicę nerkową, mimo to zdołał aktywnie uczestniczyć w rokowaniach ze Szwedami. W roku 1636 leczył się w Eger i Karlsbadzie – co

przyniosło poprawę zdrowia, aż do wiosny 1638 roku. Jednakże znaczną część 1638 roku przechorował, a bóle stawów palców uniemożliwiały mu nawet podpisywanie listów. Wtedy nie przyjął godności arcybiskupa gnieźnieńskiego. Poważnie zapadł na zdrowiu w 1640 roku. Zdecydował się wówczas na spisanie testamentu (testament Zadzika 1 IX 1640, Siewierz; kodycył 1 X 1649, Kraków; Archiwum kapituły Metropolitalnej Krakowskiej, *Testamenta et codicilli*, nr 14). Na przełomie 1640/1641 leczył się w Bodzentynie. Dzięki tej kuracji latem 1641 roku uczestniczył w obradach sejmowych, choć w czasie sejmu nieraz niedomagał. Opuszczając Warszawę żegnał się na zawsze z senatorami i dygnitarzami. Z Warszawy przybył do podkieleckiego Bodzentyna. Już nie wyzdrowiał i w tej miejscowości zmarł 17 marca 1642 roku. Pochowano go 29 marca 1642 roku w katedrze wawelskiej, w kaplicy Jana Chrzciciela. Pod popiersiem biskupa umieszczono tablicę z napisem, który dość trafnie ukazuje postać biskupa (Tekst za: Szymon Starowolski, *Jakub Zadzik, biskup krakowski, książę siewierski*, [w]: Tęgoż: *Żywoty biskupów krakowskich. Wybór pism*, wyd. Ignacy Lewandowski, Wrocław - Warszawa - Kraków 1991, s. 97-98): „D.[eo] o.[ptimo] M.[aximo] Jakubowi, biskupowi krakowskiemu, księciu siewierskiemu, byłemu kanclerzowi wielkiemu koronnemu, ze sławnego rodu Korabitów, z rodziny Zadzików, ostatniemu tegoż imienia spadkobiercy. Zachowując równowagę ducha zarówno w sprawach pomyślnych, jak i w przeciwnościach, poprzez nieustanną działalność w ojczyźnie zdobył dla siebie tak wielkie uznanie, że także obce narody musiały wyrażać dla niego swój podziw. Wkrótce senatorzy, nawet ci, którzy się z nim nie zgadzali, zaczęli go nazywać sędzią wojny i pokoju pomiędzy Moskałem a Szwedem oraz pomiędzy innymi książętami. Uznali, że zasłużył sobie na biskupstwo w stolicy. Cały swój majątek sprawiedliwie osiągnięty, hojnie przekazał na kanonizację Jana Kantego, na szlachetne nauki, na wspieranie ubogich. Za Raków skażony arianą bezbożnością wynagrodził Bogu najpierw poprzez ustawę, a następnie przez kult i święte obrzędy w prawowitej wierze. Jakąkolwiek według powszechnego świadectwa osiągnął chwałę, znaczenie i zasługi, zawdzięczał to życiu cnotliwemu, nauce i stałości, a nie majątkowi. Wszyscy więc powinni w nim zobaczyć męża pobożnego, statecznego i umiarkowanego, który czyni pokój i jest nader gorliwy w dążeniu do sławy. Swoją ostatnią dzień zakończył w Bodzentynie 17 marca Roku 1642, mając lat 60”.

Pogrzeb zgodnie z testamentem odbył się uroczystie (jak przystało na pochówek senatora duchownego), z procesją, mszą i muzyką, ale bez nadzwyczajnej pompy. W testamencie biskup, poza pobożnymi legatami i darowiznami dla rodziny, m.in. przekazał pokaźny księgozbiór z dziełami z historii i polityki siostrzeńcowi Jakubowi Sarnowskiemu (obecnie w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej), prace z zakresu prawa i teologii kazał dać kurii krakowskiej – z zastrzeżeniem, aby przechowywano je w Kielcach, 40 000 zł przeznaczył na fundację w celu kształcenia alumnów w Rzymie (wg Wiesława Müllera dzięki tej fundacji do końca Rzeczypospolitej studiowało w Rzymie ponad 50 alumnów). Niestety Zadzik w testamencie kazał zniszczyć całą prywatną korespondencję kierowaną do siebie, zaś egzekutorzy jego ostatniej woli zastosowali się skrupulatnie do tego polecenia.

Zadzik otrzymał pieczęć w trudnym dla państwa okresie wojny ze Szwecją, kiedy zaczęła się załamywać dynastyczna i prohabsburska polityka Zygmunta III, a między nim

a szlachtą narodził się konflikt o egzorbitancję (tj. o mniej lub bardziej słuszne zarzuty dotyczące nieprzestrzegania obowiązującego prawa). Poglądami politycznymi był zbliżony do eks-zamoyszczyków, a łączyła go z nimi nieufność do Habsburgów. Zaważyło to na mianowaniu Zadziką biskupem chełmińskim dopiero w 1624 roku, a podkanclerzym w 3 lata później. Motywem decyzji króla była konieczność poszerzenia podstawy swych rządów, ale za cenę częściowej reorientacji dotychczasowej polityki prohabsburskiej. Zadzik jako podkanclerzy, a niebawem (od 1628 roku) kanclerz, skupił wokół siebie biskupów wywodzących się z sieradzkiego, a sprawujących rządy w najważniejszych diecezjach Wielkopolski, oraz najbardziej wpływowych magnatów małopolskich – wyłącznie katolików. Przy ich poparciu rozluźnił związki Zygmunta III z Habsburgami i doprowadził do zawarcia wprawdzie niekorzystnego, ale koniecznego dla Rzeczypospolitej rozejmu ze Szwecją. W następnej kolejności kanclerz złagodził konflikt o egzorbitancję, a osiągnięty w tej sprawie kompromis usankcjonowano paktami konwentami Władysława IV. Porażką Zadziką było przeprowadzenie wyboru władcy według starych zasad, a jednocześnie sukcesem spokojny przebieg najkrótszego z dotychczasowych bezkrólewí. Ceną za zawarcie ugody między tronem a szlachtą była jednak rezygnacja z przeprowadzenia reform wewnętrznych, które Zadzik dotychczas popierał. Kolejną – spełnienie dążenia szlachty do trwałego unormowania stosunków z Moskwą i Szwecją. Ponieważ Zadzik popierał ten program szlachty, doszło do rozdzwíku między nim a królem, który awansując Zadziką na biskupstwo krakowskie zmusił go do złożenia urzędu kanclerza. Zadzik odchodząc z urzędu miał nadzieję, że w Rzeczypospolitej będzie funkcjonować sprawnie model monarchii mieszanej, zaś układy z Moskwą i Szwecją pozwolą utrzymać państwo z dala od konfliktów europejskich. W celu realizacji tego programu biskup opierał się na realiach w postaci istniejącego układu politycznego, daleki był od efektownych rozwiązań. Taki program mógł służyć i społeczności szlacheckiej i Wazom, o ile Wazowie zamierzaliby związać swoją przyszłość wyłącznie z Rzeczypospolitą. Jednak o ile dynastyczne cele polityki Władysława IV były stałe, o tyle zmienne były układy międzynarodowe, które mogły sprzyjać ich realizacji. Zwrot ku Habsburgom i próby wzmocnienia władzy królewskiej spowodowały w końcu lat trzydziestych narastanie kryzysu zaufania do Władysława IV. Nie bez znaczenia było odsunięcie Zadziką od polityki. Biskup nie dożył czasów, kiedy podjęte przez Władysława IV plany wojny z Turcją pociągnęły za sobą pogorszenie, a w końcu zerwanie układów z Moskwą i Szwecją. Współcześni zgodnie podkreślali zasługi Zadziką w służbie publicznej, większe dla państwa niż Kościoła, choć i na tym polu w ostatnich latach życia biskup miał niemałe osiągnięcia.

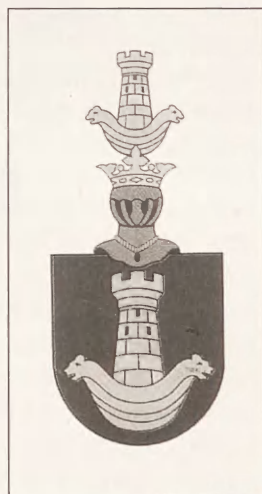
Jakub Zadzik – literatura:

1. Bieniarzówna Jadwiga, *Gospodarka miejska biskupa Jakuba Zadziką 1635-1642*, [w:] *Prace z dziejów Polski feudalnej ofiarowane Romanowi Grodeckiemu w 70 rocznicę urodzin*, Warszawa 1960, s. 466-481.
2. Chłapowski Krzysztof, *Elita senatorsko-dygnitarska Korony za czasów Zygmunta III i Władysława IV*, Warszawa 1996.
3. Dorobisz Janusz, *Jakub Zadzik (1582-1642)*, Opole 2000 (Uniwersytet Opolski, Studia i monografie nr 280).

4. Liedtke Antoni, *Zarys dziejów diecezji chełmińskiej do 1945 roku*, Peplin 1994.
5. Łętowski Ludwik, *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich*, t. II-IV, Kraków 1852-1854.
6. Müller Wiesław, *Alumnat biskupa Jakuba Zadzika w Rzymie w XVII-XVIII w., Christianitas et cultura Europae*. Księga jubileuszowa Profesora Jerzego Kłoczowskiego, cz. 1, Lublin 1998, s. 117-121.
7. Tenże, *Diecezja krakowska w relacjach biskupów XVI-XVII w.*, w: *Roczniki Humanistyczne KUL*, t. XIII, z. 2, 1965, s. 5-149.
8. Nadolny Anastazy, *Jakub Zadzik h. Korab (1582-1642)*, Słownik biograficzny Pomorza Nadwiślańskiego, t. IV, Gdańsk 1997, s. 506-508.
9. Starowolski Szymon, *Wybór z pism*, wyd. Ignacy Lewandowski, Wrocław - Warszawa - Kraków 1991.
10. Szelański Adam, *Jakub Zadzik – wielki biskup krakowski*, [w:] *Przewodnik Naukowy i Literacki*, t. XXXII, 1904, s. 895-904.
11. Wisner Henryk, *Władysław IV Waza*, Wrocław 1995.
12. Tenże, *Zygmunt III Waza*, Wrocław 1991.

Jakub Zadzik – ilustracje:

1. Portret: [w:] Henryk Wisner, *Król i car. Rzeczpospolita i Moskwa w XVI i XVII wieku*, Warszawa 1995, wklejka po s. 64.
2. Cała postać: [w:] Albrecht Stanisław Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, wyd. Adam Przyboś i Roman Żelewski, Warszawa 1980, t. 2, wklejka po s. 160.
3. Fragment nagrobka; [w:] Karolina Targosz, *Kaplica biskupa Jakuba Zadzika w katedrze na Wawelu i jej budowniczy Sebastian Sala*, [w:] *Studia o Dziejów Wawelu*, t. V, 1991, s. 245.



Janina Kumorek

KAPLICZKA W POWROŹNIKU

O krok XXI wiek
wszechobecna nowoczesność
ruchliwa jezdnia
rozkryczane szkolne boisko
okazały stadion
nowe piękne domy

tylko ona
weśniona w dawność
stara krucha kapliczka
jak dyskretny drogowskaz
na rozstaju dróg

dźwiga na sobie
brzemień czasu
ludzkie cierpienia i obojętność
przygniatający hałas

czyjeś ręce posadziły
tam kwiaty
czyjeś usta pochwaliły Boga
czyjeś serce doznało
ukojenia



Kapliczka w Powroźniku
(fot. Stanisław Gajewski)

Leszek Zakrzewski

PANOWIE, ZA ROGIEM SPADŁ SAMOŁOT!

CZYLI

KATASTROFA LOTNICZA W KRYNICY 22 MAJA 1930 ROKU

Formujące się z końcem roku 1918 lotnictwo Polski niepodległej liczyło początkowo jedynie około 40 wyszkolonych oficerów i podoficerów, powiększało jednak szybko swoje szeregi. Już w marcu 1919 roku było 70 pilotów i 40 obserwatorów. Gromadzono zdobyczny i porzucony przez zaborców na polskich lotniskach sprzęt lotniczy. Zdołano zebrać około 200 samolotów różnych typów, znajdujących się w różnym stanie technicznym. Wśród wielu typów używanych samolotów znajdowały się maszyny słynnej z czasów wojny francuskiej wytwórni SPAD, z którymi Polacy zetknęli się jeszcze podczas służby w zaborczych oddziałach lotniczych.

Geneza samolotów SPAD

Wytwórnia Société Provisoire des Aeroplanes Deperdussin (SPAD) została założona w 1911 w Reims przez inż. Armanda Deperdussina. Samoloty SPAD, które konstruował inż. Louis Béchereau, ustanowiły w latach 1911-1913 wszystkie światowe rekordy prędkości, podnosząc wyniki stopniowo od 107 do 204 km/godz. 29 IX 1913 roku na samolocie SPAD, po raz pierwszy w dziejach lotnictwa, przekroczono prędkość 200 km/godz. W roku 1914, po bankructwie Deperdussina, wytwórnia została przejęta przez Louisa Blériota. Zmieniono nazwę na Société Pour l'Aviation et ses Dérivés, pozostawiając jednak skrót SPAD w nazwie zakładów i oznaczeniach typów samolotów. Wytwórnia nastawiła się na produkcję pilnie potrzebnych samolotów wojskowych i 21 V 1915 z taśmy zakładów zszedł pierwszy myśliwiec dwupłatowy, rozpoznawczy SPAD A-1. Razem z późniejszym modelem A-2 wyprodukowano je w ilości kilkudziesięciu egzemplarzy. Następna konstrukcja, typ V, z zastosowanym silnikiem szwajcarskiego konstruktora inż. Marca Birkigta, ośmiocylindrowym w układzie V, weszła już do produkcji w większej serii. Kolejna modyfikacja, z nowym mocniejszym silnikiem Hispano-Suiza, oznaczona SPAD S VII, została wyprodukowana w 1917 roku w ilości 5000 egzemplarzy. Produkowano je również na licencji w Anglii; samoloty tej serii weszły na wyposażenie lotnictwa Belgii, Włoch i Rosji. Następny model SPAD XII CA1 wyposażono w działko 37 mm! W dziewięciu zakładach montujących kolejny model SPAD S XIII C1 wyprodukowano prawie 8500 samolotów, co postawiło samoloty SPAD na czołowym miejscu wśród najczęściej używanych samolotów I Wojny Światowej (łącznie blisko 15 tysięcy sztuk). Pod koniec wojny większość francuskich pilotów myśliwskich latała już na samolotach SPAD, na nich właśnie odnosząc swoje największe zwycięstwa. Francuski as myśliwski, René Fonck, mający 75 zestrzeleń potwierdzonych, potrafił w ciągu jednego dnia zestrzelić 6 samolotów przeciwnika! Po zakończeniu wojny maszyny serii S VII i S XIII były jeszcze używane przez wojska różnych państw do połowy lat 20. Stabilność w locie,

łatwość pilotażu przy dużej prędkości i solidność konstrukcji, odpornej na duże przeciążenia i wytrzymałość na uszkodzenia poniesione podczas walki, przyniosły modelom VII- XIII dużą popularność wśród pilotów. Chociaż produkowano kolejne modele, myśliwce Blériot-SPAD z lat 30. nie dorównywały już sławą swym poprzednikom, a firma wycofała się z rynku ostatecznie w 1937 roku.

Samoloty SPAD trafiają do Polski

W rozpoczynającej niepodległy byt Polsce, w miarę rozwoju sił lotniczych, okazało się, że znajdujące się na wyposażeniu polskiej armii samoloty nie wystarczą do zapewnienia zdolności bojowej lotnictwa. Postanowiono dokonać zakupów poza granicami kraju. Działająca w Paryżu Polska Misja Zakupów Wojskowych, kierowana przez generała Jana Romera (absolwenta I Gimnazjum w Nowym Sączu, brata słynnego kartografa), sprowadziła z Francji kilkadziesiąt samolotów, a wśród nich 40 egzemplarzy SPAD S XIII i 18 sztuk SPAD S VII. Weszły one natychmiast do działań bojowych na froncie ukraińskim i brały udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Samoloty te służyły później do szkolenia pilotów oraz w jednostkach liniowych, przez kilka lat po zakończeniu działań wojennych. Ostatnie egzemplarze samolotów SPAD S XIII skasowano w 1924 roku. W połowie lat 20. Polska uzyskała od Francji materiałową pożyczkę na rozwój lotnictwa. Sprawujący od 1 VII 1924 funkcję szefa Departamentu Żeglugi Powietrznej gen. Włodzimierz Zagórski, realizując swój niekonsultowany szerzej i nierealny z powodu zbyt dużego rozmachu plan rozwoju polskiego lotnictwa, dysponując funduszami pochodzącymi z przyznanej pożyczki, rozpoczął znaczne zakupy sprzętu we Francji. W krótkim czasie dokonano importu 683 samolotów i 150 przestarzałych silników rotacyjnych Le Rhône. Wśród sprowadzonych w 1925 roku samolotów były również nowe samoloty myśliwskie SPAD 61C1 (250 sztuk i 30 zmontowanych w Polsce; według francuskiego nazewnictwa 61 – oznaczało numer typu samolotu, litera C – chasseur, czyli myśliwiec, cyfra 1 – jednomiejscowy), które przydzielano do jednostek lotniczych od marca 1926 roku. Z końcem 1927 roku pojawiły się samoloty SPAD 51C1, które wprowadzano do jednostek w miejsce poprzedniego typu. Niestety sława marki całkowicie nie przystawała do jakości obu nowych modeli samolotów. Były one zasadniczo prototypami, nie używano ich wcześniej we francuskiej armii. Przy odbiorze samolotów nie sprawdzono wytrzymałości konstrukcyjnej; później okazało się, że współczynnik bezpieczeństwa konstrukcji w rzeczywistości wynosił 6,5 zamiast projektowanego 13, czyli 50% założonej wartości. Myśliwce SPAD były niezbyt sztywne i zdarzało się często, że w przypadku przekroczenia pewnej prędkości granicznej, zwłaszcza podczas akrobacji na SPADzie, pilot nie był w stanie wyprowadzić maszyny z korkociągu, w który wpadała, co kończyło się nieuchronnym rozbięciem o ziemię i śmiercią lotnika. Podczas korkociągu pilot nie miał szans na opuszczenie nurkującej maszyny i skok ze spadochronem; poza tym warto wiedzieć, że spadochrony w polskim lotnictwie wojskowym wprowadzono do powszechnego użytku dopiero w 1929 roku. Dodatkowo wskutek wadliwej konstrukcji powtarzały się ciągle tragiczne przypadki urywania się skrzydeł, co było przyczyną licznych wypadków lotniczych, przeważnie śmiertelnych. W dodatku zdarzały się również zatrzymania silników w czasie lotu.

W okresie eksploatacji tych samolotów, w latach 1926-1933, wydarzyło się co najmniej 29 wypadków zakończonych śmiercią pilota; nie znamy ilości katastrof, z których lotnicy wyszli z życiem, odnosząc obrażenia różnego stopnia. Na skutek licznych interwencji dowódców jednostek lotniczych, Szef Departamentu Aeronautyki Ministerstwa Spraw Wojskowych telegramem L. 3906/31 (rozkaz dzienny z dn. 6 V 1931) zabronił wykonywania akrobacji na tych samolotach. Przez jakiś czas z braku innych samolotów były jeszcze używane w szkoleniu pilotów, jednak już od stycznia 1931 wycofywano je z liniowych jednostek i zastępowano polskimi PWS-10. Ostatnia katastrofa na tego typu samolocie miała miejsce w lutym 1933 roku. Ostatecznie samoloty te, jako niebezpieczne, wycofano całkowicie i skasowano.

Garść danych o samolocie

Samolot SPAD 61C1 był dwupłatem konstrukcji drewnianej z płóciennym poszyciem o rozpiętości skrzydeł 9,57 m, długości 6,98 m i wysokości 2,90 m, powierzchni skrzydeł 29,3 m², masie 1055 (1034) kg – z całkowitym obciążeniem 1565(1531) kg. Silnik Lorraine-Dietrich LO 12Ew posiadał moc 450 KM, co pozwalało na osiągnięcie prędkości 227 (237) km/godz i wzniesienie się na pułap 7500 m, przy zasięgu 400 km. W samolotach myśliwskich SPAD 51C1 i SPAD 61C1 stosowano stare modele km pilota Vickers wz. 09/18, które strzelały początkowo angielską amunicją karabinową kal. 7,7 mm, a następnie zostały przerobione na amunicję polską Mauser kal. 7,9 mm.

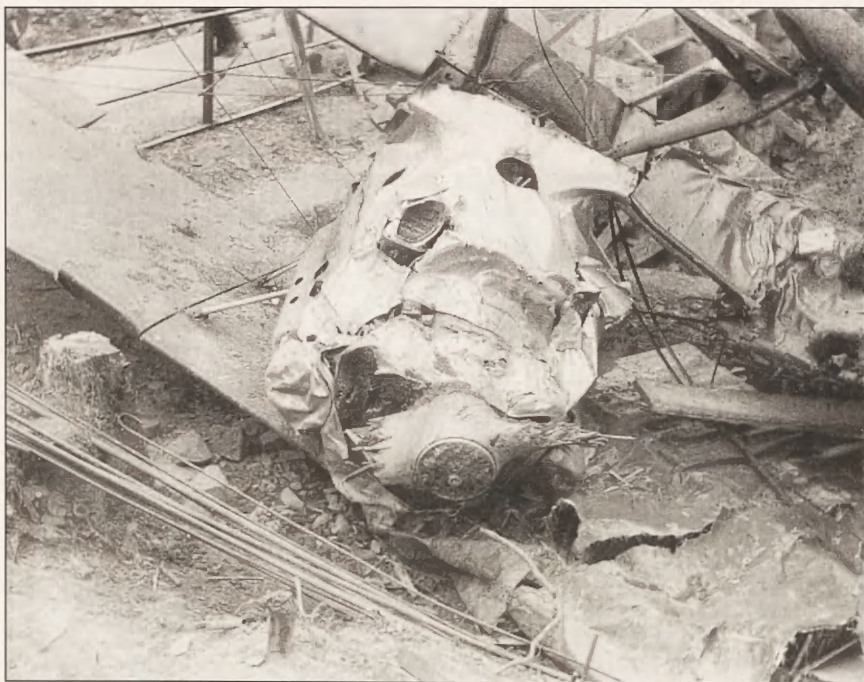


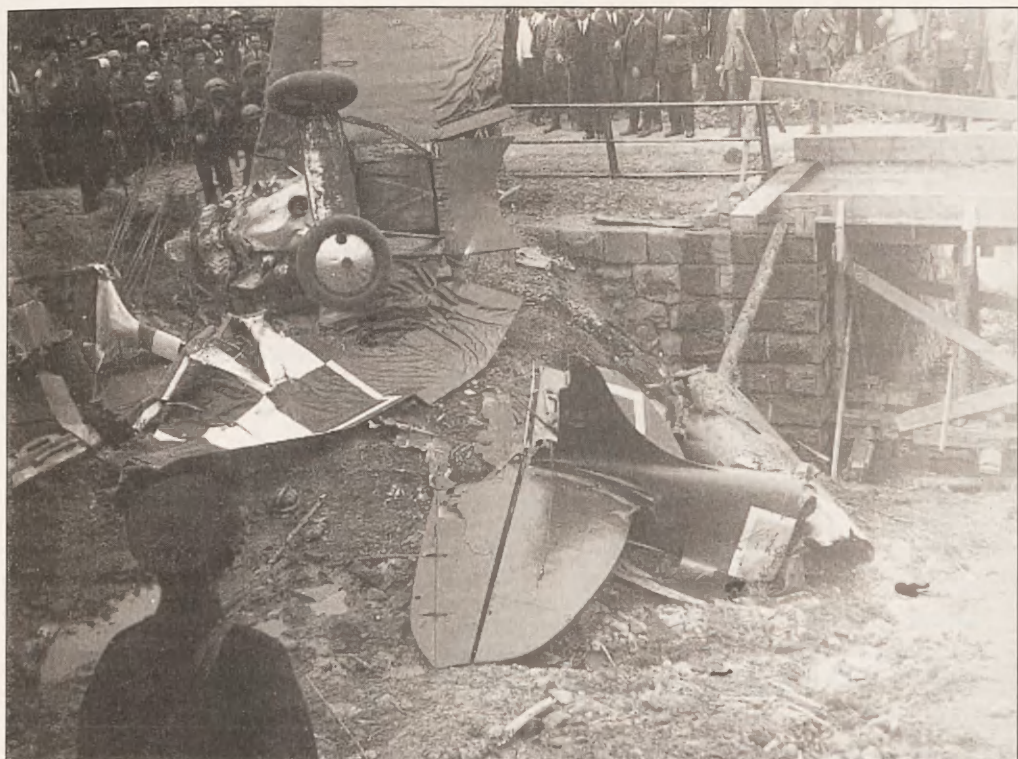
Samolot myśliwski SPAD 61 C1 w barwach 122 Eskadry Myśliwskiej 2 Pułku Lotniczego z Krakowa

rys. Leszek Zakrzewski

Katastrofa w Krynicy

Cóż jednak wspólnego miał wojskowy samolot myśliwski z Sądecczyzną? Otóż jedna z katastrof tego typu samolotów wydarzyła się 22 V 1930 roku w samym centrum Krynicy. Samolot SPAD 61C1, pilotowany przez mjr'a pil. Witolda Prosińskiego, spadł w środku miasta, rozbijając się na mostku nieopodal budynku obecnego sanatorium kolejowego, przy dzisiejszej ulicy Ebersa. Maszyna należała do 122 Eskadry Myśliwskiej, wchodzącej w skład 2 Pułku Lotniczego w Krakowie. Z tamtego wydarzenia zachowały się trzy fotografie przechowywane w rodzinnym archiwum państwa Walczyków z Krynicy. Na zdjęciach bardzo dobrej jakości widać wyraźnie fragmenty rozbitej maszyny i pilnującego ich policjanta. Mostek, obok którego uderzył samolot, był jeszcze w budowie; na fotografii przód samolotu, który skapotował przy upadku, leży tuż przed wiązką prętów zbrojenio-owych przygotowanych do wzmocnienia betonowej konstrukcji mostka. Wokół tłumy licznie zgromadzonych gapiów. Z danych dotyczących katastrof lotniczych w Polsce w latach 20. i pierwszej połowy 30., zebranych i podanych w głośnym przed wojną tzw. „memoriale Kubali”¹, wynika, że pilot przeżył katastrofę i ranny został przewieziony do szpitala. Patrząc na te stare fotografie, aż trudno w to uwierzyć.





Los człowieka

Katastrofa w Krynicy zakończyła karierę wojskową majora Witolda Prosińskiego. W zachowanych aktach osobowych, przechowywanych w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie znalazła się adnotacja: *Uległ nieszczęśliwemu wypadkowi w Krynicy podczas lotu służbowego i został oddany w leczenie z ran do Domu Zdrowia w Krynicy 22. V. 1930 r. Do macierzystego III Dywizjonu wrócił 31 V 1930, stamtąd odesłano go na urlop „kuracyjny” do połowy lipca tegoż roku. Orzeczenie o zdolności fizycznej do służby w powietrzu, wydane po wypadku lotniczym w Krynicy, głosiło: *Badany w okresie od 30. IX. 1930 do 2. X. 1930 tak zwany przegląd okolicznościowy. Uznany za zdolnego do służby w powietrzu jako pilot. Ale równocześnie dowództwo wydało następującą ocenę: Bardzo dobry pilot, oficer o prawym charakterze, ostatnio wskutek ciężkiego wypadku lotniczego poważnie uszkodzony cieleśnie. Bardzo słaby dowódca, zdradzający chęć wystąpienia z czynnej służby wojskowej. Nie do użycia w czynnej służbie wojskowej wskutek niebezpiecznej służby lotniczej, a specjalne trudności dowodzenia lotnictwem skłaniają do postawienia wniosku na zwolnienie go z wojska. Przejścia jego na tle służby wojskowej nakazują wyrozumiałość postępowania władz w stosunku do jego osoby. Nie nadaje się do służby innej.**

Dowódca 3. Grupy Aeronautycznej z siedzibą w Krakowie (której podlegał III Dywizjon) wydał orzeczenie: *nie ma chęci do służby czynnej – oficer poważny, inteligentny – jednak w żadnym dziale służby czynnej w lotnictwie nie do użycia. Pozbawiony energii – bez zapału i chęci do służby wojskowej. Powinien być zwolniony.*

Jakie koleje losu doprowadziły tego człowieka do miejsca, w którym nastąpił nagły zwrot w jego cudem uratowanym życiu? Witold Prosiński, syn generała wojsk rosyjskich, Wacława i Eugenii z Kaczkowskich, urodził się 1 IV 1888 (19 III 1888 według kalendarza juliańskiego), w Tamborze w Rosji. Ukończył I Moskiewski Korpus Kadetów, później 6 semestrów Instytutu Górniczego. Do armii carskiej wstąpił 1 X 1912 roku, ukończył kurs w Szkole Oficerów Obserwatorów w Kijowie. Podczas wojny światowej był trzykrotnie ranny – w nogę, pierś i szrapnelem w twarz. W lotnictwie polskim znalazł się w kwietniu 1919 roku – w Eskadrze Lotniczej² przy 4 Dywizji Strzelców gen. Lucjana Żeligowskiego, na krótko w sztabie gen. Hallera w czerwcu 1919 i w 581 Eskadrze Lotniczej (francuskiej) Obserwacyjnej³. Wysłany na kurs w Wyższej Szkole Lotniczej w Poznaniu – Ławicy, latał w Eskadrze Obrony Warszawy w sierpniu 1920 roku i następnie w eskadrach myśliwskich 19, 7, 15, 18, gdzie awansował na dowódcę eskadry, oraz do końca wojny w 13 Eskadrze Myśliwskiej. Po zakończeniu wojny do kwietnia 1924 roku dowodził 13 Eskadrą, później przez pół roku był w Centralnych Warsztatach Lotniczych na Okęciu i przez kolejne dwa lata 1925-1927 dowodził dywizjonem w 11 Pułku Lotniczym stacjonującym w Lidzie⁴, skąd po rozformowaniu jednostki został przerzucony wraz z dywizjonem do Krakowa, gdzie mianowano go dowódcą III Dywizjonu 2 Pułku Lotniczego⁵. Dywizjonem dowodził do końca kariery wojskowej. Podczas swojej służby dowódczej trzykrotnie przebywał na leczeniu w szpitalach – z pewnością wpływ na to miały rany odniesione w wojnie. Niestety po roku 1930 los majora Witolda Prosińskiego jest nam nieznan.

A może ktoś z Czytelników *Almanachu Muszyny* pamięta tamto wydarzenie z własnej młodości lub zna z rodzinnych przekazów? Może ktoś uzupełni nasze wiadomości na temat dalszych losów pilota tej maszyny?



rys. Leszek Zakrzewski

Od autora:

Chciałbym wyrazić podziękowanie Jurkowi Walczykowi za udostępnienie fotografii z rodzinnego archiwum.

Źródła informacji:

1. Bączkowski Wiesław, *Samolot myśliwski SPAD VII - XIII*, Wyd. MON, Warszawa 1987.
2. Raport „Kazimierz Kubala do płk. Zielińskiego, Prokuratora Wojskowego Sądu Okręgowego nr 1 w Warszawie” z dn. 21 XI 1931, w zbiorach Muzeum Regionalnego „Dom na Dołkach” w Starym Sączu.
3. Pawlak Jerzy – *Polskie eskadry w latach 1918-1939*, WKiŁ, Warszawa 1989, wyd. I.
4. Teczka personalna mjr. Witolda Prosińskiego – w zasobie CAW.

Przypisy:

1. Mjr pil. Kazimierz Kubala był znany przed wojną z dwukrotnego udziału wspólnie z mjr pil. Ludwikiem Idzikowskim w polskiej próbie przelotu Atlantyku ze wschodu na zachód w dniach 3 VIII 1928 roku i 13 VII 1929 roku. Pierwsza próba zakończyła się z powodu awarii samolotu wodowaniem u wybrzeży Hiszpanii i w efekcie zniszczeniem samolotu, finałem drugiej była niestety tragiczna katastrofa podczas awaryjnego lądowania na wyspie Graciosa w archipelagu Azorów i śmierć Idzikowskiego. Kubala został w niej ranny, a po powrocie do kraju zajął się krytyką polskich władz lotniczych, zarzucając im błędną i szkodliwą z punktu widzenia interesów Polski politykę zakupów i wyposażenia armii w sprzęt lotniczy – m.in. błędnymi decyzjami dotyczącymi sprowadzenia do kraju nieudanych i niebezpiecznych samolotów SPAD 61C1 i SPAD 51C1. Przez swoją działalność został wydalony z wojska i zmuszony do emigracji. Jeżeli ktoś byłby szerzej zainteresowany osobą mjr Kubali, można sięgnąć do biogramu Kubali mojego autorstwa, opublikowanego w zeszycie „Kroniki Muzealne” nr 1/2001, wydanym przez Muzeum Regionalne w Starym Sączu, wspólnie z tamtejszym Towarzystwem Miłośników Starego Sącza.

2. Najstarsza polska eskadra lotnicza, sformowana 15 X 1918 roku na Kubaniu przy 4 Dywizji Strzelców gen. Lucjana Żeligowskiego pod nazwą Polski Oddział Awiacyjny, po przemieszczeniu dywizji do Odessy zmieniła nazwę na I Awiacyjny Oddział Wojsk Polskich. Na wyposażeniu posiadała 3 stare płatowce Anatra Anasal i LVG. W obliczu załamania się frontu, przerzucona przez Czerniowce do Stanisławowa w czerwcu 1919 roku i kolejno w sierpniu 1919 roku do Brześcia n/Bugiem, gdzie po przeorganizowaniu i nadaniu nazwy „X Eskadra Wywiadowcza”, została odesłana na Poznańską Ławicę w celu przebrojenia i przeszkolenia pilotów na nowym sprzęcie – samolotach Bréguet XIV A2.
3. Francuskie eskadry, przybyłe do Polski z kompletnym wyposażeniem i załogą, były z powodu zakazu wykonywania lotów przez pilotów francuskich przejmowane na stan lotnictwa polskiego i otrzymywały następnie nową numerację.
4. Pilotem w tym pułku był słynny z przelotu na trasie Warszawa - Tokio - Warszawa (22 600 km) w dniach 27 VIII - 25 IX 1926 roku, na samolocie Bréguet XIX A2, kpt. Bolesław Orliński (1899-1994), polski major, pilot wojskowy i doświadczalny. Od 1930 oblatywacz w PZL Okęcie. Podczas II wojny światowej dowódca 305 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Wielkopolskiej” im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Anglii. Po wojnie osiadł w Kanadzie.
5. W 122 Eskadrze Myśliwskiej tego dywizjonu znalazł się również przeniesiony wraz z dywizjonem z Lidy por. Jerzy Bajan (1901-1967), późniejszy uczestnik Międzynarodowych Zawodów Samolotów Turystycznych Challenge w 1932 roku (11 miejsce na samolocie PZL-19; 1 miejsce kpt. Żwirko na RWD-6; Polska 1 miejsce zespołowo) i zwycięzca Międzynarodowych Zawodów Samolotów Turystycznych Challenge 1934 na samolocie RWD-9 S SP-DRD „Jan Śniadecki” (nr startowy 71) z mechanikiem Gustawem Pokrzywką. Do 1939 dowódca Szkoły Pilotów Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa. Ranny w kampanii wrześniowej, później dowódca lotnictwa myśliwskiego Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, gdzie przebywał od 1940 roku. Po wojnie pozostał na emigracji. Działacz Stowarzyszenia Lotników Polskich, współorganizator Polskiego Klubu Szybowcowego w Lasham.



KRYNICA Ogólny widok z lotu ptaka.

Hanna Bień-Bielska

MUSZYNA, JAKĄ PAMIĘTAM ADAM BIEŃ NAD POPRADEM

Wakacje roku 1938 pan sędzia Adam Bień (mój tato) postanowił spędzić z rodziną, tym razem w górach, „nie za wysokich, nie za niskich” – jak to określił – jednym słowem w Muszynie. Mój trzynastoletni brat Janusz miał tutaj wyleczyć swe nawracające anginy, zaś mama – Zofia – skorzystać z mineralnych wód. Było to, strach pomyśleć, całe 64 lata temu i – nie do wiary – zachowała się jakimś cudem w domowych szpargałach kartka pocztowa z roku pańskiego 1938, którą nasi przyjaciele wysłali tam do nas. Otóż i ona: *Dnia 24 lipca 1938, Wielmożni Państwo Ad. Bieniowie, Muszyna ul. Ogrodowa, dom p. Wilczyńskiego ... Zapanaowało u nas ogólne zadowolenie, gdy otrzymaliśmy wiadomość, że szanowni Państwo są zadowoleni z wyboru miejsca.*

Karta pocztowa z lipca 1938 roku do dziś tchnie ową zamierzchłą radością z faktu, że oto Bieniowie dobrze zaplanowali swe wakacje. Mało tego, zachęcili do odwiedzenia Muszyny swych przyjaciół. Tego samego 1938 roku przybył do nas wraz z żoną sędzia Janusz Nowacki, który zostawiwszy żonę pod opieką pani Zofii, wyrwał się wraz z Adamem Bieniem w Wysokie Tatry. W lecie 1939 roku (ostatnie przedwojenne wakacje także spędziliśmy w Muszynie, tym razem mieszkając w willi „Modrzew”) wybrała się z nami do Muszyny żona sędziego Brunona Radgowskiego, pani Serafina Radgowska z synem Michałem (późniejszy redaktor i felietonista tygodnika „Polityka”). Odwiedziła nas także rodzina państwa Dąbrowskich, z córkami Wandzią i Małgosią.

Muszyna. Leżąca nad kamienistym Popradem, w którym oboje z Januszem mogliśmy bawić się całymi dniami, budując z uporem tamy na rwącej rzece. Nasza mama leczyła się, korzystając z mineralnych wód, uradowana, że taniej tu niż w Krynicy, a o ileż więcej swobody dla dzieci. Tato Adam, swoim zwyczajem, umieściwszy rodzinę wygodnie i bezpiecznie, urządzał wycieczki w dalsze partie gór. Przysyłał nam z owych wypraw widokówki. Jedna zachowała się, wysłana z Czorsztyna, a w niej okrucy jego nieustannego zachwyty nad światem: *Coraz dalej, coraz piękniej, pozdrawiam – Adam.* Nie tylko wędrował, ale także fotografował, utrwalając w ten sposób piękno oglądanego świata, piękno Muszyny i jej okolic lat 1938 i 1939. I jest tak, że za sprawą tych starych fotografii można myślami przenieść się nieomal w tamten czas i krajobraz. Oto częsty motyw: mama Zofia, patrząc z któregoś z okolicznych wzgórz na dolinę Popradu. Jak z lotu ptaka widać na tych fotografiach szczegóły pejzażu: zalesione szczyty, przesłaniające horyzont, niżej szachownica pól, zabudowania, droga wiodąca ku mostowi na rzece. Jakże ciekawe byłoby spojrzenie na dzisiejszą Muszynę, może z tego samego miejsca, tego samego wzgórza, z którego przed wielu laty patrzyła na nią zamyślona pani Zofia. Potem należałoby pójść nad rzekę, zadać sobie trud odnalezienia tego miejsca tuż nad samą wodą, gdzie tato Adam Bień stał z córką na rękach.

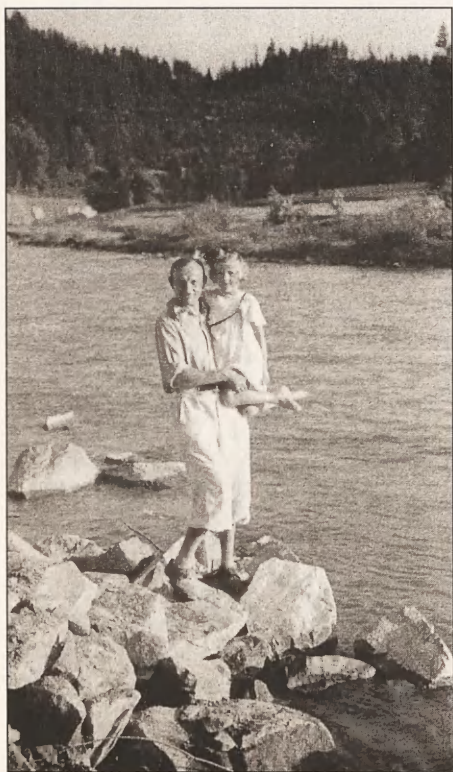
Pod koniec naszego drugiego pobytu w Muszynie, chyba to było już w sierpniu 1939 roku, zorganizował nam ojciec wycieczkę na Jaworzynę, co w kręgach znajomych

wydało się ogromnym turystycznym wyczynem. Pamiętam, że w pobliżu naszego pensjonatu „Modrzew” mieszkała pewna żydowska rodzina: dwie tęgie córki i ich mama. Ona to właśnie, widząc nas, wyruszających na ową Jaworzynę, wyraziła swą dezaprobatę: – „Kto widział, takie małe dziecko na taką wielką górę?”

Nic nas jednak nie powstrzymało, zdobywaliśmy szczyt w trudzie, ale wesoło i ze śpiewem. Najpierw była to, na melodię „Wojenko, wojenko”, ułożona przez nas pieśń o wędrujących „tatusiach z dziećmi i kabanosami”. Powrotnej zaś drodze towarzyszył taki oto utwór: „A gdy się szczęśliwie zakończy wycieczka, to tatuś i dzieci wrócą do miasteczka...”

I tak się też stało. Szybko, szybko trzeba było wrócić do miasteczka, do naszej Muszyny, i potem jeszcze szybciej spakować się i odjechać stąd pociągiem wyjątkowo zatłoczonym. Wyczuwało się niepokój, choć na ogół wszyscy zgodnie powtarzali: „wojny nie będzie, wojny nie będzie”...

Pamiętam, że tym samym co my pociągiem wracała do Warszawy poznana w Muszynie żydowska rodzina, mama i dwie córki. Siedziały w sąsiednim przedziale. Panny poznały w pociągu chyba kogoś interesującego, bo słychać było, jak grzecznie i dość głośno przedstawiały się komuś jedna przez drugą, wymieniając swe imiona: „A ja jestem Henia, a ja po prostu Elza”. Dziewczęta z tamtych lat. Gdzie one?



Adam Bień z córką Hanią nad Popradem

Aż dziwne, że do Muszyny nie udało się nam przyjechać nigdy potem... Lata wojny... Adam Bień, współtwórca Polskiego Państwa Podziemnego, w okresie okupacji Pierwszy Zastępca Delegata Rządu na Kraj, przewodniczący Rady Narodowościowej, bez reszty oddał się konspiracyjnej pracy. W marcu 1945 roku został podstępnie aresztowany i wraz z innymi przywódcami Podziemnego Państwa skazany w procesie Szesnastu na pięć lat więzienia, po czym osadzony na moskiewskiej Łubiance. Więzienie przetrwał. Wrócił w sierpniu 1949 roku. Dwa miesiące później, w październiku tegoż roku był nawet blisko Muszyny, gdy w Krynicy kurował nadwątłone przez więzienie zdrowie. *Kochani* – napisał do nas w liście z dnia 15 października 1949 roku – *byłem na Jaworzynie (...) nareszcie mogłem znowu iść kamienistą ścieżką w górę i w dół, leżeć na miękkiej trawie, wsłuchiwać się w ciszę leśną, śledzić cudowną grę jesiennych kolorów (...).* Czy pamiętacie jeszcze – dodał w innym liście – *nasze przed dziesięciu laty wakacje w Muszynie.*

No, a dzisiaj oglądam sobie ze wzruszeniem stare fotografie z Muszyny, ową przeszłość

zarejestrowaną aparatem taty Adama (do dziś ten historyczny aparat marki Contax obejrzeć można w Domu Pamięci Adama Bienia, w jego rodzinnej Ossali). Na jedno ze zdjęć patrzę dłużej: Muszyna, rok 1939, grupa osób na schodkach, wiodących do willi „Modrzew”. Dwie niezapomniane, dawno już nieżyjące mamy, Bieniowa i Radgowska oraz dzieci: Michał Radgowski, przyszły redaktor, Janusz Bień, też redaktor (umarł w roku 1989) i ja – Hania Bień. Okazuje się, że z tej malowniczej grupy tylko nas dwoje, Michał, o ile mu zdrowie pozwoli, no i ja, moglibyśmy się jeszcze raz w życiu wybrać do Muszyny. Może stanęlibyśmy na tych samych schodkach, jeśli willa „Modrzew” istnieje, a potem w gronie muszynian obejrzelibyśmy sobie fotografie taty Bienia. Jedno niepokoi, nieco inaczej wyglądamy na tych bardzo starych zdjęciach, niż dziś...



Na schodach willi „Modrzew”. Od lewej: stoi pani Radgowska, siedzą: Zofia Bieniowa i Hania, wyżej na poręczy Janusz, stoi Michał Radgowski (obie fotografie z archiwum autorki)

Jerzy Krzyś

KAZIMIERZ HEILMAN-RAWICZ SYN KIEROWNIKA MUSZYŃSKIEJ SZKOŁY

Wśród osób w jakiś sposób związanych z Muszyną wymienić trzeba Kazimierza Heilmana-Rawicza, którego życie wypełnione było służbą dla Ojczyzny. Oto jego niecodzienne *curriculum vitae*:

Urodził się w dniu 27 lutego 1896 roku w Błazowej koło Rzeszowa, jako drugi syn nauczyciela, Antoniego Heilmana, który następnie w latach 1912-1925 był powszechnie znanym i szanowanym w Muszynie kierownikiem („nauczycielem kierującym”) szkoły ludowej. Kazimierz uczęszczał do gimnazjum we Lwowie, Stanisławowie i w Nowym Sączu. Wychowany w duchu polskości, był od wczesnych lat aktywnym członkiem Polskich Drużyn Strzeleckich, a w Sączu już ich instruktorem. Obrął sobie pseudonim konspiracyjny „Rawicz”, który w następnych latach dodawał do nazwiska rodowego. Po wybuchu I wojny światowej wyruszył na front jako osiemnastoletni podporucznik, dowodząc plutonem w 3. pułku piechoty II Brygady Legionów Polskich. Brał udział we wszystkich bojach tego związku, a po słynnym buncie „przysięgowym” i po bitwie pod Kaniowem dostał się do niewoli niemieckiej, z której zbiegł. Z rozkazu dowództwa Polskiej Organizacji Wojskowej w Warszawie został wysłany do oddziałów polskich aż na Kubań, dokąd przedzierał się przez tereny Ukrainy objęte rewolucją październikową. Z tym wojskiem dotarł do Francji, a w czerwcu 1919 roku powrócił do kraju z „Błękitną Armia” gen. broni Józefa Hallera.

W czasie działań na froncie wschodnim w 1919 i 1920 roku dowodził już batalionem w 2. pułku piechoty Legionów w stopniu kapitana. Za swoją dzielność był odznaczony czterokrotnie Krzyżem Walecznych. W latach 1922-1924 pełnił obowiązki dowódcy batalionu w 59. pułku piechoty w Inowrocławiu, a następnie przez dwa lata był wykładowcą taktyki na kursach oficerskich w Chełmnie. W 1926 roku został przeniesiony do Korpusu Ochrony Pogranicza nad Dźwiną. W 1931 roku został z kolei przeniesiony służbowo do Bydgoszczy na stanowisko zastępcy dowódcy 62. pułku piechoty, a w pięć lat później został jego dowódcą. Jak stwierdzali byli podkomendni, ppłk K. Heilman-Rawicz dowodził pułkiem nader energicznie, nadzorując także naukę przyszłych oficerów na kursach podchorążych rezerwy piechoty, rozbudowywanie umocnień nad Brdą, organizowanie dwóch batalionów Obrony Narodowej „Kcynia” i „Żnin” oraz formowanie rezerwowego pułku piechoty w Zambrowie. Nagrodą był Order Poloniae Restitutae.

W latach dwudziestych swoje urlopy spędzał wielokrotnie wraz z rodziną w Muszynie, dając wyraz swojemu wielkiemu przywiązaniu do ojca. Także w latach trzydziestych, podobnie jak jego liczna rodzina, był na letnisku w Muszynie (Folwarku).

W czasie Wojny Obronnej 1939 roku macierzysty pułk, dowodzony nadal przez ppłka Heilmana-Rawicza, a wchodzący w skład 15. Dywizji Piechoty Armii „Pomorze”, był w boju od pierwszego dnia działań. Stoczył następnie krwawe bitwy pod Wtelnem,

Tryszczynem, Chmielnikami, Włocławkiem, Gąbinem i Brochowem i w całości przedostał się do Warszawy. W czasie jej oblężenia bronił ważnego odcinka „Sielce”, to jest ulicy Czerniakowskiej i Belwederskiej, oraz Łazienek i Belwederu. Za okazane osobiste męstwo w boju został odznaczony Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari. Po kapitulacji stolicy uniknął sprytnie niewoli, znalazłszy schronienie po pozorowanej operacji wyrostka robaczkowego.



Pptk Kazimierz Heilman-Rawicz (1936 r.)

Następnie z grupą zaufanych oficerów przedostał się do bliskiej rodziny w Głogowie Małopolskim i rozpoczął organizowanie ruchu konspiracyjnego w Rzeszowskiem. Pozostawiając rodzinę (żonę i czworo dzieci), przedarł się w grudniu 1939 roku, wraz z podkomendnymi i najstarszym synem, via Muszyna na Węgry. Tam jednak otrzymał misję dalszego rozwijania ruchu oporu w kraju oraz dokumenty na nazwisko Jana Hilknera. Niestety, w czasie drogi powrotnej z Budapesztu został zdradzony przez bieszczadzkiego przewodnika i pojmany wraz z towarzyszami w Baliogrodzie. Po więzieniu w Sanoiku i Tarnowie, został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (nr 9319), gdzie jako pierwszy (w marcu 1941 roku) zorganizował obozową komórkę Związku Walki Zbrojnej. Następnie współpracował konspiracyjnie z pułkownikiem Aleksandrem Stawarzem (w 1939 roku dowód-

cą 2. Brygady Górskiej z Nowego Sącza) i rtm. Witoldem Pileckim (emisariuszem Komendy Armii Krajowej). W fundamentalnej pracy dra Józefa Garlińskiego pt. „Oświęcim walczący” nazwisko Heilmana-Rawicza (lub Hilknera) wielokrotnie przewija się na kartach książki. W obozie nie został jednak przez Niemców zidentyfikowany, chociaż był przez nich intensywnie poszukiwany, z zemsty za udział 62. pułku piechoty w stłumieniu aktów niemieckiej dywersji w Bydgoszczy, w dniach 3 i 4 września. W Oświęcimiu spotkał przypadkowo swojego młodszego brata Jana Tadeusza Heilmana, muzyńskiego „krzaka”,

sekretarza miejscowego Sądu Grodzkiego, który zaraz włączył się do poczynañ obozowego ruchu oporu. Niestety, po dekonspiracji muszynian Jan Tadeusz trafił do karceru, a następnie został rozstrzelany w dniu 2 maja 1942 roku. Organizacja załatwiła zaś przeniesienie Kazimierza do obozu koncentracyjnego w Mauthausen (sierpień 1942), w którym doczekał się wyzwolenia przez wojska alianckie. Wyniszczony pięcioletnim uwięzieniem przebywał następnie przez kilka miesięcy na leczeniu w Nicei, ale nabrawszy sił, powrócił do kraju.

Osiadł z rodziną w Gliwicach, gdzie pracował do emerytury w Zjednoczeniu Przemysłu Chemicznego jako zwykły urzędnik. Wiódł żywot spokojny, nie należąc do żadnej partii i organizacji. Nieraz tylko wieczorami notował swoje wspomnienia wojenne, które pozostały w rękopisach. Zmarł w dniu 12 grudnia 1969 roku jako schorowany „emeryt cywilny”. Jedynym reliktem jego długoletniej służby wojskowej była szabla oficerska włożona do trumny przez dawnego zbrojmistra pułkowego. Pamięć o ppłk. Kazimierzu Heilmanie-Rawiczu trwa dotąd w bydgoskim i gliwickim środowisku kombatanckim, a osoba jego była tematem licznych artykułów, a nawet biograficznej pracy naukowej na Uniwersytecie Śląskim.

Ponieważ Kazimierz otaczał Muszynę niezwykłym sentymentem, pozwoliłem sobie przedstawić na gościnnych stronach *Almanachu Muszyny* (jako siostrzeniec pułkownika) tę niezwykłą sylwetkę żołnierza z poplątanych „polskich dróg” do Niepodległości i Wolności. Archiwum rodzinne przechowuje i gromadzi Stanisław Heilman (syn Jana Tadeusza) z Muszyny.

Od redakcji:

Czytelników zainteresowanych postacią ojca Kazimierza, Antoniego Heilmana, odsyłamy do artykułu w Kwartalniku Miłośników Ziemi Muszyńskiej nr 3 z 1991 roku pt. „Nauczyciel kierujący”.



Ppłk Kazimierz Heilman-Rawicz w czasie defilady w Bydgoszczy, na czele 62 pułku piechoty
(obie fot. z archiwum autora)

Štefan Popovič

TERÉZIA VANSOVÁ A VANSOVEJ LOMNIČKA

Po stopách

Ako učiteľ slovenského jazyka a literatúry na Gymnáziu v Starej L'ubovni som pred 40 rokmi išiel s priateľom do obce Lomnička neďaleko Podolíncu (20 km od Starej L'ubovne) hľadať stopy spisovateľky, redaktorky a najmä ženy s veľkým srdcom – Terézie Vansovej. Nič som však nenašiel. Ani hrobček jej jediného synčeka L'udovíta, ktorého na briežku 5-ročného pochovala. Ani evanjelickú faru, kde spolu s manželom prežili 7 rokov. Neodradilo ma to. Cítil som, že jej duch v našom okrese pretrval a treba ho len oživiť.

So skupinou nadšencov sme začali konať. V spolupráci s Maticou slovenskou v Martine sme v roku 1967 pripravili v Lomničke stálu výstavku o živote a diele T. Vansovej, vydali sme publikáciu o jej pobyte v Lomničke a zorganizovali dôstojnú spomienkovú slávnosť pri príležitosti 110. výročia narodenia. Úspech nás povzbudil. Už vtedy sme chceli založiť určitú tradíciu. Rozhodli sme sa každý rok organizovať súťaž žien od 18 rokov v prednese poézie a prózy. Nazvali sme ju Vansovej Lomnička.

Vansovej Lomnička

Začiatky boli nesmelé, skromné a ťažké. Nebolo financií ani skúseností. Najprv súťazili len ženy v rámci okresu (powiat) Stará L'ubovňa, neskôr východného Slovenska, ale už v. ročník mal celoslovenský charakter. Zvyšovala sa kvantita i kvalita. Netušili sme vtedy, aký košatý strom vyrastie zo semienka ušľachtilej myšlienky dať ženám možnosť prejaviť sa.

Približne prvých 10 ročníkov sa organizovalo v Podolínci, potom sa kvôli lepším podmienkam finále súťaže prenieslo do Starej L'ubovne. Recitátorky museli prejsť okresnými, neskôr aj krajskými (regionálnymi) kolami, aby sa prebojovali na celoslovenský festival. Špecifikom Vansovej Lomničky je srdečná, priam rodinná atmosféra a vzájomná žičlivosť. Už dávno to nie je iba tvrdá súťaž, v ktorej ide o umiestnenie. Je to predovšetkým stretnutie spriaznených duší. Veď ženy na Vansovej Lomničke recitujú nielen pre vlastnú sebarealizáciu. Rozsievajú silu umeleckej pravdy preto, aby pôsobili na dušu človeka a prehlbovali v nej čistotu, ľudskosť, toleranciu a krásu. Žena a krása patria k sebe.

Spštením a obohatením Vansovej Lomničky bola skutočnosť, že sa v ďalšom priebehu poskytla možnosť recitovať aj ženám iných etníc na Slovensku. Pribudol prednes v ukrajinskom, rusínskom a maďarskom jazyku. Takto nadobudla aj internacionálne prvky. Škoda len, že v ostatných rokoch je cudzojazyčných prednesov menej.

Hostia z Poľska

Keďže tento článok píšem pre Almanach Muszyny, musím s radosťou spomenúť, že sme na Vansovej Lomničke privítali aj hostí so spriateleneho Poľska. V XXI. ročníku

(1986) sme okrem delegácie žien z Maďarska, ZSSR a Českej republiky privítali aj delegáciu žien z Biecza. Dve členky aj prispeli do kultúrneho programu v rámci Večera družby: Agata Szarowicz – recitácia a Apolonia Sikorska – spev. Aj na XXII. ročníku (1987) bola 3-členná delegácia z Biecza. Na XXVIII. ročníku (1995) bola naším hosťom pani Irena Halota, prezidentka regionálnej rady Ligy poľských žien (Zarząd Wojewódzki Ligi Kobiet Polskich) z Opole.

Gymnázium Terézie Vansovej

Môže nás tešiť, že Vansovej Lomnička prebieha práve v Starej L'ubovni, starobydom, ale aj mladom meste, kde má každá krása, aj krása umeleckého slova zelenú. Pestrými farbami hýriaca jeseň tvorí každoročne kulisu festivalu. Pre desiatky žien a dievčat z celého Slovenska, aj pre nás domácich, je to naozajstný sviatok. Toto ušľachtilé podujatie organizuje popri Únii žien Slovenska práve Mesto Stará L'ubovňa a L'ubovnianske osvetové stredisko. Mimoriadnu podporu a priazeň mu poskytuje primátor mesta RNDr. Valent Jaržembovský.

Rovnako sme hrdí, že pri príležitosti ostatného XXXIV. ročníka Vansovej Lomničky (26. - 27. 10. 2001) bol nášmu gymnáziu (kde som 23 rokov pôsobil ako pedagóg) prepožičaný čestný titul Gymnázium Terézie Vansovej v Starej L'ubovni. Boli tak ocenené mimoriadne aktivity školy a podiel na organizovaní Vansovej Lomničky. Certifikát Ministerstva školstva Slovenskej republiky prevzal riaditeľ školy na slávnostnej akadémii za účasti profesorov, žiakov a hostí. Privítali sme aj delegáciu Mládežníckeho visegrádskeho klubu z Gymnázia (Liceum) v Muszyne a zástupcov Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej. Táto návšteva bola súčasťou Projektu Muszyna / L'ubovňa / Visegrad 2001. V budove školy bola vernisáž stálej expozície „Terézia Vansová a Vansovej Lomnička“, v ktorej sú použité dokumentačné materiály zo súkromného archívu autora tohto textu.

A teraz chceme aj čitateľom Almanachu Muszyny priblížiť život a dielo spisovateľky a redaktorky Terézie Vansovej.

Terézia Vansová (1857 - 1942)

Terézia Vansová, rodená Medvecká, sa narodila 18. 4. 1857 vo Zvolenskej Slatine (bývalá Zvolenská župa). Bola dcérou evanjelického farára Samuela Medveckého a Terézie, rodenej Lange. U Medveckých už mali 6 detí, takže sa Terke nevel' mi potešili, tým viac, že sa narodila útla a slabučká. Od malička však vynikala živosťou a veselosťou, mala pozoruhodnú vnímavosť a fantáziu.

Jej otec patrila medzi uvedomelých národných buditeľov. V rodičovskom dome bol živý ruch, časté návštevy spisovateľov a národovcov. Zvedavú a po novotách túžiacu Terezku to neobyčajne obohacovalo. Tým viac, že sa jej dostalo iba skromného školského vzdelania. Ukončila 6 tried ľudovej školy a 2 roky pobudla v dievčenských ústavoch, kde sa zdokonalila v nemčine a maďarčine. 14-ročné dievča cíti, že získané vzdelanie je nedostatočné, nuž sa ho snaží dopĺňať po celý život čítaním a samovzdelávaním. Čitateľská vášň vyburcovala v nej tvorivú fantáziu. Začína potajomky písať veršičky, ktoré sú odrazom mladej a citlivej duše. Nik o tom nesmie vedieť, najmä nie mužský svet.

Pobyt v Lomničke

V roku 1875 sa 18-ročná Terézia vydala za Jána Vansu, evanjelického farára v Lomničke (bývalá Spišská župa). Vansová s úzkosťou spomínala, že sa vydala mladá, života neznalá, telesne i duševne nevyspelá.

Lomnička bola vtedy prevažne nemeckou dedinou (dnes najmä rómskou). Je tu drsno a studeno. Mrazivý severák bez prestania fučí, kraj je biedny, ľud cudzí rečou, spôsobmi, povahou. Jej prvé dni v Lomničke boli smutné. Neskôr si zvykla a začína rozumieť nielen čudnému nemeckému nárečiu, ale aj srdcu v podstate dobrého a žičlivého ľudu. Spolu s ním zdieľa každodenné starosti a ťažký zápas s biedou. Život mladomanželov sa postupne naplňa šťastím a spokojnosťou.



Evanjelická fara v Lomničke

V roku 1876 sa im narodil túžobne očakávaný synček Ľudovít. Jeho príchod mladá matka neopatrnosťou babice temer zaplatila životom. Ani viac detí už nemohla mať. Ona, ktorá si stále priaľa mať krdel' vlastných detí. Práve poznaním, že to bude jedináčik, rodičia ho opatrovali s neobyčajnou láskou. Avšak malému princovi drsné podnebie neosoží. Je chorľavý a ako 5-ročný zomiera. Utrápenej a zúfalej matke zostal na cintoríne v Lomničke iba opustený hrobček a v duši bolesť. Neskôr v autobiografii odhaľuje trápenie duše: „Nič som ženám tak nezávidela ako deti.”

V Lomničke nemala veľa času na písanie. Tvorí len úchytom. Hoci ju príbuzní odrádzajú od písania (vraj to žene nesvedčí), predsa len z času na čas posielala veršičky, humoresky a články do časopisu Karpátenpost, vychádzajúceho v neďalekom Kežmarku. Literárnu hodnotu má aj denník, ktorý si písala v Lomničke. Tu prežitie roky sa však stali bohatým žriedlom pre ďalšiu tvorbu. Mnohé zážitky, príhody a rozprávania starších ľudí neskôr literárne spracovala. Z neďalekého Hniezdneho získala napríklad námet pre svoj najznámejší román Sirota Podhradských.

Vansovci boli definitívne rozhodnutí opustiť Lomničku, kde im každý kút pripomínal stratené šťastie. Vhodná príležitosť sa naskytla, keď Jána Vansu zvolili za farára v Rimavskej Píle (pri Tisovci). Terézia Vansová s mužom opustili začiatkom roku 1882 Lomničku, ktorá bola 7 rokov ich domovom. Tu prežili vrchol svojho rodinného šťastia, ale aj najkrutejší bôľ svojho života.

Priekopníčka ženského hnutia

Na Píle ich čakali nové pomery a nové povinnosti. Prišli do slovenského prostredia, čo Vansovú veľmi povzbudilo. Bohatou aktivitou akoby sa chcela vyliečiť z nesmiernej bolesti. Na Píle prežila 30 rokov. Tu vznikla aj väčšina jej literárnych prác.

Roku 1898 začala vydávať prvý ženský časopis DENNICA. Vydávala ho 10 rokov. Bola redaktorkou i vydavateľkou, prispievateľkou i administrátorkou. A to na dedine, kde nebola ani pošta. Časopis bol určený na vzdelávanie a prebúdzenie národného povedomia slovenských žien. Začal vnášať prvé svetielko vzdelanosti do života žien koncom 19. storočia. Významná a stále nedocenená je Vansovej účasť na rozvoji slovenského ženského emancipačného hnutia. Bola podpredsedníčkou Živeny – spolku slovenských žien. V nepriaznivých rokoch národného útlaku a maďarizácie koncom 19. storočia a začiatkom 20. storočia na viacerých frontoch bojovala o pozdvihnutie slovenskej ženy – jej postavenia, vzdelania, morálneho rozvoja, sebavedomia. Správne vycítila, že práve v rukách ženy a matky je záchrana a budúcnosť slovenskej rodiny a celého národa.

Dnes je nám ťažko pochopiť, ako táto útla žena dokázala obdivuhodnú aktivitu, pričom bola zatážená aj domácimi prácami a finančnými ťažkosťami. Musela opatrovať aj muža, ktorý začal rapídne chorľavieť. Napokon ho kvôli nervovej chorobe dali do penzie. Vansovci museli opustiť faru na Píle.

V roku 1911 sa Vansová s mužom presťahovala do Banskej Bystrice. Tu prežila ťažké časy prvej svetovej vojny i zložité pomery po vzniku Československej republiky. Ďalším úderom pre Vansovú bol tragický skon manžela. Vyčerpaná celoživotnou prácou Terézia Vansová zomiera 10. 10. 1942 v pozhnanom veku 85 rokov. Pochovaná je v Banskej Bystrici.

Roznášala svetlo a teplo ...

Teréziu Vansovú zaraďujeme do obdobia literárneho realizmu. Napísala 3 romány, 6 divadelných hier, biografické a memoárové knihy, 2 cestopisy, 70 noviel a čít. Vydala aj kuchársku knižku (900 receptov), ktorá vyšla v 5 vydaniach. O čitateľskej úspešnosti jej diel hovoria nasledovné čísla: román *Sirota Podhradských* vyšiel doteraz v 19 vydaniach (300 tis. výtlačkov). Dielo vydali dokonca aj slepeckou tlačou. Zbierka noviel *Julinkin prvý bál* vyšla v 6 vydaniach.

Osud jej doprial prežiť dlhých 85 rokov. Boli to prevažne roky, v ktorých bolo pomenej slnka, radosti, šťastia, zato viac úmornej práce, starostí, utrpenia, nepochopenia, materiálneho strádania. Napriek všetkému dokázala táto útla a chorľavá žena nesmierne veľa. Máme na mysli rozsiahle literárne dielo, obetavú redaktorskú prácu a záslužnú činnosť v ženskom hnutí.



Terézia Vansová

Hľadáme na vyblednuté fotografie naoko slabej starej panej s citlivou tvárou, v prísnom čiernom čepčeku a rozmyšľame: Čo jej dávalo silu? Čo ju podopieralo v tých pre slovenskú ženu ťažkých časoch?

Bola to úžasná mravná sila opretá o kresťanskú vieru, skromnosť, pracovitosť, húževnatosť a najmä odhodlanie pozdvihnúť ženu a národ. Literárny vedec Ivan Plintovič ju vystihol takto: „Bola to žena, ktorá so vztýčenou hlavou kráčala celým svojím životom, žena, ktorá niesla v sebe žiaľ i sen, bolesť i nádej, osud svojho plemena, domova a Slovanstva, žena, ktorá vedela rozmnožovať a znásobovať krásu života, prometeovsky roznášať svetlo a teplo; svetlo, aby sa ľudia vzájomne lepšie videli a teplo, aby im nebolo zima, žena, ktorá viacej rozdávala ako prijímala ...”



V roku 2002 si pripomenieme 145. výročie narodenia a 60. výročie smrti spisovateľky. Verím, že dôstojným uctením jej života a diela bude už XXXV. ročník Vansovej Lomničky v Starej L'ubovni, na ktorom radi privítame aj našich poľských priateľov.



Štefan Popovič na výstave v Gymnázii Terézie Vansovej v Starej L'ubovni

Autor, mgr. Štefan Popovič, je bývalým profesorom Gymnázia Terézie Vansovej v Starej L'ubovni. Je zakladateľom a členom odbornej poroty Vansovej Lomničky.

Rafał Żebrowski

„LETNIA ŁOŻA” B’NEI B’RITH W KRYNICY

Kontynuując prezentację organizacji społecznych, działających w Muszynie i jej okolicach, pragnę zainteresować Czytelników *Almanachu* Związkiem Żydowskich Stowarzyszeń Humanitarnych B’nei B’rith¹, nazywanym w skrócie B’nei B’rith (lub Stowarzyszeniem Humanitarnym). Hebrajskie słowa zawarte w nazwie tej organizacji znaczą tyle, co „Synowie Przymierza”. Wskazują na główną ideę, która przyświecała organizacjom wchodzącym w skład B’nei B’rith. Nawiązuje ona do Przymierza, zawartego przez Boga z ludem Izraela na górze Synaj. Właśnie z niego wynikała misja, jaką miał pełnić w świecie doczesnym naród wybrany, początkowo jedyna społeczność wyznawców monoteizmu wśród ludów oddających cześć wielu bogom. Dla Żydów owego posłannictwa nie przekreśliło późniejsze pojawienie się innych religii monoteistycznych, a więc chrześcijaństwa i islamu, które zresztą odwoływały się do tego samego objawionego źródła – *Biblii* (ściślej do *Starego Testamentu*). Misję ową tak charakteryzował naczelny rabin Zjednoczonych Kongregacji Żydowskich Imperium Brytyjskiego, Herman Adler (1839-1911), w wydanej w 1895 roku książce pt. *Jews in many lands*: „Z Zakonem Boga w ręku i Jego słowami wrytymi w sercu swoim, przeszedł on [tj. Izrael] od końca do końca świat, głosząc swą wiarę w Jedyną Najwyższą Istotę, nigdy nieucieleśnioną. Istotę, której duch wypełnia wszystkich czas i przestwór wszystkich, Istotę, objawiającą się człowiekowi w majestacie stworzenia i we wszechmądrych Jej przykazaniach, co uczą miłosierdzia, miłości i sprawiedliwości”.

B’nei B’rith stawiała sobie jako główne zadanie troskę o „zachowanie i odnowienie duszy żydowskiej”, właśnie w kontekście owej misji, opartej na ogólnohumanistycznych przesłaniach oraz działaniach dobroczynnych. Dążenia te miała realizować organizacja o charakterze elitarnym, skupiająca najwybitniejszych przedstawicieli społeczności żydowskiej. Z tego względu musiała być ona apolityczna, tak by mogła stanowić arenę wymiany myśli oraz podejmowania wspólnych działań przez ludzi różnych przekonań. W pierwszej fazie rozwoju B’nei Brith przejmowała pewne elementy funkcjonowania, upodabniające ją do organizacji masonskich. Były to jednak podobieństwa powierzchowne, wynikające raczej z fascynacji niż z głębiej pojętego naśladownictwa, choćby z tego względu, że od początku organizacja ta miała charakter narodowy. Początek dziejom B’nei B’rith dało powołanie w 1844 roku w Nowym Jorku niewielkiego stowarzyszenia dobroczynnego. Właściwy jego rozwój datuje się od 1865 roku, kiedy to amerykańskie żydowskie stowarzyszenia humanitarne zorganizowały wspólną akcję pomocy dla ofiar cholery w Palestynie. W 1895 roku zaczęła działać Wielka Łoża Konstytucyjna w Cincinnati, będąca władzą zwierzchnią dla dystryktów organizacji. B’nei B’rith stawiała się bowiem siecią stowarzyszeń działających w wielu krajach, w których przyszło żyć Żydom. Zawsze też wśród jej członków silne było poczucie braterstwa. Członkami poszczególnych łóż, wchodzących w skład dystryktów, bywali przedstawiciele społeczności żydowskiej,

mieszkający za stałe nie tylko poza ośrodkami, będącymi ich siedzibami, ale nawet zagranicą. W 1897 roku powstała organizacja kobieca, a w 1913 roku powołano Anti-Defamation League (zwalczającą wszelkie formy zniesławiania judaizmu i Żydów, a więc przede wszystkim odpierającą ataki antysemickie). Od lat 20. XX wieku prowadzono także oddziały młodzieżowe i studenckie (Hillel Foundation). Wraz z rozwojem organizacji następowała jej ewolucja. Już od końca XIX wieku zaczęły się w niej nasilać wpływy prosyjonistyczne (tj. związane z dążeniami do utworzenia państwa żydowskiego w Palestynie), a ostateczny zwrot ku syjonizmowi został potwierdzony uchwałami Wielkiej Łoży Konstytucyjnej w Atlantic City w 1925 roku.

W Europie B’nei B’rith działało od 1882 roku, a początek temu etapowi rozwoju organizacji dała berlińska Łoża Cesarstwa Niemieckiego. Od 1926 roku łoże europejskie jednoczyła organizacja „Wspólnota Pracy”, z siedzibą w Berlinie, co prowadziło do antagonizmów z Wielką Łożą Konstytucyjną, obawiającą się rozbicia jedności opartej na autonomii Dystryktów krajowych i Łóż (Stowarzyszeń Humanitarnych) w poszczególnych ośrodkach. W 1932 roku w Europie istniały 103 łoże, skupiające 13 tysięcy członków. Wśród dziesiętnastu dystryktów krajowych na tym kontynencie, polski miał numer „13”. Po II wojnie światowej organizację europejską powołano na nowo w 1948 roku, z siedzibą w Paryżu. W 1970 roku w 12 krajach, poza Stanami Zjednoczonymi, gdzie B’nei B’rith jest znacznie bardziej popularna, działało 57 łóż. W Jerozolimie w 1888 roku Zeew Herzberg powołał łożę pn. „Jerusalem”. Na ziemiach polskich pierwsze łoże B’nei B’rith powstały w zaborze pruskim: „Concordia” w Katowicach (1883), „Amicitia” w Poznaniu (1885), a następnie „Michała Sachsa”² w Królewskiej Hucie /Chorzowie/ (1903), „Rafała Koscha”³ w Lesznie (1905). W tym zaborze istniały jeszcze łoże w Bydgoszczy, Toruniu, Krotoszynie i Ostrowiu, które uległy likwidacji na początku okresu międzywojennego (ze względu na emigrację do Niemiec większości ich członków). W zaborze austriackim łoże B’nei B’rith zaczęły powstawać nieco później: „Esra”⁴ w Bielsku (1889), „Solidarność” w Krakowie (1892), „Leopolis” we Lwowie (1899), a w okresie międzywojennym – „Humanitas” w Przemyślu (1924) i „Achdut”⁵ w Stanisławowie (1927). Łoże krakowska, wraz z lwowską, zasłużyły się szczególnie, dzięki prowadzonej przez nie akcji pomocy żydowskim uciekinierom z Rosji i Rumunii (od 1899); w 1918 roku, z jej inicjatywy, powstał Komitet Pomocy Żydów Polskich, który objął działalnością całą Galicję. Komitet przekształcono następnie w Związek Towarzystw Opieki nad Sierotami Wojennymi, ściśle współpracujący z warszawskim CENTOS-em⁶. W zaborze rosyjskim rozwój B’nei B’rith nie był możliwy, aż do czasu odzyskania przez Polskę niepodległości; wówczas dopiero powstały łoże „Braterstwo” w Warszawie (1922) i „Montefiore” w Łodzi (1926). Polskie łoże B’nei B’rith w 1924 roku utworzyły Wielką Łożę Polskiego (XIII) Dystryktu B’nei B’rith, z siedzibą w Krakowie. Dokonało się to nie bez protestów niektórych łóż – katowicka i chorzowska, silnie związane z niemiecką prowincją, zostały włączone do polskiego Dystryktu dopiero w 1927 roku. We władzach centralnych B’nei B’rith w Polsce dominowały osoby w większym lub mniejszym stopniu zasymilowane, toteż odmawiano prawa przyjęcia do organizacji potencjalnym członkom, władającym wyłącznie językiem jidysz. Z tego względu nie powstały łoże w Wilnie, Białymstoku, Równem i w Częstochowie. Pierwsze polskie tzw. stowarzyszenia sióstr ukonsty-

tuowały się w 1927 roku w Przemyśle i we Lwowie oraz w Warszawie (1927/1928). Pozostałe loże zaczęły dopuszczać kobiety do udziału w B'nei B'rith dopiero w latach 30. XX wieku. Z pomocy finansowej tej instytucji w Polsce korzystało wiele instytucji społecznych oraz ofiary różnego rodzaju klęsk. Szczególną opieką polski Dystrykt B'nei B'rith otaczał Instytut Nauk Judaistycznych w Warszawie, powstały dzięki inicjatywie wpływowych jego członków. Wiele uwagi poświęcano także uchodźcom z Rosji (po 1917 roku) oraz pomocy Żydom w Związku Radzieckim, a w latach 30. – uchodźcom z Niemiec. W okresie od listopada 1928 roku do lipca 1929 roku w Krakowie ukazywał się miesięcznik pt. „B'nei Brith”, będący organem Związku Stowarzyszeń Humanitarnych „B'nei Brith” w Rzeczypospolitej Polskiej (wydawany przez Filipa Landaua; redagowany przez Ignacego Izaaka Schwarzbarta⁷, później – Rudolfa Beresa), a następnie – „Wiadomości Stowarzyszeń Humanitarnych „B'nei Brith” w Rzeczypospolitej Polskiej w Krakowie” (1938; pod redakcją Beresa).

Krynica w okresie międzywojennym, a więc w czasie funkcjonowania polskiego Dystryktu B'nei B'rith, była kurortem o ugruntowanej już renomie. Przyciągała licznych kuracjuszy żydowskich. Wielu z nich należało do grona wpływowych i powszechnie znanych osobistości, tak z kręgów gospodarczych czy kultury świeckiej, jak i świata tradycyjnej kultury religijnej (rabinów oraz cadyków – duchowych przewodników wspólnot chasydzkich). Już w 1928 roku organ B'nei B'rith donosił: „Okres ferjalny jest czasem, w którym zamiera działalność stowarzyszeń naszych. Mimo to jednak członkowie stowarzyszeń B'nei B'rith, gdziekolwiek się spotykają w większej liczbie, starają się stworzyć ognisko, w którym omawia się sprawy B'nei B'rith. Tak też i w bieżącym roku, jak w ubiegłym, członkowie stowarzyszeń B'nei B'rith z całej Polski, przebywający w Krynicy, schodzili się na wspólnych zebraniach, na których wygłaszano odczyty. Zebrania te zapowiadają się jako stała instytucja ferjalna naszego Związku, podobnie jak w Marienbadzie i Karlsbadzie zbierają się rokrocznie w celu nawiązania bliższych stosunków towarzyskich członkowie stowarzyszeń B'nei B'rith z rozmaitych krajów”. Należy więc sądzić, że zaczątki tzw. Letniej Łoży B'nei B'rith w Krynicy tworzone były już w latach dwudziestych. Zrazu były to nieformalne spotkania, które jednak, z racji elitarnego charakteru stowarzyszenia, niemal natychmiast zaczęły przybierać formy mniej lub bardziej zorganizowane. Działalność odczytowa, o której tu była mowa, była w ogóle istotną formą działalności wewnętrznej organizacji. Było to zresztą całkowicie naturalne, zważywszy na potencjał intelektualny uczestników tego typu spotkań.

Można tylko domniemywać, jakie tematy wówczas poruszano (tj. w latach 1928-1929). Dużą wagę w B'nei B'rith przywiązywano do rozważań nad przeszłością i do zdobywania wiedzy historycznej. Podówczas jednym z tzw. gorących tematów była książka prof. Tadeusza Zielińskiego *Hellenizm a Judaizm*, w której autor dowodził niższości ducha judaizmu w stosunku do klasycznej kultury greckiej. Publikacja ta wywołała oburzenie wśród Żydów polskich. Członkowie B'nei B'rith brali aktywny udział w polemikach z antysemicko usposobionym polskim uczonym. W 1928 roku, z inicjatywy Łoży „Humanitas” w Przemyśle i jej nakładem, ukazała się książka historyka i publicysty Mateusza Miesesa (1885-1942), będąca odpowiedzią na wywody Zielińskiego. W następnym roku ze swą książką wstąpił z nim w szranki docent Instytutu Nauk Judaistycznych

w Warszawie Edmund Stein (1893-[1942?]1943), prezes stowarzyszenia pisarzy hebrajskich oraz członek warszawskiej Łoży „Braterstwo”. Zapewne na ów temat dyskutowano także w Krynicy. Jednak ważnym wątkiem „ferjalnych dyskusji” były również problemy powiązania idei, przyświecających Stowarzyszeniu Humanitarnemu, z jego działalnością praktyczną. Pisał o tym z emfazą prof. Mojżesz Schorr, który był jedną z najbardziej wpływowych osób w polskim Dystrykcie B’nei B’rith. „Korzeniem wspólnym, z którego te idee [tzw. ducha czasu czyli Zeitgeist – wyjaśnienie R.Ż.] wyrastają, to wrodzony duchowy i moralny postęp ludzkości, ale z tego głównego pędu rozrastają się gałęzie, liście i owoce najrozmaitszych form i kształtów i smaku. (...) Szukajmy nowych dróg i rozpatrzmy je! Nie zasklepiajmy się w ciasnej skorupie ideałów, by je bezustannie nowymi opiewać hymnami, a równocześnie oddalać się od życia i jego do nas postulatów, bo te ideały nie są tylko jakoby wonne kadzidła, składanymi na ołtarzu B’nei B’rith, których wonią się na chwilę upajamy, ale które po chwili się w dal ulatniają (...) bez wpływu na tętno życia samego. (...) stwarzajmy dzieła życia, instytucje kultury, opieki i miłosierdzia, owiane naszymi ogólnymi hasłami (...)”. Zapewne spotkania letnie w Krynicy bywały ważkimi impulsami dla barwnego i bujnego życia żydowskiego w Polsce w okresie międzywojennym, kuźnią wielu nowych pomysłów i działań.

Bez wątpienia też możliwość zgromadzenia wielu wybitnych postaci życia kulturalnego i gospodarczego licznej żydowskiej mniejszości mogła być istotnym czynnikiem rozwoju uzdrowiska krynickiego. Przedstawiciele elitarnego i powszechnie znanego środowiska, jak też organizowane przez nich imprezy, przyciągały doń nowych kuracjuszy. Być może na odczyty przyjeżdżali też goście z sąsiednich miejscowości, w tym i z Muszyny. Niestety, szansa ta nie została praktycznie dostrzeżona w perle polskich uzdrowisk, w przeciwieństwie do podobnych jej ośrodków czechosłowackich. Obiektywną tego przyczyną był fakt, że ani w Krynicy, ani w jej okolicach, nie istniało Stowarzyszenie B’nei B’rith. Co więcej, w całym pobliskim regionie zaledwie parę osób należało do owej elitarniej organizacji (do krakowskiej Łoży „Solidarność” – adwokat dr Hersz Syrop z Nowego Sącza i przemysłowiec inżynier Karol Szancer z Tarnowa; zaś do przemyskiej Łoży „Humanitas” – właściciel krynickiej apteki, mgr Aleksander Sandauer). Natomiast w czeskim kurorcie w Karlsbadzie istniał oddział B’nei B’rith, a w Marienbadzie mieszkała dobrze zorganizowana grupa członków tego stowarzyszenia. Były to siły, które organizowały działalność Letnich Łóż, zawczasu informując – także opinię publiczną poza granicami kraju – za pośrednictwem prasy, o miejscach i godzinach spotkań, oraz podając inne szczegóły organizacyjne. Starły się one przyciągnąć do tych uzdrowisk jak największą liczbę członków B’nei B’rith. Organizowały punkty informacyjne „w sprawach kuracji”. W Karlsbadzie tamtejsza organizacja rezerwowała miejsca dla niezamożnych członków B’nei B’rith z Polski. Natomiast w Marienbadzie jego działacze załatwiali ulgi w opłatach dla niezbyt dobrze sytuowanych kuracjuszy – członków stowarzyszenia (w tym z zagranicy, a więc i z Polski). Zainteresowanie włączeniem osób z zagranicy do działalności w sezonowych Letnich Łóżach B’nei B’rith w obu wymienionych uzdrowiskach miało też pewien dodatkowy cel praktyczny, związany z zacieśnieniem współpracy pomiędzy członkami Stowarzyszeń Humanitarnych w różnych krajach. Jednak w Polsce działania te budziły niepokój wyimaginowanym zagrożeniem wśród różnej maści tropicieli „spisków masońskich”⁸.

Krynica nie miała tyle szczęścia, by podobna akcja przyczyniła się do rozwoju ruchu turystyczno-kuracyjnego. Także władze miasta nie dostrzegały tej szansy. Chciałoby się powiedzieć: *nihil novi sub sole*. Wszak i dziś promocja jest piętą achillesową polskich kurortów.

Mimo tych trudności, w latach 30. członkowie B'nei Brith podjęli inicjatywę zorganizowania tzw. Letniej Łoży w Krynicy. Miała ona zintensyfikować i podnieść rangę nieformalnie odbywanych, co najmniej od kilku już lat, spotkań członków stowarzyszenia. *Spiritus movens* tej akcji, zapoczątkowanej w czerwcu 1934 roku wyłonieniem specjalnego Komitetu, był lekarz dr Samuel Natan Kutna, podówczas były prezydent Stowarzyszenia Humanitarnego B'nei B'rith „Humanitas” w Przemyślu, zwolennik ruchu syjonistycznego (m.in. piastował funkcję prezesa Komitetu Wykonawczego Keren ha-Jesod⁹ w Przemyślu). 22 VI 1934 r. poinformował on władze polskiego Dystryktu B'nei B'rith o podjętych przez siebie i swych współpracowników działaniach. W odpowiedzi, na adres „Willa Słoneczna w Krynicy”, otrzymał pismo od władz krajowych stowarzyszenia: „Czcigodny i Kochany Bracie Eksprezydencie! Z prawdziwą przyjemnością czytaliśmy pismo z dnia 22 bm. [tj. czerwca] i dziękujemy Kochanemu Bratu za starania, zmierzające do współżycia Braci na terenie Krynicy. Równocześnie odnosimy się do Łóż naszego [tj. polskiego] Dystryktu z wiadomością o treści tego listu (...). Życzymy jak najkorzystniejszego przebiegu kuracji i pozostajemy z braterskim pozdrowieniem”. Równocześnie do wszystkich łóż B'nei B'rith w Polsce z krakowskiej centrali została wysłana informacja: „Czcigodny Bracie Prezesie i Kochani Bracia! br[at] ekspr[ezydent] dr Kutna z czcig[odnej] Łoży Humanitas w Przemyślu, który właśnie odbywa kurację w Krynicy, spowodował, że Bracia naszego Zakonu [tj. B'nei B'rith], którzy tam przebywają, złączyli się w komitet, który ma w przyszłości aranżować towarzyskie zebrania wszystkich członków naszego Zakonu i ich rodzin, przybywających na kurację do Krynicy. Ponieważ tego rodzaju spotkania są bardzo pożądane, prosimy uwiadomić członków Łoży, wyjeżdżających do Krynicy na kurację, aby się tam zgłosili u br[ata] L. [winno być Aleksandra¹⁰] Sandauera (apteka ul. Kraszewskiego)”. W tym miejscu warto podkreślić, że jedyny mieszkający na stałe w Krynicy członek B'nei B'rith, a więc wspomniany tu farmaceuta, wstąpił do tej organizacji dopiero 28 V 1932 r. Z całą pewnością fakt ów zadecydował o tym, że „Letnia Łoża” mogła przekształcić się w mniej lub bardziej formalnie działający Komitet.

Sukces podjętej akcji potwierdziła wymiana listów między jej inicjatorem dr. Kutną i władzami Dystryktu B'nei B'rith, która nastąpiła w październiku 1934 roku. W krótkim liście, napisanym po niemiecku już w Przemyślu, twórca Komitetu – zwanego teraz Lokalnym Komitetem B'nei B'rith w Krynicy – donosił o jego osiągnięciach. Centrala krakowska, dziękując mu „za skuteczne starania w przedmiocie urządzenia spotkań braterskich w Krynicy”, jednocześnie informowała zainteresowanego, że zamieści w swym czasopiśmie, taką oto o nich notatkę: „Miło nam donieść, że czcigodnemu br[at]u ekspr[ezesowi] d[okto]rowi Kutnie (...) udało się urządzić w ubiegłym sezonie w Krynicy zebrania braterskie. Odtąd wedle wiadomości, nadesłanych nam przez br. eskpr. dra Kutnę będą się odbywały regularnie spotkania braterskie w Krynicy w czasie od 18. grudnia do 15. marca i od 15. maja do 10. października w sali restauracyjnej „Bgl” [bądź raczej u Vogla¹¹], każdym razem we wtorki o godzinie 9-tej wieczór. Prosimy Kochanych Braci

o tym uwiadomić wszystkich członków Waszej Łoży”. Notabene do prasowej publikacji owej notatki chyba nie doszło, gdyż wydawanie periodyku B'nei B'rith udało się wznowić dopiero w 1938 roku (por. wyżej). Równocześnie należy podkreślić, że nazwa Komitetu krynickiego, przejęta od podobnych mu instytucji zagranicznych, nie była już w pełni adekwatna. Bowiem polski kurort przyciągał wczasowiczów zarówno latem, jak i zimą, a w związku z tym spotkania członków B'nei B'rith organizowano w obu tych sezonach wakacyjnych.



KRYNICA - ZDRÓJ. Pensjonat „Felicja” Dawida Vogla, urządzone z komfortem otwarty cały rok. Tel. Nr. 14.

Także w roku następnym *spiritus movens* całej akcji był dr Kutna, który ponownie zamieszkał w wili „Słoneczna”. Na początku sezonu letniego (22 VI 1935 r.) donosił on władzom polskiego Dystryktu B'nei B'rith o zawiązaniu się Komitetu, złożonego z członków tejże organizacji. W jego skład, poza inicjatorem i wspomnianym tu kilkakrotnie mgr. Sandauerem, weszli dr Ludwik Ahronsohn z Krakowa, dyrektor Powszechnego Banku Kredytowego (członek Stowarzyszenia od 2 II 1935 r.), dr I. (bądź S.) R. Körbel (bądź Körbet) z Wiednia oraz dr Schmeidler z Przemyśla. Stawiając sobie za zadanie stworzenie warunków dla rozwoju więzi osobistych między członkami „zakonu przybywającymi tutaj rokrocznie dość licznie na kurację z różnych okolic i po największej części” sobie obcych, Komitet ten postanowił rozszerzyć swą działalność o przygotowywanie „wspólnych rozrywek wieczornych”, wycieczek itp. Także tym razem władze polskiego Dystryktu B'nei B'rith miały poinformować lokalne Łoże o tej inicjatywie.

Można się łatwo domyślić, jakie tematy mogły zdominować ówczesne spotkania członków B'nei B'rith. Nad społecznością żydowską w Polsce i w całej Europie zbierały się bowiem czarne chmury. Najgorsze wieści dochodziły spoza zachodniej granicy. Dwa lata wcześniej (30 I 1933 r.) stanowisko Kanclerza w Niemczech objął Adolf Hitler. Szczególnie groźnym memento były tzw. ustawy norymberskie – przepisy prawne skierowane przeciwko niemieckim Żydom, które ostatecznie ustalały ich status w Trzeciej Rzeszy.

Pod koniec letniego sezonu krynickich spotkań (15 IX 1935 r.) na sesji wyjazdowej w Norymberdze, Reichstag uchwalił: Ustawę o obywatelstwie Rzeszy (*Reichsbürgergesetz*) oraz Ustawę o ochronie krwi i czci niemieckiej (*Gesetz zum Schütze des deutschen Blutes und der deutschen Ehre*). Były one bezpośrednimi zapowiedziami nadciągającej Zagłady. Nie weselsze wieści dochodziły też z innych stron. W Polsce, podobnie jak w krajach ościennych, narastała fala antysemityzmu. Interesującym jest fakt, że do papierów krynickiego Komitetu włączono informację przesłaną 15 III 1935 r. na ręce mecenas dr. Leona Adera (prezydenta polskiego Dystryktu) przez wiedeńskiego księgarza Rudolfa Luceka (Wien I, Augustinenstr. 2). Dołączone do niej zostało zestawienie firm wiedeńskich (*Arischer Geschäftweiser*¹², Wien 1934-35), w którym autorzy podkreślali „aryjski charakter” tamtejszych przedsiębiorstw, a więc bezpośrednio popierali i lansowali bojkot antyżydowski, stanowiący pierwszy etap gehenny Żydów europejskich. Nadawca prosił o udostępnienie „go umiłowanym braciom, krewnym i przyjaciołom, ażeby byli poinformowani, które firmy [faworyzują] propagandę antyżydowską”. Zapewne jest to pośrednie świadectwo, dotyczące problematyki niejednego wieczornego spotkania członków B'nei B'rith w Krynicy latem 1935 roku. Nie bez znaczenia dla temperatury dyskusji nad bojkotem antyżydowskim w naddunajskiej stolicy pozostawał fakt, że w uzdrowisku tym przebywali członkowie Stowarzyszenia Humanitarnego, pochodzący z Wiednia, a jeden z nich – jak już wspominałem – wszedł nawet w skład ścisłego, organizującego je Komitetu.

W dokumentach władz polskiego Dystryktu B'nei B'rith nie zachowały się dokumenty poświadczające działania krynickiego Komitetu w następnych latach. Można jednak ze sporą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że funkcjonował on z powodzeniem do roku 1939. Hitlerowscy okupanci wygnali Żydów z kurortów polskich, o czym pisałem w szkicu poświęconym wysiedleniu ich z Muszyny, opublikowanym przed kilku laty (por. *Almanach Muszyny* 1999, s. 41-51). Data owa była kresem istnienia „Letniej Łoży” B'nei B'rith w Krynicy, jak i początkiem ostatniego rozdziału dziejów wielkiego skupiska żydowskiego w Polsce.

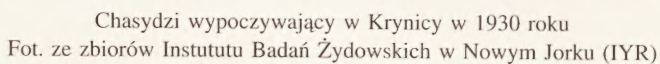
Od autora: Serdeczne podziękowania składam panu dr. Jürgenowi Henslowi za pomoc w odczytaniu i przetłumaczeniu kilku niemieckojęzycznych dokumentów, wchodzących w skład bazy źródłowej tego szkicu.

Przypisy:

- 1) W wielu publikacjach stosowane są inne sposoby zapisu nazwy tej organizacji międzynarodowej, najczęściej przybierające formę „B'naj B'rit” bądź „B'nai B'rit(h)” lub „Bnai Brit”. Do 1929 r. także w polskim jej dystrykcie używano, jako równouprawnionej, różnorodnej pisowni. Właśnie w owym roku władze Związku podjęły uchwałę o jej „ujednostajnieniu” w Polsce. Autorem projektu tej rezolucji był prof. Mojżesz Schorr (1874-1941), wybitny asyriolog, historyk, kaznodzieja i rabin, członek loży B'nei B'rith we Lwowie i Warszawie oraz wiceprezes tej organizacji w Polsce; późniejszy senator RP (1935-1938), aresztowany w 1939 przez władze sowieckie i zmarły w obozie w Azji Środkowej. Stosowana w tym szkicu nomenklatura zgodna jest właśnie z ową uchwałą.

- 2) Michael Jechiel Sachs (1808-1864) pochodził z Głogowa. Był utalentowanym kaznodzieją, działającym w Pradze (od 1836) i w Berlinie (od 1844); zwolennikiem umiarkowanych reform w judaizmie; m.in. zasłynął jako przeciwnik używania organów w synagogach.
- 3) Rafael Kosch (1803-1872) pochodził z Leszna i był politykiem oraz parlamentarzystą pruskim. Zasłynął działaniami, które doprowadziły w Królewcu do zakazu zmuszania Żydów do składania odmiennej od innych obywateli przysięgi w postępowaniach sądowych (tzw. *more judaico*), jako poniżającej dla wyznawców judaizmu.
- 4) Właściwie od ezra (hebr., pomoc).
- 5) Achdut, hebr. jedność.
- 6) CENTOS (akronim), właśc. Centrala Towarzystw Opieki nad Sierotami; Centrala Związku Towarzystw Opieki nad Sierotami i Dziećmi Opuszczonymi – świecka żydowska organizacja, działająca w Polsce w okresie międzywojennym. Geneza jej powstania w 1924 r. wiąże się z tradycją szczególnej opieki nad wdowami i sierotami w kulturze żydowskiej oraz z niemożnością podołania wymogom tej opieki przez instytucje religijne i gminne, wobec ogromnych potrzeb po I wojnie światowej.
- 7) Ignacy Izaak Schwarzbart (1888 Chrzanów - 1961 Nowy Jork) polityk syjonistyczny; z wykształcenia prawnik; od 1923 r. prezes Organizacji Syjonistycznej Zachodniej Małopolski i Śląska, wieloletni radny miasta Krakowa.
- 8) Por. B. Chelmiński, *Masoneria w Polsce współczesnej*, Warszawa 1936, s. 103.
- 9) Keren ha-Jesod (hebr., Fundusz Podwalin); Towarzystwo Odbudowy Palestyny – centralna instytucja finansująca działalność Agencji Żydowskiej dla Palestyny, powołana na konferencji syjonistycznej w Londynie w lipcu 1920 r. Siedziba władz centralnych tej organizacji mieściła się początkowo w Londynie, a w 1926 r. została przeniesiona do Jerozolimy. Od 1925 r. Keren ha-Jesod działał w Stanach Zjednoczonych (w ramach United Jewish Appeal). W Polsce w okresie międzywojennym korzystał w znacznej mierze z poparcia członków partii syjonistycznych i organizacji młodzieżowych. Zbierał fundusze na finansowanie imigracji żydowskiej do Palestyny i budowy tam tzw. żydowskiej siedziby narodowej; wydawał własny miesięcznik („Keren ha-Jesod”). Stworzył fundusze dla budownictwa mieszkaniowego, inwestował w przemysł żydowski, powstawanie nowych osiedli rolniczych, utrzymanie i rozbudowę sieci instytucji wychowawczych; przeznaczał środki na samoobronę.
- 10) W listach tu i dalej cytowanych nazwisko Sandauera opatrywane było konsekwentnie inicjałem „L.” Jednak *Książka adresowa członków Związku Żyd[owskich] Stowarzyszeń Humanitarnych „B'nei B'rith” w Rzeczypospolitej Polskiej w Krakowie* (Kraków 1937, s. 122) nie pozostawia wątpliwości, że chodzi tu o mgr. Aleksandra Sandauera.
- 11) Nazwa restauracji w cytowanym dokumencie, a więc w napisanym na maszynie liście władz polskiego Dystryktu B'nei B'rith do Łódź działających na terenie państwa polskiego, została podana na podstawie odczytanego listu odręcznego dr. Kutny. Zapis ten mógł być błędnie zinterpretowany, toteż w nawiasie kwadratowym podajemy drugą możliwą formę odczytania nazwy lokalu, w którym odbywały się zebrania członków B'nei B'rith w Krynicy.
- 12) Określenie użyte w tytule tego druku jest neologizmem, a zarazem elementem ówczesnego języka antyżydowskiej propagandy nacjonalistycznej, utworzonym od niemieckiego słowa wegweiser = drogowskaz, a więc dosłownie znaczy tyle co sklepowskaz aryjski, czyli wykaz sklepów nieżydowskich, bądź przewodnik po sklepach aryjskich, w których zalecano dokonywanie zakupów, w przeciwieństwie do bojkotowanych firm żydowskich właścicieli.

Dokument pocztowy poświadczający odbiór przesyłki sądowej,
kierowanej do Róży i Dawida Voglów (30 X 1916 r.)



Barbara Krężółek Paluchowa

KIRKUT KRYNICKI

W tarniny cierniowej koronie
głuchych na wszystko
pokrzywach
prawie
nie widać
żałobnych kamieni

czasem

na zgarbioną
macewę
sfrunie kos

miasteczkiem
które mętным wzrokiem
zakurzonych szyb
widziało
śmierć synagogi
płyną barwne ulice

jutro martwi
biegają żywi

a otwartą ptasim świstem
pamięć

Jahwe
zasklepia
woskiem ciszy

Leszek Hońdo

ŻYDOWSKI CMENTARZ W KRYNICY

W końcu XIX wieku Krynica była modnym i elitarnym miejscem pobytu i spotkań wielu sławnych Polaków, w tym pisarzy. Przebywali tutaj między innymi Henryk Sienkiewicz i Józef Ignacy Kraszewski. Z kolei w okresie międzywojennym bywali tu również: Władysław Reymont, Julian Tuwim i Konstanty Ildefons Gałczyński.

Wśród ludności żydowskiej kurort krynicki cieszył się dużym powodzeniem. Przyjeżdżali tutaj chasydzi wraz ze swoimi cadykami, przemysłowcy i kupcy. Jednym z nich był Mordechaj Dawid Brandstätter (1842-1928), nazywany ojcem noweli w literaturze nowohebrajskiej¹. Wizyty zaowocowały serią opowiadań pt. *תמונות מקריניצה* 'Obrazy z Krynicy'. Niestety, nie udało mi się ich odnaleźć. Jedynie w zbiorze opowiadań *כל כתבי 'Wszystkie pisma'* (Warszawa: t. I-II: 1910, t. III: 1913), znalazło się opowiadanie *מקריניצה* 'Z Krynicy' (s. 186-194).

Świadectwem bytności Żydów w kurorcie są nagrobki znajdujące się na żydowskim cmentarzu. Informują one wielokrotnie, skąd pochodził zmarły. Do Krynicy przybywali kuracjusze ze Lwowa, Krakowa, Wiślicy, Tarnowa i Żółkwi, co zostało utrwalone na nagrobkach. Wybór miejsca wiecznego spoczynku, często w obcym miejscu, nie powinien dziwić. Związane jest to z tradycją żydowską, która sprzeciwiała się wywożeniu zwłok z miejscowości, w której był cmentarz żydowski:

Nie przewozi się zmarłego z miasta, w którym jest cmentarz, do innego miasta, gdyż byłoby lekceważeniem przenoszenie z jednego miejsca na drugie, oprócz przewożenia z innych krajów do kraju Izraela, albo kiedy przenosi się go do miejsca grzebania jego przodków. Wolno także, kiedy on sam rozkazał, przewieźć go z jednego miejsca na drugie².

Żydowski cmentarz w Krynicy znajduje się przy ulicy Polnej. Otoczony jest murem, a teren cmentarza jest zadbany. O pracach porządkowych i renowacyjnych informują inskrypcje w języku hebrajskim, jidysz i polskim, umieszczone na nagrobku upamiętniającym zamordowanych z rodziny Leona Gatterera, mieszkającego we Frankfurcie nad Menem, a pochodzącego z Dobrej koło Limanowej³, który wraz z Urzędem Miasta Krynicy sfinansował te prace.

¹ Mordechaj Dawid Brandstätter (1842-1928) urodził się w Brzesku. Jako 16-letni chłopak ożenił się z córką szacownego tarnowskiego właściciela garbarni i zamieszkał u teściów. Mimo posiadanego rabinicznego wykształcenia nie został rabinem, lecz stał się zwolennikiem haskali. W wieku 20 lat napisał dramat *Elija ha-Nawi* (Prorok Eliasza). Bohaterami jego utworów byli najczęściej chasydzi, ich przesady i fanatyzm; opisani zostali także przebiegli cadycy i seniorowie gminni. Prawie wszystkie postacie ukazane były w komicznym świetle, choć sposób opowiadania był wolny od obraźliwej ironii, czy uszczypliwej satyry. Ten specyficzny rodzaj humoru w połączeniu z talentem sprawił, że zajął on znaczące miejsce w literaturze nowohebrajskiej. Zmarł w Tarnowie.

² S. Ganzfried (wyd.), *Kizzur Schulchan Aruch*, Basel 1957, t. II, rozdz. 199, par. 11.

³ Po wojnie na wielu żydowskich cmentarzach ustawiono pomniki upamiętniające zamordowanych w czasie wojny. Innym sposobem zachowania pamięci o nich było dopisanie dodatkowego tekstu na już istniejących nagrobkach.

Na cmentarzu znajduje się obecnie około 120 nagrobków. W wielu miejscach widoczne są ślady po nagrobkach w postaci cokołów lub bloków kamiennych, wspierających kiedyś wolnostojące płyty. Zdecydowana ich większość pochodzi z XX wieku, choć pojawiają się także nagrobki z końca XIX wieku. Dla przykładu, 7 sierpnia 1881 roku zmarła Malka Zucker z Żółkwi. Większość nagrobków wykonana jest z piaskowca, który był materiałem wyjątkowo łatwym w obróbce, jednak równie łatwo ulegającym zniszczeniu, co niestety jest bardzo widoczne. Występowały także przypadki użycia bardziej szlachetnego materiału, szczególnie w przypadku nagrobków najbogatszych Żydów. Gdziekolwiek występują więc nagrobki wykonane z polerowanego granitu i marmuru. Przed II wojną światową bardzo popularne stały się nagrobki betonowe. Nie wiadomo, gdzie były one wykonywane. Większość to dzieło anonimowych rzemieślników. Sporadycznie kamienie sygnowane są nazwiskiem kamieniarza. W okresie międzywojennym oznaczanie nagrobków na żydowskich cmentarzach jest zjawiskiem dość często występującym, gdyż część firm, przeważnie robiąca nagrobki dla bogatszych klientów, sygnowała swoje wyroby. W Krynicy można więc spotkać nagrobki wykonane przez Figatnera z Krakowa, czy B. Bekera z Nowego Sącza.

Groby na żydowskim cmentarzu sytuowane są w rzędach. W Krynicy również są one jeszcze widoczne, choć ustawienie części nagrobków jest konsekwencją ostatnich prac porządkowych na cmentarzu. Mogiły na żydowskich cmentarzach zorientowane były najczęściej wzdłuż osi wschód – zachód. Zmarły spoczywał zwrócony na wschód, czyli spoglądał umownie w kierunku Jerozolimy, a więc tam, gdzie miało rozpocząć się zmartwychwstanie. Także tutaj zachowano ten zwyczaj. Można się domyślać, że tak wybrano miejsce pod cmentarz, aby na zboczu zachować zwyczajowy sposób orientacji.

Na tradycyjnych nagrobkach umieszczano inskrypcje wyłącznie w języku hebrajskim. Od połowy XIX wieku, wraz z pojawieniem się tendencji emancypacyjnych i asymilatorskich, wystąpiły na żydowskich cmentarzach odstępstwa od tej zasady. Rozpowszechniły się obok hebrajskich inskrypcje w języku niemieckim, a pod koniec XIX wieku w języku polskim. Dla przykładu w Krynicy na nagrobku Hany Feigi Melzer, zmarłej w 1917 roku, obok głównego, hebrajskiego tekstu występuje tekst niemiecki, zawierający imię i nazwisko oraz datę śmierci. W okresie międzywojennym teksty w języku polskim można już spotkać stosunkowo często, choćby na nagrobku Anny Bennenowej, żony dra Józefa Bennena, zmarłej w 1929 roku:

Tobie najukochańszej w wieczną pamięć

Przytłoczona bezbrzeżnym bólem

I rozdartem sercem krwawjąca.

Rodzina

Na cmentarzu w Krynicy występuje także przykład wyłącznie inskrypcji „polskiej”:

MAURYCY LEUCHTER

ZMARŁ 19 SIERPNIA 1916

PRZEŻYWSZY LAT 63.

Tekst większości hebrajskich inskrypcji ułożony jest według pewnego schematu. Wyrósł on z tradycji. Stereotypowa forma zawiera następujące elementy: formułę pogrzebową, lamentacje, epitety i zwroty pochwalne obrazujące cnoty zmarłego, imię zmarłego, datę jego śmierci (często także datę pogrzebu) oraz zakończenie. Na tradycyjnych nagrobkach nie

spotyka się nazwisk⁴. Tożsamość zmarłego jest podawana w formie zależności np. Icchak, syn Joela lub Lea, córka Icchaka. Również zaznaczana była przynależność do lewitów lub kohenów. Imię ojca lub czasami, w przypadku kobiet, imię męża było jedyną wskazówką identyfikacyjną przynależności rodzinnej. Także nie we wszystkich przytoczonych poniżej inskrypcjach podane są nazwiska.

Inskrypcje z Krynicy zasadniczo nie różnią się od występujących w innych regionach Polski. Warto jednak pokazać choćby dwa ciekawe przykłady zawartości inskrypcji, aby przekonać się, że żydowski cmentarz jest źródłem dla historii i kultury żydowskich mieszkańców tego kurortu lub tych, którzy go odwiedzali.

Na nagrobkach osób wywodzących się ze znanych rodów (przede wszystkim chasydskich) pojawiają się imiona dalszych przodków, czy pełnione funkcje. Na nagrobku Meira Zingera (?), pochodzącego z Krakowa, a zmarłego w Krynicy 12 września 1932 roku, występuje zwrot, że był synem rabina w Uściu Solnym koło Bochni. Niestety, zwierzała inskrypcja utrudnia identyfikację jego uczonego dziadka, autora jakiegoś dzieła.

Kilkakrotnie data śmierci jest podawana nie wprost, czyli zgodnie z kalendarzem żydowskim⁵. Jest to konsekwencja właściwości języka hebrajskiego. Wszystkie 22 litery alfabetu hebrajskiego mają wartość numeryczną i wszystkie liczby są oddawane przez hebrajskie litery. Użycie liter prowadziło do tworzenia anagramów, czyli wyrazów utworzonych przez przestawienie liter. Używane były także chronogramy, czyli zdania lub wyrazy, których litery oznaczają także liczby, a ich zestawienie tworzy oznaczenie daty. Stąd na przykład na nagrobku Abrahama Aby zamiast: שנת תרצ"ה (rok 695 - czyli 1935) jest: רבגן עדן מנוחתו 'i w rajskim ogrodzie jego spoczynek'.

A oto przykłady „całych” inskrypcji pochodzących z cmentarza w Krynicy:

1. Elimelech z Wiślicy, syn Israela Mosze

1. פ"י
2. איש תם וישר וירא ה'
3. רדף צדקה וחסד מו"ה
4. אלימלך
5. מווייסליץ
6. בר' ישראל משה ז"ל
7. נפ' כ"ג אלול תר"צ לפ"ק
8. תנצב"ה

1. Tu został pochowany
2. mąż zacny i prawy, i bogobojny⁶.
3. Podążał za sprawiedliwością i miłosierdziem⁷. Nasz nauczyciel, pan i mistrz
4. Elimelech
5. z Wiślicy.

⁴ Żydzi w Galicji przyjęli nazwiska rodowe zgodnie z patentem Józefa II z 28 VIII 1787 roku. Brzmienie niemieckie nazwisk było spowodowane tym, że nadawali je austriaccy urzędnicy. Mimo, że nazwiska stały się obowiązkowe, mimo surowych kar, jakimi patent groził, Żydzi pozostali wierni tradycji i jeszcze w okresie międzywojennym nie było powszechnym zwyczajem umieszczanie nazwiska na nagrobkach.

⁵ Kalendarz żydowski jest oparty na syntezie systemu lunarnego z solarnym. Żydowski rok ma 12 lub 13 miesięcy. W 19-letnim cyklu jest 12 lat z 12 miesiącami i 7 z 13 (w roku przestępnym miesiąc adar jest liczony dwa razy). Przyjęto liczyć lata od ustalonej w średniowieczu daty stworzenia świata, czyli w 3761 p.n.e. (tak więc rok 2002 według kalendarza żydowskiego to 5762). Na cmentarzach data podawana jest w zasadzie bez liczby tysięcy.

⁶ Hi 1, 8; por. Hi 1, 1.

⁷ Prz 21, 21.

6. Syn pana⁸ Israela Mosze, błogosławionej pamięci!
7. Zmarł 23 elul 690⁹ według małej rachuby.
8. Niech jego dusza będzie związana w wieniec życia!

2. Pepi Katz

1. נפטרה ג' אב תרע"א
2. פ"נ
3. אשה צנועה יראת
4. ד' אשת חיל יקרת
5. רוח כפה פרשה לעני
6. ח"ה מרת שפרינצא
7. בת ר' יוסף מלבוב
8. אשת ר' חיים הכהן כ"ץ
9. תנצב"ה
10. Tu spoczywa
11. PEPI z BARDACHÓW KATZ
12. Urodzona we Lwowie 12 września 1864
13. Zmarła w Krynicy 28 lipca 1911 r.
14. Cześć jej pamięci!

1. Zmarła 3 aw 671.
2. Tu pochowana
3. niewiasta cnotliwa, bogobojna,
4. kobieta dzielna¹⁰, droga
5. dusza. Swoją dłoń kierowała do ubogiego¹¹.
6. To jest pani Szprinca,
7. córka pana Josefa ze Lwowa,
8. żona pana Chaima ha-Kohen Kac.
9. Niech jej dusza będzie związana w wieniec życia!

3. Ester, córka Awigdora

1. פ"נ
2. אשה טובת שכל וטובת מעשי
3. סעדה לעניי וטרף נתנה לאביונים
4. תפארת בני ועטרת בעלה היא
5. רום מעלתה האשה הגבירה מרת
6. אסתר
7. בת הרבני מו"ה אביגדור ע"ה
8. אשר הלכה לעולמה י"ח לירח
9. שבט שנת תרפ"ב לפ"ק
10. מספר ימי' היתה ששה והמשים שנה
11. תנצב"ה

⁸ Błąd w oznaczeniu hebrajskiego skrótu. Zamiast: בר"ר, czyli בר רבי jest בר' jest

⁹ Zm. 16 IX 1930 r.

¹⁰ Prz 12,4

¹¹ Prz 31,20

1. Tu została pochowana
2. niewiasta roztropna¹² i dobrych czynów¹³.
3. Pomagała ubogim a pokarm dawała biednym.
4. Chwała jej dzieci i korona małżonka¹⁴. Ona
5. wzniosła się wysoko. Niewiasta można, pani
6. Ester,
7. córka uczonego, naszego nauczyciela i pana Awigdora, niech spoczywa w pokoju!
8. Która odeszła do swej wieczności 18 miesiąca
9. szwat roku 682¹⁵ według małej rachuby.
10. Liczba jej lat była pięćdziesiąt sześć.
11. Niech jej dusza będzie związana w węzeł życia!

4. Miriam, córka Menachema

1. פ"י
2. האשה הצנועה הזקנה
3. מרת מרים בת
4. מו"ה מנחם ז"ל ר"נ בת ע"ט שנה
5. מר שאגו בניה על פרידתה
6. רשים ודלים תמכה בהמלתה
7. ישרים בנשים עד אחריתה
8. מצותיה שמרה כהלכתה
9. כ"ז תשרי תרפ"ה
10. תנצב"ה

1. Tu została pochowana
2. niewiasta cnotliwa, stara,
3. pani Miriam, córka
4. naszego nauczyciela, pana Menachema, błogosławionej pamięci! Odeszła jej dusza w wieku 79 lat.
5. Gorzko zapłaczą jej dzieci nad jej śmiercią.
6. Ubogim i biednym dawała w swoim współczuciu.
7. Prawa wśród niewiast do swego końca.
8. Swoje przykazania zachowywała zgodnie z halachą¹⁶.
9. 27 tiszri 685¹⁷.
10. Niech jej dusza będzie związana w węzeł życia!

¹² II Sam 25, 3.

¹³ Początkowe litery wersetów 2-5 tworzą akrostych: Ester.

¹⁴ Prz 12, 4

¹⁵ Zm. 16 II 1922 r.

¹⁶ Halacha – zasady postępowania oraz przepisy prawne i religijne.

¹⁷ Zm. 25 X 1924 r.

CEMENTARZ ŻYDOWSKI W KRYNICY



Elimelech z Wiślicy, syn Israela Mosze



Pepi Katz

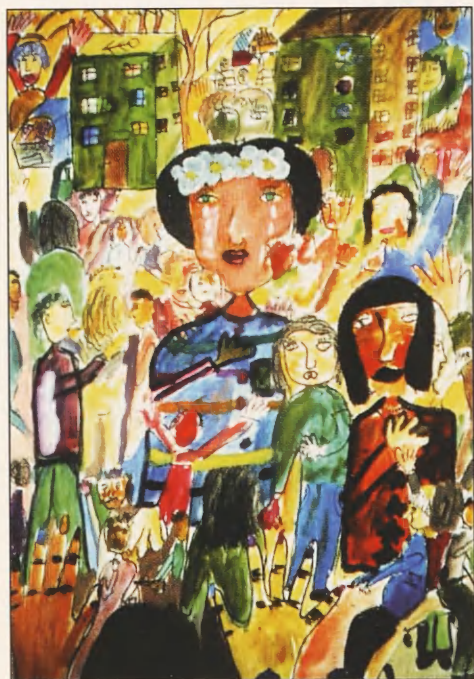


Ester, córka Awigдора



Miriam, córka Menachema

Świat w oczach dzieci romskich



Prace prezentowane na wystawie w Osvetovym stredisku w Starej Lubowli (2002 r.)

Basia Gumulak

LIST DO ANIOŁA

Na ciebie, Aniele o lśniących skrzydłach
spoglądam
już teraz, zawczasu,
a może za późno
proszę o śmierć,
tę Delikatną.
Przyjdź po mnie w nocy,
abym mogła raz jeszcze spojrzeć na gwiazdy
nim zamknę je w okiennych ramach.
Przyjdź po mnie w strugach deszczu,
nie pozwól mi zasnąć.
Chcę się zachłysnąć
nie życiem, lecz śmiercią
i poczuć krople na powiekach.
Już nieruchomych.
A potem niech będzie cicho,
zupełnie,
bym mogła usłyszeć Jej szept ...

PS

Nie popełnij już tego błędu, Aniele,
jak w tamtą wrześnieową noc,
gdy pomyliłeś serca.
Mój pokój był obok ...

Józef Szajna

DNO

Jest styczeń 1941 roku. Uciekam. Nie sam, z Olkiem Naganowskim, synem polskiego legionisty, pułkownika z Grudziądza i Niemki z pochodzenia, która czując się Polką, zmuszana, nie podpisała reichslisty i wraz z całą rodziną została wyrzucona do Generalnej Guberni. Marzą nam się polskie legiony w Anglii czy gdzie indziej. Ucieczkę rozumiemy jako konieczność walki, która nie jest tylko sprawą dorosłych. Plan układamy trochę po harcersku, naiwnie. Gromadzimy z trudem pieniądze, zdobywamy kompas i stare mapy Słowacji i Węgier. Pewnego dnia, w drugiej połowie stycznia, bez uprzedzenia rodzin, w niedzielny słoneczny ranek, znikamy z domu. Wcześniej przysięgamy sobie z Olkiem Naganowskim uroczystie, że w żadnej sytuacji nikt z nas nie będzie miał pretensji do drugiego.

Pociągami jedziemy z Rzeszowa przez Tarnów do Piwnicznej. W Tarnowie zdążyliśmy wysłuchać mszy świętej w intencji udanej eskapady. Wreszcie jesteśmy na stacji w Piwnicznej. Góry ośnieżone znaczą granicę między Polską a Słowacją. Nie wzbudzając podejrzeń straży granicznej, przedostajemy się na ścieżkę prowadzącą w góry, unikając przejścia przez wody Popradu. Tu oczekujemy zmierzchu. W ciemności skradamy się skrajem lasu. Jesteśmy w strefie zagrożenia, gdzie o tej porze strzela się bez ostrzeżenia. Oddalamy się od miasta, domostw, światła i ludzi. Śnieżnym grzbietem gór przekraczamy granicę. Upewniają nas w tym słupki obłożone kamieniami. Jednak niebezpieczeństwo nie jest poza nami. Jesteśmy na terenie Słowacji, ale jeszcze w strefie granicznej. Tutaj panuje reżim faszystowskiego księdza Tiso. Górskimi ścieżkami, wzdłuż wijącego się Popradu i ciągle na południe, a zawsze nocą, omijamy słowackie patrole wojskowe. Za dnia drzemiemy skuleni w śniegu pod osłoną lasu. Nocujemy wśród grobów na cmentarzu w Spiskiej Nowej Wsi. Raz jeden udaje się nam przenocować w ciepłej chacie. Sprowadziła nas starowina, która napotkawszy dwóch zbiedzonych i zabłąkanych w górach, zawróciła ze ślepej drogi. Wysuszeni i syci czujemy się pod wiejską pierzyną bezpieczni. I tak po kilku dniach, z pomocą życzliwych ludzi, dowlekamy się do granicy węgierskiej. Teraz przymierzamy się do drugiego przekroczenia granicy. Słowacko-węgierskiej. Wszystko jest to strzeżone i drogi, i mosty, i dworce kolejowe. Wszędzie pełno wojska. Włóczą się tylko Cyganie. Wielokrotnie ratuje nas z opresji Olek, który zna perfektnie niemiecki. Zagaduje mnie o byle co, pozując na Niemca. Raz nocujemy na stacji kolejowej, kiedy indziej w chłopskiej chacie, kawałek drogi odbywamy pociągiem, wreszcie klucząc zbliżamy się do rejonów górskich. Omijamy graniczne wioski, przy słabym świetle księżycy idziemy, zgodnie z kompasem, na południe. Wśród nocnej ciszy dochodzi nas wycie wilków. To nie przeraża, chociaż jedyną naszą bronią są scyzoryki i światło latarki elektrycznej. Opędzając się od groźnych i hałaśliwych psów z pobliskich osad wydostajemy się nad ranem na równą drogę oznakowaną w języku węgierskim. Chociaż napisów nie rozumiemy, radość nasza nie ma końca. Głośno cieszymy się z udanej wyprawy, tak

dotychczas niepewnej. Nie czujemy zmęczenia, spieczonych gorączką warg, głodu ani pragnienia. Pogwizdując maszerujemy przed siebie, a księżyc dyktuje nam kierunek. Po chwili przed nami ukazuje się kilka zabudowań. Wokół nas wszystko śpi. Nie rozumiemy objaśnień na tablicach, mijamy je bezpiecznie i pogodni. Nagle zatrzymują nas obce głosy. Słyszymy odbezpieczanie karabinu. Zatrzymujemy się niepewni. Z ciemności wyłania się dwóch żołnierzy, chyba węgierskich. Coś mówią, gestykulują i zagarniają nas niemal siłą do opodal stojącego budynku. To posterunek straży granicznej. Rozbudzony ze snu, niekompletnie ubrany komendant mówi do nas, chyba po słowacku. Trochę z tego rozumiemy. Wypytuje nas o dokumenty, których przecież nie mamy, celowo zniszczyliśmy je w Słowacji. Budzimy jego nieufność, pyta o cel naszej drogi. Początkowo jest zły, a potem bardziej przyjazny. Wyjaśniamy z trudem cel naszej drogi. Zyskujemy jego przychyłność. Możemy iść spać. Jesteśmy też nakarmieni, możemy wysuszyć zdrożone buty. Wzbudzamy zainteresowanie innych żołnierzy, bo bez łączników, tak młodzi, dotarliśmy aż tutaj mimo silnej obstawy granicy. Znajdujemy się niedaleko miejscowości Szendrő. Wydaje się, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby dostać się do obozów polskich żołnierzy koło Budapesztu, a stamtąd dalej do Jugosławii przez Grecję do Francji. A może i do Anglii? Jakież jest nasze rozczarowanie, kiedy po kilku dniach decyzją władz miejskich kierują nas z powrotem do granicy słowackiej. Mamy cholernego pecha. Co prawda nie oddano nas słowackiej żandarmerii, ale mamy zabroniony pobyt na Węgrzech. W międzyczasie odebrano nam mapy, rozbrojono ze scyzoryków, zniknął gdzieś kompas i latarki. Za to nasza torba pełna jest chleba i boczku. Starczy nam na kilka dni. Pod eskortą węgierskiej straży granicznej skradamy się na tajne miejsce przejścia na Słowację, skąd już nie ma powrotu na Węgry. Przechodzimy cicho niedużą rzeczkę i znikamy w krzakach po słowackiej stronie. W ciemnościach roztopili się węgierscy żołnierze. Mimo wszystko nie tracimy nadziei. Przeraża nas to, że możemy wpaść w ręce faszystów. Musimy koniecznie przedostać się z powrotem na Węgry! Ale aby ponownie przekroczyć granicę, musimy przejść kilka kilometrów. Choć mamy już dość licznych niebezpieczeństw, z których uszliśmy niemal cudem, zmęczeni wędrówką zbieramy ponownie siły. Coraz gęściej sypie nam śnieg w oczy i rozbiela góry, co utrudnia drogę. Jednak szczęśliwie omijamy pobliską wioskę, choć psy węszą za nami i naszczekują. Idąc pod wiatr szukamy schronienia w przydrożnych rowach. Nagle o kilka kroków od nas przechodzi słowacki patrol. Niepewni, zatrzymujemy się w krzakach, za chwilę przejście wydaje się już bezpieczne. Jest taka sama niedziela i tak ciemno, jak dwa tygodnie temu w Polsce. Już dwa tygodnie! Łapiemy oddech i ruszamy dalej. Nagle zza węgła chałupy, ni stąd ni zowąd, pojawiają się dwie uzbrojone postacie. Wpadamy wprost na nie. Zagadują nas o coś, pytają, my nie rozumiemy i tylko milczymy. Jeden podchodzi do nas ostrożnie, drugi trzyma na muszce karabinu. Oni też są zaskoczeni i zdenerwowani. Ale wiedzą co robić. Zapewne nie jesteśmy jedynymi Polakami przekraczającymi nocą granicę. Kują nas łańcuchami, zamykają na kłódkę, bo kajdanków nie mają. Niewiele możemy im wyjaśnić, nie możemy się też bronić. Jesteśmy skuci i związani ze sobą. Zamurowało nas. Opadły nam skrzydła. Ta bezbronność przeraża i obezwładnia. Pierwszy raz w życiu mamy skute ręce. Brutalne traktowanie i groźby są dla nas czymś nowym i niespodziewanym. Odtąd, zawsze już skuci i wielokrotnie przesłuchiwani przez żołdaków w różnych miejscowościach od Spiskiej

Nowej Wsi począwszy, a na Preszowie i mniejszych więzieniach kończąc, musimy się słowackiej żandarmerii tłumaczyć z podejrzeń o szpiegostwo, o przynależność do wojskowej polskiej organizacji, o wielokrotne przekraczanie granicy. Źle jest z nami. Odsiadujemy kary w licznych, coraz gorszych aresztach. Coraz bardziej tracimy pewność siebie. Wrzuceni do zimnych lochów w Preszowie, w nieopalanych podczas mrozów celach, chorujemy z przeziębienia. Sypiamy w piwnicach na ziemi i bez koców. Boję się o zdrowie Olka. Jest wąty i coraz bardziej kaszle. Smutno patrzymy na siebie. Coraz częściej jesteśmy głodni.

Z początkiem marca 1941 roku zostajemy krótko ostrzyżeni i choć nie mamy jeszcze męskich zarostów – ogoleni. Tak odświętni, pod eskortą, opuszczamy więzienie pełne prostytutek, alkoholików i złodziei. Jedziemy pociągiem skuci. Ludzie przyglądają się nam ciekawie, wyczuwa się ich życzliwość. Dają nam papierosy, a nawet wciskają pieniądze. Wszystko to odbierają nam oprawcy. Nasz wygląd, sądzą, robi na innych wrażenie. I tak po godzinie, może dwóch, jesteśmy dowiezieni do polskiej granicy.

13 marca 1941 roku kończę 19 lat. Pamiętam ten dzień śnieżnych roztopów, mój urodzinowy dzień. I w ten dzień właśnie jesteśmy przekazani w ręce niemieckiej straży granicznej, a następnie w łapy gestapo w Muszynie. Olek nadal choruje, ma gorączkę, zamyka się coraz bardziej w sobie, milczy. Teraz najbardziej mnie to dręczy. Nie mogę mu pomóc, a czekają nas przesłuchania gestapo. Zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że go z sobą zabrałem. On ze smutnym uśmiechem pociesza mnie, że niczego nie żałuje, że przecież to była wspólna decyzja. Dobrze przynajmniej, że razem jesteśmy w celi. Ale nie sami. Razem wśród przypadkowych ludzi. Wśród nas znajduje się samotny Żyd, złapany na próbie przekroczenia granicy. Jest tutaj od dwóch miesięcy. Chodzi po celi boso, ma odmrożone nogi. Zachowuje się jak obłąkany. Z nikim nie rozmawia, jest wychudzony i głodny. Nocą zjada własne ekskrementy. Jesteśmy przypadkową rodziną winnych i podejrzanych, politycznych i zwykłych przestępców, ludzi z wyrokami albo czekających na wyrok. Należymy do tych ostatnich. Bez kontaktu z domem, z bliskimi. Przesłuchania to osobny cyrk. Każde następne jest coraz trudniejsze. Pierwszy raz spotykamy się z metodami, o których się nam nie śniło. Bicie, kopanie gdzie popadnie, wymuszanie pałkami zeznań. I zawsze dwóch na jednego. Jesteśmy podejrzani o to, że jako kurierzy wojskowi już nie raz przekraczaliśmy granicę, a przyłapani dzisiaj musimy wydać, kto nas wysłał na Węgry. Nie możemy przekonać oprawców, że nie mamy powiązań konspiracyjnych. Nie wierzą. Jesteśmy perfidnie nękani przez tych, którzy lubią stosować tortury. Doznane cierpienia zbliżają Olka i mnie coraz bardziej. Podczas przesłuchań pomaga oprawcom ukraiński tłumacz, płynnie mówiący po polsku, rosły i prymitywny mężczyzna o niskim czole, w wieku około trzydziestu lat. Fachowcy znają swój zawód i mają sposoby na wydobywanie jakich chcą zeznań. Ale z nami im się to nie udaje, nie dostają od nas informacji, na jakich im zależy. Wszystko to musimy okupić biciem. Przesiadujemy godzinami w ciemnicy. Nie możemy się wysiusiać. Boimy się, że nas za to zatłuką. Czy to wszystko zemstą nadludzi?

Parę miesięcy temu, w święto Bożego Narodzenia 1940 roku, uciekła z tego więzienia grupa kurierów wojskowych, którzy zabrali ze sobą na Węgry wiele informacji cennych dla gestapo. Była to głośna afera w Muszynie. Nadal żyje nią całe więzienie. Zaufany strażnik

więzienny zostaje rozstrzelany, bo dał się upić i okraść z kluczy. Różne są na ten temat opinie, niewyjaśnione do dnia dzisiejszego. Konspirator czy ofiara własnej słabości i głupoty. Bohater czy sukinsyn. Historia tego nie wyjaśnia.

W celi mamy konfidenta, który skrycie namawia nas na wspólną ucieczkę. Jest niby dezerters z armii niemieckiej i za to siedzi, ale czy można mieć do niego zaufanie? Wiadomo przecież, że gdybyśmy stąd z nim uciekli, zdradziłby nas. Nie podtrzymujemy tematu i stronimy od niego. Zbliża się wiosna, a my nadal z za krat spoglądamy w niebo. Nachodzą nas różne myśli. Czy nas rozdzielią, a może już na zawsze będziemy ofiarami więzień, staniemy się bohaterami własnych pomyłek. Okres pozbawienia wolności nieźnośnie się wydłuża. Już od miesięcy nie wychodzimy na powietrze. Nie ma spacerów, a my przyzwyczajamy się do życia w klatce. Niemcy odnoszą tymczasem sukcesy na wszystkich frontach. Olek czuje się lepiej. Sądu nikt z aresztowanych się nie spodziewa. Tu ogłasza się tylko wyroki albo wyprowadza nocą i skazuje na śmierć. Ślemy do domów grypsy przez więźniów karanych za drobne przestępstwa, mających w pracy kontakty ze światem zewnętrznym, ale listy nasze nie dochodzą. Rodzice w dalszym ciągu nie mają o nas żadnych wiadomości. Po miesięcznym pobycie w więzieniu w Muszynie transportują nas o świcie, kiedy miasto jeszcze śpi, w zamkniętych samochodach do więzienia w Nowym Sączu. Jest nas około czterdziestu. Wzajemnie się nie znamy, nie wiemy kto i za co, gdzie i kiedy został aresztowany. Podczas drogi, w obstawie żandarmów, siedzimy w kątach ciężarówki, niepewni tego, co się z nami stanie. Na jednym, długim łańcuchu, związani szeregowo, wleczeni jesteśmy na duże podwórko więzienia w Nowym Sączu. Są to zabudowania starego klasztoru o grubych i wilgotnych murach.

Od redakcji:

W chwili wybuchu II wojny światowej Józef Szajna miał zaledwie 17 lat. Razem z innymi nieletnimi chłopcami z „przyposobienia wojskowego” został zmobilizowany i pełnił służbę, strzegąc ważnych obiektów w rodzinnym Rzeszowie. 7 września wyruszył z bronią w rękę i tajnymi dokumentami z Rejonowej Komisji Uzupełnień w kierunku Lwowa. Próbował uciekać do Rumunii, wrócił jednak do Lwowa, a później do Rzeszowa. W nocy z 2 na 3 maja 1940 roku żandarmeria niemiecka aresztowała rzeszowską młodzież gimnazjalną; w czerwcu ci młodzi ludzie stali się pierwszym transportem polskich więźniów, wywiezionych do Auschwitz. Józef i jego brat szczęśliwym przypadkiem uniknęli aresztowania. Rozpoczął się okres terroru. Józef Szajna, unikając wywozu na roboty przymusowe, podjął pracę w zakładach lotniczych. Tam wciągnął się w pracę konspiracyjną, najpierw w Szarych Szeregach, potem w ZWZ. Dokonywał sabotaży, niszczył części, wynosił plany techniczne i rysunki. Szczęście dopisywało mu prawie do Bożego Narodzenia 1940 roku, kiedy to gestapo zapowiedziało akcję odwetową. „Spalony” i zarazem stanowiący zagrożenie dla innych konspiratorów, Józef Szajna postanowił uciekać na Węgry. O ucieczce tej, zakończonej aresztowaniem przez Słowaków i pobytem w muszyńskim więzieniu, które stało się początkiem obózowej gehenny, przeczytali Państwo w prezentowanych wspomnieniach.

Powyższa relacja stanowi część większej całości, od której pożyczylimy tytuł, opublikowanej w kilku kolejnych numerach miesięcznika *Teatr* w 1992 roku. Niedawno „Dno” zostało włączone do wielkiej i świetnie opracowanej biografii artysty pt. „Józef Szajna i jego świat” (wyd. Hotel Sztuki – Galeria Sztuk Zachęta Warszawa 2000 r.).

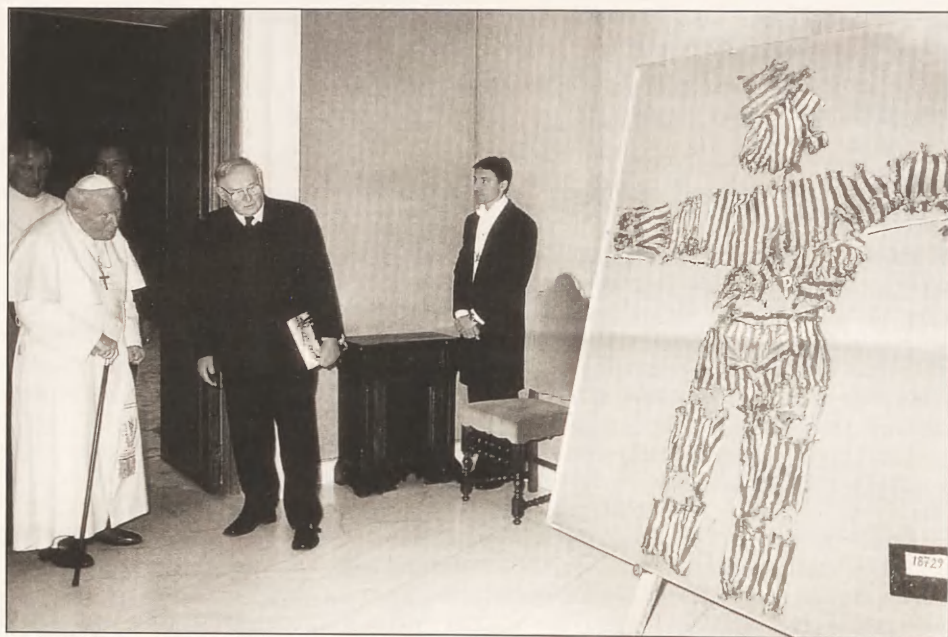
Sądzimy, że Józefa Szajny nie trzeba Czytelnikom przedstawiać. Jest znanym i cenionym na całym świecie twórcą oblicza powojennego teatru Polski, na równi z Jerzym Grotowskim

i Tadeuszem Kantorem. Został wielokrotnie odznaczony za działalność artystyczną oraz społeczną (jest np. członkiem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej) w kraju i zagranicą, w tym Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. W marcu 2002 roku obchodziliśmy jubileusz osiemdziesięciolecia tego wielkiego artysty. Wraz ze spóźnionymi gratulacjami drukujemy te smutne wspomnienia, wspomnienia o dziewiętnastych urodzinach, które przyszło autorowi obchodzić w jakże innym czasie...

Pragniemy również podziękować pani Alinie Kowalskiej, szwagierce pana Szajny, za przysłanie tekstu „Dna” i materiałów do notki o autorze.

Fragment jej listu pozwalamy sobie zacytować:

Do wiadomości o Józefie Szajnie dorzucę parę rodzinnych wspomnień. Józek po tarapatach obozowych wylądował w końcu w słynnym „Maczkowie”, gdzie uczęszczał na wykłady szkoły stworzonej przez gen. Maczka dla takich ofiar wojennych, jak mój przyszyły szwagier. Tam zdał maturę, a potem zdecydował się jednak na powrót do Polski. W bardzo ciężkich warunkach zaczął studia na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, na dwóch wydziałach, zarabiając dorywczo, gdzie się dało, na życie. Był naprawdę nie tylko zdolnym, ale i dowcipnym, towarzyskim chłopcem – takim pozostał do tej pory. Ożenił się z moją młodszą siostrą i tej ślicznej dziewczynie do dziś pozostał wierny. Bożena (tj. siostra) jest historykiem sztuki, długie lata była kustoszem galerii malarstwa polskiego w Sukiennicach, a po przeniesieniu się do Warszawy opiekowała się działem polskiego malarstwa współczesnego (dziś jest już na emeryturze). Ich syn Łukasz – też po studiach na ASP – pracuje obecnie w branży reklamowej. Jedyny wnuk Mikołaj zdaje właśnie maturę.



Jan Paweł II i Józef Szajna oglądają ofiarowany Ojcu Świętemu obraz pt. „Numer”, skomponowany z autentycznych strzępów oświęcimskiego pasiaka artysty (2001 r.)

Tadeusz Plechta

JAK PRZEKRACZAŁEM MUSZYŃSKĄ „ZIELONĄ GRANICĘ” W CZASIE OKUPACJI

Takiej zimy już nie ma, jak bywała ongiś... Fragment wiersza pt. „Kuligiem”, autorstwa mojej koleżanki z AK, poetki sądeckiej Władysławy Lubasiowej, był tym małym kamyczkiem, który poruszył lawinę wspomnień z lat wojny. A że czas ten trwał długo, a zdarzeń i przeżyć różnorodnych było aż nazbyt wiele, wycinam więc z filmu moich wspomnień wojennych fragment, który nazwać by można „rytersko – muzyńskim”.

Już od późnej jesieni 1939 roku Ryto było ważnym punktem etapowo-wypoczynkowym utworzonego przez władze wojskowe Polski Podziemnej kurierskiego szlaku przerzutowego na Węgry w tzw. „Wariancie Popradzkim”. Głównym miejscem przerzutu na tym szlaku była Muszyna. Tędy podążało wielu oficerów, podoficerów oraz kurierów i młodzieży przez pobliską Słowację na Węgry. Na Węgrzech, dzięki przyjaznej dla Polaków atmosferze, działały liczne punkty „zbiorcze” o charakterze wojskowym, organizujące dalsze przerzuty do tworzącego się we Francji Wojska Polskiego, pod dowództwem generała Władysława Sikorskiego. Największe nasilenie „ruchu granicznego” na wszystkich szlakach przerzutowych trwało od jesieni 1939 roku przez pierwsze półrocze 1940 roku; później działalność ta stopniowo się zmniejszała. Wynikało to z coraz lepiej zorganizowanych i usprawnionych działań zapobiegawczo-represyjnych okupanta, a także bardziej uszczelnionej granicy i zacieśniającej się współpracy Słowackiej Straży Granicznej oraz „Hlinkowców” z Niemcami. Na zmniejszenie akcji przerzutowej miała znaczny wpływ kapitulacja armii francuskiej w czerwcu 1940 roku.

Na marginesie uwag o zmniejszającym się „ruchu granicznym” należy wspomnieć, że tworzący się w kraju ruch oporu przeciw okupantowi coraz bardziej się rozszerzał i umacniał organizacyjnie, realizując się w wielorakich działaniach Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Organizacja ta została powołana w 1940 roku przez Rząd Emigracyjny RP, a następnie przekształcona w 1942 roku w Armię Krajową.

W ogólne tło wydarzeń początku lat czterdziestych włączam fragment mojego życiorysu wojennego, ilustrującego tamten czas i tamten teren. Po przeżyciach i różnych „tarapatach”, wynikających z ochotniczego udziału w wojnie obronnej (w ramach szkolnego Przysposobienia Wojskowego) i niespełna dwudniowej niewoli sowieckiej w okolicy Tarnopola, z której udało mi się zbiec, wróciłem przez Stanisławów, Lwów i Przemyśl do rodzinnego Rytra w ostatnich dniach listopada 1939 roku. W czasie bardzo mroźnej, śnieżnej i długiej zimy 1939/40 dojrzewał we mnie zamiar „przejścia” przez Słowację, Węgry i dalej, do tworzącej się we Francji armii polskiej pod dowództwem generała Władysława Sikorskiego. Powszechnie wówczas powtarzane powiedzenie „im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej” stało się wprost wiarą i nadzieją dla społeczeństwa, a dla młodzieży swoistą dyrektywą. Dążenie „do generała Sikorskiego” było również marzeniem osiemnastoletniego wówczas młodzieńca, z ukończonym w ramach szkoły

średniej Przysposobieniem Wojskowym (PW), marzeniem podbudowanym jeszcze świeżymi w pamięci przeżyciami wojennymi. Pragnienie to stawało się coraz bardziej natrączywe, ale i realne, pod wpływem atmosfery „przerzutów”, panującej w angażujących się w to zakonspirowanych kołach ryterskiej społeczności.

W okresie zimy, wprowadzony w kręgi tej działalności, uzyskałem od Marii P. z willi „Świtezianka” kontakt „na przewodnika”, który wstępnie wyraził zgodę na przerzucenie mnie w grupie na „tamtą stronę”, określając równocześnie warunki finansowe za tę usługę. Termin i miejsce spotkania miało zostać przekazane przez wspomniany kontakt później. Przewodnikiem był „Pepik” (Józef P.), Polak w średnim wieku wysiedlony ze Słowacji w 1938 roku, po kilku- czy kilkunastoletnim tam pobycie, mówiący bardziej po słowacku niż po polsku. Mieszkał wraz z rodziną w Muszynie za Popradem, gdzie był zatrudniony, jak słyszałem, w charakterze opiekującego się domem – willą – profesora z Krakowa, który przyjeżdżał tam z rodziną na okres letni. Willa ta, położona w terenie luźno zabudowanym, pod lasem, na trasie „ku granicy”, była doskonałym wręcz miejscem do działalności przerzutowej, a pewnie i przemysłowej. Po jakimś czasie otrzymałem przez kontakt następną informację, że przerzut formowanej „naszej grupy” odbędzie się w okresie świąt wielkanocnych. Dowiedziałem się również, że przewodnik przeprowadził już kilka grup, w tym również dwie grupy ludzi z Rytra i okolicy, z których kilku znałem.

Pozostały okres do świąt wielkanocnych w 1940 roku przeznaczyłem na intensywne przygotowania do „wyprawy”. Po zgromadzeniu potrzebnych środków finansowych dla przewodnika (ok. 300 zł), istotny czynnik przygotowań stanowiła odpowiednia odzież, przystosowana do długiego marszu w warunkach zimowych, w trudnym terenie górskim. Na szczęście „ocaliłem” solidne buty wojskowe z 1939 roku, a kurtkę z odpowiednim schowkiem na zaświadczenie ukończenia szkolenia PW przerobiła mi z płaszcza szkolnego ta sama Maria P. ze „Świtezianki”, kwalifikowana krawcowa. Była ona równocześnie ważnym ogniwem ryterskiego punktu „kontaktowo-etapowego”.

Jednym z bardzo ważnych, jak się później okazało, elementem przygotowań było zebranie materiałów informacyjnych, dotyczących stosunku Słowaków do Polaków oraz sytuacji Polaków na Węgrzech. Miałem w tym względzie szczególne szczęście, gdyż mój starszy kolega z sąsiedztwa, Poldek G., odbywający przed samą wojną służbę wojskową, wrócił do Rytra z obozu internowanych żołnierzy polskich na Węgrzech w miejscowości Leva. Został zwolniony na skutek interwencji swego ojca, ryterskiego Volksdeutscha. Kolega ten, nie domyślając się powodów mojej ciekawości, opowiedział mi niedługo po powrocie o miejscowości Leva i tamtejszym obozie dla internowanych żołnierzy oraz podał wiele szczegółów dotyczących tego tematu, ofiarowując mi nawet widokówkę z Leva. Jeszcze cenniejszym dla mnie upominkiem od niego, darowanym „na pamiątkę”, była ówczesna moneta węgierska – pengö.

Przygotowany zatem do wyprawy, czekałem tylko na odpowiedni znak. Sygnał do niezwłocznego zgłoszenia się otrzymałem w pierwszych dniach po Wielkanocy, chyba już na początku kwietnia. Na punkcie kontaktowym w „Świteziance” dostałem dokładny adres wraz z wytłumaczeniem sposobu dojścia do miejsca wyznaczonego w Muszynie za Popradem. Dowiedziałem się również, że powinowaty Marii P., Wiktor K. z Grybowa, mój rówieśnik, oczekujący także na sygnał w „Świteziance”, już wyjechał pod wskazany adres.

Następnego dnia w godzinach rannych wyruszyłem i ja z Rytra. Dotarłem pociągiem do Żegiestowa - Zdroju, gdyż tylko tam dojeżdżały pociągi od strony Sącza, ze względu na uszkodzony na początku wojny tunel. Kilka kilometrów, dzielących mnie od wyznaczonego miejsca, przeszedłem pieszo bez przeszkód. Przyjęła mnie, pod nieobecność przewodnika, jego żona, znana mi z widzenia, gdyż pochodziła z Rytra.

Po gorącym, choć skromnym posiłku zostałem zaprowadzony do pokoju, w którym już oczekiwało trzech młodych ludzi. Jednym z nich był wspomniany wyżej Wiktor, podobnie jak ja szczupły i niski chłopak; dwaj pozostali – znacznie wyżsi i nieco starsi od nas – mówili, że byli uczniami Wojskowej Szkoły Lotniczej, a pochodzili z Zamościa. Nie pamiętam dokładnie jak długo – jeden czy dwa dni – oczekiwaliśmy na przyście przewodnika, urozmaicając sobie ten dłużący się czas wzajemnymi zwierzeniami i grą w karty. Gospodyni częstowała nas na obiad gorącą zupą, a wieczorem i rano kawą zbożową, uzupełniając zabraną z domu żywność „na drogę”.

Wreszcie wieczorem usłyszeliśmy tupot nóg kilku osób wchodzących do domu. Nazajutrz raniem odwiedził nas przewodnik, oznajmiając, że wieczorem ruszamy w drogę, po skompletowaniu grupy. Dwaj przybyli poprzedniego dnia zostali zakwaterowani w innym pokoju, bez kontaktu z nami. Istotnie, pod wieczór, przewodnik zebrał nas wszystkich razem (6 osób), udzielił wskazówek dotyczących drogi oraz polecił zjeść solidny posiłek przed wyjściem. Jego żona podała nam gorącą kawę. Przybyli ostatnio dwaj panowie, znacznie od nas starsi (około trzydziestoletni), trzymali się razem, jakby delikatnie zaznaczając swą odrębność. Późnym wieczorem, już przed wyruszeniem w drogę, przewodnik zlustrował nasz wygląd, a przede wszystkim nasz ubiór marszowy. Ustalił zasady marszu i zachowania w czasie drogi, gdy już znajdziemy się po stronie słowackiej.

Podzieleni na dwójki marszowe mieliśmy utrzymywać wzajemnie tylko kontakt wzrokowy, z zakazem głośnej rozmowy, palenia papierosów i wyrzucania jakichkolwiek przedmiotów, bez względu na to, czy pójdziemy polami, czy skrajem wsi. W pierwszej dwójce za przewodnikiem miałem iść ja z Wiktorem, w następnej „lotnicy”, jak ich nazwaliśmy, a potem nasi dwaj panowie, przybyli ostatnio. W czasie tej dłuższej odprawy miałem dopiero większą możliwość przyjrzenia się naszemu „dowódcy”. Średniego wzrostu, szczupławy, a właściwie chudy, o pochylonej nieco postawie, z czerwoną twarzą, osmaganą wichrem i mrozem, mówiący szybko polsko-słowackim dialektem, a przy uśmiechu „złotousty”. Był już ubrany do drogi, w ciemne spodnie i buty narciarskie, krótki półkożuszek i jakąś czapkę, niespotykaną u nas. Wszystko to, razem z wybitnie „ułańskimi” nogami i plecakiem na ramionach, zrobiło na mnie dość niesamowite wrażenie, na tyle silne, że do dzisiaj jeszcze, po tylu dziesiątkach lat, postać ta tkwi w mej w pamięci i bez trudu ją odtwarzam.

Po odprawie ruszyliśmy wreszcie w drogę, początkowo łagodnie pnącą się ścieżką, a następnie weszliśmy w las, brnąc dość ostro pod górę w głębokim jeszcze i twardym śniegu. Był to bardzo wyczerpujący marsz z krótkimi, ale częstymi odpoczynekami, gdyż szczególnie nasi dwaj panowie z coraz większym wysiłkiem pokonywali tę trasę. Wreszcie osiągnęliśmy szczyt góry, a wraz z nim granicę ze Słowacją. Przewodnik, po znalezieniu zacisznego miejsca, dał nam dłuższą chwilę na upragnione wytchnienie, przypominając

półgłosem ustalone zasady marszu i wzajemnej łączności. Schodzenie z góry było już znacznie łatwiejsze, chociaż duży śnieg w lesie bardzo męczył i utrudniał marsz. Po wyjściu z lasu mijaliśmy pojedyncze, rozrzucone na stoku domy, dochodzące do skraj wsi.

Był już świt pogodnego, ale bardzo chłodnego poranka. Po przejściu przez niewielki most na rzece i przecięciu drogi trasa wiodła przez ostre, ale dosyć krótkie podejście, które brnąc w śniegu pokonałszy, widząc z dala schodzącego już w dół przewodnika. Odetchnąwszy chwilę ruszyliśmy, by nie stracić go z oczu, ponieważ wszedł na dość rozległą równinę z kępami drzew i krzaków i z licznymi jeszcze zalegającymi płatami śniegu. W jednej z tych kęp drzew czekał na nas przewodnik, a po chwili dołączyła do nas następna dwójka. Brak było jeszcze tylko dwóch panów. Po dłuższym czasie oczekiwania, nie widząc ich na naszej trasie, zaczęliśmy się coraz mocniej niepokoić. Przewodnik wyraził przypuszczenie, że pewno, bojąc się ostrego podejścia, ostatnia dwójka poszła drogą, którą my przecięliśmy. Po tej uwadze oświadczył, że wraca na poszukiwania, polecając nam w ciszy i zachowaniu ostrożności oczekiwać na jego powrót, najpóźniej w ciągu godziny.

Z upływem czasu coraz bardziej narastał nasz niepokój, który, wraz z dokuczającym chłodem i zmęczeniem, osłabiał wiarę w powodzenie wyprawy. Obawę wzmagaly widoczne z naszego ukrycia pojawiające się uzbrojone patrole, penetrujące teren i poboczne toru kolejowego. W takiej scenerii dostrzegliśmy na stoku, pokrytym jeszcze śniegiem, charakterystyczną pochyloną sylwetkę naszego przewodnika z wybitnie „ułańskimi” nogami, szybko schodzącego w naszym kierunku. Ale wtedy też usłyszeliśmy jeden – dwa strzały karabinowe, gdzieś od strony toru kolejowego. Postać zniknęła ze stoku bezpowrotnie. W tej sytuacji nie mieliśmy już złudzeń, że zostaliśmy „namierzeni” i trwa oblawa. Powstało pytanie, co dalej?

Jeden z naszych „lotników” objął dowództwo i ustalił, że do momentu uspokojenia w terenie musimy dotrwać w naszej kryjówce, a później podejdziemy ostrożnie do widocznych z dala domów przyjaznych nam w zasadzie Słowaków. Ustaliliśmy również wersję naszych ewentualnych tłumaczeń, a mianowicie: ja z Wiktorem, jako koledzy gimnazjalni, znaleźliśmy się przypadkowo w czasie Kampanii Wrześniowej w oddziale wojskowym, z którym przekroczyliśmy granicę polsko-węgierską i tam zostaliśmy przez Węgrów internowani i osadzeni w obozie jenieckim w miejscowości Leva. Po pewnym czasie usunięto nas, jako uczniów, z obozu przeznaczonego tylko dla jeńców wojennych. Zimą przeczekaliśmy u pobliskich gospodarzy i zaopatrzeni przez nich na drogę, pod koniec zimy wyruszyliśmy w drogę powrotną, do rodziny w Polsce mieszkającej blisko granicy ze Słowacją. Korzystaliśmy w podróży z gościnności i pomocy Węgrów oraz Słowaków, przekraczając granicę węgiersko-słowacką gdzieś w okolicach Preszowa. Nasi nieco starsi koledzy mieli swoją własną wersję tłumaczeń, według niej spotkaliśmy się z nimi już na terenie Słowacji i razem wracaliśmy do Polski. Nasz „dowódca” ustalił również, że przed opuszczeniem kryjówki zostawiamy i ukrywamy na miejscu resztki żywności, zabrane z domu na drogę, oraz wszystkie posiadane przedmioty, mogące świadczyć, że idziemy z Polski.

Obserwując z ukrycia najbliższe otoczenie zauważyliśmy, że jeden z patroli trafił na nasze ślady na śniegu i po nich zbliża się wyraźnie do naszej kryjówki. Gdy był już blisko,

nasz dowodzący dał sygnał do ucieczki i rozproszenia w kierunku pobliskiej „zasłony terenowej”. Wyrwawszy się jak zające, zmierzaliśmy do celu, podczas gdy patrol oddał kilka niecelnych strzałów i zatrzymał się. Gdy osiągnęliśmy upragnioną „zasłonę”, zobaczyliśmy parę metrów od nas inny patrol z bronią gotową do strzału, wzywający nas do zatrzymania się i podniesienia rąk. Nie mieliśmy niestety innego wyjścia. Po chwili doszedł patrol, który nas wytropił, i ta wzmocniona eskorta poprowadziła nas, już z opuszczonymi rękami, do wsi, zapowiadając, że w razie próby ucieczki będzie strzelać. W jednym z domów Słowaczka ze współczującym uśmiechem obdarzyła nas pajdą chleba i kubkiem gorącego mleka, a nasi zwycięzcy, popijając wino przechwalali się – sądząc z ich miny i niektórych słów – swoimi sukcesami. Po tym cennym dla nas zziębniętym posiłku i odpoczynku, zostaliśmy pod wzmocnioną eskortą zaprowadzeni na posterunek znajdujący się we wsi.

Na posterunku, w dość obszernej izbie, do której nas wprowadzono, zobaczyliśmy widok, który wyjaśnił nam wszystko. W jednym rogu izby, przy małym stoliku, na którym były resztki jedzenia i kubki, siedzieli nasi dwaj towarzysze drogi (ostatnia „dwójka”) w skarpetach, a ich buty suszyły się pod piecem. W drugim kącie, blisko drzwi, siedział na jakimś zydelku nasz przewodnik z podpartą głową i nieodłącznym plecakiem. Przy naszym wejściu dał ledwo zauważalny znak głową, że się nie znamy. Po krótkim raporcie złożonym komendantowi przez jednego z eskorty, wprowadzono nas do mniejszej izby. Staliśmy w kącie, popychani pojedynczo na środek, gdzie siedzący za biurkiem komendant przesłuchiwał nas, zaczynając pytaniem: skąd i dokąd szedłeś? Zapisywał nasze dane personalne i wyuczone tłumaczenie, a jeden ze strażników dokonywał rewizji. Protokół przesłuchania i znalezione przy dość pobieżnym przeszukaniu przedmioty komendant wkładał do kopert z oznaczonym nazwiskiem. Ja podałem swoje prawdziwe nazwisko i adres rodziców w Polsce, a znaleziona w mojej kurtce widokówka z Leva i moneta węgierska pengő, były potwierdzeniem mojej relacji i zostały włożone do odpowiedniej koperty. Dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie wartość „pamiątek”, otrzymanych od kolegi Poldka w Rytrze, przed wyprawą na Węgry.

Trzeba przyznać, że Słowacy w czasie przesłuchania nie stosowali żadnej presji przy składaniu zeznań, pytając tylko często: czy mówisz prawdę, bo zostaniesz skontrolowany i ukarany, jeśli kłamiesz. Mimo tak dosyć ludzkiego traktowania nas w czasie przesłuchań i rewizji, niepokoiła mnie świadomość, że w schowku mojej kurtki nadal jest zaświadczenie z PW. Po zezwoleniu komendanta, opatrzonym „grubym słowem”, poszedłem pod strażą do stojącego obok budynku posterunku „przybytku”, gdzie wydobyłem zaświadczenie i, wśród ponagleń strażnika oczekującego pod drzwiami, użyłłem nim słowacką ziemię.

Gdy już czynności urzędowe zostały z nami zakończone, połączono nas w jedną grupę i całą siódmką odprowadzono na stację kolejową. Nie nakładano nam kajdanek, ale trzech uzbrojonych strażników nas konwojowało i wsiadło z nami do pociągu. Pociągiem, jak sobie przypominam, jechaliśmy krótko, pamiętam tylko nazwę stacji Orlov - Plaveč, niedaleko przed Muszyną. Na stacji w Muszynie oczekiwało na nas już gestapo, w oddzielnym pomieszczeniu na dworcu, gdzie słowacki konwój przekazał nas wraz z naszymi papierami i jakimiś dodatkowymi wyjaśnieniami. Pragnę tu dodać, że Słowacy przekazali Niemcom tylko nas sześciu, bez naszego przewodnika, którego w czasie jazdy

pociągiem gdzieś w drodze „zgubili”, nie wiem gdzie, w jaki sposób i dlaczego. Może dlatego, że uznali go za Słowaka, czy też przemytnika... Nigdy się tego nie dowiedziałem, ani też po raz drugi nie spotkałem „Pepika”.

W Muszynie natychmiast poznaliśmy twarde gestapowskie działanie. Brutalnie popychani, wśród przekleństw i ponagieł, zostaliśmy poddani dokładniejszej rewizji, w czasie której paru z nas odebrano jakieś osobiste drobiazgi. Po konfrontacji każdego z dokumentami, przekazanymi przez słowacki konwój, nałożono nam kajdanki, łącząc nas po dwóch, i z dworca kolejowego zaprowadzono do miejscowego więzienia. Było już późne popołudnie kwietniowego dnia. Dwójkę naszych panów umieszczono w jednej celi, a nas, w czwórkę, razem w innej celi. Ochłonąwszy nieco, co tu ukrywać, ze strachu, co będzie dalej, rozejrzałem się. W celi był jeden starszy, wysoki pan, o sylwetce typowego wojskowego, który się nam bacznie przyglądał.

Po naszym przyjeździe w celi zrobiło się dosyć ciasno. Obok pryczy czy sienników – nie pamiętam – w kącie stał „kibel” (określenie nie wymagające wyjaśnienia). „Spanie” mieliśmy po dwóch, ja z Wiktorem, a „lotnicy” razem. Rano i wieczorem otrzymywaliśmy bardzo skromne posiłki; w jednym dniu na obiad dostaliśmy domowe porcje prawdziwego rosółu z makaronem. Widząc nasze zdumienie, starszy pan wyjaśnił nam, że jesteśmy w celi dla tzw. „politycznych”, a lepsze obiady przynoszą dość często miejscowe panie z polskiej organizacji charytatywnej, za zezwoleniem Niemców. Zapytał nas, skąd tutaj dotarliśmy. Odpowiedzieliśmy, że jesteśmy studentami, którzy we wrześniu 1939 roku znaleźli się na Węgrzech i stamtąd wracaliśmy do rodzinnych domów w Polsce. Przyjął to wnikliwym spojrzeniem i znaczącym uśmiechem.

Przez dwa lub trzy dni nie zabierano nas z celi, a cały ten czas żyliśmy w napięciu, zwłaszcza, że każdego dnia rano słyszeliśmy głośnie zachowanie gestapowców, wyciągających więźniów z innych cel. Gdy uciszyło się na korytarzu, nasz pan ponownie zapytał, gdzie nas Słowacy ujęli i co im powiedzieliśmy na posterunku słowackim. Wówczas wyznaliśmy całą prawdę, a on to skwitował: „To dobrze, chłopcy”. Nie wiem, czy w tym, czy w następnym dniu polecił jednemu z naszych „lotników”, by stanął zasłaniając „judasza”, a mnie wziął za ramię i przy ścianie kazał przykłęknąć. Byłem zdumiony, nie wiedząc, o co chodzi. Wówczas pan, po zapukaniu w ścianę, wyjął z niej kawałek muru i nakazał mi się nieco odsunąć. Zobaczyłem z drugiej strony najpierw duże oko, a natychmiast po zbliżeniu usłyszałem miły i cichy głos kobiety, który polecił, bym krótko odpowiadał na pytania: ilu nas jest, co robiliśmy przed wojną, kiedy i gdzie nas ujęto, co zeznaliśmy Słowakom i czy byliśmy już przesłuchiwanym przez gestapo w willi „Helin”, oraz czy znamy biegle język niemiecki. Odpowiadałem krótko, jak rozmówczyni żądała, a na niektóre pytania „tak” lub „nie”. Wówczas pani zaleciła, byśmy nadal uporczywie podtrzymywali zeznania złożone Słowakom. „Prawdopodobnie na początku przesłuchania będą was bili, a jeżeli to wytrzymacie, to zaprzestaną bicia” – powiedziała. Pouczyła, że mamy zeznawać, iż wraz z wojskiem przeszliśmy granicę w okolicy Sianek, bo tylko w tamtym terenie była bezpośrednia granica polsko-węgierska, ale przekroczyliśmy ją przed 17 września. Podkreśliła, żeby na początkowe pytanie o znajomość języka niemieckiego odpowiedzieć, że nie znamy, wówczas dadzą tłumacza, prawdopodobnie nazwiskiem Augustyniak. Rozmowę zakończyła: „Niech wam Bóg pomoże”. Oko wraz z głosem zniknęło. Pan asystujący przy moim „widzeniu” podniósł mnie z kłku, i jak

zauważyli koledzy, misternie zasłonił otwór w ścianie. Rozmowa trwała około dwóch, trzech minut, jak ocenili koledzy – ja przy tym zdarzeniu byłem zbyt oszołomiony. Gdy po chwili wróciłem do siebie, nasz pan, mimo że małomówny i stale skupiony, ciepło się do nas uśmiechnął i powiedział, bym zapoznał kolegów z usłyszczanymi wskazówkami, i abyśmy dokładnie ich przestrzegali. Zdarzenie to okazało się nader ważne, a przede wszystkim pokrzepiające, łagodzące obawę o przyszłość, nasilającą się zwłaszcza w nocy, a podsycaną licznymi, krótkimi napisami na ścianach celi, sporządzonymi ręką byłych więźniów.

Chyba już w następnym dniu, do południa, usłyszeliśmy głośnie wejście gestapowców i zgrzyt zamków w naszej celi. Gestapowcy hałaśliwie wywoływali po nazwisku naszą czwórkę na korytarz, połączyli kajdankami po dwóch i wyprowadzili nas z więzienia. Prowadzeni przez miasto, na jednej z uliczek Muszyny natknęliśmy się na przechodzącego w pobliżu drobnego z postury Zygmunta Weissa (Żyda), mojego dobrego kolegę, który wraz z innymi muszyniakami (byli to m.in. Antek Przybylski, Jędrrek Rybiański) dojeżdżał przed wojną, podobnie jak ja, do gimnazjum w Sączu. Gdy nas zobaczył, umknął gdzieś, przerażony, w uliczną „mysią dziurkę”. Po przejściu przez tory kolejowe doprowadzono nas do willi „Helin”, położonej na stoku góry, nad stacją kolejową. Stromymi schodami wprowadzono nas na I piętro. Po zdjęciu kajdanek ustawiono nas w szeregu przy ścianie, z podniesionymi rękami, z zakazem porozumiewania się. Co jakiś czas, wywołując pojedynczo po nazwisku, gestapowiec popychał nas do obszernego pokoju. Tam – jak przypominam sobie – było dwóch lub trzech gestapowców w mundurach i jeden, krępej budowy, w średnim wieku, brunet „czarny jak diabeł” – cywil. Po wepchnięciu do pokoju, gestapowiec pytał o nazwisko i znajomość języka niemieckiego. Po odpowiedzi „nie”, włączał się cywil, jak się okazało, tłumacz. Wszystkie pytania gestapowca i moje odpowiedzi były przez niego tłumaczone. Na pierwsze pytanie, skąd i dokąd szedłem, powiedziałem, że z Węgier do domu, za co otrzymałem mocny policzek, po którym z jękiem potoczyłem się w kąt. Z wrzaskiem „haltman” – jak zapamiętałem – kopniakiem zostałem doprowadzony na środek pokoju. Tam znów drugi gestapowiec zapytał o to samo i, na moją ponowną taką samą odpowiedź, dzielił mnie przez plecy, bardzo boleśnie, pałką gumową. Po tym uderzeniu, upadając, przytrzymałem się jakiegoś stołka z poręczami. Gestapowiec, rechocząc, szarpnięciem postawił mnie na nogi i pchnął w kierunku biurka, za którym siedział tłumacz przy maszynie do pisania. Gestapowiec, nadal stojąc i wpatrując się we mnie, stawiał kolejne pytania, które cywil tłumaczył w płynnej i poprawnej polszczyźnie. Podobnie moje odpowiedzi przekładał na język niemiecki, wszystko to w odpowiedniej kolejności zapisując na maszynie. W czasie przesłuchania uderzenia się już nie powtórzyły, a tylko groźnymi gestami gestapowiec od czasu do czasu manifestował swoje zniecierpliwienie. Pytania dotyczyły tylko powrotu z Węgier, który miałem dobrze wyuczony i wyćwiczony, a ponadto uzupełniony przez tajemniczą więźniarkę z sąsiedniej celi w trakcie „widzenia”.

Po zakończeniu przesłuchania zostałem wepchnięty do sąsiedniego pokoju, gdzie siedział Wiktor w obecności dyżurującego gestapowca. Co jakiś czas dołączali do nas kolejno, po zakończeniu przesłuchania, nasi towarzysze z celi. Gdy byliśmy w komplecie, gestapowcy połączyli nas znów kajdankami po dwóch i tą samą drogą wróciliśmy, już w godzinach późnopopołudniowych, do naszej celi w muszyńskim więzieniu. Mimo, że

byliśmy tylko po więziennym śniadaniu, nie byliśmy głodni, a ja czułem się tylko obolały po tych dwóch, ale dotkliwych ciosach, których skutki – przy mojej wątłej budowie – dawały o sobie znać. Gdy nastąpiło odprężenie po przeżyciach dnia, zdaliśmy naszemu towarzyszowi z celi pełną relację z wydarzeń w „Helinie”, wzajemnie się uzupełniając, po czym usłyszeliśmy: „No to chłopcy – na razie jest dobrze, możliwe, że was wypuszczą, bądźcie dobrej myśli i trzymajcie tak dalej”.

Noc, mimo ciasnoty wspólnego „spania” z Wiktorem, obolałego ciała i odzywającego się dokuczliwego głodu, pod względem samopoczucia była o „niebo lepsza” od poprzednich, nasyconych obawą i strachem przed niewiadomym, co i jak będzie dalej? Mieliliśmy już za sobą przesłuchanie, a słowa otuchy od oszczędnego w słowach współwięźnia, jak również cenne i przyjazne wskazówki tajemnicznej więźniarki z sąsiedniej celi, dawały promyk nadziei na szczęśliwe zakończenie sprawy. Byliśmy głęboko wierzący i każdy z nas modlił się, prosząc Boga o pomoc. Do dziś, po wielu dziesiątkach lat, nadal uważam, że zarówno pan z naszej celi, jak i rozmowa z nieznaną więźniarką z sąsiedniej celi, były wyraźnym „znakiem Opatrzności”. Inaczej nie mogę sobie wyjaśnić wydostania się z rąk gestapo.

Następnego dnia w godzinach rannych do celi wkroczyli gestapowcy, założyli nam kajdanki i zaprowadzili ponownie do willi „Helin”. Tam, na I piętrze, podobnie jak poprzednio, staliśmy na korytarzu twarzą do ściany, ale bez podniesionych rąk. I znowu obawa: co i jak dzisiaj? Zostałem wezwany po nazwisku do pokoju przesłuchań i tam tłumacz w obecności gestapowców nakazał mi podpisać maszynopis mojego zeznania w języku niemieckim. Podpisałem według polecenia. Ponadto wręczył mi krótkie pismo, również w języku niemieckim, którego treść dotyczyła – jak powiedział – mojego powrotu z Węgier, gdzie znalazłem się na początku wojny, do rodziców w Rytrze. Zaświadczenie to musi potwierdzić mój wójt i natychmiast przesłać w dołączonej do zaświadczenia kopercie, już zaadresowanej „do urzędu” w Muszynie. Brak tego potwierdzonego zaświadczenia, w ciągu dwóch tygodni, spowoduje moje natychmiastowe aresztowanie. Ponownie zostałem wyprowadzony na korytarz i nadal ustawiony przy ścianie. Po chwili wyszedł z tego pokoju Wiktor, również „z papierami” w rękę, a następny z kolegów został tam wprowadzony. Mnie, razem z Wiktorem, gestapowiec nakazał zejść schodami na parter do wyjścia, co przyjęliśmy z niedowierzaniem. Widząc naszą reakcję, zatupał w miejscu, jakby nas goniąc, hałaśliwie przy tym rechocząc. Gdy na elektryczny sygnał drzwi wyjściowe otworzyły się, znaleźliśmy się na zewnątrz, oszołomieni szczęściem.

Schodziliśmy w dół, bojąc się obejrzeć, czy nas ktoś nie ściga lub nie obserwuje z dala. Po chwili marszu, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku ludzi „stamtąd”, postanowiliśmy poczekać chwilę na pozostałych kolegów. Istotnie zjawili się wkrótce i oświadczyli, że z powodu braku środków na powrót do Zamościa, muszą udać się po pomoc do miejsca zamieszkania rodziny przewodnika za Popradem. Pożegnaliśmy się szybko, serdecznie, i wyruszyliśmy z Wiktorem w drogę do Żegiestowa - Zdroju, by stamtąd dojechać pociągiem do Rytra. W drodze zostaliśmy zatrzymani przez żołnierzy w pobliżu Domu Ociemniałych, którzy po obejrzeniu papierów, otrzymanych od gestapo, puścili nas wolno. Głodni, oszołomieni nagle odzyskaną wolnością, dojechaliliśmy po południu pociągiem do Rytra (na gapę), po blisko dwutygodniowej nieobecności.

W Rytrze udałem się do kuzynki, Anny C., blisko stacji kolejowej, której mąż kilka tygodni przede mną dotarł na Węgry, przeprowadzony w grupie przez tegoż co i my przewodnika – „Pepika”. Wiktor zaś poszedł do swoich w willi „Świtezianka”, również niedaleko stacji kolejowej. Kuzynka zawiadomiła niebawem rodziców o moim powrocie z nieudanej wyprawy na Węgry. Po dwudniowym odpoczynku udałem się do Stanisławy M., wtajemniczanej w działalność przerzutową, z gorącą prośbą o pomoc w załatwieniu pisma z gestapo. Jej mąż bowiem (J.M.) był wówczas wójtem gminy zbiorowej w Piwnicznej, w skład której wchodziło Rytro. Pani M., zaskoczona i zaniepokojona moją prośbą, przyrzekła, że poprosi męża o tę niebezpieczną przysługę. Po dwóch, trzech dniach oświadczyła mi z radością i pewną dumą, że jej mężowi udało się załatwić to ryzykowne zadanie. Fakt ten ujawniłem dopiero w kręgu konspiracji akowskiej, do której państwo M. również należeli. Ale było to już latem 1942 roku. I wówczas dopiero osobiście podziękowałem panu Józefowi za ten akt odwagi.

Przypominam sobie również kilka informacji, które uzyskałem już później, po moim wyjściu z więzienia w Muszynie. Przez znany mi kontakt dowiedziałem się, że nasz



Dokument tożsamości autora z 1941 roku, podpisany przez tegoż samego wójta gminy Piwniczna, o którym mowa w tekście

przewodnik („Pepik”) wrócił do domu po naszym zwolnieniu, ale nie wiem, czy nadal zajmował się działalnością „przerzutową”. Dwaj „starsi” panowie z naszej grupy, po śledztwie na gestapo w Muszynie, zostali przewiezieni do Nowego Sącza, a stamtąd wywiezieni do obozu koncentracyjnego. W Muszynie ostatni raz widzieliśmy ich po doprowadzeniu nas sześciu do więzienia. Tam, umieszczeni w innych celach, nie byliśmy z nimi łączeni ani przez Słowaków, ani przez gestapo. Również dowiedziałem się nieco później, że tajemniczą więźniarką z sąsiedniej celi, która przez ścianę udzieliła mi cennych informacji i wskazówek, była prawdopodobnie Helena Maruszówna, która podobno w tym czasie siedziała w muszyńskim więzieniu. Nigdy nie udało mi się jednak zweryfikować tej informacji.

Od redakcji:

T. Plechta od maja 1942 r. był żołnierzem AK (ps. „Lech”); został odznaczony Krzyżem Walecznych, Krzyżem Partyzanckim oraz Medalem Zwycięstwa i Wolności.

Witt Kmietowicz

(NIE TYLKO) SYBERYJSKA ODYSEJA ANTONIEGO KMIETOWICZA

Z początkiem XX wieku żyło w Muszynie pięć rodzin Kmietowiczów i wszystkie one wywodziły się z tego samego „pnia”. Stanowiły ród, którego protoplastą był Michał Kmietowicz, brat muszyńskiego proboszcza z lat 1752 -1775, księdza Marcina Kmietowicza.

Wiele dokumentów wskazuje na to, że Michał Kmietowicz, za namową i przy pomocy swego brata ks. Marcina, osiadł w Muszynie przed 1750 rokiem. Ożeniony prawdopodobnie z hrabianką Marianną z Tarnowskich, miał trzech synów: Jana, Kaspra i Michała. Oni to z kolei byli pierwszymi „konarami” dość rosnącego dziś drzewa genealogicznego rodu Kmietowiczów w Muszynie.

W roku 1848 urodził się Jan, prawnuk Michała i Marianny. To on właśnie w roku 1899 założył kolejną gałąź rodziny Kmietowiczów, żeniąc się z młodszą o 11 lat Zofią Miczułską „z Gór”, czyli z dzisiejszych Miczułów. Jan przeniósł się po ślubie z Podjastrzębika na ojcowiznę żony i tu na świat przyszli potomkowie jego i Zofii, a wśród nich – jako drugie dziecko – Antoni, urodzony 14 maja 1904 roku.

Na Miczułach bierze swój początek potok Rusińczyk, a na Garby stąd już tylko krok. Jak piękny roztacza się stąd widok na zachodni, zalesiony stok Malnika, można się przekonać jeszcze i teraz, na początku XXI wieku. Tu jakby zatrzymał się czas...

ANTONI

Antoni, jego starszy brat oraz rodzice byli poddanymi Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa, cesarza Austro-Węgier. Kiedy chłopiec skończył 10 lat, wybuchła I wojna światowa. W zimowe dni 1914 i 1915 roku, kiedy Antoni chodził z matką z Miczułów popod Brzyżki do kościoła w Muszynie, oglądał stacjonujące na „Łusach” oddziały kozaków, a potem i „swoich” freitrow i gefreitrow, tabory koni i wozów, płonące ogniska i warty przy wozach. W pamięć dziecka zapadły poszczególne obrazy tych dni. Przemarsze wojsk, dalekie kanonady dział i strzepy zdań, które wymieniali ze sobą starsi, a w których bezustannie powtarzały się wyrazy „Polska” i „wolność”. Mimo wojennych dni chodził do szkoły w Muszynie. Był uczniem ostatniego rocznika, który kończył jeszcze szkołę austriacką.

Rok 1918 i pierwsze dni wolności Polski w listopadowym czasie zastały go już na kolei. Antoni wcześniej zrozumiał, że z lichej ziemi na Miczułach trudno będzie mu wyżyć, mając jeszcze dość liczne rodzeństwo. Musiał więc wybierać rzemiosło lub ...

Przechodząc tyle razy koło stacji kolejowej w Muszynie, oglądał ciężkie i sapiące parowozy, buchające kłębami pary i dymu, z głośnym stukotem pędzące po szynach. Wtedy marzył, by zająć miejsce maszynisty, by poprowadzić w świat wielką lokomotywę. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Muszynie, nie bez pomocy ojca i rodziny, został przyjęty na kurs pomocników maszynistów kolejowych. Ukończył go z wyróżnieniem

i został przydzielony do pomocy staremu maszyniście, prowadzącemu lokomotywę, pamiętającą czasy Najjaśniejszego Pana. Maszynista nie ukrywał przed młodym niczego, więcej go nauczył, niż instruktorzy na kursie. Toteż nic dziwnego, że ledwie Antoni skończył 18 lat, złożył specjalne egzaminy przed Komisją Kolejnictwa w Krakowie.

Szybko poznał szlaki kolejowe z Muszyny do Krakowa, z Krakowa do Lwowa. Ciągłe w podróży i w lokomotywie, która była dla niego drugim domem. Ale... dostał powołanie do służby wojskowej. Przydzielono go do Korpusu Ochrony Pogranicza, a po rocznym szkoleniu wysłano na Podole, nad rzekę Zbrucz w województwie tarnopolskim. Na dalekich wschodnich rubieżach miał strzec bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Polubił tę służbę. Za namową przełożonych i kolegów porzucił dla niej kolej. Został zawodowym żołnierzem – „pogranicznikiem”.

EDWARDA

Urodziła się w Częstochowie 14 października 1913 roku. Matka jej zmarła na tyfus w pierwszych miesiącach wojny, w roku 1915. Tak więc, w wieku niespełna dwóch lat została osierocona, a wychowaniem jej i starszego o rok brata zajęła się babcia. Ojciec, oficer armii carskiej, przebywał gdzieś na frontach I wojny światowej. Kiedy babci nie starczyło sił, opiekę nad dziećmi przejęła siostra matki. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Częstochowie Edwarda zamieszkała u wujostwa w Sosnowcu. Tu dostała pracę u wuja w księgarni. Wieczorami uczęszczała na „kursy buchalterii i kupiectwa”. Zapewne pozostałaby w Sosnowcu na dalsze lata swego życia, gdyby nie ojciec, który po zakończeniu wojny osiadł na kresach wschodnich i usilnie zabiegał o to, by córkę mieć przy sobie. Nie było jej łatwo podjąć decyzji, w końcu jednak latem 1931 roku wyjechała do Krasnego, niedaleko Skałatu, gdzie ojciec posiadał niewielki majątek.

Tu wnet poznała przystojnego podoficera Antoniego Kmietowicza. Nie trzeba było długo czekać na efekty wzajemnego zauroczenia. Młodzi wzięli ślub w Krasnym na zapusty 1934 roku. We wrześniu 1935 roku urodził się państwu Kmietowiczom syn Zbigniew, a wiosną 1937 roku drugi syn – Henryk. Rodzina była szczęśliwa, każdą wolną chwilę spędzała razem. Stabilizacja życiowa zdawała się być trwała. Antoni awansował. Chłopcy zdrowo rośli, ciekawi świata. Ojciec Edwardy, dumny z wnuków, jak mógł tak pomagał rodzinie Kmietowiczów.

Tymczasem sytuacja polityczna w Europie komplikowała się coraz bardziej. Pewna już była nowa wojna z Niemcami, ale tu, na dalekich wschodnich rubieżach, na wszystko patrzyło się z innej perspektywy, jakby z oddalenia. Jednak pewnego wrześniowego dnia Skałat i Krasne znalazły się w samym środku wojennej pożogi. 17 września 1939 roku, niespodziewanie dla wszystkich, wkroczyły do Polski oddziały Armii Czerwonej. Niektóre placówki graniczne nie zdążyły podjąć jakichkolwiek działań. Zaskoczeni „pogranicznicy” zostali natychmiast zatrzymani. Zostali aresztantami, a nie dostali się do niewoli. Tu jest pewna istotna różnica. Są prawa przysługujące jeńcom wojennym...

Taki właśnie los spotkał plutonowego Antoniego Kmietowicza. Został aresztowany niczym pospolity przestępca. Zaczęły się więzienia, przesłuchania, szykany, głód, zimno, wszy, choroby. Katorżnicza praca po 12-14 godzin na dobę. Do tego niepewność o losy Edwardy i synów. Trudno dziś wyrazić to, co przeżywali obydwój. Ona nic nie wiedziała

o mężu, a on o żonie i dzieciach. Towarzyszyła im dręcząca niepewność jutra... Co z bliskimi?... Czy żyją?... Na nic zdały się zabiegi ojca, który ponoć miał jakieś układy z Rosjanami, by poznać choć miejsce pobytu swego zięcia.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Antoniego wywieziono pod Ural i osadzono w łagrze. Przydzielono do roboty w kamieniołomach. Tu wnet miał miejsce niesłychany wybrzyk więźniów. Oto wszyscy odmówili wyjścia do pracy w dzień Bożego Narodzenia. Coś dla bolszewików niebywałego! Na nowo przesłuchania, śledztwo sąd i wyrok: 10 lat gułagu na dalekiej północy. W syberyjskiej tajdze.

– Kolejarz!?! Wot i charaszo! Będzie budował tory kolejowe przez tajgę!

Znow podróż bez końca w bydlęcym wagonie kolejowym. Trzaskające mrozy. Głód i śmierć, o którą Antoni ocierał się bez przerwy. W lutym 1940 roku znalazł się w grupie zesłańców, którzy karczowali tajgę, przygotowując teren pod nowy szlak kolejowy. 12 godzin pracy przy wyrębie wiekowych świerków. Syberyjski siarczasty mróz do -50°C . Jeden posiłek dziennie. Podobno gorący, w postaci rozgotowanego, często spleśniałego chleba. Tak zwana wodzianka, czasem lekko posolona, stanowiła zapłatę za ciężką, całodzienną pracę.

Przesiekę wycinano w starym syberyjskim lesie. Wycięte drewno magazynowano na podkłady kolejowe. Następna ekipa miała karczować pnie, kolejna równać ziemię i tak dalej... W końcu ostatnia układała podkłady i przykręcała szyny. Najgorszą pracę mieli ci pierwsi. W czasie syberyjskiego mrozu piła, chwycona gołą ręką, przymarzała do niej. „Gorący posiłek”, nim dotarł do zesłańców, bywał już zamrożony. Ciągłe szykany i psychiczne znęcanie się wśród krzyku „naczalstwa”, brak jakiegokolwiek nadziei na wydostanie się z tego lodowatego piekła, robiło swoje. Pozostawały na kolejowym szlaku mogiły, na których nie pozwolono umieścić niczego, tym bardziej krzyża. Ileż to grobów Polaków, Ukraińców, Litwinów, czy też przedstawicieli innych nacji stało się podkładami kolejowego szlaku z Workuty do południowego Kazachstanu...

DOBROWOLNA ZSYŁKA

Pewnej kwietniowej nocy 1940 roku do drzwi domu w Krasnym, gdzie mieszkała Edwarda Kmietowicz z synami, ostro załomotano. Krzyk enkawudzystów nie budził wątpliwości.

– Przyszli po nas! – krzyknęła przerażona Edwarda. Liczyła się z tym, że i ona może podzielić los męża. Obudzeni chłopcy zaczęli płakać. Stary żołnierz z karabinem na ramieniu, młody cywil z czerwoną opaską milicjanta na rękawie skórzanej kurtki i sekretarz miejscowego komitetu partii krzykiem nakazali się zbierać.

– Macie pół godziny i ani minuty dłużej! – oznajmił milicjant, od którego czuć było alkohol. Na pytanie, gdzie są zabierani, roześmiał się i stwierdził: – Do męża!... Nie musicie niczego ze sobą brać! Związek Radziecki ma wszystkiego pod dostatkiem!” – i znowu zaczął się szyderczo śmiać.

Na szczęście stary żołnierz na stronie powiedział Edwardzie po polsku, by brała ze sobą, co się tylko da! Rzeczywiście, wiele rzeczy zabranych wtedy z Krasnego uratowało później życie i matce, i chłopcom, chroniąc przed śmiercią głodową.

Wywieziono ich już o świcie konną furmanką, do – wcale nie najbliższej – stacji kolejowej, a tu załadowano do bydlęcych wagonów. Po kilku dniach oczekiwania na

pozostałych „pasażerów”, pociąg ruszył w dal. Na jednym z postojów Edwarda naliczyła, że transport składał się z 60 wagonów; w każdym było około 100-120 ludzi i wszyscy jechali na „spotkanie z mężami, ojcami, żonami, dziećmi i rodzinami”!

Podróż trwała, zdawało się, w nieskończoność. Wreszcie, po około miesiącu, któregoś dnia niespodziewanie pociąg się zatrzymał. Z 60 wagonów zostało może kilkanaście. Otwierano w nich po kolei drzwi. Wyczytywano z listy nazwiska i kazano wysiadać. Każdemu przyglądano się dokładnie, szczególnie walizkom i tobołkom. Kiedy już wszyscy wyczytani wysiedli, parowóz zagwizdał i sapiąc ruszył dalej. Wszystkich wysadzonych z pociągu, około 80-100 osób, pozostawiono na pastwę losu. Edwarda zrozumiała, że zostali oszukani. Nie będzie żadnego spotkania z mężami i rodzinami.

Wkoło pustka. Ani drzewa, ani krzewu, tylko trawy i trawy! Wysoko na niebie słońce. I gdzieś, gdzie „niebo styka się z ziemią” – biało-szare obłoki. Takiej pustki jeszcze w życiu nie widziała. Po kilku godzinach bezradnego siedzenia przy torze, doczekano się kilku ciężarówek, które zabrały wszystkich, stłoczonych na platformach, i powiozły w step. Jazda samochodami trwała kilka godzin – po bezdrożach, wśród traw, to znowu po spalonej przez słońce ziemi, z której unosiły się tumany kurzu. Kiedy zapadł zmierzch, samochody nieoczekiwanie znalazły się na obszernym placu jakiejś wioski. Tu miejscowi czekali na zesłańców. Kazano wszystkim wysiadać z platform. Teraz do każdego podchodzili tutejsi i wybierali sobie albo rodziny, albo też grupy młodych i silnych. Nikt nie interesował się szczupłą, nędznie wyglądającą kobietą z dwójką chłopców. Kiedy plac opustoszał, do siedzącej bezradnie Edwardy podeszła starsza kobieta. Upewniła się, że Edwarda nie ma gdzie iść, wzięła ją i dzieci do siebie. Odstąpiła im nawet swoje łóżko, by chłopcy mogli wygodnie spać. Okazało się później, że ową kobietą była Tatarka, którą wcześniej Rosjanie przywieźli tu z Krymu i pozostawili samą sobie, tak jak teraz Edwardę i jej dzieci. Kobiety szybko się zaprzyjaźniły. Złączył ich wspólny los, los zesłańców tzw. „wolnej zsyłki” i bezkresny step północnego Kazachstanu.

– Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet! – usłyszała wnet Edwarda w małej wiosce od sekretarza miejscowego kołchozu. Produkowano tu cegłę dla budującego się „gdzieś niedaleko” miasta. Gлина dobrego gatunku była na miejscu, ale cegłę trzeba wypalić, a potrzebnego do tego celu węgla i drewna tu brakowało. Przywożono więc opał do cegielni ze stacji kolejowej (300 km), a w drodze powrotnej zabierano wypaloną cegłę. Przynajmniej samochody nie jeździły „na pusto”.

Edwardę przydzielono do pracy przy wypalaniu cegły. Po jakimś czasie stwierdzono, że już na tyle pojęła sztukę palenia w piecach, że może samodzielnie je obsługiwać. Zapłatą za pracę był skromny przydział kaszy, chleba, cebuli. Pod koniec 1941 roku, pewnej nocy, kiedy ze zmęczenia schorowana Edwarda zasnęła w pracy, jeden z pieców wygaś i cały ładunek cegły został zmarnowany. Takie przypadki władza radziecka traktowała jako sabotaż. Winowajców rozstrzeliwano, wieszano, w najlepszym razie zsyłano do gułagu, gdzieś na północ. Na szczęście dla Edwardy cała sprawa zakończyła się bez konsekwencji. Czy dlatego, że było po amnestii dla polskich zesłańców? Czy też pomogła modlitwa?

ZA WSZELKĄ CENĘ DO POLSKIEGO WOJSKA

Wiadomości były rewelacyjne! Niemal nieprawdopodobne. Oto 13 sierpnia 1941 roku władza radziecka wydała dekret o amnestii dla Polaków. 14 sierpnia podpisano polsko-radziecką umowę wojskową. 22 sierpnia gen. Anders zaczął tworzyć polskie wojsko!

Te szokujące, a zarazem radosne wiadomości dotarły do łagrów nawet na dalekiej północy, w dzikiej tajdze, rzecz jasna, ze znacznym opóźnieniem.

Podobno od września działała w Moskwie polska ambasada!

W łagrze ktoś z „naczalstwa” bez entuzjizmu poinformował o tym zesłańców: ...polscy mężczyźni od 18 do 50 lat mogą się zgłosić! Dostaną w „obłasti” skierowanie i „bumagi” do tworzącej się armii polskiej. Informowano byle jak, ale Antoni zgłosił się od razu. Nie zwlekał ani dnia, za to „naczalstwo” – owszem. Antoni za wszelką cenę chciał dostać się do polskiej armii, by znów włożyć na głowę czapkę z orłem! Nie chciał już katorżniczej pracy, zimna, głodu, chorób i braku nadziei na przeżycie kolejnych tygodni.

W końcu Antoni i kilku innych szczęśliwców dostali „propusk” oraz inne potrzebne „bumagi”. Bez jednej kopiejki w kieszeni, bez kromki chleba na drogę, ruszyli w podróż przez całą Rosję. Jak tu spod Workuty dotrzeć daleko na południe, nie mając nawet rozeznania, gdzie trzeba jechać? Można przypuszczać, że podróż Antoniego Kmietowicza niewiele różniła się od tej, którą opisał Gustaw Herling-Grudziński w „Innym świecie”. Wreszcie, prawie po trzech miesiącach, Antoni dotarł do Buzułuku, gdzie urzędowało już Dowództwo Polskiej Armii.

STARANIA O SVOICH

Na miejscu od pierwszych dni Antoni podjął starania, aby dowiedzieć się o miejscu zesłania żony i synów. Władza radziecka w takich sprawach niezbyt się spieszyła i nie była zainteresowana jakąkolwiek pomocą. Wkrótce całkowicie zaprzestano wydawania polskim żołnierzom pozwoleń na sprowadzanie członków rodzin.

Czyżby znów zrzędnienie ślepego losu? A może szczególna łaska? Antoni dowiedział się od kolegi z tej samej drużyny o miejscu pobytu Edwardy i synów! Oto żona owego kolegi informowała w liście, że w sąsiednim kołchozie znajduje się żona Antoniego z synami. Antoni uchwycił się tej wiadomości i podjął energicznie niezbędne kroki, by zdobyć potrzebne dokumenty i sprowadzić żonę i synów do wojska. Odległość z Buzułuku do małej wioski w Kazachstanie była wielka. Uzyskanie dokumentów od władzy radzieckiej to jedna sprawa, a druga to brak pieniędzy na taką podróż. Opóźniało to wyjazd Antoniego po żonę i synów.

Nagle przyszła wiadomość, że Rosjanie wstrzymują łączenie rodzin wojskowych. Dowódca kompanii, w której służbę odbywał Antoni, nakazał mu natychmiastowy wyjazd po swoich. Koledzy żołnierze zebrali trochę pieniędzy na podróż. Choć oficjalnie było już za późno, Antoni wyjechał do Kazachstanu. Wczesną wiosną 1942 roku, ze łzami ogromnego szczęścia w oczach, rodzina Antoniego Kmietowicza spotkała się po raz pierwszy od września 1939 roku. Radość ze spotkania macił pośpiech. Należało jak najszybciej powrócić do Buzułuku, skąd już następowała ewakuacja wojska do Persji.

Podczas wiosennych roztopów, grzęznąc po osie w błocie, zdezelowana ciężarówka zawiozła wszystkich Kmietowiczów do Petropawłowska, skąd towarowymi wagonami, prawie „na gapę”, nie bez drobnych przygód, odbyli dwutygodniową podróż. W kilka dni po przyjeździe Kmietowiczów do Buzułuku zakończono ewakuację wojska do Pahlevi w Persji.

Antoni i jego rodzina należeli do ostatnich, którzy opuścili w ten sposób Związek Radziecki.

CIĄG DALSZY ODYSEI

W Teheranie znów rozdzieliły się drogi rodziny Kmietowiczów. Edwarda z synami powędrowała do Indii. Potem, po kilkunastu tygodniach przebywania w obozie dla uchodźców w Karaczi (dziś miasto w Pakistanie), statkiem przetransportowano ją wraz z dziećmi do Mombasy w Kenii. Pod koniec 1942 roku zawędrowali z Mombasy przez Nairobi do Kampali, stolicy Ugandy, by stamtąd przeprowadzić się do Mansidi, małego miasteczka w północno-zachodniej Ugandzie. Tu, gdzie klimat był nieco łagodniejszy, Edwarda z synami spędziła 6 lat, do maja 1948 roku. Stąd wyjechała do Anglii, by ponownie spotkać męża. Chłopcy w samym sercu Afryki chodzili do polskiej szkoły!

Antoni Kmietowicz wcielony został do II Korpusu i w 1943 roku dostał się przez Irak, Palestynę i Egipt do Włoch. Brał udział w kampanii włoskiej. Walczył pod Ankoną, Bolonią i pod Monte Cassino.

Melchior Wańkowicz w książce „Monte Cassino” opisuje jeden z epizodów walki, w którym Antoni brał udział. Oto na stronie 304 tomu I, wydanego przez Oddział Kultury i Prasy II Polskiego Korpusu w Rzymie w 1945 roku, czytamy:

Rozgrzany walką dowódca kompanii kpt. Bartosik poznaje domek, odcyfrowany ze zdjęć lotniczych. Domek pyrka strzałami szmajsera. „Zdobyć domek”! – krzyczy kapitan przez strzały, bieganinę i zamęt.

Posłyszał rozkaz sierż. Kmietowicz; biegnie ku domkowi, otrzymuje serię z odległości 15 metrów. Pada, ale się podniósł. Nic mu nie jest. Skokami idzie na domek. Żołnierz z tamtej wojny – wie, że kto zalega, ten ginie!

Któryś z żołnierzy z rozbitej 3. kompanii, usiłując coś na własną rękę wyczynić, już się dobiera do domku. „Idź z lewej!” – woła Kmietowicz.

Okrażany przez strzelca i sierżanta budynek – to po walkach poprzedników tylko wspomnienie czegoś, co było domem. Ściana od strony Kmietowicza zwalona, z któregoś z okien z przeciwległej ściany idą kule.

Kmietowicz daje serię do jednego, do drugiego okna w tej ścianie. Przeciwnik milknie. Sierżant biegnie przez osypisko, rzuca przez okno granat. Huk i cisza. Wspina się do okna – wygląda; na przybudowanym do ściany bunkrze, rozrzuciwszy ręce i nogi szeroko, leży upolowany Niemiec ze sznajserem. Coś ruszyło się w bunkrze – Kmietowicz rzuca granat. Jęk. Obiega ścianę i wrzuca granat do środka. Coś się w bunkrze trzepocze, aż ustaje – słychać tylko charkot.

Domek widmo został zdobyty! Zdobył go sierżant Kmietowicz. Na tejże stronie widnieje zdjęcie strzelców Karpowicza i Łukawieckiego oraz sierżanta Kmietowicza. (Niestety w I wydaniu książki zostało błędnie podane nazwisko Antoniego [Kmitowicz], jednak sprostowano to w erracie). Za tę akcję Antoni został później odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* klasy III i awansowany do stopnia starszego sierżanta.

Kampanię włoską skończył jako chorąży. Po demobilizacji zdecydował się pozostać w Anglii. Zbyt dużo przeżył przez ostatnie 10 lat. Zbyt dużo doświadczył, by teraz powrócić do kraju. Nie była to ta sama Polska, którą opuszczał we wrześniu 1939 roku.

O swych przeżyciach i doświadczeniach nie chciał rozmawiać w ogóle. Jeżeli już musiał, to były to lakoniczne, zdawkowe wypowiedzi. Jakieś pojedyncze epizody bez większego znaczenia. Stąd nic dziwnego, że w prezentowanym tekście nie widnieją

nazwiska kolegów ani współtowarzyszy łagrowego życia i katorżniczej pracy. Brak też dokładnych nazw miejscowości, w których przebywał, czy to w więzieniach, czy też łagrach. Brak szczegółów trasy, jaką pokonał, by z dalekiej północy dostać się na południe Rosji. Nie umniejsza to jednak wagi opisanych zdarzeń.



Edwarda z synami w Mansidi



Antoni Kmietowicz

ŻYCIE NA OBCYZŹNIE

Antoni pozostał na resztę swych dni na obczyźnie. Zaraz po demobilizacji pracował w obsłudze hotelu w Oxfordzie. Później jakiś czas był górnikiem. Pod koniec 1948 roku dostał niespodziewanie pracę woźnego szkolnego w polskim gimnazjum im. M. Kopernika niedaleko Beccles w hrabstwie Suffolk. Propozycję tę przyjął z radością, bowiem do tegoż gimnazjum uczęszczali jego synowie. Tam pracował do rozwiązania gimnazjum w 1957 roku. Potem wraz z rodziną przeniósł się do Leicester, gdzie pracował znów jako woźny szkolny, tym razem w szkole angielskiej.

Zmarł w roku 1974, w wieku 69 lat, i pochowany został na cmentarzu katolickim w Leicester, w rodzinnym grobowcu.

ZAKOŃCZENIE

Tak kończy się historia jednego z muszyniaków, który opuszczając Muszynę na długo przed wybuchem II wojny światowej nie wiedział, że już nigdy do niej nie powróci.

Był jednym z tych niewielu mieszkańców naszego miasteczka, którzy przeżyli bitwę o Monte Cassino i zostali odznaczeni krzyżem *Virtuti Militari*.

Powyższy tekst poświęcony Antoniemu Kmietowiczowi dedykuję również tym muszyniakom, którzy dali przykład przywiązania do wartości i tradycji oraz prawdziwego umiłowania Ojczyzny. Odchodzą już zarówno i oni, i ich czasy, jednak pragniemy wszystkich zapewnić o naszej pamięci, uznaniu i czci, jaką ich zawsze będziemy otaczać.

ZE STAREGO ALBUMU



Rodzina Borzemskich i Turskich.

Od lewej w drugim rzędzie stoją: „Dziusia” Turska, Ludwika Borzemska – żona Wiktora, Jadwiga Turska; z frontu: stryj Wiktor Borzemski, Babcia Borzemska, młodzieńki Wiktor Borzemski oraz Wanda (siostra Wojciecha, ojca młodego Wiktora) i Adolf Tursey (1925 r.)



Rodzina Borzemskich z jamnikami na tle „Starej Leśniczówki” na Majerzu (1925 r.).
Fotografie pochodzą z albumu Janet i Wiktora Borzemskich, mieszkających w USA.

Ryszard Kruk

KRYNICA NA DAWNEJ POCZTÓWCE

Wstęp

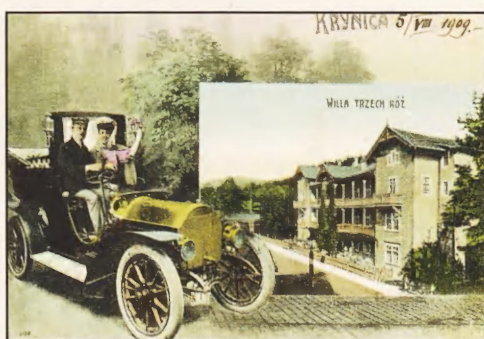
W poprzednich rocznikach *Almanachu Muszyny* dokonałem opisu Muszyny (AM 2000) i Żegiestowa (AM 2001) na dawnych pocztówkach. We wstępie do pierwszego z tekstów zamieściłem skrót historii pocztówki, z uwzględnieniem złożonej problematyki jej datowania. Odsyłam PT Czytelników do tegoż artykułu. Opisy pocztówek opieram na zbiorach gromadzonych w związku z wydawaniem *Almanachu Muszyny*. O ile przy prezentacji Muszyny i Żegiestowa mogę mówić o zbiorach w zasadzie kompletnych (choć od momentu ich opisanie na szczęście udaje mi się trafić na ciekawostki), to w wypadku zbioru krynickiego, mimo jego obszerności, zdaję sobie sprawę z istnienia kilku bogatszych kolekcji. Mam nadzieję, że informacja o ich zasobach ukaże się drukiem, bowiem kolekcjonerstwo wtedy przede wszystkim ma sens, gdy służy upowszechnianiu wiedzy. W *Almanachu Muszyny* pojawiały się już pocztówki krynickie; zwracam uwagę na teksty: „Kopiec Pułaskiego dobrem Narodu” (AM 1999) oraz „Teatr w Krynicy” (AM 2001). Problematykę tę pominąłem w niniejszym tekście.

Opis zbioru.

Na zbiór składa się prawie 700 pocztówek z lat 1900-1950, zwanych też kartami korespondencyjnymi, zgromadzonych w okresie pięciu lat poprzez udział w giełdach, aukcjach kolekcjonerskich oraz kontakty z filokartystami. Według klasyfikacji stosowanej w środowisku filokartystów, w podanych niżej okresach wydanych zostało: 1900/1905 – 48 pocztówek, w tym 7 kolorowanych, 1905/1913 – 79, w tym 19 kolorowych, 1914/1920 – 45, w tym 13 kolorowych, 1921/1930 – 191, w tym 22 kolorowe, 1931/1940 – 281, w tym 8 kolorowych, 1941/1950 – 35 pocztówek. Poniżej porównanie ilości pocztówek w zbiorze dotyczących Muszyny, Żegiestowa i Krynicy, które pośrednio stanowią odzwierciedlenie zaangażowania tych miejscowości w rozwój i propagowanie działalności uzdrowiskowej.

Okres	Muszyna	Żegiestów	Krynica	Razem
1898-1905	15	19	48	82
1906-1913	19	29	79	127
1914-1920	7	11	45	63
1921-1930	25	76	191	292
1931-1940	112	133	281	526
1941-1950	8	5	35	48
Razem	186	273	679	1138

Krynica na dawnej pocztówce





Krynica
Wnętrze deptaku krytygo ze „źródłem głównym” i „kardla”



Krynica. Pawilon dla miłośników ziół.



KRYNICA.
Łazienki borowinowe.



Krynica. - Deptak kryty ze źródłem głównym.



KRYNICA. Statua Matki Bożej w parku.



Ze zbiorów
ALMANACHU
MUSZYNY

Pierwsze krynickie pocztówki/karty korespondencyjne.

Jeśli przyjmiemy jako datę pewną stempel pocztowy, najstarsze pocztówki w zbiorze pochodzą z roku 1900. Pierwsza wydana została przez A. Kaczyńskiego i przedstawia kompozycje trzech zdjęć (*Widok ogólny Krynicy, Kaplica, Ruiny zamku w Muszynie*), a wysłana została 10 stycznia 1900 roku z Krynicy do Nowego Targu. Druga ukazała się nakładem fotografa „Janiny” i A. Kaczyńskiego w Krynicy z opisem: *Kiosk meteorologiczny i bazar* i wysłano ją 13 sierpnia 1900 roku do Leonii Lerowskiej w Warszawie, ul. Marszałkowska 133, którą nadawczynie informują o wielu atrakcjach w Krynicy, między innymi „wygraniu kilku łokci kiełbasy na loterii”, uroczystości w Domu Zdrojowym i mającym się odbyć Zlocie Sokół. Przypuszczam, że kilka pocztówek w zbiorze może być datowanych na ostatnie lata XIX wieku, jednak wobec braku czytelnego stempla lub ewidentnej daty w korespondencji, są to jedynie domniemania. Zwraca uwagę fakt, że wśród wspomnianych 48 pocztówek z tak zwanym „długim adresem”, czyli wydanych do 1905 roku, 15% stanowią kolorowe lub kolorowane. Prawdopodobnie nie oddaje to ogólnej proporcji wydanych w tym okresie kart, a raczej świadczy o tym, że kolorowe były chętniej zbierane i zachowywane w rodzinnych zbiorach. U kolekcjonerów widziałem pocztówki krynickie z datami pewnymi 1898, w tym krynickie litografie Salby. Jestem przekonany, że poszukiwania mogą tę datę przesunąć nawet na rok 1895. Z przyjemnością opublikujemy najstarszą pocztówkę krynicką w *Almanachu*.

Serie pocztówkowe.

Serie pocztówkowe, rozumiane jako pocztówki wydane według jednolitej formy graficznej, prezentujące dobrane tematy, to „wyższa szkoła jazdy”. Z biznesowego punktu widzenia niosą one ryzyko dla wydawcy, bowiem nawet jeśli liczy on na grupę odbiorców zainteresowanych nabyciem całej serii, to jednak ryzyko pozostania z częścią nakładu, w efekcie wyboru przez kupujących tylko najbardziej interesujących kart, jest znaczne. Jak sądzę, często u wydawcy dużej serii pocztówek biorą górę więzi emocjonalne z miejscowością nad względami racjonalnymi. Spójrzmy na niektóre serie wydawane we wskazanych wyżej okresach.

W okresie do 1905 roku pojawiają się znaczące serie pocztówek wydawców krynickich. Zwracam uwagę na serie: Zygmunta Wrześniowskiego, A. Kaczyńskiego (wspólnie z „Janiną”) oraz Sch. Braunfelda. Ich pocztówki już na pierwszy rzut oka można odróżnić po liternictwie w opisie, mam jednak problemy z ich datowaniem. Konieczne są porównawcze badania wspólnie z innymi posiadaczami pocztówek z omawianego okresu. Wrześniowski, z którego serii jest w zbiorze 11 okazów, koncentrował się na widokach ogólnych, zaś w zbliżeniach ukazywał postacie pozujące na tle charakterystycznych dla Krynicy obiektów. Jego podpisy – poza dwoma znanymi mi przypadkami – są w kolorze czarnym. Kaczyńskiego i Braunfelda należy uznać za prekursorów kolorowych pocztówek krynickich; wprowadzają oni czerwony lub bordowy kolor do opisów. Mam wątpliwości, komu z nich przyznać w tej sprawie pierwszeństwo. Dwie pocztówki Kaczyńskiego wymagają uwagi. Jedna, z datą pewną 1901: *Krynica – Wodospad pod Jaworzyną*, wykonana w zakładzie reprodukcyjnym „Eureka” we Lwowie, to pierwsze znane mi

zastosowanie sepii na pocztówce krynickiej, a druga, z datą pewną 1903, przedstawiająca *Diabelski Kamień*, to najstarsza w zbiorze czterokolorowa pocztówka krynicka. Seria Kaczyńskiego jako pierwsza wykroczyła poza Krynice, bowiem pojawia się w niej także Muszyna, na co wskazywałem, omawiając pocztówki z tego terenu.

W okresie od 1905 do 1920 roku nie można przejść obojętnie obok krótkich – w zbiorach mam po cztery ich egzemplarze – serii kolorowych pocztówek krynickich R. Kannera z Nowego Sącza oraz Salonu Malarzy Polskich w Krakowie. W wypadku Kannera zwrócę uwagę na nowatorską technikę stosowania dwóch planów, zaś w wypadku Salonu, jak przystało na malarzy, na piękne secesyjne zdobnictwo techniką kolażu. Pewnie trudno w to dzisiaj uwierzyć, ale kiedyś pocztówki były kolorowane ręcznie. Serię takich pocztówek wydał w roku 1909 Ant. Jules z Krynicy; sądząc po trzech egzemplarzach, jakie trafiły do zbioru, zleceniobiorcy nie cechowali się starannością.

W połowie lat dwudziestych ukazały się kolorowe serie pocztówek, w tym godna uwagi oparta na pastelowych rysunkach Władysława Szulca i Mariana Trzebińskiego. Nakładą serii, o nieznannej wielkości, z której udało mi się zebrać 12 pozycji (*Deptak, Soplicowo, Kościół, Stary Kościół, Góra Pułaskiego, Dom Zdrojowy* – dwa ujęcia, *Oranżeria, Motyw z Parku, Krynica – Wieś, Ławka Kraszewskiego, Zdrój Jana*), było Polskie Towarzystwo Księgarni Kolejowych, a drukowano ją u Anczyca. Druga kolorowa seria w całości dotyczyła *Nowych Łazienek*; można wnosić, że została – na zlecenie ich administracji dla celów promocyjnych – wydana przez Salon Malarzy Polskich w Krakowie i tam wydrukowana w Akropolu. Pocztówek z tej serii jest w zbiorze sześć (w tym jedna z „okienkiem”).

Koniec lat dwudziestych i początek trzydziestych przynosi dwie znaczące serie pocztówek autorstwa Mariana Tracza z Krynicy. Pierwsza, z której udało mi się zgromadzić 9 pozycji, opiera się na świadczących o zacięciu artystycznym fotografiach, opatrzonych opisami, ułożonymi na zdjęciu i wykonanymi prawdopodobnie we własnym zakładzie fotograficznym. Seria ta była chyba próbą przed poważniejszym przedsięwzięciem. Druga seria, moim zdaniem najpiękniejsza w historii pocztówki krynickiej, z której zebrałem 22 pozycje, zawiera starannie dobrane tematy, świetne czarno-białe zdjęcia, estetyczny opis oraz rzadko stosowane ząbkowane obcięcie. Wysoka ocena tej serii ma także podbudowę, niestety, w upadku jakości pocztówki krynickiej w latach trzydziestych: brak ambitnych fotografii, niska jakość papieru, nieestetyczne liternictwo opisów świadczą o nastawieniu na masowego odbiorcę. Uwaga ta dotyczy wszystkich trzech miejscowości.

W okresie okupacji hitlerowskiej ukazała się seria pocztówek krynickich, z której zebrałem 12 egzemplarzy. Poświęćmy jej chwilę uwagi, ponieważ jest w niej kawałek historii Polski. Pomysł serii powstał zapewne w roku 1939, bowiem jedna z pocztówek ostemplowana została na chwil kilka przed napaścią na Polskę, w dniu 10 sierpnia 1939 roku i przedstawia pomnik Adama Mickiewicza, a jej opis wykonano w języku polskim. Pozostałe 11 opisane jest już w języku niemieckim i przeważają pocztówki pozowane w plenerze w warunkach zimowych, z wykorzystaniem grup narciarskich lub indywidualnych osób. Na dwóch pocztówkach ukazane są *Łazienki Mineralne* oraz *Nowy Dom Zdrojowy*, nie ma na nich charakterystycznych romantycznych obiektów starej Krynicy.

Przystosowanie serii do nowych warunków nastąpiło niejako z marszu, bowiem na dwóch pocztówkach są stemple i znaczki General Gouvernement z roku 1941 i 1942. Autorem serii jest, jak sądzę, Stanisław Mucha, który na pocztówce z roku 1939 podał adres w Krakowie i numer telefonu. Na pozostałych prawa autorskie zastrzeżone są dla St. Mucha, Krakau (już bez numeru telefonu), oraz pojawia się symbol wydawnictwa Ruch. Na terenie Muszyny, Żegiestowa i Krynicy była to w tym okresie jedyna znana mi seria pocztówek.

Widoki ogólne.

Kilka takich pocztówek, w tym kolorowych, ukazało się między 1905 a 1920 rokiem, przedstawiając widok na Krynice od południa i północy. Największym ich walorem jest poznanie ówczesnego stanu zabudowy, szokuje natomiast możliwość zobaczenia, jak wielkie połacie obecnych lasów były wtedy polami uprawnymi lub nieużytkami. Podobna obserwacja dotyczy Muszyny i Żegiestowa.

Zdrój Główny i inne oraz obiekty zdrojowe.

Pocztówki przedstawiają Krynice, której po części już nie ma. Niektóre z uwidocz-nionych na nich obiektów już dawno nie istnieją, inne zmieniły funkcje lub wygląd po wielu przeróbkach. Zapraszam na spacer po niektórych z nich.

Zdroje.

Zdrój Główny to kluczowe miejsce w Krynicy; wokół niego powstawały i znikwały obiekty, przesuwano strumienie, budowano drogi, wcinano się w zbocze. Zdrój trwa na swoim miejscu, ale zmieniała się jego obudowa. W zasadzie miała ona trzy główne formy, z których dwie znalazły się na pocztówkach, zaś najstarsza li tylko na starych litografiach. Pierwotną obudową była otwarta altana, zbudowana według planu inż. Burggallera w roku 1808; był to pawilon w stylu chińskim z krytym chodnikiem. W roku 1856 rozpoczęto, a w 1871 roku zakończono, budowę nowej obudowy źródła, tak zwanego krytego deptaku otwartego na stronę zachodnią, według projektu Feliksa Księżarskiego, mieszczącego zdroje Główny i Karola, *zentyczarnię* [pis. oryg.], pomieszczenia do suchych kąpielii gazowych, no i sławny kryty deptak, miejsce spotkań towarzystwa. Możemy go obejrzeć (wnętrze i zewnętrzna bryła) na pocztówkach (patrz: kolorowa wkładka). Tak przetrwał do roku 1969, natomiast w roku 1971 powstała Nowa Pijalnia. Nie sądzę, aby po latach jej sylwetka budziła tyle wzruszeń, ile jej poprzedniczka.

W 1901 roku nakładem Kaczyńskiego ukazała się pocztówka ze ślicznym *Źródłem Słotwinka*, a karty wydawane w latach następnych pozwalają obserwować przebudowę pierwotnego wzoru. Także zachowany do dzisiaj Zdrój Jana i Józefa, o nobliwych i miłych oku proporcjach, doczekał się prezentacji na kilku pocztówkach. Porównując je, można dostrzec, że w pierwotnej formie front obiektu był otwarty i dopiero na pocztówce datowanej na rok 1935 widać, że piękne drewniane kolumny na froncie stały się częścią obudowy.

Dom pod Orłem.

Ten charakterystyczny dla pocztówek z początku wieku obiekt zniknął na zawsze, ale historia jego jest warta przypomnienia. Budowę domu rozpoczęto w roku 1804,

a zakończono w 1807. Autorem projektu był znany nam już inżynier Burggaller, zaś budowę kamera muszyńska powierzyła majstrowi Andrzejowi Rośkowi. Po przebudowie w roku 1858 budynek był dwupiętrowy od strony dzisiejszej muszli i jednopiętrowy od strony deptaku. Przez lata, oprócz pokoi dla kuracjuszy, mieścił aptekę i kasę zakładu zdrojowego. Za nim w górę deptaku stał „Dom pod Zamkiem”. Na miejscu obu stoi dzisiaj Nowy Dom Zdrojowy. Obok pocztówka przedstawiająca „Dom pod Orłem”, wydana przez W. Szandrowicza, przedsiębiorcę z Krakowa, który urządził tutaj sprzedaż serdaków.

Dom Zdrojowy.

Zwany dzisiaj „Starym”, wdzięczny przedmiot kilkudziesięciu pocztówek od roku 1900 do chwili obecnej, a pewnie i starszych, ponieważ powstał w roku 1889 i był przedmiotem dumy Krynicy. Zwany wówczas Dworcem Zdrojowym, stanął na miejscu „Domu pod Barankiem”. Autorami projektu byli Niedzielski i Zawiejski, ten sam, który jest autorem projektu Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Kiedyś spacerując 1 listopada po cmentarzu Rakowickim w Krakowie, trafiłem w starej części nekropolii na jego grobowiec. Dom Zdrojowy, tak charakterystyczny dla Krynicy, znalazł się na pocztówkach chyba wszystkich wydawców, ale udało mi się trafić na dwa rarytasy, jakimi są: podwójna pocztówka, która umożliwia ukazanie całej panoramy obiektu (wydał ją Divald Karoly), oraz wydana nakładem Z. Wrześniowskiego pocztówka z roku 1907, która ukazuje Dom Zdrojowy od zachodu, jeszcze przed przebudową w latach 1923 i 1924, która polegała na rozbudowie bocznych skrzydeł, przez co obiekt zatracił nieco lekkość. Przedstawiam także pocztówkę prezentującą w całej krasie salę koncertową, świadka wielu wydarzeń artystycznych i patriotycznych. Wrześniowski miał w Domu Zdrojowym swój sklep z szyldem „Magazyn nowości ze Lwowa”, co przypominam Krakusom – był czas, kiedy Lwów w Krynicy był ważniejszy od Krakowa.

Łazienki mineralne i borowinowe.

Te obiekty przy wejściu na deptak od strony Muszyny pojawiły się na wielu pocztówkach. Łazienki mineralne zbudowane zostały w roku 1866, zaś przylegające do nich Łazienki borowinowe, położone równolegle do drogi na stację kolejową, wystawiono w roku 1884; przedstawia je rzadka pocztówka litograficzna Arnolda Finechla z Tarnowa. **Nowe Łazienki** zlokalizowane obok kościoła zbudowane zostały w roku 1926 i są uwiecznione na licznych pocztówkach. Jedna z nich wydana została przez Braci Altman circa w 1925, Żydów, właścicieli zakładu fotograficznego w Sosnowcu. Fakt, że nazwisko Altman umieściłem wśród wydawców pocztówek na stronie internetowej www.kolekcjonerstwo.pl spowodował, że nawiązał z nami kontakt Robert Altman z Izraela, prawnuk jednego z braci. Być może przyczyni się to do poszerzenia wiedzy o tych wydawcach, m.in. pocztówek krynickich.

Pawilon dla muzyki – Muszla koncertowa.

Pocztówki pozwalają prześledzić, jak na przestrzeni ponad stu lat zmienił się obiekt, który cały czas służy tym samym funkcjom – muzyce. Na pocztówkach z roku 1900 możemy zobaczyć, jak wyglądał pawilon dla muzyki zdrojowej, w którym w roku 1871

gospodarzem został kapelmistrz orkiestry zdrojowej Adam Wroński i trwał na tym stanowisku prawie 40 lat. W roku bieżącym obchodzimy 90. rocznicę jego śmierci. Identyczny obiekt, jak w Krynicy, zauważyłem na pocztówce z roku 1901 z Tatrzańskiej Bystrzycy; być może w ramach CK Austrii upowszechniano jednolity wzór.

Na pocztówkach możemy obejrzeć, jak wyglądał **zakład hydropatyczny**, który powstał w roku 1884 i kierowany był przez dr Henryka Ebersa, a został – niestety – z racji kompletnej dewastacji rozebrany w roku bieżącym.

Domy – Wille – Pensjonaty.

Nie sposób na kilku stronach opisać ogrom informacji na starych pocztówkach o domach, willach i pensjonatach – to temat na osobny artykuł. Ponad sto obiektów ukazanych jest na pocztówkach w taki sposób, że możliwa jest weryfikacja ich detali architektonicznych oraz ozdobnej stolarki. To cenny materiał do badań nad „stylem krynickim”. Kilka obiektów przez cały omawiany okres pojawia się na pocztówkach, należy do nich zaliczyć przede wszystkim „Witoldówkę” oraz „Tatrzańską”, które stały się symbolem uzdrowskich funkcji Krynicy. Z konieczności dokonując wyboru, przedstawiam kilka obiektów, które pojawiają się na pocztówkach rzadziej, a niektóre z nich niestety już umierają: „Willa Ułana”, „Dworek”, „Szczербiec”, „Podlasie”, „Felicja”, „Stefania”, „Litwinka”, „Gwiazda i Krakus”, „Alpejska”, „Janina”, „Opatrzność”, „Gopłana”, „Karpacka”.

Otwarcie w roku 1933 „Palace-Hotel Patria” przez Jana Kiepurę, którego setną rocznicę urodzin obchodziliśmy 16 maja 2002 roku, przyniosło serię pocztówek, poświęconych temu stanowiącemu chlubę Krynicy obiektowi, także takich, które prezentują jego wnętrza. Serię pocztówek wydała administracja „Lwigródu”, przedstawiając go jako: *Największy Hotel-Pensjonat w Polsce*. Nieatrakcyjna bryła budynku nie była wdzięcznym obiektem dla fotografa; zdając sobie z tego sprawę, wydano piękną serię pocztówek, przedstawiających tańczące pary i przygrywające im orkiestry w strojach z różnych epok.

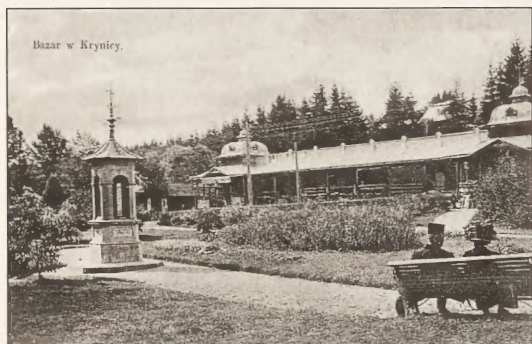
Pocztówki Muszyny nie prezentowały wnętrz domów, a Żegiestowa sporadycznie, na szczęście w wypadku Krynicy lektura pocztówek pozwala uzyskać wyobrażenie na temat wnętrz niektórych obiektów. Niech jako przykład posłużą dwie pocztówki, jedna przedstawia wnętrze kawiarni w „Patrii”, a druga *leżalnię* w Nowych Łazienkach.

Bazar – Hale Targowe – Kioski.

Bazar dla obsługi potrzeb gości to obiekt dominujący kiedyś przy deptaku; dzisiaj można go obejrzeć tylko na starych pocztówkach z przełomu XIX i XX wieku. Zbudowany został w roku 1820 i do roku 1866 służył jako łaźienki, a następnie zamieniony został na bazar mieszczący w środku sklepy. Stał przy deptaku mniej więcej naprzeciw obecnej Pijalni Głównej do roku ? – i tu właśnie jest zagadka. Bronisław Babel, właściciel willi „Janina”, autor niezwykle ciekawej książki „Wspomnienia z Krynicy”, datowanej na rok 1896, twierdzi, że rozebrano go w roku 1895. Mówi jednak chyba tylko o zamierzeniach władz Krynicy, bowiem dr Zygmunt Wąsowicz w pracy „Krynica” z roku 1901 przedstawia bazar jako budynek mieszczący *dziewięć sklepów z towarami mieszkanymi*,



galanteryjnymi i bławatnymi. W Bazarze miał swój sklep z numerem 9 wydawca pocztówek Sch. Braunfeld (potwierdza to opis na jednej z jego kart), dopóki nie przeniósł się do własnej willi nazwanej „Braunfeld”. Źródła milczą, kiedy budynek bazaru został ostatecznie rozebrany. Proszę zerknąć na pocztówkę z roku 1900, na ten już dawno nieistniejący budynek, szczególnie jego dach. Podobny zachował się na willi „Stefania”. Bazar pojawia się jeszcze na pocztówce datowanej aż na rok 1918, ale wspominałem w poprzednich artykułach, że zdarzało się, że zdjęcia obiektów żyły dłużej jako źródło



pocztówek, niż same obiekty na nich uwidocznione. Zwracam uwagę na kiosk meteorologiczny stojący na deptaku w pobliżu Bazaru. Zgodnie z tradycją pozostał prawie w tym samym miejscu. Dla obsługi rosnącej ilości gości zbudowano w okresie międzywojennym dwie Hale Targowe (Magistracka i Słotwińska); w jednej z nich nadal mieści się Urząd Miasta. Zwracam uwagę projektantom na piękny dziewiętnastowieczny kiosk firmy Stanisława Gurgula oraz drugi, położony nad Palenicą, ale już

z lat dwudziestych minionego wieku, a także pochodzący z lat trzydziestych kiosk Wydawnictw Ilustrowanego Kuriera Codziennego przy ulicy Lipowej.

Obiekty sakralne i pomniki patriotyczne.

Kilkadziesiąt pocztówek w okresie 1900-1950 poświęconych jest obiektom sakralnym. Najstarszym z prezentowanych na pocztówkach jest zbudowana w roku 1862 i zachowana do dzisiaj drewniana kaplica w Parku na Dietlówce, obecnie zasłonięta przez drzewa, a szkoda, przed oczami spacerujących po deptaku. Najczęściej uwidoczniony na pocztówkach jest kościół, konsekrowany w roku 1902, a zaprojektowany przez Jana Zawiejskiego. W okresie finalizowania budowy kościoła oraz później wydawano pocztówki z napisem *Cały dochód na kościół*, a także z opisami w języku angielskim i niemieckim. O kompletności zbioru świadczy fakt, że znajdują się w nim również pocztówki przedstawiające ołtarz główny, a także obiekty stojące obok kościoła: posąg Chrystusa Zmartwychwstałego, dłuta Ferdynanda Majerskiego z 1894 roku, oraz postawiona w roku 1896 statua Matki Boskiej, wykonana przez Tadeusza Błotnickiego. Ponad dwadzieścia pocztówek dotyczy pięknej Statuy Matki Boskiej w Parku Zdrojowym, wystawionej w roku 1866, według rysunku Artura Grottgera. Brak w zbiorze uwidocznionego na rzadkich pocztówkach z roku 1876 kościoła greckokatolickiego w Krynicy Dolnej.

Na pocztówkach z okresu Polski pod zaborami pojawiały się postawione w Krynicy pomniki, budzące uczucia patriotyczne. Kopcowi Pułaskiego, dziełu Franciszka Kmietowicza, poświęciłem osobny tekst w AM 1999, w sześćdziesiątą rocznicę jego odsłonięcia. Tutaj wspomnę pocztówki prezentujące: pomnik Adama Mickiewicza, odsłonięty w roku 1906, dzieło Antoniego Popiela, ławkę z popiersiem Kraszewskiego, wykonaną według



rysunku Wojciecha Gersona, odsłoniętą w roku 1881. Kolekcjonerstwo pozwala poszerzać zakres wiedzy, niech świadczy o tym fakt, że w zbiorze, oprócz kart przedstawiających powszechnie znany pomnik Józefa Dietla, odsłonięty w roku 1900, znajduje się pocztówka z napisem *Krynica. Pierwszy pomnik dr Dietla*, którą przedstawiam obok. Istnienie tego – o kilkadziesiąt lat starszego od obecnego – pomnika wspomina dr Zygmunt Wąsowicz w dziele „Krynica” z roku 1925, nie jest mi jednak znane inne jego przedstawienie. Sądząc z daty wydania pocztówki, znajdował się on na terenie Parku jeszcze na początku lat dwudziestych.

Ścieżki, altany, deptak, obiekty sportowe.

Odwiedzający Krynice na przełomie XIX i XX wieku zwracali uwagę na wspaniałe utrzymane ścieżki spacerowe oraz altany zbudowane dla wygody gości. Na pocztówkach z tego okresu możemy zobaczyć panie w długich sukniach, panów w surdutach, na tle wysmukłych sosen (zostały po nich tylko pniaki) na ścieżkach Sieglera, Mravincisca, czy też Wojnacze. Piękny przykład drewnianej stolarki przedstawiają na pocztówkach altany: „Wanda”, „Marzenie” i „Parasol”, czy też Pawilon na szczycie Góry Parkowej. Także nieistniejący już dzisiaj wodospad na Czarnym Potoku oraz Diabelski Kamień pod szczytem Jaworzyny – to przedmiot wielu pocztówek z początku dwudziestego wieku. Polana Michasiowa, Chorążówka z placem zabaw dla dzieci, czy też tak zwana Bocianówka, nawiązująca do bociana – symbolu Krynicy, gdzie wiele kobiet szukało ratunku dla bezpłodności, czy dancing na Zaciszu, też pojawiały się na pocztówkach, aby ukazać warunki do aktywnego i radosnego wypoczynku w Krynicy. Także deptak pojawia się na wielu pocztówkach. Zawsze był przedmiotem troski gospodarzy miasta. W dziewiętnastowiecznych relacjach gości podkreśla się ogromną ilość róż i innego kwiecia. Dzisiejszym spacerowiczom po deptaku przypomnę, że powstał on w roku 1807, kiedy to zbudowano wał pomiędzy źródłem głównym a Krynicańką, którą odsunięto w obecną jej miejsce. Wał, chroniąc źródło przed zalewem, stanowił drogę między Sączem a Muszyną, a następnie, wobec przesunięcia drogi w obecną miejsce, uzyskał funkcję deptaku.

Pod koniec lat dwudziestych samo wykorzystywanie naturalnych warunków ambientnej Krynicy dla uatrakcyjnienia pobytu gości okazało się niewystarczające, stąd na pocztówkach zaczynają dominować obiekty stanowiące efekt poważnych i trafionych inwestycji, jakimi były i są: chluba Krynicy, czyli Kolej Linowa na Górę Parkową oraz basen kąpielowy, stadion hokejowy, a nawet tor saneczkarski (który po latach intensywnego wykorzystywania zapadł potem na szereg lat w niepamięć, a dzisiaj próbuje się wykorzystać jego górne fragmenty), czy też zupełnie nietrafiona inwestycja, jaką była budowa skoczni narciarskiej.

Stacja kolejowa i mosty.

Rok 1911, kiedy sfinalizowano budowę odcinka kolejowego Muszyna - Krynica, był przełomowym w historii dwudziestowiecznej Krynicy. Goście mogli dojechać tu już bez przesiadki w Muszynie do konnych dorożek. Opisał to barwnie i fachowo w AM 2000 Leszek Zakrzewski. Wtedy to, jak nożem uciął, kończy się wydawanie przez krynickich i muszyńskich wydawców pocztówek przedstawiających muszyński dworzec kolejowy.

Po prostu goście nie mieli już okazji, oczekując na dorożkę, zaopatrzyć się i wysłać kartę pocztową z informacją o dotarciu na miejsce. Zamiast nich pojawiają się pocztówki z dworcem krynickim. Patrząc na nie, warto chwilę uwagi poświęcić pięknemu hotelowi „Victoria”, jaki obok dworca został w owym czasie zbudowany. Wdzięcznym obiektem pocztówek były mosty, poczynając od prowadzącego do kolei, poprzez piękny sklepieniowy most nad Kryniczanką, a na mostku w parku kończąc.

Karty reklamowe i pocztówki wieloobrazkowe.

Wspomniałem już karty, które miały charakter reklamowy. Także kilka domów pokusiło się o ich wydanie, między innymi również dr Franciszek Kmietowicz wydał pocztówkę reklamującą „Budrysówkę”. Chociaż wspomniałem już wieloobrazkową pocztówkę A. Kaczyńskiego z roku 1900, to podkreślić chcę zasługi na tym polu R. Kanner z Nowego Sącza. Dwie pozycje zasługują na miano rarytasów, czarno-biała z roku 1903 (17 obrazków) oraz kolorowa z roku 1912 (19 obrazków). Z konieczności obrazki są niewielkie i praktycznie dopiero lupa pozwala dostrzec cenne detale w prezentowanych obiektach. A warto przyjrzeć im się dokładnie, bowiem na pocztówce z roku 1903 są zdjęcia parterowych wówczas obiektów, takich jak wille „Stefania”, „Urszula”, „Romanówka”, „Raj” oraz Szkoła i Apteka, następnie piętrowego żydowskiego hotelu Vogla, „Pagatu”, na którego miejscu po pożarze powstała „Karolówka”, a także fotografia nieznanego z innych zdjęć źródła Dudzika. Po latach przerwy pocztówka wieloobrazkowa powraca do łask w latach trzydziestych.

Ciekawostki.

Do ciekawostek zaliczam pocztówki lotnicze i samochodowe oraz karty z „okienkami”, po otwarciu których wysuwa się złożony arkusik z kilkoma miniaturami widoków Krynicy. Obok pocztówka lotnicza z roku 1931 z „okienkiem”, wydana przez specjalizujące się w takich pocztówkach wydawnictwo Współczesna Sztuka Przemysł. Z lat trzydziestych znane są dwie pocztówki przedstawiające Krynicę z lotu ptaka. Nie wiadomo, czy katastrofa lotnicza, o której pisze w tegorocznym *Almanachu* Leszek Zakrzewski, pozostaje w związku z tymi działaniami. Na miano rarytasów kolekcjonerskich zasługują dwie karty korespondencyjne, spoza obiegu pocztowego, przedstawiające samochody na tle krynickich obiektów, jeden przed „Zieloną Górką”, drugi na tyłach Domu Zdrojowego. Obie nabyłem od kolekcjonera z Łucka (Ukraina). Chętnie nawiążę kontakt z kolekcjonerami starych samochodów, aby określić dokładniejszą datę powstania tych pocztówek, z których jedna, jak sędzę, może być datowana na ca 1915, a druga na lata dwudzieste.

Dyskretnie zerkanie na korespondencję na pocztówkach pozwala zauważyć, że piszący ją zwracają uwagę na piękno i radość z pobytu w Krynicy, drożyznę, a także fakt, że wśród gości jest wielu Żydów. Wysoki koszt pobytu w Krynicy znalazł nawet odzwierciedlenie na zabawnych kolorowych pocztówkach, ukazujących pełen portfel przyjeżdżającego i pusty kuracjusza żegnającego się z Krynicą. Ukazały się one staraniem Salonu Malarzy Polskich w latach 1911, 1920 i 1925; jedną z nich prezentujemy obok. Czy i dzisiaj jest ona aktualna? Radość z pobytu w Krynicy prezentuje pocztówka z ca 1915: *Całować to nie grzech, skrupuły to jest śmiech*. Judaika krynickie rozchwytywane są na aukcjach.

Coty dołód na ośrodku.



Ośrodek w Krynicy



Krynica.
Wila „Romanówka.”



Bocheńska Stella wydała pocztówki podpisane *Krynica Bardiów*, przedstawiające fragmenty ołtarza w kościele w Bardiowie, autorstwa Wita Stwosza. Ozdobę zbioru stanowi jedna z pięknych etnograficznych kart lwowskiego wydawcy Altenberga, którą nadawca wysłał w roku 1903 z Krynicy do Lwowa.

Krynica zimą.

Gospodarze Krynicy zabiegali o pozyskanie gości – to przecież decydowało o powodzeniu Zdroju. Istotne było przekonanie potencjalnych odwiedzających, że Krynica jest uzdrowiskiem całorocznym, jako że wiele domów, w odróżnieniu od omawianych wcześniej Muszyny i Żegiestowa, przygotowanych było do całorocznej obsługi gości. Temu celowi służył stempel pocztowy, jakim poczta krynicka stemplowała korespondencję. Napis na nim brzmi: *Sezon całoroczny*. Kolejnym elementem były pocztówki przedstawiające Krynice zimą. Nie ma z okresu międzywojennego zimowych kart Muszyny i Żegiestowa.

Wydawcy.

Filokartystom znany jest problem identyfikacji wydawców, czy też – jak to się mówiło – nakładców pocztówek, bowiem wiele z nich nie zawiera wystarczających informacji. Tych, których udało mi się zidentyfikować, przedstawiam poniżej w dwóch grupach: krynickich i innych. Uderza mała ilość wydawców w okresie, co by nie mówić, prawie pół wieku. Mogło to być spowodowane zdominowaniem rynku krynickiego, z dobrymi i negatywnymi tego konsekwencjami, przez wąską grupę wydawców, do których na podstawie ilości wydanych pocztówek trzeba zaliczyć: Z. Wrześniowskiego, A. Kaczyńskiego, St. Muchę, Mariana Tracza, Salon Malarzy Polskich z Krakowa, Wydawnictwo Polonia. W Krynicy i Muszynie wydawanie pocztówek w całości było w rękach prywatnych przedsiębiorców, podczas gdy w wypadku Żegiestowa spora część pocztówek została wydana przez Zakład Zdrojowy.

Wydawcy z Krynicy: Sch. Braunfeld, fot. Janina, Ant. Jules, Bracia Jules, A. Kaczyński, Kiosk, dr Franciszek Kmiotowicz, A. Krzyżanowska, Nuzikowski i Zwoliński, Oficerski Dom Wypoczynkowy, Pensjonat Wisła (z klisz Tadeusza Jabłońskiego z Krakowa), S. Różankowska, Jan Różankowski, Marian Tracz, Willa Marja i Małgorzata, Willa Ułana, K. Wiśniewski, Z. Wrześniowski, Zarząd Domu Urzędników Skarbowych, ZZPPiT, ck Zarząd Zakładu Zdrojowego.

Inni: Administracja Miesięcznika Poznaj Kraj – Kraków, Bracia Altman – Sosnowiec, Karoly Divald, Arnold Fenichl – Tarnów, R. Kanner – Nowy Sącz, Książnica Atlas – Lwów, St. Mucha – Kraków, Polonia – Kraków, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, Polskie Towarzystwo Księgarni Kolejowych Ruch, Józef Redner, Salon malarzy polskich – Kraków, Salon malarzy zagranicznych – Kraków, Spółdzielczy Instytut Wydawniczy – Warszawa, Stella – Bochnia, Współczesna Sztuka – Przemyśl, Wydawnictwo Sport i Turystyka – Warszawa, Wydawnictwo Sztuka – Kraków.

INDEKS OBIEKTÓW I LOKALIZACJI, UWIDOCZNIONYCH NA POCZTÓWKACH W OMAWIANYM ZBIORZE

Domy – Wille – Pensjonaty: Alpejska, Bagatela, Belmonte, Belweder, Beskid, Białej Róży, Bogusława, Bożydar, Braunfeld, Budrysówka, Carlton, Cis, Dewajtis, Dworek Sportowy, Dworek,

Dyrektorówka, Felicja, Giewont, Goplana, Gwiazda, Hanka, Janina, Jazoga, Józefa, Karolówka, Koleta, Kolonia Nauczycielska, Kornowej, Korona, Krakus, Krynyczanka, Leśna Polana, Litwinka, Lotos, Lwigród, Małgorzata, Małopolanka, Maria, Mimoza, Nałęczowianka, Oficerski Dom Wypoczynkowy, Orła Białego, Parkowa, Patria, Pod Orłem, Pod Pogonią, Podlasie, Polska Korona, Prezydent Wilson, Promienna, Promień, Raj, Romanówka, Siedlisko, Skarbowców im. Ed. Bugny, Soplicowo, Stefania, Stella, Szczербec, Św. Elżbiety, Triumf, Trzy Róże, Ułan(a), Urszula, Victoria, Vogla, Węgierska Korona, Wisła, Witoldówka, Zacisze, Zakład Dyetetyczny, Zamek, Zielona Górka.

Inne obiekty: Altana Wanda, Altana Marzenie, Altana Parasol, Apteka, Basen kąpielowy, Bazar, Bocianówka na Michasiowej, Deptak kryty, Dom służbowy, Dom Zdrojowy, dworzec kolejowy, figura Chrystusa przed kościołem, figura Matki Boskiej przed kościołem, fontanna (wodotrysk) w Parku, Hala Targowa, kaplica w Parku, kawiarnia na Górze Parkowej, kiosk meteorologiczny, Kiosk nad Palenicą, Kiosk Wydawnictw Ilustrowanych Kuriera Codziennego na Lipowej, Kolej Linowa na Górę Parkową, Kolumnada, Kopiec Pułaskiego, Kościół, krzyż na Górze Parkowej, Ławka Kraszewskiego, Łazienki borowinowe, Łazienki mineralne, Magistrat, Michasiowa, most na drodze kolejowej, most na Krynyczance, muszla koncertowa, Nowe Łazienki, Nowy Dom Zdrojowy, Ochronka, Oranżeria, Pawilon dla muzyki, Pawilon firmy S. Gurgul, Pawilon na Górze Parkowej, Pawilon suchych kąpiel gazowych, Pawilon wód mineralnych, pierwszy pomnik prof. J. Dietla, Pijalnia, PKO, Poczta, pomnik Adama Mickiewicza, pomnik prof. J. Dietla, pomnik Pułaskiego, rzeźba Jeleń w Parku, skocznia narciarska, Słotwińska Hala Targowa, statua Matki Boskiej w Parku, Szkoła polska, szyb Zuber, teatr, tor saneczkowy, wieża wiertnicza, Zakład hydropatyczny (wodolecznicy), Zdrój Główny, zdrój Jana, zdrój Józefa, zdrój Karola, zdrój Słotwinka, źródło Dudzika.

Lokalizacje: Aleja w Parku, Bulwary dra Dietla, Chodnik Mravincisca, Chodnik Sieglera, Chorążówka, deptak, Diabelski Kamień, droga do Czarnego Potoku, droga do Mochnaczki, droga do Tylicza i Parku Pułaskiego, droga na Jaworzynę, droga na Kopciową, Nowy Świat, Okno w Parku, Plac Mickiewicza, ulica Lipowa, ulica Pułaskiego, ulica Kraszewskiego, wodospad Czarnego Potoku, Wojnaczką.

Konkluzja.

Historia pocztówki krynickiej odzwierciedla rozwój funkcji uzdrowiskowych Krynicy na przełomie XIX i XX wieku. Służyła ona promocji zdroju jako całorocznego uzdrowiska; dzisiaj daje świadectwo wyglądu obiektów, które zniknęły, lub ukazuje przemiany, jakim uległy, dostosowując się do oczekiwań gości i trendów w architekturze. Od strony artystycznej początek wieku XX był najszcześniejszy dla krynickiej pocztówki w porównaniu z latami późniejszymi, który to okres – poza serią Mariana Tracza – jest z tego punktu widzenia słabszy.

Niniejszym tekstem kończę omówienie zbioru ponad tysiąca pocztówek Muszyny, Żegiestowa i Krynicy. Jest to początek drogi, bowiem każda karta ma swoją historię, na którą składa się: zdjęcie, obraz, rysunek, opis, korespondencja, podpis, nadawca, odbiorca, stempel, znaczek, wydawca, fotograf, drukarnia itp. Można powiedzieć, że jest to tysiąc historii, które cierpliwie czekają na opisanie.

Zbiór jest dostępny dla zainteresowanych od czerwca do września w siedzibie redakcji *Almanachu Muszyny*.

W BIBLIOTECIE I W MUZEUM

Zarówno Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Uzdrawiskowej Muszyna, jak i Muzeum Regionalne PTTK, obok prowadzenia swej codziennej działalności są miejscem wielu spotkań działaczy społecznych, młodzieży, pisarzy i artystów. Tutaj odbywają się wieczory autorskie, wernisaże, koncerty. Na kilku z nich byliśmy z aparatem fotograficznym, a część zdjęć z tych imprez prezentujemy na kolorowych wkładkach. Oprócz wspaniałych wystaw „Twórcy ze Starej Lubowli” i „Umelci z Muszyny” (o nich mowa w artykule Barbary Ruckiej „Twórcy z pogranicza”), a także wernisaży artystów z Krynicy, w Muzeum i w Bibliotece miało miejsce kilka ciekawych wydarzeń, których byliśmy uczestnikami.

LATO. Chronologicznie te wydarzenia przedstawiając, zaczniemy od lata ubiegłego roku, kiedy to 16 sierpnia 2001 roku w Bibliotece spotkała się z czytelnikami Miriam Akavia, izraelska pisarka urodzona w Krakowie, pisząca po hebrajsku i po polsku. W ubiegłorocznym *Almanachu Muszyny* zamieściliśmy jej notkę biograficzną oraz fragment książki, opowiadający o wakacjach w 1939 roku, które pisarka spędziła z rodzicami w Muszynie. Miriam Akavia jest osobą niezmiernie wrażliwą, otwartą na świat, bardzo tolerancyjną, a zarazem szczerą. A ponieważ mówi piękną literacką polszczyzną, rozmowa z nią dostarczyła wszystkim wiele radości (patrz kolorowa wkładka po stronie 152).

JESIEŃ. Tuż przed Świętem Zmarłych (27 października 2001 roku) w Muzeum odbył się koncert uczniów Szkoły Muzycznej w Krynicy. Gośćmi byli głównie członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej, a koncert był wielkim przeżyciem zarówno dla słuchaczy, jak i młodziutkich wykonawców, a także ich nauczycieli (patrz kolorowa wkładka obok).

ZIMA. 26 stycznia 2002 roku odbyło się w Muzeum opłatkowe spotkanie Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej oraz nowo powołanego muszyńskiego Koła Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, którego członkowie pokazali przy okazji część swojego dorobku. Ukonstytuował się Zarząd Koła: prezes – Zbigniew Gruczelak, zastępca prezesa – Barbara Rucka, sekretarz – Anna Gruczelak, skarbnik – Małgorzata Gałuś. W czasie spotkania wystąpiła grupa chłopców z Piwnicznej, przedstawiając prawdziwą Szopkę w starym stylu i włączając wszystkich widzów do wspólnego śpiewania kołęd. Program Szopki został opracowany przez Edwarda Grucelę, członka Towarzystwa Miłośników Piwnicznej (patrz kolorowa wkładka obok). Wieczór uświetniły liczne smakołyki, przygotowane głównie przez panią Gałuś.

WIOSNA. 6 kwietnia bieżącego roku w Bibliotece odbył się wernisaż wystawy Katarzyny Kosiby-Seweryn i Mateusza Seweryna. Młodzi artyści pokazali niektóre ze swych prac, świadczące o talencie i szerokim zakresie twórczych możliwości (patrz kolorowa wkładka po stronie 200).

Proszę pamiętać, że warto czasem zajrzeć i do Biblioteki, i do Muzeum...

Jesienny koncert

w Muzeum Regionalnym w Muszynie



Koncertowali
uczniowie
Szkoły Muzycznej
w Krynicy
27.10.2001r.





SPOTKANIE OPLATKOWE

Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej Szopka z Piwnicznej



*Spotkanie odbyło się
26 stycznia 2002 roku
w salach Muzeum
Regionalnego PTTK
w Muszynie*

Adam Ziemianin

LIPCOWA CYKORIA

Na Popradzie przybyło
Pogoda wisielcowa
Lato w piąstkę się kurczy
Choć to lipca połowa

W góry dziś nie pójde
Sprawa jest krótka
Dziś wolę bar przy rampie
U Adama Hutka

Za oknem deszczowo
Burza gromy zawieje
Świat cały się zalał
Piwo tylko się śmieje



Bar przy rampie u Adama Hutka

Witt Kmietowicz

POGODA I KLIMAT MUSZYNY

Zamiast wstępu

Nie jest to praca naukowa pisana na podstawie naukowych badań, pomiarów czy ścisłych obserwacji. Nie należy też doszukiwać się w niej cech popularyzacji wiedzy z meteorologii. Chcę tu przedstawić kilka własnych obserwacji i przemyśleń, które od kilkudziesięciu lat gromadziłem i zbierałem – bądź od starych ludzi, którzy całe życie spędzili w Muszynie, bądź też wertując ogólnie dostępne opracowania naukowe. Zestawienie jednego z drugim wydaje mi się nader ciekawe.

Pogoda od urodzenia towarzyszy człowiekowi. Kiedy jesteśmy dziećmi nic sobie nie robimy z upału, ulewy, zamieci czy wiatru. Straszne wtedy wydają się tylko burze, błyskawice i grzmoty. Na ogół jednak w dzieciństwie nie zwracamy uwagi na stan pogody. Nie wsłuchujemy się w prognozy. Nie wyczuwamy zbliżającej się zmiany. Ale z wiekiem zaczynamy odczuwać zmiany ciśnienia, wilgoć, mrozy. Wiatry. Upały. Czyżby uzależnienie samopoczucia od pogody przychodziło z wiekiem człowieka?... Im jesteśmy starsi, tym częściej wsłuchujemy się w prognozy pogody i złość nas bierze, kiedy ta się nie sprawdza. Sami często zaczynamy czynić własne obserwacje. Na swój użytek przewidujemy nadchodzące zmiany. Prognozujemy pogodę.

Pogoda determinowała (i nadal to czyni) ludzką aktywność w naszym miasteczku. To ona wyznaczała – wraz z porami roku – rytm życia i pracy przez lata i wieki. Niejednokrotnie mobilizowała całe miasto do walki o byt. Wielkie powodzie, które w dawnych wiekach nawiedzały miasto, wichury wyrządzające szkody, susze wpływające na plony – to tylko niektóre z elementów pogody i jej wpływu na życie mieszkańców Muszyny.



Powódź w Muszynie w 1934 roku

Po prawej: willa „Zosia” w czasie powodzi
(z archiwum Romana Chrystowskiego)



Obserwacje pogody prowadzili muszyniacy od lat. Wyciągali wnioski. Układali przysłowia. Prognozowali. Nie są to rzeczy nowe, znane są wszędzie, w całej Polsce. Ale są pewne regionalizmy, niespotykane chyba nigdzie poza Muszyną.

W Muszynie od roku 1956 działała stacja meteorologiczna. Zlokalizowana była nad Popradem, na jego dużym zakolu. Z obserwacji i serii pomiarów dokonywanych w tej stacji korzystała nawet Międzynarodowa Organizacja Meteorologiczna. Stacja ta wchodziła w skład sieci meteorologicznych, jaką pokryty był nasz kraj.

No cóż... Dziś wobec nowoczesnych metod zbierania danych o stanie pogody, stacja straciła znaczenie i zamknięto ją. Czy nie szkoda?...

1. Charakterystyka środowiska geograficznego i rzeźby terenu

Ogromny wpływ na kształtowanie się pogody wywiera rzeźba terenu. W zależności od głębokości, kształtu i szerokości doliny, występują różne przepływy strug powietrza. Występuje różne nasłonecznienie stoków, a kierunek i siła wiatrów uzależniona jest od fizjografii terenu.

Muszyna leży na wysokości 445 m n.p.m. w dolinach Popradu, Muszynki i częściowo Szczawnika. Ogromny wpływ na kształtowanie się wielu składników pogody ma Poprad. To samo można powiedzieć o Muszynie czy Szczawniku, choć w mniejszym stopniu.

Poprad jest najdłuższym dopływem Dunajca. Wypływa u podnóża słowackich Tatr, a jego długość wynosi około 165 km, z tego na terenie Polski 67 km. Natomiast Muszynka jest najdłuższym dopływem Popradu. Jej długość wynosi 21,5 km. Wpadają do niej liczne potoki spływające z okolicznych gór. Największe z nich to: Jastrzębik, Młyne, Kryniczanka, Mochnaczka.

Doliny Popradu i Muszynki otoczone są znacznymi wzniesieniami. Od południowego wschodu ponad Popradem wznosi się pasmo Zimnego (913 m n.p.m.), Malnik (727), od południowego zachodu Wielka Polana (796), od północy Mikowa (638). A nad doliną Muszynki górują: Nowińska Góra (710), Dzibasówka (699), Koziejówka (636) – od strony północnej, a od południowej Kondratówki (768).

Bezpośrednie otoczenie Popradu i Muszynki to liczne terasy. Najniższa terasa zalewowa, do wysokości 1-2 m ponad dno rzeki, to tzw. „kamieniec”. Wyższa, 3-5 m nad dnem Popradu, szczególnie dobrze widoczna jest na Folwarku i Ćwierciach, a fragmentami w dolinie Muszynki. Na stokach Malnika i na Majdanie widoczna jest terasa plioceńska, której wysokość wynosi 45-55 m nad dnem Popradu. Niegdyś na Zazamczu dobrze widoczna była tzw. „wisząca dolinka”, dziś niestety, na skutek regulacji potoku, można o niej tylko wspominać.

Zbocza gór otaczających Muszynę porośnięte były kiedyś lasami jodłowymi, które również nie były obojętne dla kształtowania się klimatu. Obecnie lasy te zostały w znacznej mierze wytrzebione, a na ich miejsce pojawiają się lasy mieszane (świerk, brzoza), bądź las modrzewiowy (Malnik).

2. Niektóre elementy pogody i ich kształtowanie się w Muszynie

Warunki klimatyczne Muszyny wykazują cechy właściwe dolinom górskim. Roczna temperatura powietrza zależy tu od wzniesienia, osłonięcia terenu przez las, czy nawet grupę drzew, nasłonecznienia, bliskości rzeki lub potoku. Różnice wzniesień w Muszynie

nie przekraczają 50-65 m (w terenach zabudowanych), a różnice temperatury mogą tu sięgać kilku stopni. Muszyna ma dłuższy okres zimowy w porównaniu z innymi miejscowościami doliny Popradu (Piwniczna, Stary Sącz). Odrębne układy wiatrów, wyznaczone przez układ pionowy dolin i ich kierunek, sprawiają, że klimat w Muszynie znacznie różni się od innych lokalnych klimatów, czy to Piwnicznej, czy też pobliskiej Krynicy.

a. Temperatura powietrza

Najzimniejszym miesiącem roku jest w Muszynie styczeń. Średnia temperatura tego miesiąca wynosi tu $-5,7^{\circ}\text{C}$. Jednak nie odzwierciedla ona dobrze dobowego kształtowania się tego elementu klimatu. Analizując średnie temperatury z godz. 7^{00} , 13^{00} i 21^{00} można zauważyć, że chłodniej bywa o 7^{00} rano niż o 21^{00} . W styczniu średnia temperatura o godz. 7^{00} wynosi $-7,2^{\circ}\text{C}$, a o godz. 21^{00} $-6,1^{\circ}\text{C}$. Natomiast najzimniejszym dniem w drugiej połowie XX wieku był tu dzień 28 lutego 1963 r., kiedy zanotowano $-34,8^{\circ}\text{C}$. Zimą 1963 określono „zimą stulecia”, a w Muszynie zaznaczyła się ona siarczystym, syberyjskim mrozem. Średnia temperatura stycznia i lutego wynosiła $-25,9^{\circ}\text{C}$.

Wśród anomalii pogodowych zdarzały się i ciepłe zimy, jak choćby ta z roku 1898, 1990, czy też 2000/2001. Najcieplejszym jednak dniem zimy w XX stuleciu był 30 stycznia 1989 r., kiedy to termometry wskazywały $+18,9^{\circ}\text{C}$.

Wzrost temperatury następuje szybciej w miesiącach wiosennych niż jej spadek w miesiącach zimowych. Obserwuje się, że średnia temperatura kwietnia jest znacznie wyższa ($+6,8^{\circ}\text{C}$) w porównaniu z marcem, podczas gdy we wrześniu obserwuje się spadek temperatury w stosunku do sierpnia tylko o $3,6^{\circ}\text{C}$. Najcieplejszym miesiącem roku jest lipiec. Jego średnia temperatura wynosi $+18,2^{\circ}\text{C}$. Znowu, podobnie jak i w innych miesiącach, najchłodniej jest rano. Średnia temperatura z godziny 7^{00} wynosi tylko $+13,4^{\circ}\text{C}$, gdy tymczasem wieczorem średnia temperatura o godzinie 21^{00} wynosi $+15,2^{\circ}\text{C}$. Najcieplejszym dniem ubiegłego wieku był 5 lipca 1957 r., kiedy termometry wskazały $36,7^{\circ}\text{C}$ w cieniu! Najchłodniejszym dniem był 7 lipca w 1961 roku. Było wtedy zaledwie $4,3^{\circ}\text{C}$.

Temperatur ujemnych nie zanotowano w ostatnim stuleciu tylko w lipcu i sierpniu. Rozkład temperatur w roku pozwala na ustalenie liczby dni zimowych i letnich, czy też dni z przymrozkami. I tak: liczba dni zimowych, kiedy temperatura maksymalna utrzymuje się w ciągu całego dnia poniżej zera, średnio w roku wynosi 52. Dni, w których występuje przymrozek, jest już znacznie więcej – 138! Dni letnich, kiedy temperatura maksymalna przekracza $+25^{\circ}\text{C}$, jest średnio w roku 25. Jest to najmniejsza liczba spośród wszystkich miejscowości leżących w dolinie Popradu.

b. Zachmurzenie i opady

Największe zachmurzenie w Muszynie przypada na miesiące późnojesienne, głównie na listopad i grudzień, najmniejsze natomiast na miesiące letnie.

Za dzień pogodny, słoneczny przyjmujemy taki dzień, którego średnie zachmurzenie jest mniejsze niż 20%, zaś za dzień pochmurny uważany jest dzień, którego średnie zachmurzenie jest większe niż 80%. Analizując liczbę dni pogodnych i pochmurnych w poszczególnych miesiącach, łatwo zauważyć, że najpogodniejszymi miesiącami są tu

kwiecień, maj i czerwiec. Najmniej pogodną porą roku jest późna jesień. Najbardziej pogodne były lata 1964 i 1982, wystąpiły wtedy aż 102 dni pogodne!

Z zachmurzeniem związane są opady, a ich wysokość zależy w dużej mierze od orografii. Często nawet w punktach niedalekich od siebie ilość i jakość opadu bardzo się różnią. Element ten jest dość istotny dla gospodarki danego regionu.

Średnia wysokość opadów wynosi dla Muszyny 716 mm. Najbardziej „mokrym” miesiącem jest tu czerwiec. Absolutne maksimum dobowe wynosi 69,3 mm opadu! (Jest to równoważne z wylaniem 69,3 l wody na 1 m²). Największe sumy dobowe opadów notuje się w miesiącach czerwiec - sierpień. Najniższe zaś w marcu, tylko 14 mm!

Częstotliwość występowania opadów jest równie ważna, jak ich ilość. I tak: liczba dni z opadem powyżej 1 mm wynosi średnio w roku 109, z czego na okres maj - sierpień wypada nie więcej niż 11-12 takich dni. Zdarzają się też opady powyżej 10 mm w ciągu doby. Takich dni bywa w roku średnio 19-20, z czego najwięcej przypada na lipiec. Najmniej dni z opadem notuje się w październiku. Najbardziej „śnieżnym” miesiącem jest styczeń, a liczba dni z pokrywą śnieżną wynosi tu średnio 105! Choć czasem zdarzają się zimy bezśnieżne np. 1988/89, 1989/90, czy 2000/2001.

c. Wilgotność powietrza

Wilgotność powietrza normuje warunki odczuwalności termicznej. Wysoka wilgotność oddziałuje ujemnie na organizm ludzki, szczególnie w niskich i wysokich temperaturach. Łatwiej znosić mrozy „suche”, trudniej, i to o wiele, znieść mrozy „wilgotne”. Czasem nie potrzeba mrozu, wystarczy, aby temperatura ustaliła się kilka stopni powyżej zera, a przy dużej wilgotności „ziąb” doskwiera nam niemożliwy. Odczuwamy, jakby było kilka stopni mrozu. Tak bardzo często bywa tu w styczniu i lutym, a niekiedy nawet w marcu czy kwietniu.

Maksymalna wilgotność powietrza występuje w godzinach rannych, wahając się od 86% w maju, do 94% w sierpniu i wrześniu. Szybki spadek wilgotności powietrza następuje szczególnie w lecie i w dni pogodne. Tuż po wschodzie słońca można obserwować już spadek wilgotności. Minimum wilgotności przypada na godziny 13⁰⁰-14⁰⁰, a potem znów zaczyna się jej powolny wzrost.

Podczas spływu chłodnego powietrza z otaczających doliny wzniesień tworzą się mgły. Najbardziej mglistymi miesiącami są w Muszynie sierpień, wrzesień i październik – średnio po 10-11 dni z mgłą. W pozostałych miesiącach roku zdarzają się średnio 3-4 dni mgliste.

d. Wiatry i burze

Kierunki wiatru warunkują przestrzenne układy dolin Popradu, Muszynki i Szczawnika. Obserwuje się przewagę wiatrów z kierunków południowych. Regułą jest tu to, że po wystąpieniu silnych wiatrów, przeważnie halnego, następują cisze. Stąd tak znaczący procent cisz.

W wąskiej dolinie prędkość wiatru będzie dużo większa niż na płaskim otwartym terenie. Obserwuje się w Muszynie około 7 dni z wiatrem o prędkości ponad 15 m/sek. Są to przeważnie dni, w których „duże halny”.

Zdarzyło się, że silne porywy wiatru unosiły znad Niziny Węgierskiej spore ilości pyłu bardzo wysoko w górę. Przenoszone z wiatrem nad Karpatami, opadały potem z deszczem,

w postaci „błota”, po polskiej stronie gór. Tak było wiosną (26 kwietnia) 1973 roku oraz w 1988 roku.

Dni z burzą zdarza się w Muszynie rocznie około 22. Najwięcej burz notuje się tu w miesiącach kwiecień - wrzesień. Choć bywały przypadki, że burze zdarzały się bardzo wcześniej (2 lutego 1983 r.) lub bardzo późną jesienią (31 października 1982 r.), a nawet miała miejsce burza w roku 1919 na dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia, a więc 23 grudnia!

Najbardziej burzliwymi miesiącami są czerwiec i lipiec – średnio 5-6 dni z burzą! Zdarzają się też w lecie raz, może dwa razy, burze - nawałnice, połączone z silnymi wyładowaniami elektrycznymi i gwałtownymi ulewami. Choć nie jest to regułą, zdarza się w czasie takich burz gradobicie. Grad pada lokalnie, czasem na niewielkim obszarze, a „gradzina” zdarza się różnej wielkości. Bywa, że jest jak ziarenka grochu, a bywa, że nawet wielkości dużego włoskiego orzecha, jak było to 7 lipca 1988 r.

3. Pogoda a zdrowie

Wpływ pogody na organizmy żywe, rośliny, zwierzęta, a nade wszystko na organizm człowieka jest niekwestionowany. Nic więc dziwnego, że od lat tymi problemami zajmuje się biometeorologia.

Negatywnie na samopoczucie wpływa układ niżowy z systemem frontów, układ wyżowy – korzystnie. Zmiany frontów atmosferycznych powodują nagłe zmiany ciśnienia, wilgotności powietrza, także temperatury, do których nasz organizm usiłuje się dostosować. Niektórzy reagują na nie silniej, inni słabiej. Na podstawie wielu badań ustalono, że około 1/3 ludzi jest bardzo wrażliwa na zmiany pogody i wyczuwa je z pewnym wyprzedzeniem. Organizm człowieka odbiera, jeszcze przed wizualną zmianą pogody, pewne fale elektromagnetyczne i zmiany jonizacji powietrza. Występuje nagłe pogorszenie samopoczucia, bóle głowy, ucisk w uszach, senność, nadpobudliwość, bóle mięśni itp. Najczęściej obserwuje się takie zmiany przy gwałtownie spadającym ciśnieniu.

Przy zbliżającym się wietrze halnym następuje dodatnia jonizacja powietrza, niekorzystnie odbijająca się na naszym samopoczuciu. Zmniejsza się wtedy ciśnienie porcjalne tlenu, wskutek czego trudno się nam oddycha. Mogą występować ataki duszności, ogólne rozdrażnienie, niepokój. Zdarzają się wypadki nagłych zapaść, a nawet śmiertelne zawały serca.

Również gwałtowne ocieplenia czy ochłodzenia, jakie się w Muszynie zdarzają, wpływają ujemnie na nasz organizm. Przy oziębieniu wydłuża się czas reakcji, ponieważ często występuje wtedy skurcz naczyń. To przecież naturalna ochrona organizmu przed stratą ciepła. Gdy zrobi się gorąco, jest wręcz odwrotnie. Nadmiernie wrażliwymi na zmiany termiczne oraz przemieszczanie się ciepłych i chłodnych mas powietrza są ludzie cierpiący na tarczycę.

Ustabilizowana pogoda też nie zawsze bywa korzystna. Organizm nasz w końcu załamuje się i następuje pogorszenie samopoczucia. Następuje tak zwane przemęczenie pogodą, które łatwo można zauważyć w czasie letnich upałów lub ostrych mrozów w zimie.

Zaobserwowano, że przy normalnym ciśnieniu (ok. 1000 hPa), niezbyt dużej wilgotności powietrza (25-50%) i przy temperaturze około 19°C samopoczucie człowieka jest najlepsze. Takie warunki uznano za tzw. „komfort biometeorologiczny”. Analizując

powyższe parametry, można z dużym prawdopodobieństwem określić roczną liczbę dni komfortu biometeo dla Muszyny. Okazuje się, że najwięcej takich dni przypada na okres maj (9) - wrzesień (3). Maksimum komfortu biometeo notuje się w sierpniu, kiedy to zdarza się aż 9-11 takich dni!

Opracowane na podstawie danych Biura Prognoz Instytutu Meteorologii komunikaty i zamieszczane w prasie, radio, czy TV prognozy mają pewne znaczenie profilaktyczne. Znając sytuację biometeorologiczną, lekarz jest w stanie przewidzieć reakcję pacjenta czy też kuracjusza, którego ma pod opieką w szpitalu, sanatorium, czy domu wczasowym. Może zapobiec pogorszeniu się jego stanu zdrowia, samopoczucia, a czasami uchronić przed nagłą śmiercią. Z sytuacją biometeorologiczną powinni zapoznawać się wczasowicze i kuracjusze, przyjeżdżający do Muszyny z północy czy centrum kraju. Znając swoje reakcje na zmiany pogody, dzięki komunikatom biometeorologicznym można uniknąć niepotrzebnych cierpień. Równocześnie znajomość warunków klimatycznych oraz pewnych prawidłowości, powtarzających się w rocznym cyklu z dużym prawdopodobieństwem, może być cenną wskazówką także dla tych, którzy w Muszynie żyją i pracują, którym bliskie są sprawy naturalnego środowiska człowieka.



Muszyna w zimie
(pocztówka z lat 60., od p. Heleny Jarosz)

Jolanta Kosecka, Wiesław Wcześny

SĄDECKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IMIENIA JÓZEFA SZUJSKIEGO

Biblioteka im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu od ponad stu lat służy mieszkańcom miasta i całej Sądeckiźnie. W ciągu tego długiego okresu zmieniały się nazwy, instytucje zarządzające i osoby kierujące Biblioteką, niezmienna pozostawała jej rola i zadania. Od 1999 roku kontynuuje to dzieło, zapoczątkowane w 1891 roku, Sądecka Biblioteka Publiczna im. J. Szujskiego. Przejęta spuścizna obejmuje wielki dar, jakim był księgozbiór naukowy Józefa Szujskiego, systematycznie przez stulecie działalności powiększany, oraz wypracowany model biblioteki jako ośrodka pracującego na rzecz regionu, wspierającego działania edukacyjne i naukowe sądeckiej społeczności.

Józef Szujski był poetą, prozaikiem, dramaturgiem, historykiem i publicystą, współtwórcą krakowskiej szkoły historycznej, a także politykiem, jednym ze „stańczyków”, posłem do sejmiku galicyjskiego. Urodził się w 1835 roku w Tarnowie, zmarł w 1883 roku w Krakowie. Studiował w Krakowie i Wiedniu. Był profesorem historii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także dziekanem i rektorem tego Uniwersytetu. Jego prace naukowe i spuścizna literacka obejmują 19 tomów dzieł, w tym fundamentalną pracę „Dzieje Polski”. Został pierwszym sekretarzem generalnym powstałej w Krakowie Akademii Umiejętności. Aktywnie uczestniczył w życiu politycznym Galicji. W 1866 roku został wybrany w obwodzie sądeckim do sejmiku krajowego we Lwowie. Przez kolejne kadencje, łącznie 14 lat, reprezentował Sądeckiżnę, którą znał, dostrzegał jej problemy, potrzeby i aspiracje. W pracach parlamentarnych jego główną troską było staranie o upowszechnianie oświaty. Nie tylko zaangażowanie w sprawy publiczne, ale i sprawy rodzinne zbliżały Szujskiego do ziemi sądeckiej; często odwiedzał Zbyszycę, posiadłość Piotra Szujskiego. Ślady tych związków widać w jego twórczości – liczne wiersze, rysunki i proza odwołują się do motywów zaczerpniętych z historii i legend sądeckich. Nowy Sącz był odpowiednim miejscem dla księgozbioru Szujskiego i utworzenia biblioteki jego imienia.

Miasto pod koniec XIX wieku przeżywało okres rozwoju ekonomicznego, demograficznego, urbanistycznego i kulturalno-oświatowego. Było miastem obwodowym, liczącym w 1880 roku 11 185 mieszkańców; liczba ta stale wzrastała. Dużą rolę w procesie tym odegrała budowa linii kolejowej. Powstały nowe miejsca pracy i nowa prężna grupa zawodowa. Aktywność mieszkańców przejawiała się w zakładaniu licznych stowarzyszeń o bardzo różnorodnych zadaniach, od samopomocowych, zawodowych, finansowych po kulturalne i edukacyjne. Otwierano nowe placówki oświatowe, powiększało się grono zdobywających wykształcenie i inteligencji chętnej do działań społecznych. Rozpoczęto wydawanie pierwszych czasopism.

W XIX wieku Sądeckiżna budziła zainteresowanie wielu badaczy. Opisy tej ziemi można znaleźć w pracach krajoznawczych, historycznych czy geograficznych, m.in. w „Okolicach

Galicyi” Bogusza Stęczyńskiego, „Obrazkach z podróży do Tatrów i Pienin” Marii Steczkowskiej, „Galicji pod względem topograficzno-geograficzno-historycznym” Hippolita Stupnickiego. Powstawały też prace, głównie historyczne, badające przeszłość Nowego Sącza i okolic. Książka Szczęsnego Morawskiego „Sądecczyzna” (wyd. 1863 r.), Jana Sygańskiego „Nowy Sącz: jego dzieje i pamiątki dziejowe” (wyd. 1892 r.) i „Historia Nowego Sącza” (wyd. 1901 r.) – nadal pozostają lekturą obowiązkową każdego historyka regionalnego.

Za datę powstania Biblioteki przyjmuje się wrzesień 1891 roku, kiedy to, po wcześniejszej wymianie korespondencji i podjęciu uchwały przez Radę Miejską Nowego Sącza, księgozbiór Józefa Szujskiego, przekazany przez jego syna Władysława, dotarł do miasta. Dar ten stał się własnością miasta, które zobowiązało się otworzyć bibliotekę, znaleźć jej odpowiednie pomieszczenie i wyposażenie, zapewnić środki na cele konserwacji i powiększenia księgozbioru. Planowano otwarcie „czytelni czyli pracowni naukowej”.

Księgozbiór Józefa Szujskiego składał się głównie z książek naukowych, w przeważającej ilości historycznych. Obejmowały one dzieła od najstarszych po prace historyków współczesnych Szujskiemu. Kolejną grupę stanowiły pozycje z historii literatury, literatury pięknej polskiej i obcej. Na uwagę zasługiwały też inne działy – nauki społeczne ze szczególnym uwzględnieniem historii prawa, nauki przyrodnicze i stosowane, religioznawstwo. Mógł więc księgozbiór ten stanowić podstawę do utworzenia ośrodka badań nad regionem, służyć uczącym się i prowadzącym prace badawcze, wspierać rozwój nauki i oświaty. Przy dużym oddaleniu od skupisk akademickich, rola takiego ośrodka ożywającego i aktywizującego prowincję była olbrzymia.

Uporządkowany księgozbiór ulokowano w budynku Miejskiej Kasy Oszczędności i już w 1893 roku korzystali z niego pierwsi czytelnicy. W 1897 roku książki przeniesiono do ratusza. Dopiero w roku 1900 burmistrz Władysław Barbacki postanowił Bibliotekę ponownie uporządkować i otworzyć dla czytelników. W 1902 roku, w trosce o odpowiedni nadzór merytoryczny, Zarząd Miasta oddał kierownictwo Biblioteki Towarzystwu Szkoły Ludowej, przeznaczając równocześnie odpowiednią roczną kwotę na jej utrzymanie. Kierownikiem został Józef Rysiakiewicz, działacz TSL, a później Władysław Mazur, nauczyciel. Jarosław Wit Opatrny prezes koła TSL, czuwający nad funkcjonowaniem Biblioteki, starał się zapewnić jej rozwój i należyłą rangę. O potrzebie istnienia Biblioteki świadczy wzrost ilości wypożyczanych książek: 1907 r. – 2874, 1909 r. – 4146, 1913 r. – 6049. Stopniowo też rozrastał się księgozbiór. Biblioteka liczyła 5000 książek, czyli od powstania, przez 21 lat przybyło 1558 woluminów. W latach 1912-1917 Biblioteką kierował Aleksander Jarończyk, a od 1917 Saturnin Żytyński.

Okres I wojny światowej zahamował rozwój Biblioteki, została ona pozbawiona subwencji ze strony władz, a kiedy koło TSL zawiesiło swoją działalność wróciła pod zarząd miasta. Z powodów finansowych Biblioteka została przeniesiona z kamienicy przy ulicy Pijarskiej do Szkoły Powszechnej im. A. Mickiewicza, jednak nie prowadzono tam wypożyczeń. Sytuacja poprawiła się dopiero w 1925 roku, kiedy miasto podjęło na nowo subwencjonowanie Biblioteki. W 1933 roku Rada Miejska uchwaliła statut, który regulował stosunek Zarządu Miasta do Biblioteki i określał jej zadania. Chcąc zapewnić

należyłą opiekę tej ważnej placówki, w 1935 roku ponownie przekazano ją pod opiekę Koła TSL. Kierowanie Biblioteką powierzono Wandzie Piotrowskiej, a później Laurze Markowskiej. Utworzono Komitet Biblioteczny do przeprowadzenia reorganizacji Biblioteki według nowego systemu oraz do uzupełniania zbiorów w drodze zakupu, w miarę ukazywania się nowych dzieł naukowych. W 1937 roku, po przejściu i dostosowaniu do potrzeb budynku przy ulicy Jagiellońskiej, przeniesiono tam Bibliotekę.

W pierwszym okresie zbiory powiększały się dzięki hojności osób prywatnych, a także różnych instytucji. Najcenniejszy dar przekazał Józef Wieniawa Zubrzycki, uczonego i filantrop, wnuk dra Onufrego Trembeckiego, lekarza i burmistrza Nowego Sącza. Testamentem z 1896 roku zapisał na rzecz miasta zbiór książek liczący 500 tomów, głównie przyrodniczych, historycznych i beletrystycznych. Książki te połączono w 1897 roku z księgozbiorem Szujskiego. Przekazał też miastu, na potrzeby Biblioteki, budynek przy ulicy Jagiellońskiej, który służył Bibliotece od roku 1937 do 1970, z wyjątkiem okresu okupacji. Ofiarodawcami książek byli najczęściej profesorowie, nauczyciele, wyżsi urzędnicy; ich lista jest długa. Cenny dar 463 książek ofiarowała Albina Małecka, w imieniu rodziny. Wydawnictwa naukowe przekazała Akademia Umiejętności i Towarzystwo Szkół Wyższych, 34 cenne druki otrzymano z Biblioteki Kórnickiej, 1500 książek pozyskano przy reorganizacji Towarzystwa Szkół Ludowych.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej biblioteka uzyskała znaczącą pozycję w mieście. Ilość książek przekroczyła 8000 tomów. Była czynna codziennie, posiadała swoją czytelnię z czasopism z tytułami politycznymi i artystyczno-kulturalnymi. Licząc się z potrzebami mieszkańców, a zwłaszcza młodzieży szkolnej, dokonywała zakupu lektur i nowości naukowych. Posiadała dział starych druków szacowany na 500 dzieł. Wartościowy i bogaty księgozbiór znajdował się także w dziale historycznym. Było tu wiele prac najlepszych historyków polskich oraz liczne wydawnictwa źródłowe. Literatura piękna, głównie klasyka, stanowiła około 3000 pozycji. Gromadzono również prace dotyczące Sądeckizny, dając początek zbiorom regionalnym. Biblioteka posiadała też osobne archiwum, w którym gromadzone były rękopisy, np. księgi ławnicze ze Starego Sącza (XVII w.), zapiski cechowe, akta sądowe magistrackie. Utrzymywana była przez miasto stałą dotacją.

Znaczącym faktem było powołanie przy bibliotece organu naukowego – Komisji Kulturalno-Oświatowej, która spełniała rolę doradczą. Organizowała też odczyty i wieczory dyskusyjne, ciesząc się powodzeniem. Opracowała program rozwoju Biblioteki i wzmocnienia jej naukowego charakteru. W roku 1938 przewodniczący Komisji, dr Tadeusz Mączyński, zaproponował, by w oparciu o Bibliotekę przystąpić do prac badawczych nad przeszłością miasta i regionu, a wyniki badań opublikować. 14 czerwca 1939 roku wydany został I tom „Rocznika Sądeckiego” pod szyldem Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Józefa Szujskiego. Biblioteka stała się więc nie tylko ośrodkiem życia kulturalnego i pracy oświatowej, ale też zaczątkiem instytucji naukowej.

Z chwilą wybuchu II wojny światowej Biblioteka zawiesiła działalność. Jesienią 1940 roku władze niemieckie wydały nakaz usunięcia zbiorów z budynku przy ulicy Jagiellońskiej. Książki zostały zmagazynowane w pomieszczeniach parafialnych przy ulicy Ducha Świętego. Mimo zakazu w sposób konspiracyjny wypożyczano książki,

szczególnie uczestnikom tajnego nauczania. 2 maja 1945 r., jeszcze w swoim zastępczym pomieszczeniu, Biblioteka wznowiła działalność, a 16 stycznia 1946 r. nastąpił powrót do dawnego budynku. Księgozbiór liczył 7000 książek.

Po roku 1945 status bibliotek publicznych został uregulowany centralnym rozporządzeniem. Biblioteka została włączona do ogólnopolskiej sieci bibliotek publicznych. „Dekretem o bibliotekach” z kwietnia 1946 roku Prezydium Krajowej Rady Narodowej powierzyło nadzór i opiekę nad bibliotekami Ministerstwu Oświaty (od 1951 r. Ministerstwu Kultury i Sztuki). Zarząd Miasta zobowiązany został do stałej opieki i dotowania biblioteki, do zapewnienia lokalu, wynagradzania pracowników i zakupu zbiorów. Nastąpił rozwój zorganizowany jednakowo dla wszystkich bibliotek publicznych w kraju. Zgodnie z funkcjonującym modelem kształtowano księgozbiory i rozbudowywano sieć placówek.

W sądeckiej Bibliotece szybko rósł księgozbiór: 1945 r. – 7 000, 1949 r. – 18 241, 1957 r. – 44 112, 1975 r. – 126 714. Podobnie wzrastała liczba czytelników: 1949 r. – 814, 1957 r. – 3 256, 1975 r. – 11 842. Na terenie miasta otwierano filie i punkty biblioteczne. Pierwsza filia powstała w 1951 roku przy ulicy Lwowskiej, w 1973 roku działało już 7 takich placówek. W 1970 roku Miejska Biblioteka Publiczna – Centrala wraz z filią dla dzieci i młodzieży zostały przeniesione do nowego lokalu, odrestaurowanego XVII-wiecznego budynku, z dobudowaną nową częścią, przy ulicy Franciszkańskiej 11. Mieści się tu do chwili obecnej.

W czasie powojennego funkcjonowania Miejskiej Biblioteki, jej pracą kierowały kolejno: Laura Markowska, Bronisława Stomma, Stefania Szkaradek, Aleksandra Fiałek, Eugenia Smoleń. Organizowano spotkania literackie z pisarzami, m.in. goszczono Jana Wiktora, Karola Bunscha, Alfreda Szklarskiego, Magdalenę Samozwaniec, Juliana Kawalca, Tadeusza Śliwiaka, Tadeusza Nowaka. W 1972 roku nawiązano współpracę z nowosądeckim oddziałem Polskiego Towarzystwa Historycznego i wspólnie organizowano prelekcje i odczyty, np. Aleksandra Krawczuka, Andrzeja Drawicza, Mariana Plezi. Wraz z Domem Kultury Kolejарza prezentowano w piwnicach Biblioteki spektakle krakowskiego Teatru Małych Form „EREF 66”. Przygotowywane były też wystawy książek, a od 1974 roku, kiedy to nawiązano współpracę z Sądeckim Towarzystwem Fotograficznym, można było oglądać wystawy fotograficzne. Przy Bibliotece, z inicjatywy Edwarda Smajdora i Stanisława Stanucha, powstał Klub Literacki.

W wyniku nowego podziału administracyjnego, zarządzeniem Wojewody Nowosądeckiego z 29 lipca 1975 r., została utworzona Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Józefa Szujskiego. Powstała przez połączenie oddzielnie dotychczas działających Miejskiej Biblioteki Publicznej z Powiatową Biblioteką Publiczną. Na terenie miasta, w związku z jego rozwojem terytorialnym, otwarto 5 nowych filii. Powiększały się zbiory: 1980 r. – 180 871, 1991 r. – 284 893, 1998 r. – 290 925 i liczba czytelników: 1980 r. – 13 147, 1998 r. – 18 338. Na początku lat dziewięćdziesiątych Biblioteka musiała nadążyć za przeobrażeniami, jakie nastąpiły w życiu społecznym, gospodarczym i w nauce. Gruntownej zmiany wymagały zbiory prawnicze i ekonomiczne, należało uzupełniać zbiory historyczne, politologiczne i inne.

Biblioteką w jej okresie wojewódzkim kierowały: Eugenia Smoleń, a od 1978 roku do 1998 roku Barbara Mardyla. W okresie tym przygotowano trzy edycje Sądeckich Dni

Literatury. Biblioteka rozpoczęła publikowanie materiałów informacyjnych i metodycznych. W 1976 roku ukazało się „Wydanie specjalne na 85-lecie utworzenia Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Józefa Szujskiego”, w 1981 roku „90 lat. Informator”, w 1986 roku „95 lat. Informator”, w 1991 roku „Bibliografia województwa nowosądeckiego 1982”, w 1996 roku „Sandecjana. Katalog zbiorów regionalnych”. Dwa razy w roku przygotowywano „Biuletyn Informacyjno-Metodyczny”, raz na kwartał materiał informacyjny „Prezentacje”. Duże znaczenie miało uzyskanie drugiego własnego budynku przy ulicy Lwowskiej i zorganizowanie tam wyspecjalizowanej placówki bibliotecznej dla dzieci i młodzieży, a także otwarcie przy Polskim Związku Niewidomych specjalistycznej filii „książki mówionej”, czyli kaset magnetofonowych z nagraniem literaturą piękną.

Po zmianie podziału administracyjnego kraju i zlikwidowaniu województwa nowosądeckiego, Biblioteka ponownie wróciła pod zarząd miasta. Uchwałą Rady Miejskiej w Nowym Sączu z dnia 27 sierpnia 1999 r. otrzymała nazwę: Sąddecka Biblioteka Publiczna im. Józefa Szujskiego. Funkcję dyrektora pełniła Zofia Rusinek, a obecnie Barbara Pawlik. Nowy Sącz stał się miastem posiadającym dwie wyższe uczelnie i wiele szkół pomaturalnych, Biblioteka musi zatem sprostać temu wyzwaniu. Ważnym zadaniem jest ułatwianie dostępu do rozwijających się nowych elektronicznych źródeł informacji. Otwarto Czytelnię Informacji Biznesowej, gdzie można bezpłatnie korzystać z Internetu. 110 rok istnienia Biblioteki zwieńczyły obchody, zorganizowane w październiku 2001 roku. Odbyła się sesja naukowa, przygotowano wystawę najcenniejszych zbiorów Biblioteki, wydano trzy publikacje. Specjalista zbiorów specjalnych, Wiesław Wcześny, opracował starannie wydany „Katalog starych druków Sąddeckiej Biblioteki Publicznej w Nowym Sączu. Polonica XVI-XVIII w.” Dział Informacyjno-Bibliograficzny przygotował „Bibliografię województwa nowosądeckiego za lata 1990-1994”, opracowaną przez Jolantę Kosecką, oraz „Bibliografię powiatu sądeckiego 1999”, autorstwa Marty Treit.

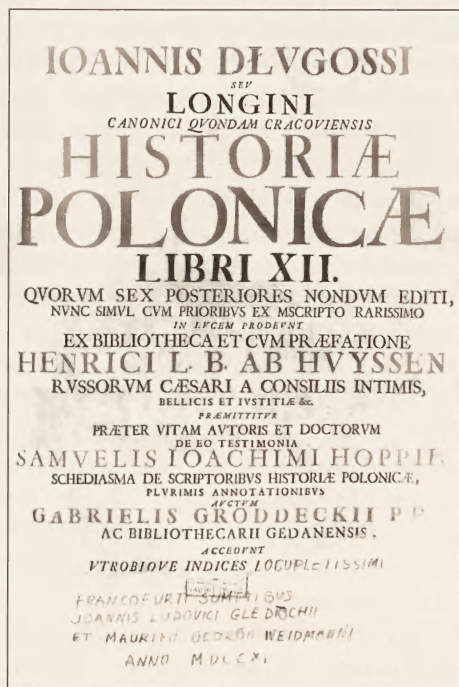
Rok 2001, rok jubileuszu 110-lecia Biblioteki, był okazją do przypomnienia najcenniejszej części księgozbioru – zbiorów specjalnych. W tym wydzielonym księgozbiórze gromadzone są zbiory o dużej wartości historycznej, materialnej i naukowej. W ich skład wchodzi:

- stare druki, zabytkowe książki drukowane w XVI, XVII i XVIII w., w tym polonica i druki obce pochodzące z księgozbioru Szujskiego oraz z zakupów antykwarycznych i aukcyjnych,
- druki XIX-wieczne, ze wszystkich dziedzin wiedzy wraz z literaturą piękną i czasopismami – duża ich część to księgozbiory Szujskiego, Zubrzyckiego i dary różnych ofiarodawców, inne kupowane były systematycznie od osób prywatnych i w antykwariatach całego kraju,
- rękopisy, głównie XIX-wieczne, dotyczące regionu i Ziemi Sąddeckiej,
- książki i czasopisma XX w., wydane do 1945 roku,
- druki bibliofilskie, wydawnictwa artystyczne – książki wydawane na specjalną okoliczność, edytorsko bardzo starannie opracowane (papier, czcionka, skład),
- reprinty, książki wydawane od końca XIX w. techniką przedruku homograficznego, a współcześnie techniką fotooffsetową – ukazują się one w małych nakładach dając wierne odwzorowanie dzieł rzadkich, już nieosiągalnych na rynku księgarskim, w ich historycznych wydaniach,

- exlibrisy i grafika, głównie znaki bibliotek i osób prywatnych,
- zbiory filokartystyczne, pocztówki dotyczące regionu, gór, Galicji wydawane na przełomie XIX i XX wieku aż po współczesne,
- fotografie dokumentujące życie w Nowym Sączu okresu międzywojennego i obecnie,
- płyty cynkowe do druku offsetowego – pochodzą z lat 80. XX w., drukowane z nich były exlibrisy biblioteki i osób prywatnych.

Od wielu lat zbiory specjalne są systematycznie, w miarę zasobów finansowych Biblioteki, uzupełniane i liczą obecnie 8600 pozycji inwentarzowych.

Wystawa otwarta w październiku 2001 roku przedstawiała małą część tych zbiorów, najstarsze zabytki sztuki drukarskiej, stare druki – polonica z XVI, XVII i XVIII wieku. Sądecka Biblioteka Publiczna posiada obecnie 147 starodruków. 72 z nich, pokazywane na wystawie, to druki w języku polskim bez względu na miejsce ich wydania oraz druki, które zostały wydane na terytorium ówczesnej Polski w jej historycznych granicach z włączeniem Prus Królewskich i Śląska, bez względu na ich język czy pochodzenie autorów, a także druki dotyczące Polski, wydane za granicą. Z pośród tych 72 książek 47 pochodzi z zasobów byłej Miejskiej Biblioteki, w tym 21 z księgozbioru Józefa Szujskiego, a 25 zostało zakupionych w okresie późniejszym.



Na wystawie można było obejrzeć najstarszą książkę, znajdującą się w Bibliotece – wydany w 1562 roku pamflet polityczny Stanisława Orzechowskiego do Jakuba Uchańskiego „Fricius sive de Maiestate ...”. Wydał ją w Krakowie bardzo znany drukarz, Mateusz Siebeneicher. Kolejna chronologicznie praca to cztery tomy dzieła filozoficznego „Pymander...”, autorstwa Hannibala Rosseliusa, z drukarni Łazarzowej Jana Januszow-

skiego z 1585 roku. Z 1616 roku pochodzi ciekawa praca prawnicza Bartłomieja Groickiego (Grodzickiego), z drukarni Łazarzowej Macieja Jędrzejowczyka. Jest też „Biblia Gdańska” z 1726 roku (przekład augsbursko-reformowany). Pokazane było siódme wydanie z 1731 roku książki Jana Bonawentury „Żywot Pana y Boga naszego Jezusa Chrystusa” (jej pierwsze krakowskie wydanie z 1522 roku, opracowane przez F. Unglera i J. Hallera uważane jest za najstarszą zachowaną w całości polską książkę). Z 1718 roku pochodzi „Wizerunek Świętej doskonałości ... Błogosławionej Kunegundy” Marcina Frankowica. Autor pochodził z patrycjuszowskiej rodziny mieszczańskiej z Nowego Sącza, na Sądecczyźnie pracował po otrzymaniu święceń kapłańskich. Eksponowana była też „Historia Polski” Jana Długosza, wydana w 1711 roku, dzieło liczące 1200 stron, z ozdobną kartą tytułową, współcześnie oprawione w piękną oprawę stylizowaną na epokę.

Wystawa i opracowany „Katalog starych druków”, a także obchody jubileuszu, przyczyniły się do przypomnienia znaczenia Biblioteki oraz jej miejsca na kulturalnej i naukowej mapie Sądecczyzny.

W zbiorach regionalnych znajdują się również materiały dotyczące Muszyny: książki, artykuły z czasopism i prasa, ukazująca się w regionie muszyńskim. Słabiej reprezentowane są tzw. dokumenty życia społecznego, czyli druki poszczególnych instytucji samorządowych, kulturalnych, towarzystw, parafii. Stanowią one nieoceniony materiał informacyjny, ale trudny do gromadzenia. Tematyka muszynaliów jest bardzo różnorodna. Znajdują się tutaj mapy, przewodniki, informatory turystyczne, dane statystyczne, materiały dotyczące środowiska przyrodniczego, historii, kultury, zabytków, czasopiśmiennictwa, zagadnień narodowościowych i wyznaniowych oraz twórczość literacka autorów, pochodzących z Muszyny lub o niej piszących.

Najobszerniejsza część dotyczy problematyki historycznej, badań archeologicznych, historii oświaty i zabytków. Najstarsza praca historyczna, omawiająca dzieje Muszyny, znajdująca się w Bibliotece, to „Starostwo muszyńskie własność biskupstwa krakowskiego” Władysława Bębyńka, z 1914 roku. Historię Muszyny badał Henryk Stamirski; Biblioteka posiada maszynopis „Dynamika dziejów Muszyny (XIII-XX w.)”, a także artykuły „Muszyna i jej starostowie do roku 1781” z XII tomu *Rocznika Sądeckiego* i „Przyjęcia do prawa miejskiego Muszyny w latach 1601-1830” z tomu XIV. Są też prace Franciszka Kmiotowicza: „Dzieje Muszyny”, wydane w 1995 roku, oraz „Muszyna: publikacja 800-lecia Muszyny 1209-2009” z 1996 roku. W roku 1982 w XVII tomie *Rocznika Sądeckiego* ukazał się artykuł Krzysztofa Tymbarskiego „Zarys dziejów gospodarczo-społecznych Muszyny w czasach galicyjskich 1770-1918”, a w 1987 roku Feliksa Kiryka „Miasta kresu muszyńskiego w okresie przedrozbiorowym” w *Przemyskich Zapiskach Historycznych*. Prace dotyczące historii oświaty publikowane były w *Roczniku Naukowo-Dydaktycznym WSP w Krakowie* w 1987 roku: Jana Krukowskiego „Szkolnictwo w kluczu muszyńskim w okresie przedrozbiorowym” i Zygmunta Ruty „Szkolnictwo klucza muszyńskiego w czasach zaboru austriackiego 1772-1918”. Prace archeologiczne Marii Cabalskiej drukował *Rocznik Sądecki* w XVII i XVIII tomie, w zbiorach regionalnych są też artykuły Mieczysława Frasia i Andrzeja Żakiego o pracach wykopaliskowych w rejonie Muszyny. Do ciekawych pozycji należy opracowanie Władysława Buszka „Rody Muszyny”, wydane w 1998 roku. Dla badania zagadnień wyznaniowych i narodowościowych przydatna będzie praca Jana Krzemienieckiego „Kilka dokumentów do dziejów

greckokatolickich parafij w dobrach muzyńskich dawnego biskupstwa krakowskiego”, wydana w Krakowie nakładem autora w 1935 roku. Sytuację Muszyny po 1945 roku opisał Marian Zwoliński w artykule „Muszyna w dwudziestolecu PRL”, który ukazał się w 1966 roku w *Roczniku Sądeckim*. Autorką muszynaliów jest Barbara Rucka; są to np. „Muzeum Regionalne w Muszynie”, „Zabytkowe świątynie regionu muzyńskiego”, „Kościół św. Józefa w Muszynie”.

Druga duża grupa to prace na temat Muszyny jako uzdrowiska. Znajdują się tutaj przewodniki, jak również publikacje o wodach mineralnych, walorach klimatycznych i planowaniu przestrzennym. Jeden z najstarszych opisów krajoznawczych Muszyny znajduje się u Bogusza Stęczyńskiego w „Okolicach Galicyi”, wydanych we Lwowie w 1847 roku. Z okresu międzywojennego Biblioteka posiada „Przewodnik po uzdrowiskach i letniskach polskich” pod redakcją Cz. Rokickiego z 1928 roku, Nitribitta i Hetpera „Krynica, Żegiestów, Muszyna i okolice” z 1928 roku, oraz opracowanie Towarzystwa Przyjaciół Doliny Popradu w Żegiestowie: „Dolina Popradu i jej uzdrowiska” z 1935 roku. Wśród autorów przewodników powojennych należy wspomnieć książki Kazimierza Saysse-Tobiczyka i Władysława Krygowskiego. Walory uzdrowiskowe Muszyny omawiali też Jerzy Gala i Zbigniew Wzorek w *Problemach Zagospodarowania Ziemi Górskich* w 1986 roku. Tematykę zagospodarowania przestrzennego znaleźć można w książce „Sądeckczyzna południowo-wschodnia” z 1979 roku, gdzie w tomie 2 znajdują się artykuły: S. Gzella „Założenia przestrzenne i perspektywy rozwoju Muszyny” oraz K. Korelskiego, B. Króla, L. Pawłowskiego „Rozwój sieci osadniczej w regionie muzyńskim”.

Opisując druki dotyczące Muszyny, a znajdujące się w Sądeckiej Bibliotece Publicznej, wymieniono tylko ich niewielką część. Katalog muszynaliów, uwzględniający wszystkie zgromadzone w Bibliotece materiały, liczyłby około 100 pozycji.

Literatura:

1. *Informator: 90 lat / Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu*, oprac. Z. Rusinek, W. Wcześny, Nowy Sącz, 1981.
2. *Informator: 95 lat / Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Józefa Szujskiego*, oprac. B. Mardyla, Nowy Sącz, 1986.
3. Markowska Laura, *Dzieje Biblioteki Miejskiej*, Rocznik Sądecki 1939 T. 1, s. 251-163.
4. Markowska Laura, *Kartka z kroniki Biblioteki Miejskiej im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu*, Rocznik Sądecki 1949, T. 2, s. 170-184.
5. Opatrny Jarosław Wit, *Biblioteka Miejska im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu*, Kraków: PAU, 1912.
6. Opatrny Jarosław Wit, *Kilka uwag w sprawie Biblioteki Miejskiej im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu*, Nowy Sącz, 1913.
7. Rusinek Zofia, *Biblioteka Publiczna im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu w latach 1891-1991*, Rocznik Sądecki 1993, T. 21, s. 163-175.
8. Wcześny Wiesław, *Księgozbiór Józefa Szujskiego w zbiorach WBP w Nowym Sączu*, Almanach Sądecki 1995, nr 2, s. 45-63.
9. *Wydanie specjalne na 85-lecie utworzenia Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu* / oprac. H. Stamirski, Nowy Sącz, 1976.



Basia Gumulak

PATRZ

patrz
niebo zapomniało błękitu
rzeka szumi smutkiem
a powietrze zachłysnęło się ciszą
powiedz
czy za szarością zieleni kryje się jeszcze wiosna
strach
tajemniczo puka do okna
niepewność
przecieka przez struny bezśmiechu
z białego zegara
w czarnej ramie oczekiwania
spływają godziny wypełnione pustką
siedzę
w ciasnym kącie własnych obaw
płacę
zamieszaniem myśli
patrz
niebo zapomniało błękitu...

PONIEWAŻ

Dla kogoś, kogo znam od zawsze

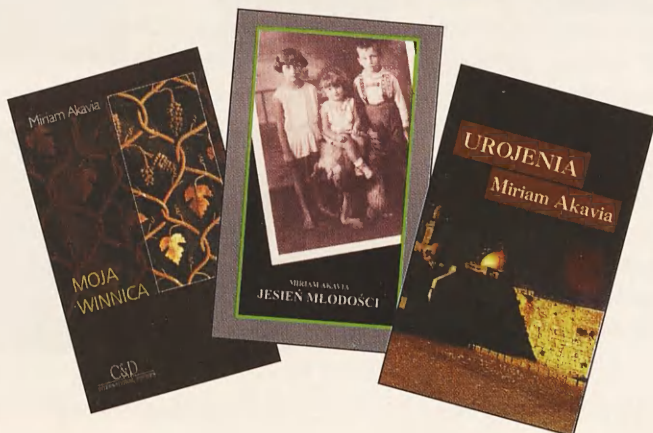
ponieważ jest wiele takich historii
ponieważ tak mi się ubzdurało
ponieważ wszystko tak dziwnie się układa
ponieważ to mi się kiedyś śniło
ponieważ patrzysz na mnie w ten sposób
ponieważ ktoś nas sobie przedstawił
zanim zdążyliśmy się poznać
ponieważ jesteś jedną z najważniejszych osób
w moim życiu
ponieważ ...
zresztą sam wiesz najlepiej



MIRIAM AKAVIA

SPOTKANIE Z CZYTELNIKAMI
W MUSZYŃSKIEJ BIBLIOTECE

16 SIERPNIA 2001 ROKU



Wybraniec wielu muz

BOLESŁAW BARBACKI

1



3



2



4



5



1. Autoportret
w wieku gimnazjalnym
2. Maria z Barbackich Bogulska
(1920 r.)
3. Pani Helena Jakubikowa
(1914 r.)
4. Stary Jan
5. Pejzaż alpejski
- Szałas na skale (1915 r.)
6. Dziewczę z Sącza
7. Pejzaż alpejski (1915 r.)

6



7



Anna Toton

O BOLESŁAWIE BARBACKIM – „WYBRAŃCU WIELU MUZ”

Tego wspaniałego sądeczanina, żyjącego w ubiegłym wieku, określa „wybrańcem wielu muz” sporo osób, a zwłaszcza dziennikarze. Rok 2001 został nazwany „Rokiem Bolesława Barbackiego”, a w czasie jego trwania przypadły dwie rocznice: sto dziesiąta urodzin i sześćdziesiąta śmierci malarza. Wprawdzie nie był on mieszkańcem Muszyny ani jej okolic, ale sercem należał do Ziemi Sądeckiej, postanowiłam zatem w muszyńskim *Almanachu* przybliżyć postać tego zdolnego, znanego nie tylko w kraju malarza, przede wszystkim portrecisty, niezastąpionego społecznika, podejmującego działania w wielu dziedzinach życia naszego miasta, a nade wszystko ulubieńca wszystkich sądeczan.

21 sierpnia 2001 roku minęło 60 lat, gdy wraz z czterdziestoma sześcioma innymi zakładnikami wczesnym rankiem został wywieziony z sądeckiego więzienia do pobliskich Biegonic i tam rozstrzelany. Po wojnie ekshumowano jego zwłoki i przeniesiono na Stary Cmentarz, do wspólnej mogiły. Przy grobie Bolesława i jego współtowarzyszy oraz w Biegonicach odbywały się wszystkie uroczystości związane z rocznicą jego śmierci.

11 października 2001 roku, w dostojnej sali sądeckiego ratusza, odbyła się uroczysta sesja Rady Miasta poświęcona Bolesławowi Barbackiemu z okazji sto dziesiątej rocznicy jego urodzin. W sesji tej wzięli udział – obok radnych miasta – żyjący członkowie rozległej rodziny malarza, przedstawiciele stowarzyszeń, organizujących te uroczystości, oraz duża grupa mieszkańców miasta, którym postać ta nigdy nie była obojętna. Byli i tacy, którzy za swego życia spotkali malarza i byli dumni, że po latach jego życie oraz zasługi zostały w ten sposób docenione.

Bolesław Barbacki urodził się 10 października 1891 roku, jako syn nauczycieli: Leona i Heleny z Pawłowskich. Rodzeństwo miał bardzo liczne, gdyż ojciec po śmierci matki Bolesława ożenił się powtórnie z Joanną Rzaską. Z kroniki rodzinnej, w której artysta bardzo ciekawie i szczegółowo opisuje życie rodziny, genealogię, kłopoty dnia codziennego (szkoda, że tylko do 1925 roku) poznajemy dzieciństwo, młodość, jego wielką samodzielność i dojrzałość w podejmowaniu opieki nad młodszym rodzeństwem po śmierci matki, potem jego zmartwienie, gdy nie mógł, tak jak jego bracia, ze względu na wzrok pójść do legionów, jego nieskrywaną rozpacz, gdy komisja odrzuciła prośbę o przyjęcie. Został opiekunem całej rodziny i niósł wsparcie moralne i otuchę braciom żołnierzom. Odkrył w sobie również zamiłowanie do rysunków. Najpierw hołubił jego zdolności sam ojciec, a potem – już w gimnazjum – Bolesław brał dodatkowe lekcje rysunków u znanego malarza Antoniego Broszkiewicza. W gimnazjum, wraz z późniejszym śpiewakiem operowym Romualdem Mossoczym, założył koło Filaretów, które skupiało młodzież wyższych klas, koło pełne idei patriotycznych, tak potrzebnych w ówczesnej Galicji.

Nadszedł rok 1914. Ojciec Bolesława na polecenie władz musiał opuścić miasto i wraz z całą rodziną przeniósł się do Ischl w Tyrolu. Razem z nim pojechał Bolesław, który był

już po studiach w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, u samego prof. Teodora Axentowicza, o których to studiach wyrażał się nadzwyczaj sympatycznie w swej kronice. Skończył je zresztą z wyróżnieniami i medalami. Jako człowiek pracowity, ten czas poza ukochanym Sączem, do którego bardzo tęsknił, postanowił poświęcić na uprawianiu się „rzetelnym w tej dziedzinie sztuki”.

Trzeba nadmienić, że ojciec tylko dlatego wyraził zgodę na studiowanie syna na ASP, że Bolesław zobowiązał się ukończyć w tym samym czasie wydział prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ojciec pragnął, aby syn miał zapewniony chleb w innym zawodzie i nie liczył na malowanie. Życie pokazało co innego.

W Ischl Bolesław malował na zamówienie portrety przebywającym tam Polaków, a także pejzaże tych górskich okolic. W liście do brata Zdzisława chwalił się: „Portret wielki wykonuję w ciągu 12 godzin”. Dalej pisał: „W Ischlu i Gmunden za te pięć czy sześć miesięcy namalowałem 46 rzeczy, z tego 12 płócien wielkich, są nawet takie, które mają do dwóch metrów kwadratowych”. Mimo to był bardzo szczęśliwy, gdy 9 czerwca 1915 roku wrócili wszyscy do Nowego Sącza. W tym samym roku umarła jego najukochańsza siostra Helusia. Bolesław bardzo to przeżył, ale znowu uciekł w wir pracy i już w 1916 roku miał swoją indywidualną wystawę. Potem były następne, w różnych miastach Polski. Po brązowym, srebrnym medalu z okresu studiów i nagrodach powszechnych (1927 r.) otrzymał medal brązowy od Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie za „Studium Portretowe”, do którego to obrazu pozowała mu pani Ludmiła Rozwadowska. Towarzystwo Zachęta przyznało Barbackiemu potem jeszcze trzy medale, m.in. srebrny w 1937 roku za „Portret prezydenta Nowego Sącza, dra Romana Sichrawy”, a w 1938 roku członkostwo honorowe Zachęty.

Sam artysta do końca swoich dni nie spełnił marzeń młodościowych z 1906 roku, gdy zaczął malować „Erynie”, chcąc za pomocą symboli – w tym obrazie i w następnych – przekazać cierpienia swoje i kraju. „Erynie” cieszyły się – i cieszą dotąd – wysoką oceną krytyków.

Bolesław pozostał w swej sztuce wierny portretowaniu realistycznemu. Nawet przebywając od października 1923 roku do czerwca 1925 roku w Paryżu (epoka schyłku modernizmu), gdzie doskonalił swój warsztat artystyczny, w ogóle nie reagował na takie prądy w malarstwie, jak impresjonizm czy ekspresjonizm i, co ważne, nie należał nigdy do żadnych organizacji czy stowarzyszeń malarskich. Nie chciał się utożsamiać z jakimś ruchem programowym, dać zaklasyfikować, zaszufladkować.

W Paryżu godzinami – ku zachwytowi rzeszy zwiedzających Luwr – kopiował obrazy swoich ulubionych mistrzów renesansu czy baroku, jednak, mimo że mógł „na pniu” sprzedawać wykonane przez siebie kopie, przywiózł je do Nowego Sącza, po to – jak sam zanotował – „aby mieć zawsze miniaturę Luwru”. Z Paryża pisał do brata Zdzisława: „Mogę zrozumieć idee modnych mesjaszy, mogę w nie uwierzyć i nawet przejać się nimi, ale ja tak malować nie chcę i nie będę, raczej całkiem malować przestanę!” Tej idei pozostał wierny do końca swoich dni.

Pierwsze portrety w Nowym Sączu malował w salonie użyczonym mu przez zaprzyjaźnioną rodzinę Uhaczów, gdyż jego dom przy ul. Kunegundy 6 był – przy tak dużej rodzinie – za ciasny na to, by wydzielić Bolesławowi jeden z pokoi na pracownię. Malując

całymi dniami, nie zapominał o innych aspektach działalności artystycznej i poświęcał wiele czasu utworzonemu i zorganizowanemu przez siebie od podstaw w 1919 roku Towarzystwu Dramatycznemu, które zyskało wkrótce opinię najlepszego zespołu amatorskiego w Polsce. W 1920 roku objął pierwszą posadę jako nauczyciel rysunków w gimnazjum żeńskim w Nowym Sączu, natomiast po powrocie z Paryża w tzw. „Ciuciubabce” założył Szkołę Przemysłową Żeńską Towarzystwa Szkoły Ludowej, którą kierował do 1937 roku. Sam opracowywał oraz powielał podręczniki do geometrii wykreślnej i kostiumologii.

Do jednego z artykułów miałam przyjemność przeprowadzać wywiad z uczennicą Barbackiego, panią Heleną Paluchową (kiedyś – Helutką Zacharzanką, która dostała namalowaną przez pana Profesora „główkę”, co było nie lada zaszczytem). Przeżyłam chwilę wzruszenia, gdy ta około dziewięćdziesięcioletnia pani, z błyskiem w oku, powiedziała: – „Wszystkie uczennice były w nim zakochane! Nazywałyśmy go »wujkiem«, »ojczulkiem«, był wiecznie roześmiany, zadbany. Zwracał uwagę na to, jak wyglądamy, a jeśli miał zastrzeżenia, to zdarzyło się, że po cichutku dawał pieniądze na fryzjera. Dziewczętom zdolnym a biednym, pochodzącym ze wsi, »wsuwał« dyskretnie pieniądze na utrzymanie lub pozwolił mieszkać w szkolnej pracowni szwalniczej. Wszystkim co roku kupował paczki »mikołajowe«, a w szkole panowała rodzinnej życzliwości i prostoty, z jaką traktował zarówno uczennice, jak i nauczycieli”.

Jak można nie kochać takiego dyrektora, który w roku 1929, gdy pierwsze absolwentki opuszczały szkołę, a nie wszystkie mogły znaleźć zatrudnienie w warsztatach rzemieślniczych, założył dla nich Wytwórnę Przemysłową TSL, funkcjonującą na zasadach spółdzielni usługowej, którą umieścił w dworku na sądeckich plantach. I jak sam pisał w kronice: „...całe urządzenie Wytwórni i remont budynku pokryć musiałem z oszczędności szkoły i ze swoich własnych funduszy” (cytuje za niekwestionowaną znawczynią tematu, panią Teresą Maszczak).

Odkąd w 1923 roku został lokatorem trzech frontowych pokoi u brata Zdzisława w willi „Marya”, przy ul. Jagiellońskiej 60 (od 1991 roku do dzisiaj w jego pracowni jest czynna galeria obrazów; niektóre wiszą nawet w tym samym miejscu, co za życia malarza), nie narzekał na brak zamówień na portrety. Nieraz portretował całe rodziny, albo u siebie w pracowni, albo – jak pisał – na „chałpach”. W Nowym Sączu w okresie międzywojnia do dobrego tonu należało zamówić sobie portret u pana Bolka, jak go powszechnie nazywano. Był wiecznie zapracowany. Pozostawił po sobie 800 obrazów, miał 44 wystawy. Sława sądeckiego portrecisty, skądinąd bardzo skromnego człowieka, rozeszła się po całym kraju. Ministerstwo Spraw Wojskowych zamówiło u niego serię portretów generalskich. Zdążył namalować tylko cztery, m.in. Marszałka Józefa Piłsudskiego, gen. Daniela Konarzewskiego, gen. Władysława Sikorskiego. W latach trzydziestych jeździł do Lwowa, gdzie malował portrety profesorów uniwersyteckich, biskupów, m.in. ks. biskupa Teodora Kubiny.

Jego sztukę wysoko cenił Wojciech Kossak; proponował mu nawet przeniesienie się do większego ośrodka artystycznego, Bolesław jednak kategorycznie odmawiał, nie chcąc opuszczać Nowego Sącza. Z miastem i z rodziną łączyły go bardzo silne więzy, a wszelkie wyjazdy na dłużej bardzo przeżywał. Wciąż nie nadszedł z wykonaniem zamówień,

a zarobionymi pieniędzmi wspierał rodzinę albo dotował swą społeczną działalność. Założenie rodziny, dalszą karierę odkładał na potem. W latach 1932-1939 był prezesem i reorganizatorem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Projektował i uczestniczył w budowie boiska sportowego, zwanego obecnie „Starą Sandecją”. Miał to być jeden z najnowocześniejszych obiektów sportowych w Polsce, na którym Barbacki planował zorganizować wielki zlot gniazd sokolich.

Wszystko przerwał wybuch II wojny światowej. Z narażeniem życia, wraz z innymi działaczami, rozłokowywał u zaufanych ludzi dobro „Sokoła”. Sądeczanie, i to nie tylko rodzina czy przyjaciele, martwili się, że artysta nie chce opuścić miasta i gdzieś w ukryciu przeczekać wojnę. Odmawiał wszystkim, twierdząc: „Niemcy są wszędzie”. Kiedy po raz drugi został uwięziony, plotka krążąca po Nowym Sączu mówiła, że uwięzienie to, pod byle pretekstem, było zemstą szefa sądeckiego gestapo, Heinricha Hamana, za to, że Bolesław – wielki patriota – nie zgodził się namalować jego portretu. Haman znał uzdolnienia Barbackiego od dawna. Bolesław w celi rysował na skrawkach papieru portrety współwięźniów, które, przemycane przez księdza spowiednika, Jana Wernera, trafiały do rodzin zakładników. Do dzisiaj nie wiadomo, kogo przedstawia parę z zachowanych portrecików. Przyjaciele z Polski, a także znajomi z Niemiec, wystarali się o ułaskawienie Bolesława Barbackiego, które kancelaria Hitlera nadesłała w porę do Nowego Sącza, Haman jednak przetrzymał je w szufladzie i ujawnił dopiero po wykonaniu egzekucji.

Czytelników *Almanachu*, chętnych do zapoznania się z talentem Barbackiego, zapraszam do willi „Marya”, a przynajmniej do obejrzenia jednego z jego dzieł przy okazji zwiedzania Bazyliki św. Małgorzaty (to tak blisko od nowosądeckiego Rynku!). W głównej nawie, po lewej stronie, znajduje się obraz jego ręki, przedstawiający św. Józefa z małym Panem Jezusem.

Proszę pomyśleć, ile mógł jeszcze piękna namalować! Gdy go rozstrzelano, miał zaledwie 50 lat, był w pełni sił twórczych...



Źródła:

I. Zebrane na przestrzeni kilku lat artykuły w prasie lokalnej dotyczące tematu:

1. Marek Lubaś-Harny, *Pocziwy Bol i demoniczna Hanka. Zapomniany romans Bolesława Barbackiego*, „Gazeta Krakowska”, 29-30. 10. 1994 r.
2. Irena Styczyńska, *Na 75-lecie śmierci Leona Barbackiego, ojca artysty – malarza Bolesława Barbackiego*, „Echo Beskidu” 1995 r. (Archiwalia).
3. Małgorzata Rams, *Willa „Marya” (o ludziach w niej mieszkających i historii tego domu)*, „Nasze Strony” 20. 10. 1996 r.
4. Jerzy Leśniak, *Wybraniec wielu muz*, „Dziennik Polski”, 17. 08. 2001 r.

II. Katalogi z kilku wystaw, opracowane przez Teresę Maszczak.

III. Encyklopedia Sądecka.

IV. Wywiady z rodziną i żyjącymi uczennicami Barbackiego.

Władysława Lubasiowa

KULIGIEM

Takiej zimy już nie ma
jak bywała ongiś!
Słońce tarza się w śniegu,
rzą u sanek konie.
Hej! jedziemy kuligiem
do białego Rytra,
srebrzy się Poprad, lód pryska,
kopyta dzwonią: haj ta! Wio!

I już wita nas karczma otwarta na ścieżaj:
woda źródłana kipi,
będzie herbata z poziomkowych liści,
z mięty, z jałowca – dzikiej róży zapach...
zarumieni się szklanka od wspomnienia lata,
mrugnie podpłomyk świeży
żółtym okiem sera –
i góralska kapela
porywa w tan.

A za oknem się wstęży droga coraz dalej,
bielsza od bieli na obrazie Bola –
i woła Radziejowa
woła Rogacz świerkiem...
I jedziemy, jedziemy do nieba czy piekła!
I jedziemy kuligiem przez życie strzaskane,
przez ruiny Warszawy, pożary i getta –
i gonimy, gonimy płatki śniegu białe.....
Stopniały w łyż na rżęsach – wicher w pustce szczeka.

Wiersz pochodzi z tomiku Władysławy Lubasiowej pt. „Niektóre wiersze wybrane” (Wydawnictwo Miniatura), a dostaliśmy go od p. Tadeusza Plechty, który nowosądecką poetkę zna z lat wojny i wspólnej walki w szeregach Armii Krajowej.

KARTKI Z DZIEJÓW MUSZYŃSKIEJ ELEKTROWNI ORAZ TARTAKU

Helena Krzywka

JAK JÓZEF SERWIŃSKI W ELEKTROWNI I TARTAKU PRACOWAŁ

Przyjechaliśmy do Muszyny w 1934 roku – miałam wtedy trzy lata. Tata objął posadę w elektrowni. O ile pamiętam, nie miał z początku nad sobą żadnego zwierzchnika. Pracował z nim wtedy – jako palacz bez kwalifikacji – Michał Wiśniowski i Kazik Chmielowski. Tata starał się, by zdobyli kwalifikacje, przynosił im fachowe pisma i nakłaniał do złożenia egzaminu. Elektrownia była miejska. Były to początki jej istnienia w Muszynie, więc miasto było jeszcze słabo zelektryfikowane. Tata w sprawie tej posady dostał „cynk” od krewnego, który pracował w tartaku, szybko podjął decyzję i natychmiast wyruszyliśmy z Sądowej Wiszni do Muszyny. Sytuacja na rynku pracy przypominała dzisiejszą. Tartaki prywatne, w których tata poprzednio pracował, kolejno bankrutowały. Od zawarcia małżeństwa w 1928 roku, Rodzice trzykrotnie zmieniali miejsce zamieszkania, a przez pół roku Tata był na zasiłku dla bezrobotnych i na utrzymaniu Mamy (zdarzyło się to akurat wtedy, kiedy przyszłam na świat i bardzo dręczyło jego ambicję). Muszyńska miejska elektrownia dawała gwarancję stabilizacji – zdrojowisko nie mogło przecież być bez prądu.



Roboty było dużo, bo wiele domów nie miało jeszcze elektryczności. Na przykład my, po krótkim zamieszkiwaniu u pp. Pawłowskich Zakościółem przenieśliśmy się do porządnego domu p. Wachulskiej na Kościelną: dwa pokoje i kuchnia, duży ogród – a światło dopiero Tata zakładał (za to właścicielka odpuściła nam co nieco z czynszu, który był wysoki – 45 zł, tyle zarabiał stróż w tartaku). Po jakimś czasie kierownictwo elektrowni objął Edward Krzemiński – też „baraba”, czyli obcy (w tamtych czasach miejscowi obywatele, zwani też „krzakami”, raczej nie praco-

W elektrowni 15 V 1937 r. Po lewej stronie stoi Kazimierz Chmielowski (pomocnik), niżej Aleksander Kaszubski (pomocnik), po prawej – Antoni Faron (palacz), poniżej Józef Serwiński

wali zawodowo, chyba że sezonowo, w usługach). W stosunku do „barabów” muszynianie odnosili się trochę z rezerwą, była pewna izolacja – wiele czasu minęło nim w Muszynie wrośliśmy.

Chyba w 1937 roku Tata przeniósł się do tartaku, choć miał duże obiekcje, bo to znów była firma prywatna (Segal - Żupnik - Wilf), ponieważ zwolniło się tam miejsce po Franciszku Anderli, który przeniósł się do Piwnicznej. Skusiły go lepsze warunki materialne – służbowe mieszkanie + darmowy opał i światło, pensja też trochę wyższa. Właściciele – Żydzi – bardzo dobrze prosperowali. No i była tam też praca w kancelarii dla Mamy, która była rachmistrzem i w ogóle całe biuro miała na głowie, nieraz siedziała w pracy po godzinach. Segala nigdy nie widziałam, Wilf był bardzo pocziwy, wręcz z nami zaprzyjaźniony. Szczególnie jego żona zbliżyła się z moją mamą, zamówiły sobie kiedyś razem futra w sprzedaży wysyłkowej we Lwowie, kapelusze z Paryża sobie sprowadziły, wymieniały przepisy kulinarne (np. stąd się wzięła słynna mamina ryba po żydowsku). Mieli też syna jedynaka w moim wieku, nad którym strasznie się trzęśli. Ale oni mieli chyba najmniejszy udział w tej spółce i najmniej do gadania. Firmą trząśł Żupnik – młody, energiczny, rzutki.

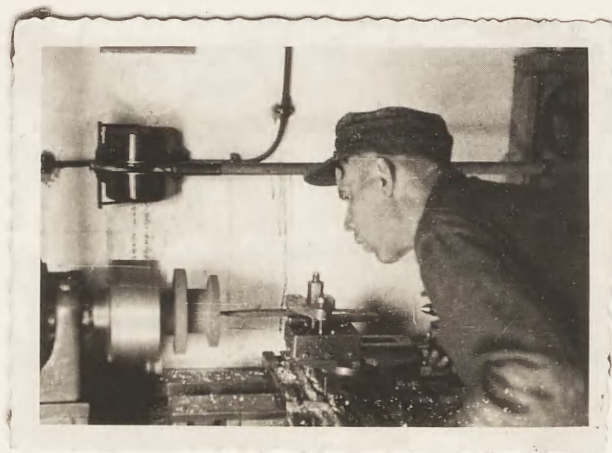
Oprócz Polaków pracowało w tartaku jeszcze trzech Żydów – kierownik administracyjny (nie pamiętam dokładnie nazwiska), w kancelarii Freifeldt – kawaler, totumfacki właścicieli, był chyba ostatnim Żydem wywiezionym z Muszyny, bo Niemcy po przejęciu tartaku długo go jeszcze trzymali, jako że był świetnie we wszystkim zorientowany. Był też jeszcze Szloma, wysoki, chudy, który pracował jako tragarz od najcięższej roboty, sympatyzował z polskimi komunistami i był w grupie tych, którzy przypinali sobie na 1 maja czerwone kokardki, grozili strajkiem, bojkotowali rozporządzenia. Jeszcze nie chodziłam do szkoły (czyli to był maj 1937 roku), kiedy ci właśnie „zbuntowani” robotnicy spytali mnie, czy umiem pisać (umiałam), dali czerwoną lubrykę i kazali napisać dużymi, drukowanymi literami NIECH ŻYJE KOMUNIZM wysoko na ścianie naszego domu. Posaдили mnie w tym celu na tzw. klatkę. Babcia, kiedy zobaczyła gotowe dzieło, omal nie dostała ataku serca, postraszyła kryminałem, do którego za mój wyczyn może trafić Tata i nazwała komunistów bezbożnikami. Potem kazała zamalować napis wapnem, ale lubryka długo jeszcze przebiła.

Z Tatą w maszynowni pracował jako palacz Antoni Faron z Barcic, a przy gatrach Tokarczyk, któremu urodziły się bliźnięta i rodzice nasi byli ich chrzestnymi. Oni też mieszkali w tartaku, ale w oficynie. Stróżem był bezręki Śródulski. We wrześniu 1937 roku poszłam do szkoły, ale nadal tartak był dla mnie wspaniałym terenem zabaw – miałam różne zakamarki w stertach kłoców na depo, domy w klatkach i jaskinie w starej górze trocin. Że się nic nigdy na mnie nie zważyło – to cud Boski.

Naszej rodziny nie było w Muszynie od września 1939 roku do czerwca 1940 roku (ucieśliśmy przed Niemcami do dziadków na Wschód; Tata został powołany do wojska). Po powrocie Tata pracował jakiś czas (krótko) w tartaku jako robotnik przy lasowaniu wapna, razem z prof. Witkiem z Zapopradzia. Niemcy rozbudowali tartak, poszerzyli go prawie aż do torów, kosztem zabranych polskich ogrodów. Stawiali baraki, w których później pracowali odizolowani Żydzi (nie wiem, czym się zajmowali). Tymczasem Niemcy nakryli na jakiejś kradzieży „wermistrza”, zamknęli go, a potem wywieźli z Muszyny. Zatrudnili na jego miejsce Tatę, a ja drżałam ze strachu, bo Tata też przemyczał

kawałki pasów w nogawkach spodni, a także obowiązkową butelkę nafty, którą później wymieniałam na wsi na jakąś żywność. Zwłaszcza na początku miał wielkie opory, choć było to uważane za rodzaj walki z okupantem. Potem zamieszkał u nas Antoni Faron, który dorabiał w wolnych chwilach jako szewc. Naprawdę chodziło o umożliwienie – pod pretekstem naprawy butów – różnych kontaktów. U nas na górze, za szafą ścienną, było radio, o czym, na moje nieszczęście, wiedziałam. Spędziłam wiele bezsennych nocy, złana potem na myśl, co by było, gdyby Niemcy wzięli mnie na przesłuchanie. Niedaleko, w „Helinie”, było gestapo i cała Ogrodowa mówiła o stosowanych tam torturach. Mogło być źle, gdybym się wygadała, że rodzice co wieczór wchodzi do szafy z Faronem, jak otwieram szafę, to ich tam nie ma. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że Faron był szefem grupy operacyjnej Batalionów Chłopskich, do której należał też Tata. W grupie tej był również Józek Miczulski i chyba jeszcze Zbyszek Olszewski (w artykule p. Stojka w *Almanachu* 2001 nic nie ma o tej grupie).

Kiedy Niemcy się wycofywali, Tata z narażeniem życia zgarnął z tablicy klucze do magazynu, w którym były pasy transmisyjne i wpuścił je sobie do gumowego cholewiaka. Niemcy ewakuowali się w pośpiechu, w rezultacie pasy ukryte przez Tatę zostały, przydając się później, po wyzwoleniu, przy uruchamianiu elektrowni.



W tartaku 1942 (43)

Od redakcji:

W przyszłym roku opublikujemy tekst Stanisława Gościńskiego o powojennych losach muzyńskiej elektrowni. Ponieważ trudno znaleźć dziś osoby, które posiadałyby jakąś wiedzę na temat muzyńskiej elektrowni bądź tartaku, zatem gdyby ktoś z Czytelników zechciał dorzucić choćby garstkę informacji, może udałoby się dopisać parę stron do tej, jakże ciekawej, historii.

Piotr Osóbka

WSPOMNIENIA Z MOJEJ PRACY W ŻEGIESTOWIE ZDROJU

*Kto raz był w Żegiestowie, ten tęskni nieustannie
za jego ożywczym powietrzem, za jego czarującym
krajobrazem, za jego zdumiewającymi widokami,
za jego szumiącymi zdrojami, za jego cichym
ustroniem.*

Józef Dietl

Do Żegiestowa Zdroju przyjechałem w lipcu 1964 roku, po sześciomiesięcznym pobycie w szpitalu w Warszawie, gdzie dzięki lekarzom udało mi się uniknąć amputacji nogi. Wcześniej pracowałem w Przedsiębiorstwie Państwowym Obsługa Techniczna Uzdrowisk w charakterze technika (od 1959 roku). Moim przełożonym był dr inż. Ignacy Potocki, geolog i znawca uzdrowisk, który przyczynił się do mojej edukacji balneologicznej. Pod jego nadzorem wykonałem m.in.: inwentaryzację źródeł w Podczelu k. Kołobrzegu, projekt oświetlenia słynnego „Grzybka” w Ciechocinku, brałem udział w wierceniach poszukiwawczych w Wieńcu Zdroju. Później pracowałem w przemyśle elektro-nicznym na stanowisku szefa kontroli jakości. Praca w produkcji była odpowiedzialna i wymagała sporej odporności na stres.

Przez Żegiestów przebiegała już wspaniała droga, oddana do użytku w 1963 roku, łącząca Muszynę, Żegiestów i Nowy Sącz. Kończono także malowanie barier ochronnych nad linią kolejową. Dyrektorem sanatorium był dr Kazimierz Biel, który kierował lecznictwem w Zdroju. Czynny był również Ośrodek Naukowo-Leczniczy, kierowany przez prof. dra med. Juliana Aleksandrowicza. Całe lecznictwo w PP Uzdrowisko „Krynica - Żegiestów” podlegało organizacyjnie Lekarzowi Naczelnemu, doktorowi Julianowi Zawadowskiemu. Kazimierz Krukierek był kierownikiem nowoczesnego wówczas sanatorium „Prometeusz”. Mieszkał w nim z żoną, a „Orlątko” sprzedał PP Uzdrowisko „Krynica - Żegiestów”. Do „Orlątka” przeniesieni zostali ci pracownicy uzdrowiska, którzy mieszkali w pokojach sanatoryjnych. Sanatorium „Prometeusz” należało do Huty Aluminium w Skawinie, przyjeżdżały tu osoby, które pracowały w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Kuracjusze z „Prometeusza” korzystali z usług balneologicznych prowadzonych w Uzdrowisku. Kazimierz Krukierek kierował „Prometeuszem” do czasu przejścia na emeryturę, potem zamieszkał w Krakowie.

Dzięki wyspecjalizowanemu personelowi szybko poznałem specyfikę pracy i zabrałem się do wykonywania powierzonych mi obowiązków. Dużą pomoc otrzymałem od sekretarki – pani Heleny Ostrowskiej, która jeszcze przed wojną pracowała w Zdroju. W prezentowanym tekście chciałbym opisać niektóre interesujące wydarzenia, które miały miejsce w czasie mojej trzyletniej pracy w Żegiestowie.

Otrzymałem z Centralnego Zarządu Uzdrawisk polecenie zinwentaryzowania źródeł mineralnych w Łomnicy koło Piwnicznej w celu podjęcia decyzji, czy można tę miejscowość włączyć do działalności uzdrowskiej. Przed wojną był tam niewielki budynek, w którym zainstalowano kilka wanien do kąpieli mineralnych. Niestety – nie udało mi się nawiązać kontaktu z właścicielami tej posesji. W przepięknej dolinie, w której rozciąga się wieś Łomnica, doliczyłem się 18 źródeł wody mineralnej. Okoliczni mieszkańcy do dziś korzystają z owej wody, a nazywają ją „kwaśną”. Niestety, z powodu zanieczyszczenia bakteryjnego, woda tylko z niektórych źródeł nadaje się do bezpośredniego spożycia.

Pewnego dnia podczas spaceru, powyżej pijalni „Anna” w Żegiestowie, trafiłem na niezabezpieczone źródło. W biurze Uzdrawiska dowiedziałem się, że jest to dodatkowe ujęcie wody pitnej dla całego Zdroju, ponieważ ujęcie w Zimnym Potoku było już niewystarczające. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało mi się znaleźć rozwiązanie zagrożenia, jakie niesło ze sobą korzystanie z niepewnego źródła. W tym czasie przebywał na kuracji kierownik Wydziału Gospodarki Komunalnej w Krakowie, który miał w planach wybudowanie ujęcia wody i przetestowanie nowej, na owe czasy, technologii uzdatniania wody pitnej metodą ozonowania. Przy stoliku w kawiarni „Zdrojowa” powstała koncepcja, a w biurze projektowym w Krakowie dokumentacja, dzięki której do dzisiaj Uzdrawisko ma ujęcie wody pitnej.

Jak wspominałem, trwały końcowe prace przy budowie nowej drogi, wykonywane przez Krakowskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych. Na jednym z końcowych już spotkań z przedstawicielami tej firmy (która mogła się poszczycić doskonałą jakością robót), zaproponowałem, aby wykonała ona wewnętrzną drogę do Domu Zdrojowego i wokół fontanny. Fontanna została zmodernizowana i uruchomiona. Wokół niej powstał klomb z kwiatami. Dodatkowo została zaprojektowana i wykonana muszla koncertowa, której Zdrój bardzo potrzebował. Odtąd odbywały się tu koncerty, organizowane przez kierownika kulturalno-oświatowego, mgra Tadeusza Węgrzyna. On też aranżował imprezy w sali widowiskowej Domu Zdrojowego. Występowali tu znani artyści sceny polskiej, m.in. Halina Czerny-Stefańska. Organizował również wycieczki krajoznawcze dla kuracjuszy. Dużą pomoc okazywał mgr Stefan Półchłopek, kierownik biura kulturalno-oświatowego PPU „Krynica-Żegiestów” w Krynicy. Pamiętam, jak Tadeusz z poświęceniem chodził po okolicznych górach, a nawet wspinał się na drzewa, by namierzyć najkorzystniejsze miejsce na cel umieszczenia tam anteny telewizyjnej.

Przeżyłem kilka trudnych tygodni w zimie 1966 roku, gdy wichura zerwała linię energetyczną, zasilającą Zdrój, oraz zwała przerdzewiały komin w kotłowni. Sytuacja była trudna, ponieważ kuracjusze mieszkali w zimnych pokojach i brakowało ciepłej wody. Wszystko udało się szczęśliwie opanować, ponieważ władze powiatowe, które słusznie szczyły się tzw. „eksperymentem sądeckim”, wydały Nowosądeckim Zakładom Naprawy Taboru Kolejowego polecenie wykonania komina dla kotłowni w Zdroju. Zakłady te wywarły na mnie spore wrażenie, gdyż nie sądziłem, że w tym rejonie może istnieć tak duże przedsiębiorstwo produkcyjne. W tym samym czasie Zakłady Energetyczne poprowadziły dodatkowe zasilanie w energię elektryczną z drugiej strony Żegiestowa. Dzięki temu, w razie awarii jednej linii zasilającej, automatycznie włączała się druga linia. W krótkim

czasie Zakłady Energetyczne przejęły całą sieć elektryczną, łącznie z instalacją oświetlenia ulic, oraz rozliczanie energii elektrycznej w Żegiestowie Zdroju. Działalność ta, nie wiadomo z jakiej przyczyny, znajdowała się do tej pory w zakresie obowiązków pionu technicznego Uzdrawiska.

Z postawieniem komina wiąże się ciekawa historia. Gdy dostarczono jego pięć segmentów, powstał problem, jak je zamontować. Miejsce było wyjątkowo trudno dostępne. W tym czasie przebywał u mnie kolega, inżynier budowlaniec, który opracowywał podręcznik dla szkół budowlanych. Sądziłem, że jest to doskonała okazja, aby wykorzystać jego wiedzę. Kolega w nocy przygotował dokumentację, a rano w biurze przedstawiłem ją Piotrowi Serwińskiemu, który był wówczas kierownikiem technicznym w Uzdrawisku. Serwiński, po zapoznaniu się z projektem, uśmiechnął się i poprosił nas, byśmy cały następny dzień spędzili w Krynicy, najlepiej w kawiarni na Górze Parkowej. Wieczorem następnego dnia, gdy wróciliśmy z Krynicy, komin już stał. Okazało się, że robotnicy ścięli wysoką sosnę, na końcu umocowali bloczek, przez który przeciągnęli linę, następnie sosnę zamocowano obok podstawy komina i tak wciągano segment po segmencie, montując cały komin. Najtrudniejszą robotę – skręcanie – wykonywał Józef Skalniak, świetny sportowiec, mistrz w saneczkarstwie. Po śmierci Piotra Serwińskiego, który kierował Uzdrawiskiem po moim powrocie do Warszawy, Józef Skalniak był kierownikiem administracyjnym Uzdrawiska, aż do przejścia na emeryturę w roku 2000.

Wspomniany Piotr Serwiński w dużej mierze przyczynił się do tworzenia powojennej historii Żegiestowa Zdroju. Pochodził z Pleśnej koło Tarnowa. Przed wojną był maszynistą kolejowym, co w owych czasach stawiało go bardzo wysoko w hierarchii społecznej. Do Żegiestowa przybył z ekipą odbudowującą tunel. Miał doskonale rozwinięty zmysł techniczny i organizatorski. Aby zapewnić ogrzewanie i ciepłą wodę dla budynków sanatoryjnych w bardzo trudnym powojennym okresie, zainstalował w budynku kotłowni dwa kotły parowe, wymontowane z parowozów wycofanych z eksploatacji. W Uzdrawisku wiedział o wszystkich problemach, każdemu starał się dopomóc; miał dar zjednywania do siebie ludzi, a pracownicy darzyli go dużym zaufaniem. Dzięki wspólnej naszej inicjatywie, udało się usunąć wanny do kąpeli mineralnych z Domu Zdrojowego do – wcześniej nadbudowanych – pomieszczeń nad piwnicami za Domem Zdrojowym i połączyć je „przewiązką” z klatką schodową. Dotychczas wanny znajdowały się nad jadalnią, przez co sufit stale był zalewany. Budowla była postawiona bez odpowiednich zezwoleń i dokumentacji. Miałem trochę kłopotów z tego powodu, lecz usprawiedliwiono mnie ze względu na mój młody wiek. Nowy obiekt należało zalegalizować. Przyjechała w tym celu komisja architektów z Krynicy i Nowego Sącza. Komisja miała zastrzeżenia do zbyt wystającego dachu, który miał chronić przed deszczem. Gdy dowiedzieli się, że wykonywał go Serwiński, stwierdzili, że „może tam stanąć nawet czołg i dach się nie zawali”. Z Piotrem planowaliśmy wykonać dla kuracjuszy zjazd w specjalnej kabinie z Domu Zdrojowego wprost do Popradu, gdzie można się było kąpać w czystych wówczas wodach rzeki. Ze środków TKKF rozpoczęliśmy budowę toru saneczkowego biegnącego od „Kamienia Wandy” w stronę Zdroju. W styczniu 2001 roku ze zdziwieniem stwierdziłem, że zachowały się jeszcze ślady tych wykopów.

Utrapieniem kierownika administracyjnego, Włodzimierza Serwatki, było korzystanie z łazienek sanatoryjnych przez pracowników Uzdrawiska, ich rodzin, a nawet ludzi

zupełnie obcych. Uruchomiona została więc łaźnia dla pracowników w sanatorium „Żegotka”, z wydzielonym wejściem. W budynkach sanatoryjnych udało się wymienić łóżka typu szpitalnego na nowoczesne i eleganckie.

W Starych Łazienkach, mieszczących się powyżej Domu Zdrojowego, zdewastowanych w czasie okupacji, mieściły się magazyny, pralnia i szwalnia. W wyniku połączenia organizacyjnego uzdrowisk w Krynicy i w Żegiestowie, można było zrezygnować z nich w Żegiestowie, ponieważ Krynica posiadała lepsze środki techniczne. Razem z Piotrem Serwińskim postanowiliśmy przywrócić pierwotny charakter budynku. PP Uzdrowisko „Krynica - Żegiestów” zleciło opracowanie dokumentacji technicznej oraz przeprowadzenie remontu wyspecjalizowanej firmie. Po wyremontowaniu Starych Łazienek została tam uruchomiona fizykoterapia i kąpiele mineralne. W Starych Łazienkach zainstalowano 9 wanien typu Schwartza; łącznie z 8 wannami w zakładzie połączonym z Domem Zdrojowym, w Żegiestowie było już 17 wanien. Dzięki temu ilość wydawanych kąpielei kwasowęglowych znacznie wzrosła. Z uwagi na sporą ilość wanien do kąpielei kwasowęglowych oraz możliwość magazynowania wody w zbiornikach w porze, gdy zabiegi nie były prowadzone, uzdrowisko dysponowało znacznym zapasem wody leczniczej.

Przed zakończeniem mojej pracy w Żegiestowie Zdroju udało mi się jeszcze zlecić pracowni architektonicznej w Zakopanem opracowanie dokumentacji technicznej do przeprowadzenia kapitalnego remontu Domu Zdrojowego. Znalazły się również środki na remont i wyposażenie; usunięto szpetne kominy z budynku, podwyższono dach, dzięki czemu nie przemarzał już strop i znikły zacieki w pokojach na ostatnim piętrze.

Poważną inwestycją, wykonaną w latach 1966-1967, była budowa nowego odwiertu i ujęcia wody mineralnej, nazwanego początkowo „Andrzej II”, a później „Żegiestów II”, zlokalizowanego poniżej willi „Orlątko”. Skład chemiczny był zbliżony do pozostałych źródeł. Nad jakością wody mineralnej we wszystkich źródłach Zdroju czuwał pracownik uzdrowiska Mieczysław Hodurski, który pod nadzorem specjalistów balneologii z Centralnego Zarządu Uzdrowisk wykonywał okresowe pomiary składu chemicznego wody. M. Hodurski, zatrudniony na etacie technika złożowego w Uzdrowisku Żegiestów, zaprojektował i wykonał elektroniczne urządzenie sterująco-kontrolne, służące do eksploatacji odwiertu. Urządzenie to, unikalne na skalę krajową, sprzężone jest z kompresorem, który w zależności od ciśnienia atmosferycznego reguluje ciśnienie dwutlenku węgla w odwiercie, wskutek czego eksploatacja przebiega w warunkach optymalnych, przy stałych wartościach wydajności i poziomu wody w otworze. Należy tu również wspomnieć, że M. Hodurski zaprojektował i wykonał elektroniczne urządzenie do pomiaru wysokości zwierciadła wody w odwiercie, działające przy zamkniętej głowicy.

W latach 1965-1966 uczestniczyłem, razem z Piotrem Serwińskim, w konferencjach w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Krakowie, dotyczących planów budowy tzw. „obwodnicy bieszczadzkiej”. Obwodnica powinna była powstać w ciągu piętnastu lat i miała przebiegać nad Żegiestowem.

W Zdroju działało Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej, które dysponowało pewnymi funduszami. Dzięki zaangażowaniu zainteresowanych sportem pracowników, udało się uruchomić lodowisko w miejscu złomowiska. TKKF wspólnie z PTTK organizowało imprezy sportowe, np. rajd narciarski „Szlakiem Partyzantów” z Jaworzyny Krynickiej do Żegiestowa. Natomiast w lecie można było pływać kajakami po Popradzie.

W roku 1956 uruchomiono spływ łodziami z Muszyny do Żegiestowa, który stał się atrakcją dla czasowiczów i kuracjuszy. Mieli oni możliwość poznania miejscowości leżących po obu stronach Popradu i podziwiania pięknych widoków, które utworzył przełom Popradu. Dwie powodzie, zniszczenie sprzętu i zamulenie dna były przyczyną likwidacji spływu w 1972 roku. Pojawiły się plany uruchomienia toru saneczkowego, częściowo nawet udało się je zrealizować. Aktywnością na tym polu wykazali się m.in. Piotr Serwiński i Katarzyna Żywczakowa.

Wspomniany „eksperyment sądecki” był próbą pokonania państwowego systemu nakazowo-rozdzielczego, który prowadził do stagnacji i zacofania gospodarczego. Twórcami eksperymentu byli: przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej Kazimierz Węglarski i pierwszy sekretarz PZPR, Witold Adamuszek. Powstał Fundusz Rozwoju Ziemi Sądeckiej. W centrum Warszawy, przy ul. Świętokrzyskiej, uruchomiono kawiarnię „Ziemia Sądecka”. Nastąpiło niespotykane w skali kraju ożywienie gospodarcze; w ciągu kilku lat powstały nowe sanatoria i pensjonaty oraz wiele prywatnych domów i wiele nowych miejsc pracy.

Wincenty Spiechowicz przybył do Żegiestowa Zdroju w 1966 roku z Iwonicza Zdroju. Zwrócił się do mnie oraz do Piotra Serwińskiego z prośbą o udzielenie pomocy przy budowie domu. Pomocy udzieliliśmy w maksymalnym wymiarze, ponieważ była to jedyna próba osadnictwa w Zdroju po wojnie. Okazało się, że był to dla Żegiestowa bardzo szczęśliwy przypadek. Wincenty Spiechowicz zapisał się w historii Żegiestowa jako wielki społecznik. Wybudował w Zdroju w 1967 roku okazałą willę, pomiędzy „Światowidem” a „Zimnym Potokiem”, po „wyłamaniu” (fachowe określenie) skały w celu uzyskania powierzchni pod budowę. Materiał skalny posłużył do budowy willi. Wincenty Spiechowicz przyczynił się później do budowy nowej, pięknej szkoły w Żegiestowie oraz drogi na Palenicę. Brał też udział w wielu akcjach o charakterze społecznym.

Wszędzie dbano o porządek, zapanowała moda na instalowanie kolorowych neonów. W Żegiestowie Zdroju zamontowano je na: Domu Zdrojowym, „Żegotce”, „Prometeuszu” i „Światowidzie”; neon na deptaku miał kształt wielkiego dzbanu, z którego tryskała woda. Sądeczanie wywalczyli doprowadzenie gazociągu do Nowego Sącza i Krynicy. Dzięki tej inwestycji poważnie zmalała ilość zanieczyszczeń wydobywających się z kominów licznych kotłowni i pieców. W Nowym Sączu dobrą tradycję kontynuuje kilka zakładów elektronicznych, m.in. firma „OPTIMUS” (dawniej Romana Kluski), która produkuje nowoczesne systemy komputerowe. Przemysł elektroniczny przyczynia się do zmniejszania bezrobocia i jest nieszkodliwy dla środowiska.

System nakazowo-rozdzielczy, stosowany w pierwszych latach po wojnie, miał swoje uzasadnienie, gdyż kraj był zrujnowany i państwo musiało stosować preferencje gospodarcze. Do wyjątków należał „eksperyment sądecki”, a także eksperyment przeprowadzony przez dyrektora Centralnego Zarządu Uzdrowisk, Edwarda Osóbkę - Morawskiego¹. Eksperyment Edwarda Osóbki - Morawskiego przewidywał zwiększenie ilości miejsc w sanatoriach bez dodatkowych środków inwestycyjnych, których Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej zbyt mało przydzielało uzdrowiskom. Należy pamiętać, że kuracjusz nie płacił wówczas za leczenie. W ramach tego eksperymentu, w trakcie

¹ Edward Osóbka - Morawski był bliskim krewnym autora artykułu (rodzonym bratem matki).

zwiększania przekazywanych do eksploatacji miejsc sanatoryjnych, powstawał specjalny fundusz. Były to środki finansowe, dzięki którym można było kupować nowe obiekty, wyposażać je, oraz poprawiać organizację przedsiębiorstw uzdrowiskowych. W Żegiestowie Zdroju zakupiono z tych środków willę „Orlątko” od Kazimierza Krukierka i willę „Elżka” od Henryka Niedźwiedzkiego. W willach tych zamieszkali pracownicy Uzdrowiska, którzy do tej pory zajmowali pokoje w sanatoriach „Żegotka” i „Światowid”. W budynku „Biały Orzeł” uruchomiono fizykoterapię i umieszczono biura, które do tej pory znajdowały się w „Światowidzie”. Planowałem nadbudować tarasowo kilka pięter na „Białym Orle”, w taki sposób, aby tylną ścianą opierał się on na skale, a wejścia na poszczególne piętra usytuowane były od strony góry. Z dużych tarasów na każdym piętrze rozpościerałyby się piękne widoki na dolinę Popradu, tarasy służyłyby również do kąpieli słonecznych w pogodne dni oraz do spotkań towarzyskich. Na Łopacie Uzdrowisko wykupiło willę „Zośkę” i „Irenę”, w których w miesiącach letnich prowadziło działalność wypoczynkową i leczniczą. W okresie szczytowym czynnych było około 450 łóżek sanatoryjnych. Po moim wyjeździe z Żegiestowa PPU „Krynica - Żegiestów” z niezrozumiałych dla mnie powodów pozbyło się tych budynków. Dodatkowo z lecznictwa „otwartego” korzystali kuracjusze okolicznych domów wczasowych: „Prometeusza”, „Sanato”, „Warszawianki”, a także osoby zakwaterowane prywatnie.

Dyrekcja Uzdrowiska prowadziła również tzw. „działalność pomocniczą”. W Andrzejówce znajdowało się gospodarstwo rolne, składające się z chlewni, mieszczącej około sześćdziesięciu sztuk trzody, szklarni sześciometrowej i dwunastometrowej oraz tzw. „Równi nad Popradem”, gdzie uprawiane były warzywa. Gospodarstwo rolne było dumą wieloletniego dyrektora Uzdrowiska, Klemensa Witkowskiego, który poświęcił mu wiele pasji i doprowadził do dobrego standardu technicznego. Do Uzdrowiska należało również około czterdziestu hektarów okolicznych lasów. Ich pielęgnacją zajmował się inż. leśnik Henryk Niedźwiedzki, właściciel willi „Elżka”, niezmordowany w swej pracy, który jeszcze na emeryturze organizował coroczne akcje sadzenia drzew. Do pracy w szklarni udało mi się zatrudnić świetnego fachowca, byłego mnicha z zakonu kwestarzy, który wcześniej pracował w sanatorium „Wiktor”. Ogrodnik wspaniale zagospodarował obie szklarnie, w których nie brakowało kwiatów i pomidorów. Gdy na zewnątrz był śnieg, szklarnia wyglądała bajecznie. W rozliczeniach kosztów eksploatacji szklarnia i chlewnia były deficytowe, dopóki na inspekcję nie przyjechał z Centralnego Zarządu Uzdrowisk specjalista, inżynier rolnik. Wyjaśnił mi on wiele ciekawych spraw, dotyczących prowadzenia gospodarstwa rolnego. Zalecił zakontraktowanie hodowanej trzody i dwa razy w roku sprzedawanie jej w punktach skupu. Dzięki temu trzoda miała wysoką klasę i opłacalne, miesięczne przyrosty wagowe. Dzięki kontraktacji gospodarstwo otrzymywało węgiel i paszę dla trzody. Inspektor zaproponował również, aby szklarnia produkowała sałatę, ponieważ cykl produkcyjny jest krótki i punkty żywienia będą chętnie ją nabywać. Kwiaty również chętnie były kupowane przez kierowników domów wczasowych i sanatoryjnych. Po wykonaniu tych zaleceń gospodarstwo nie przynosiło już strat.

Do działalności pomocniczej należało również prowadzenie kawiarni „Zdrojowa”, która znajdowała się w willi „Światowid”, i posiadała dwie sale: dolną z wejściem od ulicy i górną z wejściem z wnętrza budynku. W dolnej odbywały się okolicznościowe spotkania,

zabawy i bale sylwestrowe, był tu również niewielki balkonik dla orkiestry. Górna sala została zaprojektowana przez zdolną plastyczkę z Krakowa. Sufit pomalowany był na czarno, boczna ściana przedstawiała dno Popradu, były tam wmontowane głązy, żwir i różne dziwne rzeczne twory, filary ozdobiono arabeskami, a pozostałe ściany pomalowano na ciemnoczerwono. Kawiarnia była ulubionym miejscem wypraw mieszkańców i kuracjuszy z okolicznych miejscowości. Często przyjeżdżał tu malarz – prymitywista, Nikifor, ze swym opiekunem Stefanem Pólichłópkim. Nikiforowi podobiała się kawiarnia, okazywał to gestami i dźwiękami, które trudno było początkującemu rozmówcy zrozumieć. W kawiarni były dostępne wody mineralne z Krynicy, gatunkowe wina, kawa, herbata i ciastka. Wspomniana wcześniej stołówka pracownicza mieściła się w willi „Światowid”, obok kawiarni, i wydawała dziennie ponad 60 obiadów dla pracowników i ich rodzin. Obiady były po bardzo korzystnych cenach, tzn. po kosztach własnych, z dopłatą dyrekcji Uzdrawiska z funduszu socjalnego.

Kierownikiem administracyjno-gospodarczym był Stanisław Komarnicki, który dbał o porządek i właściwy wygląd Uzdrawiska. Kierował pracowników fizycznych do pracy przy pielęgnacji ścieżek spacerowych, biegnących na zboczach otaczających Zdrój. W pracach tych uczestniczyli również robotnicy z Komisji Zdrojowej. Szczególnie urokliwa była ścieżka wiodąca od źródła „Anna” do miejsca widokowego zwanego „Pięcioma Popradami”. W wyniku specyficznego ukształtowania terenu widać stąd było pięć odcinków rzeki. Uzdrawisko zlikwidowało później „działalność pomocniczą”, tzn. gospodarstwo rolno-hodowlane i kawiarnię. W 1998 roku nie udało mi się trafić na ślad ścieżki spacerowej, biegnącej z „Zimnego Potoku”, nad drogą, w stronę Domu Zdrojowego. Zginął również jeden z dwóch tulipanowców rosnących na deptaku. W owym czasie rośło ich w Polsce niewiele.

Wiele moich wspomnień zatarł upływający czas. Aby temu chociaż częściowo zapobiec, zebrałem i opisałem to, co udało mi się odnaleźć w moich notatkach zatytułowanych „ŻEGIESTÓW ZDRÓJ PERŁA DOLINY POPRADU”.



Najmilsze wspomnienie i do tej pory trwająca rzeczywistość – to moja żona (urodziła się w Piwnicznej, a ja poznałem ją w Żegiestowie) oraz nasze dzieci: Ewa i Grzegorz. Na zdjęciu moja żona na tle sanatorium „Żegotka”.

(1964 r., fot. W. Murzyn)

Sławomir Wyka

OBIEKTY ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA PAŃSTW GRUPY WYSZEHRADZKIEJ

16 listopada 1972 roku przedstawiciele państw, którzy zebrali się w Paryżu z okazji XVII Konferencji Generalnej UNESCO (Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury) podpisali „Konwencję o ochronie zabytków stanowiących kulturalne i przyrodnicze dziedzictwo świata”. Zgromadzenie ogłosiło, że niektóre obiekty na świecie, wyróżniające się wyjątkowym pięknem, znaczeniem kulturowym, historycznym lub naukowym, podlegają szczególnej ochronie i stanowią własność wszystkich narodów, niezależnie od przynależności państwowej. Umowę podpisało dotąd już 161 państw. Tym samym sygnatariusze zobowiązali się do przekazania wybranych obiektów w nienaruszonym stanie przyszłym pokoleniom i do wzajemnej pomocy w tym zakresie.

Po ostatnim uzupełnianiu listy w 2001 roku znajduje się na niej 721 obiektów – unikalnych dzieł człowieka i cudów natury. Kulturę reprezentuje 554 zabytkowych miast, budowli, wykopalisk archeologicznych, sanktuariów itp. Dzieła przyrody to 144 niepowtarzalne krajobrazy, ciekawe formy skalne, rezerваты rzadkiej flory i fauny. 23 zabytki należą jednocześnie do obu kategorii – są to unikalne budowle stojące w wyjątkowo pięknych krajobrazowo miejscach. Obiekty wpisane aktualnie na listę Światowego Dziedzictwa Kultury znajdują się w 124 krajach.

Niezwykle ciekawym, choć wciąż mało jeszcze docenianym przez turystów rejonem świata jest Europa Środkowa. Należą do niej m.in. cztery państwa utworzonej w lutym 1991 roku, celem rozwoju regionalnej współpracy, Grupy Wyszehradzkiej: Polska, Czechy, Słowacja i Węgry. W ich obrębie znajdują się 33 obiekty wpisane na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Polska posiada ich obecnie 11, Czechy 11, Słowacja 4 i Węgry 6. Jeden obiekt – jaskinie Aggtelek - Domica – leży na granicy Węgier i Słowacji.

Przegląd najciekawszych miejsc Grupy Wyszehradzkiej rozpocznę od Polski. Z uwagi jednak na powszechną dostępność informacji, ograniczę się w tym przypadku do ich wymienienia. Jedynym obiektem typu przyrodniczego jest leżąca na granicy z Białorusią Puszcza Białowieska. Obiektami historyczno-kulturowymi są: zabytkowe centrum Krakowa, historyczne centrum Warszawy, starówka Zamościa, zespół urbanistyczny średniowiecznego Torunia, zamek wielkich mistrzów krzyżackich w Malborku, kopalnia soli w Wieliczce, zespół pielgrzymkowy Kalwarii Zebrzydowskiej oraz kościoły Pokoju w Jaworze i Świdnicy. Szczególnym obiektem – pomnikiem martyrologii – jest hitlerowski obóz Oświęcim-Brzezinka.

Listę najciekawszych obiektów Republiki Czeskiej otwiera stołeczna „złota” Praga. Najważniejszymi zabytkami tego nadwęłtawskiego miasta są: największy w Europie kompleks zamkowy Hradczany ze wspaniałą katedrą św. Wita, czternastowieczny Most Karola, budynek najstarszego uniwersytetu Europy Środkowej – Karolinum, klasztor na

Strahovie z imponującym plafonem Sali Teologicznej biblioteki oraz urokliwa Złota Uliczka.

Na wschód od Pragi leży Kutná Hora, niegdyś wielki ośrodek wydobywania srebra i najbogatsze po stolicy miasto Czech. Spośród licznych gotyckich, renesansowych i barokowych budowli wypada wymienić katedrę św. Barbary oraz klasztor NMP w dawnym opactwie Sedlec.

Na południu Czech znajduje się Český Krumlov, miasteczko znane z potężnego zamku (drugi co do wielkości w Czechach) i pięknego rynku otoczonego renesansowymi kamienicami. Okazały zamek posiada też Litomyšl, położony we wschodnich Czechach. Wiele interesujących zabytków znajduje się na Morawach (wschodnia część republiki). Historyczna stolica tego regionu, Olomuniec (Olomouc), słynie z kolumny św. Trójcy, kryjącej w swym wnętrzu kapliczkę Matki Boskiej. W niedalekim Kromieryżu (Kroměříž) na uwagę zasługuje zamek z otaczającymi go wspaniałymi ogrodami. Zelená Hora położona w zachodnich Morawach w okolicy Žďaru (Žďár) nad Sazawą posiada bardzo ciekawy barokowy kościół pielgrzymkowy pod wezwaniem św. Jana Nepomucena. Najpiękniejsza w całych Czechach starówka, zwana klejnotem Moraw, znajduje się w miasteczku Telč, przy granicy z Austrią. Oprócz malowniczej, podcieniowej zabudowy rynku uwagę zwracają pozostałości średniowiecznego zamku z późnoromańską wieżą kościelną. Piękny parkowy krajobraz otacza barokowe siedziby książąt Liechtenstein, leżące w pobliskich Lednicach i Valticach. Ich twórcą był ulubiony architekt Habsburgów, słynny Fischer von Erlach. Odmienny od wszystkich powyższych obiektów charakter reprezentuje wioska Holašovice – zabytek starej, drewnianej architektury wiejskiej. Największe miasto Moraw – Brno – posiada m.in. interesującą willę Tugendhata (Tugendhat Villa).

W najbliższej nam Słowacji znajduje się pięć obiektów, wpisanych na listę UNESCO. Jednym z najbardziej interesujących jest znajdujący się w połowie drogi między Popradem a Preszowem Spišský hrad, czyli Spiski Zamek, jeden z największych kompleksów warownych Europy, nigdy nie zdobyty przez żadnego wroga. Mimo, iż do dziś przetrwały tylko ruiny, robią na zwiedzających wielkie wrażenie. Największym miastem dawnej Słowacji, stanowiącej tzw. Górne Węgry, była niegdyś Bańska Szczawnica (Banská Štiavnica). W XVIII wieku było to trzecie co do wielkości miasto Wielkich Węgier. Źródłem jego bogactwa było wydobywanie złota i srebra. Pozostałościami świadczącymi o dawnej świetności są dwa okazałe zamki, liczne kościoły, ratusz i bogaty rynek zwany Placem Trójcy.

Blisko granicy z Polską znajduje się stary Bardiów (Bardejov). Przetrwał tu średniowieczny układ urbanistyczny z brukowanym rynkiem, kamienicami mieszczańskimi, ratuszem, ciekawym kościołem farnym i fragmentem bardzo dobrze zachowanych murów i baszt. Na Podtatrzu, koło miasta Ružomberok, leży wioska Vlkolínec. Istnieje tu stara, średniowieczna drewniana zabudowa z charakterystycznymi wzniesionymi z bierwion domami.

Na słowacko-węgierskim pograniczu ciągnie się wielki kompleks jaskiń Domica (strona słowacka) - Aggtelek (Węgry). W stu czarownych krasowych grotach, w obrębie utworzonego tam Parku Narodowego, żyją rzadko spotykane gatunki flory i fauny. W jaskini

Aggtelek funkcjonuje sanatorium, tam także, w bajkowej scenerii stalagmitowych form, odbywają się koncerty muzyczne.

Informacją o krasowych jaskiniach rozpoczynamy listę węgierskich obiektów Światowego Dziedzictwa. Bez wątpienia najważniejszym kompleksem zabytków tego kraju jest stołeczny Budapeszt (starą Budę, za czasów rzymskich zwaną Aquincum, połączono w jedno miasto z Pesztem w 1872 roku). Najcenniejszymi pomnikami historii tej naddunajskiej metropolii są: zamek królewski, Baszta Rybacka, kościół pod wezwaniem NMP, bardziej znany jako kościół Króla Macieja, budynek Rady Miejskiej i gmach Parlamentu. Godnymi uwagi są także liczne pałace ciągnące się wzdłuż nadrzecznych bulwarów dzielnicy Buda, bazylika św. Stefana i relikty budynków z czasów rzymskich. Słynny most św. Małgorzaty łączy królewską Budę z mieszczańskim Pesztem, posiadającym także wiele interesujących budowli.

Jednym z najstarszych zabytków Węgier jest tysiącletnie opactwo benedyktyńskie w Pannonhalma (północno-zachodnie Węgry), jeden z najważniejszych ośrodków chrystianizacji Madziarów. W północnych Węgrzech, w górach Cserhát, znajduje się ciekawa wioska – skansen Hollókő. Niemal w niezmienionym stanie od czasów średniowiecza stoją tu zamieszkane do dziś drewniane podcieniowe domy i parterowe piwnice. Z czasów rzymskich pochodzi starochrześcijański cmentarz miasta Sopianae, leżącego w obrębie obecnego południowo-węgierskiego miasta Pecz (Pécs).

Ciekawym rejonem Węgier jest także Park Narodowy Hortobágy, stanowiący przykład charakterystycznego dla Wielkiej Niziny Węgierskiej naturalnego, pierwotnego krajobrazu stepowej puszczy z jej florą i fauną. Na granicy z Austrią na uwagę zasługuje naturalny krajobraz kulturowy Fertő-tó – Jezioro Nezyderskie.

Wpisanie obiektów na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO stanowi wyraz swoistej nobilitacji, stając się obecnie najistotniejszym kryterium atrakcyjności turystycznej miast i walorów przyrody. W związku z coraz powszechniejszym i popularniejszym ruchem turystycznym, fakt, iż na listę UNESCO wpisano blisko 30 obiektów z państw Grupy Wyszehradzkiej, podnosi ich znaczenie i pozwala optymistycznie wyrokować także co do ich przyszłości ekonomicznej. Wypada również podkreślić, iż na wpisanie na indeks najcenniejszych kulturowo i przyrodniczo obiektów czekają już następne zabytki Polski, Czech, Słowacji i Węgier.

Podstawowa bibliografia:

1. *The World Heritage List* (Lista Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO). Adres strony internetowej: www.unesco.org/whc/heritage.htm
2. *Encyklopedia turystyczna świata*, Kluszczyński, Kraków 2001.
3. *Schatze der Menschheit. Kultudenkmaler und Naturparadiese unter dem Schutz der UNESCO*, Bechtermunz, Augsburg - Stuttgart - München 2000.
4. *Skarby świata. Najbardziej fascynujące pomniki kultury i przyrody na ziemi*, Pascal, oddział wydawnictwa Bielsko-Biała 2000.
5. *Zabytki architektury polskiej*, WSiP, Warszawa 1998.
6. Waldemar Oszczęda, *Słowacja trochę bliżej czyli ciekawostki słowackie*, Staszów 1999.
7. Przemysław Burchard, *Węgry*, Wiedza Powszechna 1998.
8. *Slovensko, Prechádzky storočiami mest a mestečiek*, Priroda, Bratislava 2000.

Alina Kowalska

GALERIA PRZYJACIÓŁ MUSZYNY MIECZYŚLAW SIEROSŁAWSKI

Mój ojciec, Mieczysław Sierosławski (1888-1968), urodzony w Szreniawie koło Proszowic, pochodził z rodziny ziemiańsko-inteligenckiej. Studiował chemię na Politechnice Lwowskiej (jego ojciec również był inżynierem chemikiem), specjalizując się w gazownictwie (gaz ziemny i jego pochodne, jak gazolina czy sadza). Po ukończeniu studiów podjął w 1918 roku pracę, już jako inżynier, w Borysławiu. Był dyrektorem dwóch gazolinowni i sadzarni.

Śpiewał w chórze Politechniki Lwowskiej, a był to jeden z najlepszych zespołów śpiewaczych w ówczesnej Galicji. Miał tak piękny głos (tenor), że zainteresował się nim – młodym studentem – sławny w całej Europie śpiewak, Adam Didur (1874-1946), proponując mu pomoc w zrobieniu kariery w tej dziedzinie sztuki. Ojciec jednak pozostał wierny swojej chemii, ale śpiewał często – i w domu, i przy różnych okazjach.

W dawnych szkołach, czy to tzw. realnych, czy też gimnazjalnych, uczono rysunku przez parę lat. Mojego ojca dodatkowo uczył malarstwa zaprzyjaźniony malarz krakowski Józef Scheybal, wywodzący się z rodziny szkockiej, który po ukończeniu studiów na ASP w Monachium wrócił do Krakowa, a że lubił młodzież i dzieci, chętnie udzielał im rad i kierował ich poczynaniami artystycznymi. Był on spokrewniony z moją matką, Marią Poray-Sucecką, zatem w momencie, gdy wyszła ona za M. Sierosławskiego, stosunki towarzyskie przerodziły się w powinowactwo. Józef Scheybal stał się dla mnie ciotecznym pradziadkiem; mnie również uczył rysunku (w latach 1925-32). Sam jednak, zafascynowany nową wówczas sztuką, tj. fotografią, porzucił malarstwo i założył pod zmienionym nazwiskiem (Sebald) zakład fotograficzny, stając się legendą krakowskiej fotografii u schyłku XIX i początku XX w. oraz nauczycielem nowego pokolenia artystów fotografii.

Zamiłowanie do malowania zostało ojcu – podobnie jak śpiewanie – do końca życia, ale rysował tylko dla własnej przyjemności. Utrwalał to, co uważał za ciekawe, piękne, zagrożone. Lubiał też szkicować portrety bliskich mu ludzi.

Zaprzyjaźnił się ze znanym sądeckim malarzem, Bolesławem Barbackim¹, który namalował dwa portrety mego ojca i matki w latach 1921-1922; wtedy nawet u nas mieszkał. Portrety były bardzo udane, postaci wielkości naturalnej – znać było rękę artysty. Były to obrazy z tzw. „borysławskich”²; portret matki zabrali Rosjanie, gdy jesienią w 1939 roku zajęli nasze lwowskie mieszkanie, portret ojca uratował się w domu w Borysławiu, gdzie nas wszystkich zastała wojna. Cała dokumentacja wraz ze zdjęciami znajduje się w sądeckim muzeum malarza. Bolesław Barbacki nieco później zakochał się w ciotecznej siostrzenicy mego taty, tj. w Hani Postawczance, córce właściciela majątku Odonów pod Kazimierzą Wielką. Fotografia portretu Hani, zatytułowanego „Holenderka”, również znajduje się w muzeum (sam obraz jest w posiadaniu rodziny Hani).

Po wojnie mój ojciec pracował naukowo w Instytucie Badań Naftowych w Krakowie. Wyjeżdżając na teren, zabierał zawsze swoje składane krzeselko, farby i pędzle, i malował



Mieczysław Sierosławski (Borysław 1940 r.)

dosłownie na kolanie. Stąd sporo niedoskonałości w jego szkicach; te malowane w „normalnych” warunkach były dużo lepsze.

Podczas swoich pobytów w Muszynie ojciec mieszkał zazwyczaj w Nadleśnictwie u państwa Ajdukiewiczów, ponieważ rodzina nasza była z nimi zaprzyjaźniona. W czasie muzyńskich wakacji rysował często i uchwycił sporo elementów tutejszej architektury.

¹ O Bolesławie Barbackim w tegorocznym *Almanachu* pisze Anna Totoń [przyp. red.].

² W aspekcie twórczości malarskiej nie można wiązać Barbackiego jedynie z Sądecczyzną. W latach 20. i 30. cieszył się on wielką renomą jako portrecista, zarówno w sferach ziemiańskich, przemysłowych (np. portrety „borysławskie”), jak i rządowych oraz wojskowych.

Janina Kumorek

WILCZE

urocze leśne zacisze
skrawek nieskażonej ziemi
zatrzymany czas

tylko niebo
tylko góry
tylko zieleń drzew i łąk
tylko śpiew ptaków
i szum wiatru

aż tyle

Muszyńskie obrazki

MIECZYŚŁAWA SIEROSŁAWSKIEGO



Obiekty światowego dziedzictwa w państwach Grupy Wyszehradzkiej



Słowacja - Bardiów



Słowacja - Spissky hrad



Węgry - Budapeszt



Republika Czeska - Praga



Polska - Malbork



Polska - Kraków

Małgorzata K. Przyboś

PORADNIK POTENCJALNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW

Wszystkie miejscowości karpackie, a szczególnie te położone w Beskidach i na Podhalu, mają swoje własne opowieści, bajki i legendy o zbójnikach, ich wyczynach oraz skarbach. Tym bardziej Muszyna, gdzie ...

„Dawno temu, było zbójców wielkie kupy pod Muszyną, co na kupców czatowali w Suchej Górze nad Popradem w wielkich lasach. Kupce wieźli pieprz i wino wodą z Węgier do Krakowa. Ich to zbójcy zabijali, złoto brali i towary. Kiedy już dobra nazbierali większe, to w antałek zawijali, kryli w jamach albo w ziemi w znacznym miejscu”... (Frank Kmiotowicz: *Legendy Ziemi Muszyńskiej*).

Tradycja przekazała, że w Muszynie, na stokach Suchej Góry znajduje się jaskinia zbójnicka. Jaskinia istotnie jest (Adam Schwarz-Czarnowski „Świat skalny okolic Muszyny”, *Almanach Muszyny* 2001), ale czy do zbójników należała – sprawdzić już nie sposób. Wiele legend zbójnickich z okolic Muszyny spisał dla potomnych nieodżałowany Frank Kmiotowicz. Natomiast ja, choć „skarbów zaginionych” poszukiwać sama nie będę, pokusiłam się o stworzenie „poradnika” dla tych, którzy mają taki zamiar.

Ewentualny poszukiwacz skarbów powinien koniecznie zaopatrzyć się w zioła. Jest tych magicznych ziół kilka gatunków, poniżej wymienię tylko niektóre, a to: lunarię (lunaryę, czyli miesiąckę), dyptant, nardus (błóżniczkę, kozłek celtycki), werbenę (koszyczkę). Każde z wymienionych wyżej ziół ma swoje specjalne właściwości, na przykład:

- nardus (nardusowy korzeń), z którego – wedle podania – zrobiono maść przeznaczoną dla Pana Jezusa, ma właściwości zblizniające rany i otarcia, a w 24 godziny goi „płuca zgniłe i wątrobę”;
- dyptant uchodzi za środek leczniczy o właściwościach pobudzających, lecz nie wolno go wykopywać za pomocą żelaza, a tylko łaski wykonanej z „drzewa jasieniowego”. Korzeń tej rośliny ma moc odganiania „wszelkiej gadziny jadowej po ziemi się czołgającej”. Od dotknięcia nim taka „gadzina” natychmiast zdycha. Korzeń dyptantu ma także w sobie moc „najprzedniejszych magnismów”, gdyż „strzały, kule i inne instrumenta w ciałach i w członkach utkwione, zaraz w momencie bez wszelkiej boleści wyciąga i doskonale goi, a zamknięte zamki bez klucza otwiera, okowy, pęta rozbija”... Poszukiwacz jednak musi bardzo uważać, gdyż jest to nader kapryśna roślina i aby zachować pełnię jej mocy musi ją schować do ołowianej lub cynowej szkatułki, tak szczelnej, „aby mocności odór z niego nie wychodził”. Należy również pamiętać, że i człowiek posiadający ten korzeń musi go „unikać”, gdyż właśnie przez niego utracić może wszelkie siły.

Dyptant jest białym ziele, „czosnkiem zwany”, o liściach „na kształt złotego”, o dwunastu „wierzchach kwiatu”, nasienie ma z kolei podobne do „krwawych goździków”

o bardzo mocnym zapachu. Aby dyptant znaleźć, trzeba posiadać róg jeleni, zawieszony na sznurku, gdyż przyciąga on to ziele jak magnes. Trzeba też pamiętać, by – przechowując go – dodać utarty róg jeleni, jako że ziele to niewłaściwie przechowywane może utracić swoją czarodziejską moc.

Najważniejszym z ziół, szczególnie predestynowanym do wykrywania skarbów, jest lunaria, w języku polskim znana jako świetliczka, eufrozja, mastyczka, czy pieniążnik. Ceniona była szczególnie przez dawnych i współczesnych alchemików, którzy nazywali ją „martagonem”. Ziele to pojawia się na łąkach koło cieków wodnych, rośnie nisko, najczęściej z jednego grubego korzenia wyrasta 25 mniejszych odnóg. Liście ma ta roślina okrągłe „jako szelągi”, o barwie niebieskiej lub zielonej, ze smugą „ognistego koloru”. Laseczka, czyli łodyżka (a czasem dwie), pnie się wysoko na łokieć, zaś listki na niej „rosną jakoby drabinka do góry, naprzeciw listek nad listkiem”. Kwiat jej jest podobny do fiołka o silnie balsamicznym zapachu, nasienie rośnie w łupinach, podobnie jak strączki wyki. Kopać lunarię należy tylko 30 września, a kwitnie w okresie nowiu wrześniowego. Jednak są tacy, którzy twierdzą, że kwitnie tylko w miesiącu lipcu, i tylko w czasie pełni, a potem powoli zanika: „a jak lipiec dobiegnie końca, ziele schowa się pod ziemię”. Jeszcze inni uważają, że w czasie pełni najlepiej ziele to rośnie i „ma wszystkie listki, które mu od nowiu po jednym przybywają”. Są też tacy, co twierdzą, że roślina ta jest widoczna tylko nocą, a usycha, gdy przybywa księżyc. Pamiętać również należy o tym, że gdy się ziele zaczyna wykopywać, natychmiast zacznij zbierać się na deszcz, oraz że przy ucinaniu lub wykopywaniu trzeba zważać, „by duchowie ci go nie wzięli, alibo nie podmienili”. Może się jednak zdarzyć, że przez pomyłkę znajdzie się roślinę podobną do lunarii; wtedy łatwo można sprawdzić, czy wykopało się właściwą, rzucając ją na wodę. Jeżeli jest to ziele właściwe, to będzie ono płynąć „przeciwko wody, a nie za wodą na dół”, a gdy wrzuci się je do ognia, to „trzaśnie jako piorun”. Ziele to ma właściwości szereg, m.in. i taką, że kiedy szukający skarbów umieści je na gołym ciele, pod ubraniem, nie zaszkodzi mu „żli duchowie”, a nosząc je przy sobie „skarb znajdzie, choćby duchami obsadzony był, wszystkich duchów odpędzi tym ziele”. Roślina ta pomaga też uwięzionym wyjść z więzienia, otwiera wszystkie zamki, kłódki, łańcuchy, dyby, okucia, rozwiązuje sznury i powrozy – „wszystko spada z niego, jako to ziele będzie miał przy sobie”. W ogóle jest to ziele uniwersalne. Poniżej wymieniam szereg jeszcze innych jego właściwości:

- miedź zmienia w złoto,
- jak przyłożysz zanurzony w wyciągu z tego ziela tampon do bolącego zęba, obejdiesz się bez dentysty, gdyż ząb ten bezboleśnie zostanie usunięty (czyli wypadnie),
- kto to ziele posiada, uniknie postrzału z broni,
- kto włoży jego kwiat „do gęby”, przyjdą mu na myśl „wszystkie skarby i wyjawia mu się”,
- jeżeli użyjesz listka z ziela jako kadzidełka i okadzać nim będziesz „przed wschodem słońca”, to przyjdą „do ciebie dobre duchy i rozmawiać z tobą jako z przyjacielem będą” (pozbędziesz się ich innym kadzidłem, które nazywamy mieczykiem, mieczyskiem lub Bolesławowym ziele),
- jeżeli z lunarii wyciągnie się miazgę podobną do wosku i włoży się ją „do stokowej wody” (źródlanej, bijącej ze stoku góry), należy ją dać ludziom wypić, „a wszyscy kochać cię będą”,

- w sędzie „liście ziela włóż do butów, albo połóż na głowie, tedy wygrasz wszystkie sprawy”,
 - jeśli zaś wrzucisz „ziele koloru niebieskiego w rozpuszczoną cynę albo miedź, to powstanie piękne złoto”,
 - żelazo, które zostanie „zahartowane tym sokiem, to będzie arabskie złoto”,
 - mosiądz zaś posmarowany sokiem „obróci się w piękne złote dukaty”.
- Kiedy już znalazłeś czarodziejskie ziele, spojrzij bacznie na kalendarz i wybierz dni, w których rozpoczniesz poszukiwanie skarbów. Wykorzystuj dni, kiedy „złe duchy od skarbów odstępują i wolnemi je czynią”.

A są to:

- Dzień Trzech Króli (6 I), od północy do północy,
- Dzień Matki Boskiej Gromnicznej (2 II), cały,
- Dzień Zwiastowania Najświętszej Panny Marii (25 III), cały,
- Wielki Piątek, cały, (święto ruchome),
- Wielki Tydzień, cały (dni ruchome),
- dzień przed wigilią Wniebowstąpienia Pańskiego (święto ruchome),
- dni trzy Zielonych Świątek, całe, (święta ruchome),
- Dzień Św. Trójcy, cały, (święto ruchome),
- przez całą oktawę wigilii Św. Jana Chrzciciela, (od 15 - 22 VI),
- Dzień Nawiedzenia NMP, od północy do północy (31 V),
- Dzień Św. Krzysztofa, cały (25 VII),
- Dzień Św. Jakuba, cały, (1 VI lub 25 VII),
- dni trzy Wniebowzięcia NMP, całe, (15, 16, 17 VIII),
- Dzień Różańcowy NMP, cały (7 X),
- Dzień Wszystkich Świętych, cały (1 XI),
- Dzień Przemienienia Pańskiego, cały (święto ruchome),
- Dzień Niepokalanego Poczęcia PM, cały (8 XII),
- Dzień i wigilia Narodzenia Pana Jezusa, cały (24 i 25 XII).

Są także dni wybrane, w które się „skarby szukać, brać i kopać dadzą”:

- w styczniu: 1, 2, 3, 4, 5, 15, 16 (Mieczysława, Grzegorza i Izzydora, Genowefy, Elżbiety, Szymona, Aleksandra, Włodzimierza),
- w lutym: 1, 2, 3 (Ignacego, Matki Boskiej, Błażeja),
- w marcu: 1, 2, 3 (Albina, Heleny, Kunegundy),
- w maju: 15, 17 (Zofii i Sławomira),
- w październiku: 4, 15, 16, 22 (Franciszka, Jadwigi, Gawła, Filipa).

Przed nami jeszcze szereg zabiegów przygotowawczych. Jeżeli bardzo chcemy znaleźć skarb, musimy przygotować następującą miksturę, dodając: „olejku z białego maku, saletry, soli białej, sadła wężowego, skóry z wylenionego węża. Porządnie wymieszać, maść zrobić i nią dłonie posmarować. Posmarowane tym, ku temu trzymając w drugiej ręce piściorek i pokrzywę, a tak zobaczysz wszystko w ziemi jak w zwierciadle, a nic się nie lękaj, ani nie bój”. Oczywiście musisz znać i inny przepis, który pomoże ci roztopić znalezione kruszce i inne metale: „weź 8 łótów [sic] saletry, 4 łoty siarki, 1 łót Kremor

Tartary czyli winnej soli, zetrzej to wszystko na proszek, zmieszaj dobrze w kamiennym moździerzu. Chcąc tedy mental posiekany lub kruszec roztopić, wysyp troszkę proszku do tygla i nań włoś kruszec, a z wirchu znowu posyp proszkiem, postaw na ogniu, kruszec się roztopi, a proszek się spali. Na koniec westnij do imion ŚŚ. Książąt Niebieskich, którzy przed obliczem Boga zawdy stoją, a te są Ś. Michał, Gabryel, Raphael, Uryel, Tarahiel, Jechuteul, Ś. Świątych. Finis”.

Kiedy jesteśmy już zaopatrzeni w cudowne „zabezpieczenia”, badamy skrupulatnie obszar, na którym mamy przeprowadzić poszukiwania. Wertujemy w tym celu dostępne dokumenty lub ich odpisy, czytamy księgi, przekazy, legendy, przeglądamy mapy, a przede wszystkim szukamy znaków i nazw, które nam miejsce ukrytych skarbów pokażą.

Oto najczęściej spotykane znaki, które poprowadzą nas na miejsce ukrycia zbójnickiego skarbu:

 – znak taki może oznaczać, iż niedaleko znajduje się tajemne przejście, dziura „zasuta” lub mostek skalny,

 – takim znakiem oznacza się tajemne przejścia, górę lub otwór skalny,

 – znak ten może oznaczać albo strome wejście, stromy upłaz, albo zastępuje strzałkę kierunkową,

 – ten znak najczęściej jest umieszczany bardzo nisko, tuż nad ziemią, poszukujący musi pod tym znakiem „z pilnością się obracać, ... wybierać skałę drobną tak długo, aż się dobierze do jednej skrzyżale [?] misternie zaprawionej, tedy odetka ją, tu się otworzy dziura głęboka w ziemi...”

Często jako znaków informacyjnych używano rysunków przedstawiających wizerunek słońca i księżyca (miesiąca); umieszczono je tam, gdzie trzeba było wykonać

obróć lub przejść dalej.

Z kolei:

 – taki znak oznacza, że poszukujący musi znaleźć i przejść co najmniej dwie dziury,

 – w skazuje skałę lub inne zamknięcie, które poszukujący musi otworzyć lub „odwalić”,

 – po wykonaniu zapisanych czynności, dzięki temu znakowi otworzy się tajemne okno,

 – krata oznacza miejsce, gdzie ukryta jest dalsza, kolejna wskazówka,

 – znak najczęściej wskazujący kierunek poszukiwań,

 – lewa ręka – jw.

 – określa najczęściej miejsca głębokiego wodospadu, niebezpiecznego przejścia, głębokiej przepaści, rozpadliny, itp.

Oznaczeń jest bardzo dużo, m.in. narysowano, wykuto lub wydłubano znaki przedstawiające: arkebuz, hakownicę, strzelbę, wóz z sianem, dzbanek, oko, różne litery, lazurowy promień, zabarwioną na różne kolory skałę czy wodę, gwiazdy, drzewa, itp.

Poszukujący koniecznie musi zaopatrzyć się w różne „świętobliwości”, a to: świecę gromniczną, palmę wielkanocną, poświęcone węgle potrzebne do zapalenia światła, dzwonek loretański, wodę święconą (w święto Trzech Króli), kredę święconą, mirrę, modlitewnik, ziółka święcone do kadzenia, magnes (kompas), szpagat nasmarowany wężowym sadłem, zmieszanym z żółcią szczupaka („bo od tych tłustości duchowie uciekają”), szpilki (gwoździe) dwie lub trzy stalowe, dobrze hartowane, młotek, kamyczek (kamyczki pobierane przy pomocy zwierciadła, mające „takową moc, co gdy pod język do ust weźmiesz... od żadnego już widziany nie będziesz dokąd go z ust nie wyjmiesz... lub kto inny nie zobaczy”; ten kamień będzie ci służył na „uchronienie przed złymi ludźmi”), „perspektywę” (lornetkę). Zaopatrzony we wszystkie akcesoria, wyuczony modlitw, trzymając w ręku mapę i sporządzony (lub odpisany wiernie) opis miejsca, wyruszasz na poszukiwania.

Oto przykładowy opis przeznaczony dla poszukiwaczy: „Item na Michałowym gruncie są dwie dziury, także samo. W czerwonym lesie jest buda kamienna z kamienia postawiona. Na kamiennej ścianie zobaczysz króla Bolesława, któren jedzie na koniu, a goni jelenia z dwoma psami, a ten jeleni ma krzyż między rogami, a przy zadnich nogach tego konia, co król na nim siedzi, słońce, miesiąc i gwiazda jedna. Ten król jedną ręką na drugą stronę ku krzyżowi, przy tym krzyżu szukaj, na ścianie na lewej ręce jest tam dziura zaprawiona +, odważ kilofem, wleź do niej, odbierz co tam znajdziesz, chwal Pana Boga i na ubogich pamiętaj.”

Są też opisy bardziej skomplikowane i przewidziane dla poszukiwań trwających co najmniej trzy dni. Opisujący drogę ku skarbowi często dodatkowo instruuje ewentualnego swego następcę, np.: „Przed zachodem słońca na łące, gdzie [ten człowiek] będzie szukał ziela Lunaria Major, musi obowiązkowo stanąć pośrodku [tej łąki], zwrócony twarzą ku zachodowi słońca, zaświecić gromnicę i paść na kolana. Następnie odmówić psalm 30, a po zakończeniu na stojąco odmówić Ewangelię św. Jana. Na koniec musi uczynić przed sobą 3 krzyże, przeżegnać się i iść prosto na zachód słońca”. Oczywiście wtedy może przystąpić do szukania ziela.

Przed pójściem na spoczynek kandydat na poszukiwacza musi najpierw skropić obszar, na którym chce rozbić obozowisko, zakreślając święconą wodą okrąg, nad sobą na skałe lub drzewie ma napisać święconą kredą („z dnia Trzech Króli”) inicjały: C+M+B. „Jak to uczynisz tu sobie spoczniej i posil się: zaraz niedaleko jest tu woda do posiłku”.

Czynność wyżej opisaną trzeba powtarzać za każdym popasem.

„Rano wstań i pomódl się do Pana Boga”; potem koniecznie musisz zjeść posiłek, „aby ci ziemne duchy nie szkodziły”, a następnie „weź szpagat i światło i wchodź do jaskini”. Tu zaraz po wejściu należy odmówić zaklęcia dla „duchów ziemnych przeznaczone”. W jaskini poszukiwacz ma przystąpić do poszukiwania znaków, które wskażą mu dalszą drogę. Jak je znajdzie, musi przeżegnać się krzyżem świętym i ruszyć dalej, szukając dalszych wskazówek. Przed przejściem przez głęboką wodę, wodospad, rzekę, strumień, jezioro, poszukujący musi obowiązkowo paść na kolana i odmówić hymn:

„Magnificat anima mea Dominum”, a po tym: „Sub Tuum praesidium”, na koniec zaś: „Salve Regina, Mater Misericordiae”.

Przechodząc przez szczególnie niebezpieczne – dla ducha czy ciała poszukującego – miejsce, zaznaczone w tekście (np. „niewielki ogródek cmentarzem zwany”), musi wędrowiec zapalić ogień pochodzący z „palmowego węgla”, teren zaś okadzić, pokropić święconą wodą i ponownie zmówić „zaklinanie duchów”. Tę czynność należy powtarzać trzykrotnie. A jak już poszukiwacz dojdzie szczęśliwie do schowka, może go tu spotkać następna przykrość, gdy zaklęcia zabezpieczające okażą się zbyt silne i nie będzie mógł skarbca otworzyć. Wtedy musi sięgnąć do zaklęcia otwierającego: „... zmów 3 pacierze, gołemi kolanami klęcząc na kamieniu i mów tę modlitwę do Pana Boga. Ja cię zażegnuję ty skarbie, dziuro i zakryty kruszcu, przez siłę i moc Boską, zażegnuję cię przez tego, który niebo i ziemię stworzył, żebyś się otworzyła, żegnam cię przez św. Piotra i Pawła i przez wcielenie Jezusa Chrystusa, żegnam cię przez św. Szczepana. Żegnam cię kruszcu przez Świętą Trójcę i przez wszystką moc, którą Pan Bóg na niebie i na ziemi ma, przez tę moc rozkazuję tobie i przez Boga Ojca, Boga Syna, Boga Ducha Świętego Amen. Potem zmów Ewangelię św. Jana i 15 Ojcze Nasz, tyleż Zdrowaś Marya i 3 razy Wierzę w Boga Ojca. Wtenczas bardzo pobożnym trzeba być”.

A jak wszystkich przepisów będziesz się trzymał, poszukiwaczu, znajdziesz: „gank złoty, jako winna beczka, bronatny, jako szarłat. Gdy go rozbierzesz alibo utniesz, mieni się, jak miedź najczerwieńsza. W tym ganku są drogie kamienie, bierz co ci Pan Bóg dał, przy tym Pana Boga chwal, a o ubogich nie zapominaj”.

Czego z serca wszystkim poszukiwaczom autorka wraz z całą redakcją życzą....

Bibliografia:

1. Franciszek Kmietowicz, *Legendy Ziemi Muszyńskiej, Opowieści zbójnickie*.
2. Zdzisław Piasecki, *Byli chłopcy, byli...*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973.
3. Urszula Janicka-Krzywda, *Rok Karpacki – obrzędy doroczne w Karpatach...*, Kraków 1988, *Poczet harnasi karpackich*, jw.
4. Juliusz Zborowski, *Ludoznawcze przyczynki z góralszczyzny*, Lwów 1933.
5. Urszula Janicka-Krzywda, *Na tropach karpackich opryszków*, Harnaś, 1980.
6. St. Eliasza Radzikowski, *Michała Chrościńskiego opisanie ciekawe gór Tatrów*, Kraków 1905.
7. Henryk Fros, Franciszek Sowa, *Twoje imię*, WAM, Kraków 1988.

Adam Ziemianin

STARA POCZIWA BUDA

Gdy po trzydziestu paru latach przekracza się próg swej szkoły średniej, coś łapie człowieka za gardło. W każdym razie takie miałem uczucie, odwiedzając „moje” Liceum Ogólnokształcące w Krynicy, gdzie w 1966 roku zdałem maturę. Na pierwszy rzut oka budynek szkolny nic się nie zmienił.

DALEJ PROWIZORKA

Liceum w Krynicy powołano do życia zaraz po wojnie. Najpierw młodzież uczyla się w pensjonacie „Hel”, a zapisy do szkoły odbywały się w Nowym Domu Zdrojowym. 25 maja 1945 roku na posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej w Krynicy zapadła decyzja o lokalizacji Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w pensjonacie „Kryniczanka”. Miała to być tymczasowa siedziba szkoły, ale w myśl powiedzenia, że najtrwalsze są prowizorki, krynickie Liceum mieści się tu do dziś. Stąd zawsze na początku każdego roku szkolnego pierwszym i najważniejszym przykazaniem, obowiązującym uczniów, był zakaz wychodzenia na balkony, bo groziło to zawaleniem.

ILE ZA LALKE?

Siadam w ławce swej klasy. Na tablicy ktoś napisał kredą: „Miłych wakacji”. Wakacje mam już od ponad trzydziestu lat, ale dziś na chwilę wchodzę w tamten czas. W klasie gwar, za chwilę wejdzie wychowawczyni Pela, czyli Petronela Gawlikowa. Jest naszą polonistką. Chłopcy się w niej podkochują, bo jest ładna i zgrabna. Zresztą niewiele po studiach. Pewnie zacznie pytać z „Lalki”. Romek Gomółka, kolega z Muszyny, nie przeczytał lektury, liczy na mnie, że mu podpowiem. Są małe szanse, żeby mu się udało, bo gdy trafi na niego, Pela tak go dociśnie, że zaraz wyjdzie na to, iż nie czytał powieści Prusa. Pytania jej są bardzo drobiazgowe, np.: „Ile rubli Wokulski zapłacił za lalkę?” Nawet ja, który czytałem tę powieść, mam problemy z takimi pytaniami. Na szczęście i mnie, i Romkowi się udało.

JĘDRZEJOWSKI, TY PALIŁEŚ!

Na lekcję biologii trzeba zejść do pracowni biologicznej. To królestwo Teodory Sawczak, zwanej Czymbaczach, bo zamiast tymczasem, ona mówi czymbczasem, a zamiast szczypczyki – czypczyki. Młodzież zaraz wyłapuje te potknięcia. Ze strachem wchodziło się do królestwa Czymbaczachy. Żaby i węże w formalinie patrzyły na nas martwym wzrokiem, a wypchane ptaki, wydawało się, że zaraz zerwą się do lotu, zwłaszcza wtedy, gdy Czymbaczach krzyczała: „Jędrzejowski paliłeś! Proszę natychmiast przenieść się do ostatniej ławki”.

To z nią szliśmy na Górę Parkową, gdzie pokazywała nam zioła, kwiaty i trawy, ucząc ich nazw. Do dziś, kiedy idę na górską wycieczkę i patrzę na dziurawiec, czy na storczyki, przypominam sobie Czymczachę. Dziś pewnie w niebie kompletuje niebieski zielnik dla aniołów i od czasu do czasu zwraca się do nich: „Czymczasem podajcie mi czypczyki, żebym mogła lepiej sobie radzić z tymi roślinkami”.

MADAME MASZEWSKA

Była prawdziwą damą w naszym ogólniaku, ale i prawdziwym postrachem. Kto wie, czy język francuski nie był najważniejszym przedmiotem w krynickim Liceum. Żona dyrektora banku, absolwentka paryskiej Sorbony, była naszym utrapieniem. Dostateczny na szynach z klasówki, to była całkiem przyzwoita ocena. Poza Elżbietą, która wybierała się na romanistykę, i kilkoma osobami, które brały lekcje z francuskiego, reszta klasy nie umiała w żąb tego języka. Ale i na nią znalazł się sposób. Klasówki po lekcjach zanosila do domu jej ulubienica Elżbieta, bo nie było do pomyślenia, żeby madame Maszewska sama dźwigała zeszyty do domu. Największe lewusy z francuskiego uprosiły Elę, żeby na chwilę z zeszytami klasowymi weszła pomodlić się do krynickiego kościoła. Dała się uprosić. I w świątyni zaczynało się odpisywanie od najlepszych uczennic. Grzesiek Filip, dziś geodeta w Szczecinku, trochę przesadził, bo klasówkę napisał, a właściwie odpisał, na bardzo dobry.

– Filip, to niemożliwe! Chodź no tu do tablicy! – dziwiła się madame Maszewska, a jej zdziwienie było uzasadnione. Dopiero wtedy wyszło szydło z worka. Okazało się, Grzesiek przedobrzył.

DETEKTYW WANIA

Profesorem od rosyjskiego był u nas Wania. Nawet wdzięczne miał przezwisko, nie jakiś tam Iwan, czy Sabaka, jak to było w innych liceach. On też siał postrach, ale bardziej po słowiańsku. Może był mniej wyrafinowany niż madame Maszewska, ale za to bardziej skuteczny. Jedyną słabością Wani było to, że dawał wypuszczać się na dyskusje, które z językiem rosyjskim nie miały nic wspólnego. Dopiero pod koniec lekcji się reflektował i kazał czytać Gogoła w oryginale Jasiowi Sroce.

– Ty składasz litery! I to w maturalnej klasie! Jak ci się dotąd upieкло? – dziwił się z troską Judasza.

– Ale ja nie idę na filologię rosyjską – bronił się Jasek.

A upiec się mogło choćby w ten sposób, że przynosiło się listy od przyjaciół z Moskwy, Sumgaitu, czy Kijowa. Za każdy list była pozytywna ocena i dzięki temu średnia na okres była pozytywna. Adresy zdobywaliśmy od Wani, albo z „Kraju Rad”.

Wania miał zmysł i pasję detektywa. To on, jako chyba jedyny, wpadał na dużej przerwie do ubikacji i przekrzykiwał dym papierosowy: „Kozuch, Marchewka i Gądek macie obniżone zachowanie za papierosy!” I szybko uciekał na korytarz.

Kiedyś obiegła naszą szkołę sensacyjna wiadomość. Wania dostał anonim. „Jeśli nie położysz pod mostkiem trzydzieści tysięcy złotych, zginiesz jak pies!” Dalej były instrukcje, kiedy i jak ma to podłożyć. W szkole zaczęło się węszenie. Musieliśmy nawet na jednej lekcji napisać to, co było w anonimie. Okazało się, że grafolog odkrył autora

listu. Jak się można było spodziewać, był to jeden z uczniów krynickiego Liceum. Rozprawa odbyła się w muszyńskim sądzie. Wania zachował się tu szczególnie pozytywnie. Bronił ucznia, który był autorem anonimu, bo – jak wyznał przed sądem – nie chciał chłopakowi psuć kariery życiowej.

W naszej szkole było znacznie więcej pedagogicznych oryginałów. Fizyk, zwany Pikusiem. Mały wzrostem, lecz z sercem Napoleona. Andrzej Wasiak, który uczył nas historii i geografii, lecz potem znudziła mu się krynicka szkoła i przeniósł się na WSP do Częstochowy, robiąc po drodze doktorat. Maciek Porzycki, od wychowania fizycznego, zaszczeplił w nas bakcyła turystycznego. Wyprawy rajdowe miały niepowtarzalny urok.

· Nie sposób wymienić wszystkich pedagogów.

„LAJKONIKIEM” PO WIEDZĘ

W tamtych czasach Liceum w Krynicy było jedyną tego typu szkołą w okolicy. Muszyna miała po wojnie szkołę średnią, ale ją utraciła, dlatego muszyńska, tylicka, żegiestowska młodzież dojeżdżała do ogólniaka w Krynicy. Z Muszyny jechał nawet specjalny pociąg zwany „Lajkonikiem”. Liczył zaledwie trzy wagony. Dowoził uczniów do Krynicy. Podróże „Lajkonikiem” miały specyficzny charakter. Tu odpisywało się zadania. Tu uczono się pospiesznie, tylko czasem, gdy można było sobie na to pozwolić, odchodziła gra w karty. Po przyjeździe na krynicką stację trzeba było drałować przez całą Krynicę – ze trzy kilometry – pod górę do szkoły.



Liceum Ogólnokształcące w Krynicy
(fot. Barbara Rucka)

NOWE CZASY

Dziś krynicki ogólniak niewiele się zmienił. Dalej mieści się w pensjonacie „Krynicanka”. Dyrektorem jest Anna Rapacz, absolwentka krynickiego Liceum. Zresztą na 20 osób kadry nauczycielskiej, 11 to absolwenci krynickiego ogólniaka. Nadal króluje tu język francuski, choć madame Maszewska odeszła już na wieczny spoczynek. Wśród profesorów nie ma już żadnego, który by mnie uczył. Wielu odeszło na zawsze. Inni są emerytami.

Przybyła klasa informatyczna, a co za tym idzie, pracownia komputerowa. Jest też klasa o profilu ogólnym z elementami dziennikarstwa. Program autorski w tej klasie przygotowała Halina Janik.

W roku 2001 wypuszczono 58 maturzystów, 66% dostało się na wyższe uczelnie (przede wszystkim uniwersytety), na studia dzienne i zaoczne. W ostatnim roku szkolnym, w związku z reformą, nie było naboru do liceów; w krynickim LO uczyło się 307 uczniów, w tym 104 maturzystów. Od nowego roku szkolnego 2002/2003 powstaje Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych, wśród nich Liceum Ogólnokształcące. Ponieważ gimnazjum kończy pierwszy rocznik, w Liceum znowu pojawi się pierwsza klasa. Konkurencja jest duża, bo Liceum w Muszynie działa bardzo prężnie i część młodzieży z Krynicy dojeżdża do Muszyny, ale część młodych z Muszyny kształci się w Krynicy.

– Nie wchodzimy sobie w drogę. Specjalizujemy się w różnych profilach. Dobrze, że i tu jest zdrowa konkurencja – mówi dyrektor Anna Rapacz.

* * *

Opuszczam krynickie Liceum. Jutro wypełni się młodzieżą. Zamykają się za mną drzwi pracowni biologicznej. Przyglądam się jeszcze wypchanej sowie. Przez moment wydaje mi się, że mrugnęła do mnie okiem.

Adam Ziemianin

JAWORZYNA

Włóchnia głogu

Nad ranem

Bok góry

Celnie

Przebija

To Jaworzyna

I góra krwawi

Trochę się martwi

Bo chyba jesień

Tak nagle się zaczyna

Basia Gumulak

MÓJ ZAKŁĘTY ŚWIAT

Boję się przyszłości
boję się autobusu do którego będę musiała wsiąść
może on wcale nie jedzie w stronę
światła ...

a ja kocham to zmiennonastrojowe niebo
z którym płakałam już tyle razy
rozłożyste choinki
które urosły trochę za bardzo
chłód wieczornej rzeki
który otulał moje zagubione myśli
małego wróbla
który uporczywie stukał o parapet
samotny hamak
zawieszony na gwiazdach
kocham kontury mojego horyzontu
który pozwalał mi po omacku wędrować przez życie
światła latarni
które gasły ilekroć wracaliśmy z zapasem energii
cmentarz pokryty kolorową kołdrą jesieni
gdzie cisza cierpliwie zbierała moje łzy
te wszystkie ulice i uliczki
dróżki i zakłęte miejsca
po których nadal snują się moje wspomnienia
kocham nawet ten stary zniszczony płot
którego historia zaczęła się w dniu naszych narodzin
i nie wiedzieć czemu coś w nas wygasło
gdy ktoś zmienił ogródenie
kocham te wszystkie zbuntowane dusze
z którymi dzieliłam radości i smutki
i tego dobrego duszka
który bez strachu pozwala mi być wiedźmą...

boję się przyszłości
i tego znaku zapytania na drogowskim
mojego wyboru ...

Barbara Rucka

TWÓRCY Z POGRANICZA

Rok 2001 w rozwoju i promocji twórczości artystycznej w Muszynie niewątpliwie będzie zasługiwał na odnotowanie w kronikach miasta. Dzięki współdziałaniu wielu instytucji, a przede wszystkim pracy samych twórców, udało się na przestrzeni 4 miesięcy zorganizować 4 wystawy ukazujące dorobek artystów z Muszyny i Starej Lubowli. Z inicjatywą tą wystąpiło Towarzystwo Miłośników Ziemi Muszyńskiej w ramach programu współpracy przygranicznej. Projekt wraz z wnioskiem o dofinansowanie został złożony w październiku 2000 roku do Międzynarodowego Funduszu Wyszehradzkiego. Program ten, jako jeden z 40, został zakwalifikowany do realizacji. Przedstawiciele organizacji, które miały być wykonawcami przedsięwzięcia, a więc: Rady Programowej *Almanachu Muszyny*, Zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej, Zarządu Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Krynicy oraz Dyrekcji Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy Muszyna, spotkali się 9 grudnia 2000 roku w Muzeum Regionalnym PTTK w Muszynie. Wstępnie ustalono, że na wystawach zaprezentowane zostaną prace artystów z Muszyny i Starej Lubowli. Nadzór nad realizacją wystaw zlecono Muzeum Regionalnemu PTTK w Muszynie.

Kolejnym krokiem było omówienie spraw organizacyjnych z koordynatorem ze strony słowackiej, Gabriellą Malastovą – dyrektorem lubowelskiego Centrum Oświaty (Osvetové stredisko). Spotkanie takie odbyło się w lutym 2001 roku. Zapadła decyzja o zorganizowaniu dwóch wystaw, na których zaprezentują swoje prace artyści z Muszyny i Starej Lubowli, przy czym zarówno jedna, jak i druga wystawa miałyby się odbyć najpierw na „miejscowym gruncie”, a następnie u „sąsiadów”. Wernisaż wystawy „Twórcy z Muszyny” zaplanowano na 30 czerwca 2001 roku w murach Biblioteki Okręgowej w Starej Lubowli, natomiast otwarcie wystawy „Twórcy ze Starej Lubowli” miało się odbyć w Muzeum Regionalnym PTTK w Muszynie 7 lipca 2001 roku. Wykonaniem zaproszeń oraz plakatów zajęło się Osvetové stredisko, natomiast przewozem prac muszyńskie Muzeum.

Pierwszym etapem było sporządzenie listy osób, które mogłyby być zainteresowane udziałem w wystawie. Przypomniano sobie wówczas o członkach istniejącego w latach 70. muszyńskiego oddziału Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, któremu przewodniczył pierwszy kustosz Muzeum w Muszynie, Karol Rojna, oraz o późniejszych próbach reaktywowania tych tradycji przez twórców tzw. „Salonu Zaproszonych”. Grupa ta, działająca w latach 90., zorganizowała kilka wystaw, w których brali udział artyści zaproszeni przez organizatora każdego salonu, między innymi Janusza Krzyżanowskiego, Barbarę Czapla, Juliusza Jarończyka. Dzięki zapiskom o tych wydarzeniach w kronikach Biblioteki i Muzeum, starym programom z wystaw oraz tzw. pocście pantoflowej, przekazującej informacje o talentach artystycznych mieszkańców naszego regionu, udało się skompletować listę osób, które mogłyby wziąć udział w wystawie. Zaproszenia takie otrzymało 30 twórców gminy Muszyna, z których na apel Muzeum odpowiedziało 18. Ogółem dostarczono 101 prac.



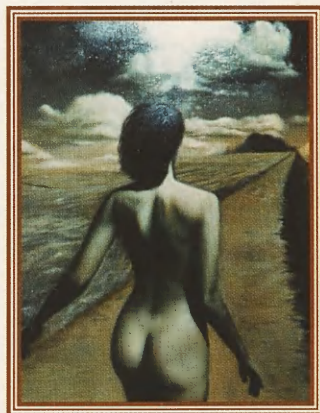
Gabriela Malastová otwiera wystawę twórców muszyńskich w Bibliotece w Starej Lubowli 30 czerwca 2001 roku



Wystawa twórców z Muszyny w Starej Lubowli



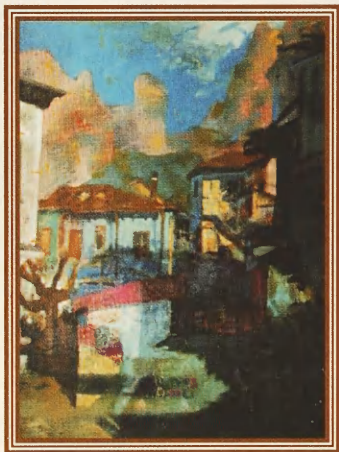
Małgorzata Gałus



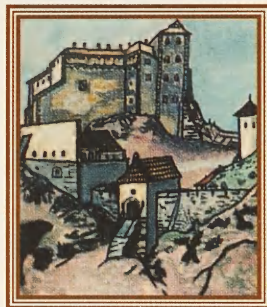
Krzysztof Opielewicz



Zbigniew Gruczelak



Janusz Tyrpak



Czesław Czmiel



Magdalena Szymczyk



Milena Gruczelak



Adam Gancarski



Wystawa twórców ze Starej Lubowli w Muszynie



Barbara Rucka otwiera wystawę
twórców ze Starej Lubowli
w Muzeum Regionalnym w Muszynie
7 lipca 2001 roku



„Pracznik”
Ján Pecuch



„Lilie”
Ján Dzugas



„Pustelnik”
Michal Šebo



Pejzaże ze Starej Lubowli
Vlado Šipos



Polski wernisaż wystawy „Artyści Ziemi Muszyńskiej” odbył się w dniu 3. 05. 2001 r. w Muzeum Regionalnym PTTK w Muszynie. Prezentacja prac przed miejscowymi koneserami sztuki była niejako próbą generalną przed przewiezieniem ich do Starej Lubowli. W organizacji wernisażu uczestniczyli twórcy muszyńscy, członkowie PTTK-u i TMZM oraz pracownicy Muzeum i Biblioteki. Otwarcia wystawy dokonała kustosz muszyńskiego Muzeum, Barbara Rucka, która zaprezentowała artystów, wystawiających swoje prace. Po części oficjalnej, podczas dyskusji „kuluarowych”, zrodziła się myśl o stworzeniu oddziału Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Muszynie. Założenie tej organizacji pomogłoby w promocji twórczości oraz zaktywizowałoby środowisko. Członkami towarzystwa mogliby zostać wszyscy pasjonaci, zarówno ci tworzący sztukę, jak i sprzyjający jej rozwojowi. Celem tej organizacji powinno być jednoczenie twórców, menadżerów, sponsorów. Pomysły te, wtedy mające znamiona pobożnych życzeń, zostały wprowadzone w życie 22 stycznia 2002 r., kiedy to podczas spotkania organizacyjnego 17 twórców i sympatyków sztuki stworzyło Muszyński Oddział Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

W tym samym czasie, kiedy muszyńscy artyści dyskutowali nad przyszłością sztuki, w Starej Lubowli, w siedzibie Osvetovego strediska, prace swoje wystawili twórcy słowaccy. Wystawa ta, podobnie jak ekspozycja polska, została bardzo dobrze przyjęta przez krajanów. Po tej „próbie generalnej” przystąpiono do wyboru najlepszych prac, które w pełni zaprezentowałyby różnorodność technik twórców polskich i słowackich. W rezultacie do Polski przywieziono 30 prac słowackich, natomiast do Starej Lubowli dostarczono 71 dzieł z Muszyny.

Komisarzem wystawy twórców muszyńskich oraz autorką wspólnego plakatu była pracownica Osvetovego strediska, Anna Dragošeková. Dzięki jej profesjonalnemu przygotowaniu, prace polskich twórców zostały wspaniale wyeksponowane w okazałej sali wystawowej Biblioteki w Starej Lubowli. W Muszynie przygotowaniami do otwarcia wystawy artystów słowackich kierowała kustosz Muzeum. Prace sześciu twórców, prezentujące w większości słowackie zabytki, wyeksponowane w wiekowych murach muszyńskiego Muzeum, nabrały dodatkowego wyrazu dzięki kameralności tego obiektu.

Najpierw artyści muszyńscy zaprezentowali swoje prace publiczności słowackiej w Starej Lubowli. Otwarcia wystawy „Umelci z Muszyny” dokonała 30. 06. 2001 roku Gabriela Malastová – dyrektor Osvetovego strediska. Po niej zabrała głos Barbara Rucka, która po złożeniu podziękowań pracownikom Osvetovego strediska i Biblioteki za przygotowanie wystawy oraz wernisażu, przedstawiła zebranych przybyłych do Starej Lubowli twórców z Muszyny.

Część oficjalną zakończył występ rodzinnego zespołu Budzákovci, którzy zaprezentowali folklor spiski. Piękne głosy brata i siostry wspaniale brzmiały na tle akompaniamentu akordeonu matki. Dodatkowego wdzięku dodawały piosenkom dźwięki skrzypiec. Zespół zaprezentował się w strojach ludowych z Rużbachów i Leśnicy. W uroczystym otwarciu, oprócz twórców, wzięła również udział młodzież działająca w polskim i słowackim Młodzieżowym Klubie Wyszehradzkim, uczestnicząca w tym czasie w pierwszym wspólnym posiedzeniu w Starej Lubowli. Całą imprezę nagrywała miejscowa stacja telewizji kablowej, która wspaniale zaprezentowała prace twórców muszyńskich. Szczególnie korzystnie w olbrzymiej sali wystawowej biblioteki lubowel-

skiej prezentował się błękitny pejzaż Janusza Bębna oraz utrzymany w brązowo-beżowych odcieniach gobelin jego żony, Anny Jaśkiewicz, a także prezentujące bogatą kolorystykę gobeliny Krystyny Łotek. Wspaniałym uzupełnieniem tych profesjonalnych prac były pełne ekspresji i barw obrazy twórców naiwnych: Małgorzaty Gałuż, Tomasza Gałusia i Czesława Czmiela. W zupełnie inny klimat wprowadziły nas subtelne akty Krzysztofa Opielewicza. Tę aurę tajemniczości podtrzymały w widzu wspaniałe pejzaże włoskie autorstwa Zbigniewa Gruczelaka (akwarele) i Janusza Tyrpaka (obrazy olejne) oraz pełen mistycyzmu obraz Mileny Gruczelak. Nastrój zadumy łagodziły ciepłe i utrzymane w subtelnej kolorystyce swojskie krajobrazy na obrazach i gobelinach Katarzyny Kosiby-Seweryn oraz w pracach Mateusza Seweryna. Podobne w kolorystyce, lecz wyróżniające się pewnym i zdecydowanym rysunkiem, były martwe natury autorstwa Barbary Wiślak i Magdaleny Szymczyk. W rysunkach Michała Wiśniowskiego na uwagę zasługiwała precyzja, z jaką twórca wyczarował tuszem bajkowe krajobrazy. Do bardziej realnego, lecz niepozbanionego poezji i subtelności świata wprowadziły nas zdjęcia Stanisława Murzyna, przedstawiające muzyńskie krajobrazy. Oprawę całej wystawy stanowiły misternie wykonane rzeźby Adama Gancarskiego oraz pełne prostoty i ostrej wyrazistej kolorystyki drewniane figurki, przedstawiające kapelę góralską, które wyszły spod dłuta Dariusza Białasa. Po zakończeniu wernisażu polscy artyści oraz zaproszeni goście zostali odwiezieni do Muszyny.

Zaprezentowana w lubowelskiej Bibliotece wystawa twórców z Muszyny została bardzo ciepło przyjęta przez słowackich widzów. Również recenzje, które ukazały się w gazetach regionalnych, były niezwykle przychylne i pełne sympatii.

Kolejnym etapem programu wyszehradzkiego była organizacja wystawy „Twórcy ze Starej Lubowli” w Muszynie. W pracach przygotowawczych najbardziej pomocni byli artyści muzyńscy, między innymi: Anna i Zbigniew Gruczelakowie, Janusz Bęben, Adam Gancarski, Krzysztof Opielewicz. Natomiast w przygotowaniach do wernisażu niezastąpiony okazał się tercet przedstawicieli Zarządu Oddziału PTTK w Krynicy w osobach Zofii Kieblesz, Bożeny Jaromin, Jolanty Paduli, a także pani Małgorzata Gałuż, która przygotowanym smakołykom nadała malarski koloryt. Punktem kulminacyjnym przygotowań był 7 lipca 2001 roku, kiedy to w Muzeum Regionalnym PTTK w Muszynie o godz. 16 rozpoczął się wernisaż. Jak odnotowały gazety regionalne, takich „tłumów gości placówka ta już dawno nie widziała”. Wśród przybyłych był Dyrektor Generalny Funduszu Wyszehradzkiego dr Urban Rusnák, Starosta Sądecki Jan Golonka, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej Adam Mazur, muzyńscy radni, młodzież skupiona w polskim i słowackim Klubie Wyszehradzkim oraz artyści i miłośnicy sztuki ze Słowacji, Muszyny, Krynicy, Nowego Sącza, Krakowa, Warszawy. Otwarcia wystawy dokonała kustosz muzyńskiego Muzeum, Barbara Rucka. Po niej głos zabrała dyrektor Gabriela Malastová, koordynator naszego programu po stronie słowackiej. W swoim wystąpieniu przedstawiła przywiezione prace oraz ich twórców, którzy przybyli ze Starej Lubowli.

Po oficjalnych wystąpieniach odbył się koncert sześcioosobowej grupy, grającej standardy dixielandowe, pod kierunkiem Siergieja Marguka. Po tej chwili przyjemności dla uszu, nadszedł czas na „strawę” dla oczu. Licznie zgromadzeni na wernisażu goście,

podziwiając prace słowackie, przenieśli się na chwilę do Starej Lubowli, gdyż właśnie panoramy tego miasta były tematem prac Vlado Šipoša. Szczególne wrażenie wywierały pejzaże z lubowelskim zamkiem w tle. Autor ukazał ten najbardziej znany zabytek Starej Lubowli zarówno w ciepłych brązach jesieni, jak i soczystej zieleni wiosny oraz surowych kontrastach zimy. Inne obrazy tego twórcy przeniosły nas w sielankowe zakątki lasów, łąk i jezior słowackich, gdzie delikatna zgaszona zieleń kołała oczy. Z tego marzycielskiego nastroju obudziły nas obrazy autorstwa Jána Dzugasa. Jego pejzaż górski o ostrej i wyrazistej kolorystyce pobudzał widza do życia i działania. Dwie inne prace tego twórcy, utrzymane w szerokiej gamie błękitów, ukazywały piękne lilie oraz nieco demoniczny w wymowie zimowy pejzaż z wilkiem na pierwszym planie. Wspaniałym uzupełnieniem tych pełnych ekspresji prac malarskich był gobelin Jána Pecucha, utrzymany w ostrych kolorach, a przedstawiający „Praczkę”. Inne prace tego artysty utrzymane w tonacji brązów i czerwieni („Kraina” i „Stopy lasu”) wyczarowywały przed widzem kwiaty, motyle i liście. Dzieła te komponowały się z pracami Lubomira Gemzy, który zastosował rzadko spotykaną u nas technikę intarsji. Wykonane z różnych rodzajów drewna mozaiki przedstawiały kościół w Jakubanach i majestatyczny żaglowiec. Wspaniałym dopełnieniem ekspozycji były proste i surowe w formie rzeźby Michala Šebo, z których silne wrażenie robiły „Pustelnik” i „Szara Eminencja”. Kompozycją zamykającą wystawę była grupa rzeźb Michala Hutnika, nawiązująca treścią do wspólnego elementu naszej tradycji – zbójników.

Po tej dużej dawce przeżyć artystycznych goście z wernisażu udali się do ogrodów willi „Wanda”, gdzie w plenerowej atmosferze, przy muzyce, godnym jadła i napitku, omawiali plany współpracy twórców polskich i słowackich. Miejmy nadzieję, że tak wspaniałe rozpoczęte przedsięwzięcie zaowocuje wieloma wspólnymi, polsko-słowackimi wydarzeniami artystycznymi.



Kapela góralska Dariusza Białasa

Zuzanna Myślik

MŁODY WYSZEHRAD W MUSZYNIE I W STAREJ LUBOWLI

„W ramach rewizyty wyjazdu do Starej Lubowli, słowaccy przyjaciele przyjechali do Muszyny. Podczas tego spotkania odbyło się II seminarium Młodzieżowych Klubów Wyszehradzkich.” „Co udało nam się zrobić w roku 2001 i co jest jeszcze przed nami w roku 2002” – to tylko niektóre tytuły komunikatów i sprawozdań, które rzecznicy prasowi i sekretarze stworzyli w ciągu roku, od 17 lutego 2001 roku do chwili obecnej. Właśnie w lutym ubiegłego roku, w pracowni geograficznej Liceum w Muszynie, po raz pierwszy spotkali się członkowie Młodzieżowego Klubu Wyszehradzkiego. Tę datę przyjęliśmy jako początek działalności Klubu. Wtedy po raz pierwszy bliżej zetknęliśmy się z ideą wzajemnego poznania sąsiadów poprzez „młodsze wydanie” Grupy Wyszehradzkiej, zwanej inaczej grupą V4. Działa ona od 15 lutego 1991 roku, swą nazwę wywodzi od miejsca pierwszego spotkania, czyli Wyszehradu (Czechy), a jej członkami są – oprócz Polski – Czechy, Węgry i Słowacja. Za swoje zadanie przyjęła wspólne dążenie do Unii Europejskiej poprzez wzajemną pomoc gospodarczą, rozszerzenie kontaktów samorządowych i przygranicznych oraz współpracę kulturalną, ekologiczną i ekonomiczną.

Nasz program: Muszyna / L'ubovňa / Visegrad / 2001 spełnił zadanie nawiązania pierwszych znajomości i kontaktów wśród młodzieży, mieszkającej po obu stronach granicy, nad Popradem. Będzie to bardzo pomocne w stworzeniu w przyszłości Młodzieżowego Parlamentu Grupy Wyszehradzkiej. Nasz program zyskał dofinansowanie w wysokości 7000 Euro z Międzynarodowego Funduszu Wyszehradzkiego, pod warunkiem, że organizatorzy wyłożą podobną kwotę na jego realizację z własnych środków. Tak też zrobili.

Za pierwszych członków Klubu Wyszehradzkiego uznaje się wszystkie osoby z Muszyny i Starej Lubowli, które uczestniczyły w pierwszym wspólnym programie. Opiekunką grupy muszyńskiej jest pani Małgorzata Wiśniewska-Rablin (nauczyciel geografii muszyńskiego Liceum), zaś grupy ze Starej Lubowli panie Eva Ďaďovská i Soňa Šebová (nauczycielki Gimnazjum w Starej Lubowli). Inicjatorami i założycielami Klubu są: *Almanach Muszyny*, Towarzystwo Miłośników Ziemi Muszyńskiej, Osvetové stredisko w Starej Lubowli, Muzeum Regionalne PTTK w Muszynie. Naszym „Klubowym Tata” był i jest nadal Ryszard Kruk. Na początku pomógł nam stanąć na nogi: pokazał i nauczył nas mnóstwa rzeczy niezbędnych dla istnienia Klubu.

2 marca 2001 roku przedstawiciele Klubu: Honoratka Kałucka, Kuba Ździebło, Jaś Żywczak oraz Małgorzata Wiśniewska-Rablin i Bożena Mściwujewska-Kruk złożyli wizytę w Kancelarii Premiera, MSZ, Instytucie Słowackim, a także u pani Magdy Vášáryovej – Ambasadora Republiki Słowackiej w Polsce. Tam przedstawili szczegóły planu, który zrealizowaliśmy. Program zakładał, że spotkania Klubów przybiorą formę seminariów, podczas których dyskutowalibyśmy nad dalszym podziałem pracy. W związ-

ku z tym, zanim nadpopradzkie Kluby zasiadły przy wspólnym stole, obie strony kosztowało to wiele pracy. Kilka razy spotkaliśmy się zarówno w Starej Lubowli, jak i w Muszynie, na roboczych „naradach”.



Przedstawiciele muszyńskiego Młodzieżowego Klubu Wyszehradzkiego z wizytą u pani Ambasador Republiki Słowackiej, Magdy Vášáryovej

W dniach 29 czerwca - 1 lipca oraz 6 - 8 lipca, odpowiednio w Starej Lubowli i Muszynie, odbyły się dwa spotkania członków Klubów. Jeden dzień w każdym mieście był przeznaczony na seminarium z udziałem członków Klubów oraz zaproszonych gości. Wśród tych ostatnich znaleźli się m.in. dr Urban Rusnák – Dyrektor Generalny Funduszu Wyszehradzkiego z Bratysławy, Gabriela Malastová – dyrektor Osvetovego strediska w Starej Lubowli, Antónia Benková, zast. dyrektora Biblioteki w Starej Lubowli, profesor Leszek Bednarczuk z Krakowa – językoznawca, ks. Stanisław Pietrzak – proboszcz parafii ŚŚ. Świerada i Benedykta w Tropiu, Łucja Bukowska – dyrektor Miejskiej Biblioteki w Muszynie. Oprócz pracy mieliśmy sporo czasu na przyjemności. W obu miastach mieliśmy czas na zwiedzanie zabytków i chodzenie na dyskoteki, a także wspólne ogniska. W Starej Lubowli rozegraliśmy kilka meczów sportowych, w których Słowacy okazali się niepokonani.

W dniu 26 października ubiegłego roku Klub ze Starej Lubowli zaprosił nas na uroczystość nadania imienia Terézii Vansovej tamtejszemu Gimnazjum. Jak się okazało, ta słowacka pisarka pochodziła z rodziny Medweckich, a nazwisko to w historii Muszyny, a zwłaszcza Żegiestowa, jest znane i ważne. Być może okaże się, że znajdziemy w Muszynie i Starej Lubowli wspólnych przodków? Przedpołudniowe spotkania były oficjalne, ale popołudniowe – już nie. Najpierw wspólnie coś zjedliśmy, przedyskutowaliśmy plan na rok 2002, a później „wskoczyliśmy” w stroje sportowe i rozegraliśmy w sali mecze, w których koledzy słowacy znowu zwyciężyli.

Notatka o naszej pracy i sukcesach znalazła się w broszurce, która stanowiła podsumowanie ubiegłego roku, a także w wydawnictwie Funduszu Wyszehradzkiego, prezentującym realizację najlepszych projektów.

Zadaniem Klubów na rok 2002 jest znalezienie partnerów na Węgrzech (zadanie dla Muszyny) i w Czechach (zadanie dla Starej Lubowli). W dalszej perspektywie mamy zamiar utworzyć Młodzieżowy Parlament Grupy Wyszehradzkiej. Chcielibyśmy, by obradował on każdego roku, w różnych miastach Grupy Wyszehradzkiej. W skład Parlamentu winni wejść reprezentanci Klubów Wyszehradzkich ze wszystkich czterech państw. Nad całością dyskusji czuwał będzie marszałek, którym każdego roku będzie reprezentant innego państwa. W obradach Parlamentu będzie uczestniczyć 80 osób, po 20 z każdego z krajów członkowskich. Obrady odbywać się będą w językach krajów Grupy Wyszehradzkiej oraz w języku angielskim. Założeniem pracy Parlamentu jest poznawanie obyczajów, historii, tradycji państw członkowskich oraz idei Wyszehradu. Pierwsze posiedzenie winno dotyczyć zadań młodzieży w integrowaniu Grupy Wyszehradzkiej z jednoczącą się Europą. Chcielibyśmy, aby ten plan ziścił się, zgodnie z naszymi założeniami, do 2003 roku.

Nasz program na rok 2002 nosi tytuł Four Pillars of the Visegrad Bridge i ma za zadanie kontynuację rozwijającej się współpracy przygranicznej, zorganizowanie Summer School of Culture of Visegrad Group w Wyższej Szkole Biznesu w Nowym Sączu, oraz kolejne przymiarki do utworzenia Parlamentu Grupy Wyszehradzkiej.



Wiosną bieżącego roku odwiedziła Muszynę delegacja z węgierskiego miasta Nyiregyhaza w celu omówienia współpracy Klubów Wyszehradzkich

Zuzana Folvarčíková

BABYLON ZBLIŽOVANIA

1. júna 2001 na Medzinárodný deň detí prijali krajiny Višeγράdskej štvorky na svojom zasadnutí v Krakove Deklaráciu o spolupráci mládeže a o založení mládežníckého parlamentu ako odpoveď na jednu z hlavných úloh – zbližovania národov V4. S myšlienkou založiť Višeγράdsky mládežnícky klub prišli členovia Klubu priateľov Almanachu Muszyny, ktorého úlohou je propagácia svojho regiónu a tiež vytváranie štipendijného fondu pre mladých ľudí, aby mohli študovať na vysokých školách. Višeγράdsky mládežnícky klub dostal v júni 2001 reálnu podobu.

Vd' aka tomu sa mohlo koncom júna uskutočniť stretnutie slovenskej a poľskej mládeže. Dňa 29. 6. 2001 sme so zmiešanými pocitmi strachu a zvedavosti čakali na autobus s poľskými rovesníkmi. Obávali sme sa zbytočne. Priateľskí Poliaci s typickým, nikdy nemiznúcim úsmevom na tvári k nám spontánne podišli a predstavili sa. Po chvíľke strávenej v ich spoločnosti sme mali pocit, že sa poznáme už roky, hoci zapamätať si 18 nových mien nebolo vôbec jednoduché. Po uvítacom ceremoniáli a preklenutí jazykovej bariéry z nás definitívne opadla tréma a vybrali sme sa na stretnutie s primátorom. Pretože mal pracovné povinnosti, žiaľ, nezastihli sme ho, no jeho zástupca nám bol vo všetkom k dispozícii. Potom sme sa presunuli do informačného centra na výstavu amatérskych fotografií. Krátka prehliadka kostola a námestia bola prešpikovaná zaujímavými informáciami z histórie. Nasledoval individuálny program, počas ktorého dievčatá nezapreli isté vrodene inštinkty – ako magnet ich priťahovali obchody roztrúsené po námestí. Večer sme sedeli pri vatre, hrali na gitare, spievali, fotili sa, počúvali hudbu a nezáväzne debatovali ... Babylon rečí na všetky možné témy...

V sobotu ráno sme sa opäť stretli a mali sme priestor na sebarealizáciu. Po rozdelení do šiestich skupín sme kompletne zaktivizovali mozgové bunky a spracovávali vlastné plány na rozširovanie projektu. Plánovali sme spoluprácu medzi klubmi V4, ako i medzi Starou Ľubovňou a Muszynou, koncipovali návrhy na založenie mládežníckeho parlamentu, predložili námety na vznik internetovej stránky a loga a zaoberali sa myšlienkou propagácie a medializácie klubu. Netrvalo dlho a pod taktovkou usilovnosti a kreativity sa zrodilo efektívne logo – symbolický kompas s vlajkami Poľska, Slovenska, Maďarska a Česka. Po obede sme navštívili mesto Kežmarok a Kláštor sv. Hofbauera v Podolínci. Večer sme sa stretli pri športel'ni, kde nás Poliaci milo prekvapili originálnymi darčekom z Muszyny. Diskotéka, na ktorej sme sa poriadne vybúrili, bola sľubným ukončením zaujímavého dňa. Spočiatku to síce vyzeralo len na dámsku jazdu, no neskôr sa k nám pridali i chalani. V nedeľu doobeda sme navštívili pamätihodnosti, ktoré sa rozhodne oplatí vidieť – menovite hrad a skanzen, učupené pod vrcholkami majestátnych hôr. Atmosféra bola napätá; po príjemne strávenom víkende totiž nasledovala rozlúčka. Posledné fotky, objatia, hromadné vymieňanie adries, telefónnych čísel, mailov...prísľuby... a pozvanie do Muszyny.

Zbúrajme bariéry medzil'udských vzťahov

Dňa 6. 7. 2001 sme Poliakom opätovoľovali oficiálnu návštevu a vybrali sa priamo do kolísky projektu – Muszyny. Po príchode sa nás ujali dve poľské reprezentantky, ktoré nám ukázali miesto nášho prechodného pobytu – hotel Žerań a rozdali špeciálne odznaky klubu V4. Po výdatnom obede nás prijal zástupca primátora Muszyny. Vysoká ekonomická škola v Novom Saczi nás ohromila množstvom vyspelej počítačovej techniky, ako aj možnosťou výučby pomocou digitálnych pomôcok na prenášanie zvuku a obrazu. Trochu závistlivo sme pokukovali na internetové stolíky rozmiestnené na chodbách; veď ktorý študent by neprivilal možnosť schuti si zasurfovať po internete, kedykoľvek sa mu zachce! Ponuka školy bola nesmierne zaujímavá a pre mnohých z nás bude iste i veľkým pokušením pri vypĺňaní prihlášok na vysokú školu. Večer nás čakalo príjemné posedenie pri ohni a spievanie tramských pesničiek. Poliáci so závideniahodným zmyslom pre detail mali pre nás prezieravo nachystané malé poľské spevníky.

Na druhý deň ráno sme rozhodne nezahálali na izbách – naopak, v plnom počte sme sa zúčastnili na exkurzii v plničke muszynských minerálnych vôd. Po ukončení exkurzie nás vedúci firmy prekvapil malými darčekom v podobe pier, bateriek či reklamných samolepiacich prospektov – ako inak, s logom závodu. Ďakujeme!

Okolo obeda sa konal seminár, kde sme mali predviesť, čo plánujeme v rámci svojej pracovnej skupiny podniknúť na ďalšie rozširovanie projektu. Iniciatívy sme sa my mladí chopili s chuťou, seminár skončil asi po hodine striedavého vystupovania vedúcich jednotlivých skupín. Nasledovalo krátke občerstvenie a malá ukážka modelárskeho klubu Zefirek. Po obede nás čakal výstup na baštu, z ktorého pre nás dievčatá vyplynulo dôležité ponaučenie, a to: nikdy never chlapcom! Nabudúce sa spoľahneme radšej na prirodzený ženský inštinkt, mimochodom 100-násobne užitočnejší ako orientačné schopnosti silnejšieho pohlavia, ktoré nás naviedli na „skratku“ plnú bahna, hliny a kamienkov. Ako bonus sme ju absolvovali v sandáloch na 10-cm opätkoch. Smola. No keď sme sa konečne dostali na vrchol, zaplavil nás pocit eufórie a na chvíľku sme zabudli na všetky svetské problémy. O hodinu neskôr sme už boli zhromaždení v múzeu na slávnostnom otvorení výstavy umelcov zo Starej L'ubovne. Večer sme boli pozvaní na slávnostnú gardenpárty, organizovanú našim hosťom, pánom Krukem. Slávnosť bola už tradične spojená s udeľovaním štipendií najúspešnejším študentom z Muszyny a my sme mali tú česť zúčastniť sa na nej v krojoch. Idea sa nám okamžite zapáčila – veď čo by človek neurobil pre zviditeľnenie národa, a naša skupinka okolo šiestej šťastne dorazila na párty. Plnými dúškami sme nasávali slávnostnú atmosféru a naše slovenské žalúdky ochutnali zo všetkých poľských špecialít na švédskych stoloch. O siedmej večer sme sa vytratilí do ubytovne, aby sme sa pripravili na diskotéku v Krynici. V miestnom bare „na impréze“ nás milo prekvapila výzdoba tanečnej sály, ktorej originalita spočívala v kontrastných plagátoch božskej Marylyn a Einsteina. Asi po hodine, vo chvíli, keď sa z reproduktorov valil nápor pop-music, sme sa rozdelili. Niektorí neodolali nočnej scenérii Krynice, zatiaľ čo zvyšok rozprúdil vášnivú debatu o skvostoch kinematografie. Po ukončení diskotéky sme sa už pohromade vyviezli autobusom späť na párty, kde si naša rebelujúce chuťové poháriky opäť prišli na svoje. Tú chvíľu, čo ešte ostávala do východu slnka a ktorú mnohí ani náhodou nemienili prespať, sme strávili analýzou udalostí vzrušujúceho dňa.

Spotkania młodzieżowych klubów Wyszehradzkich



W
starej
Lubowli

CZERWIEC 2001 ROKU



Wymiana podarunków książkowych, sponsorowanych przez
Międzynarodowy Fundusz Wyszehradzki,
pomiędzy Bibliotekami z Muszyny i Starej Lubowli.
Uczestniczy Dyrektor Generalny Funduszu Urban Rusnák



W
ruszynie

LIPIEC 2001 ROKU

Fot.: Piotr Basałga, Juliusz Jarończyk, Bożena Kruk

Na záver nášho pobytu sme si obzreli kostol v Krynici, poprechádzali sa po meste a so želaním opätovného stretnutia sme sa rozlúčili a odcestovali do Starej L'ubovne.

Týmto by sme chceli poďakovať všetkým, ktorí nám umožnili stretnúť sa, spoznávať novú krajinu, ľudí, charaktery, jazyk a národné tradície.

Zuzana – členka Višegrádskeho klubu mladých, Stará L'ubovňa



Spotkanie Klubów



Tadeusz Petrowicz

OPOWIEŚCI LEŚNICZEGO MUSZYŃSKIE WSPOMNIENIA

Lubię bardzo widokowy szlak prowadzący z Muszyny przez Stadło i Garby na Kidałki. Tam dopiero człowiek wypoczywa i widzi, jak piękne są nasze góry dla tych, którzy potrafią to piękno zobaczyć. Pewnie w czasach mojej młodości zakochałem się w Muszynie, bo stale tam wracam, zawsze znajdując ją piękniejszą i bardzo mi bliską.

W czasie takich odwiedzin w moich ulubionych stronach, spotkałem na Stadle Andrzeja Skwarczowskiego. Chłop poznał mnie, chociaż od tamtych czasów minęło prawie trzydzieści lat. W serdecznej rozmowie odżyły dawne wspomnienia, kiedy to obydwaj byliśmy młodzi. Ja gospodarowałem w leśnictwie Majerz, a on borykał się z biedą na górującym nad Muszyną Stadle. Gospodarstwo Andrzeja było pięknie położone na wysokiej górze, ale chociaż było tam wesoło i warunki do gospodarowania dogodne, to nie miał lekkiego życia. Gospodarstwo ze wszystkich stron otaczały lasy, z których na pola wychodziły nocami dziki, a wilki to i w dzień potrafiły porywać owce z pastwiska, i nie tylko owce.

Pamiętam, jak we wrześniu 1955 roku przybiegł do leśniczówki Andrzej i prawie płacząc opowiadał, że na jego oczach wilczyca i dwa młode wilczki spędziły do Wilczego na bagno krowę i tam ją rozszarpały. W tym samym czasie, również w Wilczem, dwa dorosłe wilki rozszarpały krowę Anny Koral, sąsiadki Andrzeja. Od tamtych czasów niewiele się zmieniło, do dzików i wilków doszły jelenie, które w pewnym okresie się rozmnożyły. Zarosły sadzone w latach czterdziestych i pięćdziesiątych słabe grunty i enklawy oddane przez Państwowy Fundusz Ziemi do zalesienia, stając się prawdziwymi matecznikami dla zwierzyny.

Od Andrzeja poszedłem do Błażeja Bieńka. Był on kiedyś robotnikiem leśnym na Majdanie, ale uległ wypadkowi, po którym stracił częściowo władzę w nogach. Do równowagi pomogły mu przyjść pszczoły, dzięki którym znalazł swoje miejsce w życiu. Ponieważ i ja poświęciłem się ostatnio pszczelarstwu, więc mieliśmy sobie wiele do powiedzenia na interesujący nas temat. Błażej opowiadał mi, że musiał oświetlić i radiofonizować swoją pasiekę, położoną pod lasem nad Wapięńczykiem, a zmusił go do tego niedźwiedź. Wszystko zaczęło się od Rusińczyka, gdzie mieli w lesie swoje pasieki Kmietowicz, Tołścik i jeszcze kilku innych pszczelarzy. Wiosną na miód zlakomił się olbrzymi miś, porozbijał ule i narobił tyle szkód, że musieli przenieść pasieki w inne miejsca. Sąsiad Błażeja też miał w swojej pasiece odwiedziny niedźwiedzia i uciekł z pszczołami w bezpieczne miejsce. On jednak, z ograniczoną możliwością poruszania się, nie mógł sobie pozwolić na przeniesienie pasieki daleko od domu; dla niego to byłaby klęska. Chłop jednak był pomysłowy i zamiast grodzenia, co i tak przed misiem pasieki by nie chroniło, postanowił ją radiofonizować i oświetlić. Pomysł okazał się dobry. W pasiece zrobiło się wesoło, a miś – jak dotąd – omijał ją.

Kiedy bywałem Muszynie, zawsze odwiedzałem jednego z bliskich mi kolegów, inż. Michała Witowskiego¹. Ten wytrawny leśnik - myśliwy bez reszty poświęcał się sprawom łowieckim. Wychował sporą grupę muszyńskiej młodzieży, działającą w Kole Łowieckim Jaworzyna. U niego oglądałem potężny odlew łapy niedźwiedziej, wykonany 10 kwietnia 1985 roku w uroczysku Kraczoń, w leśnictwie Majdan. Między różnymi ciekawymi trofeami łowieckimi inżyniera znalazła się również piękna skóra rysia, strzelonego z zasadzki w uroczysku Zaszczawniczek.

Zaszczawniczek teraz jest zwartym kompleksem leśnym, a kiedyś był poszarpanym haliznami i polanami skrawkiem lasu w pobliżu wsi Złockie, kilometr od Muszyny. W tej odnowie muszyńskich lasów mam i ja pokaźny udział, gdyż w ciągu piętnastu lat pracy zalesiłem około tysiąca hektarów. Wyniki tego działania są dzisiaj powodem do wielkiej radości.



W beskidzkim lesie
(fot. Adam Czarnowski)

¹ Inż. Michał Witowski zmarł w roku 1989; pisaliśmy o nim w *Almanachu Muszyny '99* (Adam Schwarz-Czarnowski, *Wspominam rodzinę Witowskich*; Bogdan Witowski, *Michał Witowski. Wspomnienie o ojcu*)

Basia Gumulak

ZWYCZAJNY DZIEŃ

Moim przyjaciółom – za te cudowne, „zwyczajne” dni

dzień –
jak każdy inny
budzący się porankiem
i zasypiający mrokiem
zwykły –
krótko-długi dzień
zbudzony z głębokiego snu uśmiechem słońca
przesiadujący godzinami na gałęziach rzeczywistości
w pośpiechu zapomniał dokumentów
wsiadł do innego autobusu
i przez pomyłkę umieszczono go
w programie nocnym
rozgłośni
zwariowany –
dziwny dzień
z rozwianą fryzurą
w koszuli w kratkę
i wiecznym piórem włożonym za ucho
tanecznym krokiem przemierza czas
drażni się z echem
przedrzeźnia nudę
do koperty zrobionej z listka
wkłada maleńką stokrotkę
zakleja wiatrem
i adresuje:
„Wam,
którzy jesteście beczasowością...”

FUNDUSZ STYPENDIALNY *ALMANACHU MUSZYNY*

Fundusz został ustanowiony w roku 1999 przez Przyjaciół *Almanachu Muszyny* z przeznaczeniem na stypendia dla szczególnie uzdolnionej młodzieży, uczęszczającej do muszyńskiego Liceum Ogólnokształcącego. Dzięki Państwa ofiarności możemy nadal poszerzać zakres programu stypendialnego. I tak w roku 2002 w dniu 6 lipca, w trakcie XII Spotkania Przyjaciół *Almanachu Muszyny*, przyznamy już aż siedem stypendiów. Z Państwa wpłat, a także z wpływów ze sprzedaży *Almanachu Muszyny* zgromadziliśmy w okresie od lipca 2001 do marca 2002 roku kwotę 12 000 PLN, realizując założenia programu „Równe szanse”, a Fundacja Batorego zadeklarowała zasilenie konta Funduszu Stypendialnego podobną kwotą.

Wszystkim dzisiejszym i przyszłym donatorom serdecznie dziękujemy!

Poniżej lista wpłat, jakie odnotowaliśmy na koncie Funduszu Stypendialnego
od 15 maja 2001 do 15 maja 2002 roku

DATA	Kwota	Wpłacający	MIASTO
2001. 05. 18	100	Bogumiła Biela	Warszawa
2001. 05. 18	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2001. 06. 04	500	Bożenna Stachurska	Warszawa
2001. 06. 06	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2001. 06. 16	30	Janina Plachy	Muszyna
2001. 06. 16	30	Janina Pirogowicz	Muszyna
2001. 06. 29	50	Stanisław Wrona	Muszyna
2001. 07. 02	200	Barbara Markiewicz	Muszyna
2001. 07. 02	100	Stefan Małecki	Muszyna
2001. 07. 02	300	Bank Spółdzielczy w Muszynie	Muszyna
2001. 07. 03	50	Barbara Cichy	Krynica
2001. 07. 03	300	Joanna i Stanisław Gajewscy	Warszawa
2001. 07. 03	100	Maria i Piotr Osóbkowie	Warszawa
2001. 07. 05	100	Ewa i Kazimierz Walczykowie	Kraków
2001. 07. 06	50	Andrzej Moszczak	Muszyna
2001. 07. 06	100	Maria i Henryk Łuckiewiczowie	Muszyna
2001. 07. 06	100	Czesław Tarnogórski	Warszawa
2001. 07. 06	100	Urszula Sobkowiak	Bydgoszcz
2001. 07. 07	20	Anna Totoń	Nowy Sącz
2001. 07. 10	200	Zofia Sapijaszka	Łódź
2001. 07. 11	100	Aleksandra i Tadeusz Wojnowscy	Warszawa
2001. 07. 11	100	Elżbieta i Ziemomysł Starkiewiczowie	Krynica
2001. 07. 11	100	Bartłomiej Miczulski	Lublin
2001. 07. 11	30	Renata Kopacz	Muszyna
2001. 07. 12	50	Aleksander Markiewicz	Muszyna
2001. 07. 12	100	Anna i Włodzimierz Matuzikowie	Kraków

2001. 07. 13	30	Michalina Kowalczyk	Muszyna
2001. 07. 13	100	Łucja i Jan Tomaszowie	Krynica
2001. 07. 13	50	Irena Mazurkiewicz	Warszawa
2001. 07. 13	100	Danuta Kramkowska	Muszyna
2001. 07. 13	50	Ewa Rogalińska	Kraków
2001. 07. 14	50	Alicja i Antoni Kalafutowie	Świebodzice
2001. 07. 16	400	Jacek Kwitowski	Jastrzębik
2001. 07. 18	50	Anna Żurawel-Drwota	Kraków
2001. 07. 18	50	Alina Kowalska	Kraków
2001. 07. 19	20	Adam Wiśniewski	Warszawa
2001. 07. 19	50	Danuta Kisielewska	Muszyna
2001. 07. 20	50	Ojcumiła i Przemysław Malcowie	Kraków
2001. 07. 21	55	Maria i Stanisław Krysińscy	Warszawa
2001. 07. 26	50	Jadwiga Warszńska	Kraków
2001. 08. 01	50	Maria Ruchałowska	Muszyna
2001. 08. 01	30	Jacek Wojciechowski	Kraków
2001. 08. 01	100	Stanisław Zatorski	Bochnia
2001. 08. 04	100	Małgorzata i Tadeusz Grucowie	Kraków
2001. 08. 06	1 000	Procter & Gamble	Warszawa
2001. 08. 07	150	Jerzy Dietl	Łódź
2001. 08. 08	300	Anna Marzec	Gliwice
2001. 08. 09	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2001. 08. 09	100	Anna i Stanisław Olendscy	Warszawa
2001. 08. 09	100	Grażyna Hołownia	Białystok
2001. 08. 14	50	Tadeusz Swinecki	Grybów
2001. 08. 14	600	Anna i Jacek Rodakowie	Warszawa
2001. 08. 16	100	Aleksander Chrostowski	Warszawa
2001. 08. 16	100	Maria i Arkadiusz Wciśliński	Konstancin
2001. 08. 27	200	Maria i Zbigniew Keklakowie	Muszyna
2001. 08. 27	100	Tomasz Witek	Bydgoszcz
2001. 08. 29	400	Stefan Preker	Warszawa
2001. 08. 30	50	Janina Kędzierzawska	Warszawa
2001. 08. 30	100	Marta i Wiesław Kokoszkowie	Kraków
2001. 09. 03	30	Jerzy Morgulec	Warszawa
2001. 09. 08	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2001. 09. 12	300	Joanna i Stanisław Gajewscy	Warszawa
2001. 09. 20	60	Marek Miczulski	Muszyna
2001. 09. 27	80	Alicja Kruk	Kraków
2001. 09. 27	20	Irena Mazurkiewicz	Warszawa
2001. 10. 03	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2001. 10. 15	100	Zofia i Krzysztof Stosur	Muszyna
2001. 11. 10	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2001. 11. 13	300	Wojciech Fizyta	Waszyngton
2001. 11. 14	300	Robert Buliszak	Muszyna
2001. 11. 15	20	Helena Jarosz	Muszyna
2001. 11. 16	1 000	Janusz Orzechowski	Nowy Jork
2001. 11. 16	30	Urszula Mierzejewska	Wrocław

2001. 11. 23	100	Grażyna i Henryk Koperscy	Piastów
2001. 11. 23	50	Danuta Jankowska	Warszawa
2001. 12. 06	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2001. 12. 10	10	Maria Krysińska	Warszawa
2001. 12. 10	50	Tadeusz i Aleksandra Wołowcowie	Muszyna
2001. 12. 10	50	Bożena i Ryszard Krukowie	Warszawa
2001. 12. 11	100	Tytus Tomczyński	Gładyszów
2001. 12. 22	100	Marek Orczyk	Nowy Sącz
2001. 12. 28	100	Adriana Palińska	Warszawa
2001. 12. 08	100	Małgorzata Buyko	Kraków
2001. 12. 29	100	Ks. Józef Drabik	Krynica
2001. 12. 31	30	Magdalena i Paweł Myślikowie	Muszyna
2002. 01. 02	100	Aurelia i Marek Richterowie	Warszawa
2002. 01. 05	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2002. 01. 12	50	Tadeusz Swinecki	Grybów
2002. 01. 12	50	Maria i Kazimierz Piechotkowie	Warszawa
2002. 01. 22	100	Agnieszka Zachwieja	Szczawnica
2002. 01. 22	150	Janina Kumorek	Muszyna
2002. 01. 22	100	Edward Pakuła	Muszyna
2002. 01. 23	50	Adam Czarnowski	Warszawa
2002. 01. 23	100	Barbara Barszcz	Muszyna
2002. 01. 24	385	Wiktor Borzemski	Milwaukee
2002. 02. 01	100	Stefan Małecki	Muszyna
2002. 02. 05	20	Anna Totoń	Nowy Sącz
2002. 02. 07	50	Edward Pląder	Kielce
2002. 02. 13	15	Maria Krysińska	Warszawa
2002. 02. 14	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2002. 02. 16	50	Alina Kowalska	Kraków
2002. 02. 21	100	Zofia i Zbigniew Kałuccy	Katowice
2002. 02. 22	40	Elżbieta Ślusarczyk	Opole
2002. 02. 23	300	Maria Zajączkowska	Bydgoszcz
2002. 02. 28	50	Janina Kędzierawska	Warszawa
2002. 03. 05	200	Joanna Litwa	Muszyna
2002. 03. 11	342	Bartosz Zieliński	Szczawnik
2002. 03. 13	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2002. 03. 15	50	Bogusław Lewandowski	Piotrków
2002. 04. 04	200	Danuta i Andrzej Tischnerowie	Muszyna
2002. 04. 10	30	Maria Krysińska	Warszawa
2002. 04. 13	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2002. 04. 20	20	Renata Kopacz	Muszyna
2002. 05. 02	200	Henryk Wiśniewski	Kraków
2002. 05. 07	25	Stanisław Krysiński	Warszawa
2002. 05. 12	70	Teresa Góra-Plettenberg	Niemcy
2002. 05. 15	10	Jerzy Zawilak	Kraków
2002. 05. 15	200	Renata i Mieczysław Pohlowie	Warszawa
Razem	14 107		

Konto Funduszu Stypendialnego Almanachu Muszyny

Bank Spółdzielczy w Muszynie

88090005-185-27006-12

Protokół Komitetu Stypendialnego Almanachu Muszyny 7 lipca 2001 roku

W Zespole Szkół Ogólnokształcących w Muszynie odbyło się posiedzenie Komitetu Stypendialnego *Almanachu Muszyny* w składzie: przewodniczący – Witold Kaliński, sekretarz: Małgorzata Przyboś, członkowie: Janina Kumorek, Krystyna Murzyn, Andrzej Tokarczyk, Adam Ziemianin.

W części pierwszej odbyło się publiczne przesłuchanie czwórki kandydatów, wyłonionych przez Radę Pedagogiczną i Dyрекcję Liceum Ogólnokształcącego w Muszynie:

- Anny Czarneckiej, uczennicy klasy II, zam. w Muszynie,
- Beaty Kuczkowskiej, uczennicy klasy III, zam. w Krynicy,
- Dobrosławy Kurzei, uczennicy klasy IV, zam. w Muszynie,
- Bartosza Zielińskiego, ucznia klasy IV, zam. w Muszynie - Szczawniku.

W części drugiej odbyło się zamknięte posiedzenie Komitetu, który jednomyślnie postanowił, iż stypendystami *Almanachu Muszyny* zostają:

- Bartosz Zieliński – roczne stypendium w wysokości 300 złotych miesięcznie,
- Dobrosława Kurzeja – roczne stypendium w wysokości 200 złotych miesięcznie.

Ponadto Anna Czarnecka i Beata Kuczkowska otrzymały jednorazowe nagrody po 200 zł.

W trakcie posiedzenia zamkniętego Komisja obradowała nad wyłonieniem najlepszej pracy maturalnej z języka polskiego. Zgłoszone zostały prace:

- Angeliki Bednarskiej, zam. w Krynicy,
- Andrzeja Cisowskiego, zam. w Muszynie - Folwarku,
- Izabeli Kucz, zam. w Muszynie - Złockiem,
- Katarzyny Skwarczewskiej, zam. w Muszynie,
- Jarosława Szabli, zam. w Andrzejówce.

Komitet Stypendialny po zapoznaniu się z powyższymi pracami postanowił:

- nie przyznawać I miejsca,
- przyznać II miejsce i roczne stypendium w wysokości 200 złotych miesięcznie Andrzejowi Cisowskiemu.
- Angelice Bednarskiej, Izabeli Kucz, Katarzynie Skwarczewskiej i Jarosławowi Szabli przyznać jednorazowe nagrody po 200 zł.

Wszyscy stypendyści i kandydaci do stypendium otrzymali dodatkowo nagrody książkowe.



Fundusz Stypendialny ALMANACHU MUSZYNY

PRYZNANIE STYPENDIÓW 7 LIPCA 2001 ROKU



Odczytanie werdyktu jury

Stypendystami zostali Dobrosława Kurzeja i Bartosz Zieliński, a także maturzysta Andrzej Cisowski



Wręczaniu stypendiów przyglądali się przyjaciele Almanachu Muszyny

Spotkanie przyjaciół **ALMANACHU MUSZYNY**

7 lipca 2001 roku

„ZBÓJNICKA BIESIADA”



Starosta nowosądecki Jan Golonka
z gościem honorowym Spotkania
Juliuszem Jarończykiem,
prezesem Krynickiego
Towarzystwa Fotograficznego
i Klubu Modelarskiego „Zefirek”
w Muszynie



Wystawa malarstwa *Katarzyny Kosiby-Seweryn i Mateusza Seweryna*

Wernisaż w Bibliotece w Muszynie 6 kwietnia 2002 roku



Artyści i Zarząd Koła Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Muszynie



Katarzyna Kosiba-Seweryn



Mateusz Seweryn

**LIST KU CZCI JULIUSZA JAROŃCZYKA,
GOŚCIA HONOROWEGO SPOTKANIA
PRZYJACIOŁ ALMANACHU MUSZYNY,
UŁOŻONY I ODCZYTANY PRZEZ PIOTRA KRUKA**

**KOSMICZNIE DOSTOJNY
ULUBIEŃCU PRZESTWORZY
NIEBIESKI A I ZIEMSKI EROSIE
CIEPŁY ZAWSZE ZEFIRZE
PRZYJACIELU NASZ
A DZIECIOM NASZYM DOBROCZYŃCO!**



CZCIGODNY JUBILACIE!

*Cóż warte byłoby bez Ciebie niebo nad Jaworzyną, jak Pusta Wielka nagie i zamyślane?
Cóż warte muszyńskie kariery bez warszawskich aerodynamicznych tuneli?
Cóż warte kwiaty jednej nocy bez Twojego zatrzymania ich w kadrze, ku przestrodze
potomnych?*

Cóż warte? Czy tylko spokoju warte?

*Rozsądni bogowie uznali widać Ziemię Muszyńską za wybraną, mącąc błogi spokój gradem
spadających gwiazd – talentów.*

*Do kogoż Cię zatem zaliczyć Mistrzu? Wrytego w tę ziemię jak gorący meteor. Do swoich,
do swoich – niesie echo od Malnika. Do naszych, do naszych – wybija zegar sądeckiego
ratusza...*

*A Ty, jak wystrzelona z muszyńskiego kosmodromu rakietą, im wyżej, tym bliższy jesteś nam
wszystkim w swoim niespokojnym, radosnym, pełnym pasji, zaraźliwym locie.*

DZIEKUJEMY CI ZA TO!

Szybuj zatem dalej i dalej zachwycaj, zapamiętując tylko przyjazne chwile.

Przymrużaj oko na słabości i próżność, co się zdarza.

Bądź nam zawsze Mistrzem i Przyjacielem!

AD MULTOS ANNOS!

Janina Kumorek

KARCZMA W ŻEGIESTOWIE

Prawdziwa karczma
z tęgiego drewna

wewnątrz
jak dawniej bywało
solidne stoły i ławy
smakowite jadło
skwierczący kominek
drewniane królestwo
rzeczy
bliska sercu prostota

tu drzewa żyją dłużej
w stropowej belce
w grubym filarze
we framudze okna



Jadwiga Kracoń

ZWYCZAJE I OBRZĘDY MUSZYŃSKIE W XX WIEKU

Doroczna obrzędowość religijna

Kultura ludowa obszaru, objętego przez muzyńską gminę, była z troską przekazywana z pokolenia na pokolenie. Rodowa duma i dostojeństwo muzyńskich mieszczan objawiały się przede wszystkim podczas uroczystości rodzinnych oraz kościelnych. W nich to muzyński świat zachował najdłużej swoje charakterystyczne znamiona.

Przypadający na 30 listopada dzień św. Andrzeja jest początkiem roku kościelnego. Dawniej był bogaty w obyczaje i obrzędy, z których w Muszynie w drugiej połowie XX wieku pozostały już tylko wróżby, zwane „andrzejkami”. Repertuar wróżb był duży, jednak z biegiem czasu ograniczył się do lania wosku (ołowiu) i przekładania bucików. Za pomocą przekładanych jeden przed drugim – w kierunku drzwi – lewych trzewików, dziewczyny wróżyły, kto opuści dom rodzinny w ciągu nadchodzącego roku. Zarzuconym w zasadzie zwyczajem stało się wkładanie do wazonów gałązki wiśni. Zazielenienie się gałązki do świąt Bożego Narodzenia oznaczało dla dziewczyny pomyślną wróżbę.

Dzień 6 grudnia jest poświęcony zarówno przez Kościół zachodni, jak i wschodni, św. Mikołajowi. W Muszynie, podobnie jak w innych regionach Polski, pielęgnowany był zwyczaj obchodzenia domów przez mężczyznę przebranego w szaty liturgiczne, z mitrą na głowie i pastorałem w ręce. Towarzyszył mu zwykle chłopiec w bieli, grający rolę anioła, oraz umorusany na czarno chłopiec – diabeł, który podzwaniał łańcuchami. W domach przekazywano mu dary, przeznaczone do wręczenia dzieciom. „Św. Mikołaj” nieodmiennie pytał, czy dzieci były dobre i posłuszne w ciągu roku. W nagrodę za to otrzymywały jabłka, słodycze i inne drobiazgi. Natomiast psotników „diabeł” okładał kijem.

Żaden dzień w roku nie był tak bogaty w obrzędy i wróżby, jak wigilia Bożego Narodzenia (nazwa wywodzi się od łacińskiego słowa „vigilare” – oczekiwać), w Muszynie nazywana „wiliją”. Od przebiegu wigilii miała wręcz zależeć jakość nadchodzącego roku. Panowało przekonanie, że w dzień ten los człowieka może zyskać nowy, szczęśliwy obrót. Pannę, która tarła mak, czekało wnet zamążpójście. Myśliwy, który zdołał tego dnia coś upolować, mógł liczyć na powodzenie w łowach przez następne miesiące. W wigilię obowiązywał post ścisły, potrawy mleczne i mięsne były wykluczone. Przed wieczerzą można było zjeść tylko śniadanie, które składało się z czarnej kawy, chleba i kawałków śledzia moczonego w occie. Zwracano uwagę, by liczba osób przy stole wigilijnym była parzysta, w przeciwnym razie ktoś z rodziny nie wzięłby udziału w następnej wigilijnej wieczerzy. Natomiast liczba potraw była nieparzysta, co miało sygnalizować, że jest jeszcze miejsce na kolejne danie. Wszystkie potrawy były postne; w ich skład wchodziły np. kapusta, groch, śliwki suszone, śledź lub karp, kluski, pierogi itp. Jako omasty używano oleju lnianego. Po wieczerzy następowało wróżenie, kolędowanie oraz karmienie zwierząt. Gospodarz zabierał pozostałości z wigilijnej kolacji i udawał się do obory. Podawał

zwierzętom kawałki chleba z opłatkiem oraz resztki potraw. Wierzano, że w wigilię o północy krowy rozmawiają ze sobą ludzkim głosem.

W okresie Świąt odbywało się „kolędowanie”. W Muszynie chodziły trzy grupy kolędników: z turoniem, gwiazdą i szopką. Turoń miał na kiju osadzoną głowę, zrobioną z drewna na wzór głowy konia, kozy czy niedźwiedzia z rogami; ruchoma dolna szczeka kłapała, pociągana za sznurek. Jeden z pozostałych przebierańców prowadził turonia na łańcuchu, a w odwiedzanych domach pozwalał mu gonić dziewczęta – ku ogólnej uciechy. Druga grupa kolędników wędrowała natomiast z „płonącą gwiazdą”. Był to zwykle stary przetak ze świeczką w środku, umieszczony na drążku. Przyjmowanie kolędników traktowane było jako wielki zaszczyt dla każdego domu.

Okres od dnia Trzech Króli do środy popielcowej był okresem weseli i hucznych zabaw, a ponieważ prac w gospodarstwie było wówczas mało, ludzie spędzali czas na rozrywkach. Znaczący był też okres od Popielca do Wielkanocy. Muszyniacy bardzo przestrzegali zasad dotyczących rytuałów religijnych. Post był więc ściśle przestrzegany. W środy, piątki i soboty nie jadło się ani mięsa, ani nabiału. Na śniadanie był chleb albo „bulonik” (placek pieczony na blasze), kawa zbożowa, rzadko kiedy słodzona.

Świętowanie Wielkanocy rozpoczynano w Wielką Sobotę. W tymże dniu, podobnie jak dziś, ludzie przynosili do kościoła potrawy do poświęcenia: szynkę, kielbasę, kraszanki, chrzan, sól, strucle, buchty, masło szaldrową itp. Po zachodzie słońca odbywało się w kościele nabożeństwo rezurekcyjne. Po modlitwach przy Grobie Pańskim i procesji wracano do siebie, unikając wstępowania do innych domów, by w nich nie pozostawić błogosławieństwa Bożego, jakie otrzymywało się w kościele. W Niedzielę Wielkanocną rano spożywało się „święcone”. Pokrojone na cząstki jajka nabijano na widelce i każdy z uczestników śniadania stukał w jajko innego domownika, wymieniając życzenia. Skorupki ze święconych jajek przechowywało się i następnie wrzucało do siewnego ziarna, co miało chronić zasiew przed zniszczeniem przez robaki.

O ile na Boże Narodzenie mięsem świątecznym była gęsina, to na Wielkanoc tę samą rolę spełniała wieprzowina, a u biedniejszych rodzin mięso z jagniąt lub kozłat. W pierwszy dzień Wielkanocy nie wolno było spać ani się wylegiwać, bo „żyto w polu będzie się przewracało”. W tym dniu wstrzymywano się z odwiedzinami. Zebrana w domu rodzina śpiewała pieśni wielkanocne. Drugi dzień wielkanocny również był obchodzony uroczysto. Chłopcy polewali wodą dziewczyny; zazwyczaj przychodzili do domów wcześniej rano, otrzymując za to kraszanki. Świętowano również trzeci dzień Wielkanocy, ale później stracił on swój uroczysty charakter.

Kolejnym znaczącym świętem w kalendarzu było Zesłanie Ducha Świętego. W sobotę przed Zielonymi Świątkami majono domy w Muszynie gałązkami brzozy, modrzewia i innych drzew. Nie wolno było ścinać leszczyny, bo według legendy pod nią schowała się Matka Boska podczas ucieczki z Egiptu. Dzięki temu w krzak leszczyny nigdy piorun nie uderzy! W drugi dzień Zielonych Świątek w Muszynie kultywowano zwyczaj strojenia grobów bliskich zmarłych, a na cmentarzu ksiądz odprawiał mszę św.

Ważnym świętem była też – jak i obecnie – uroczystość Bożego Ciała. W Muszynie ustawiano na Rynku cztery ołtarze, udekorowane gałązkami brzozy i modrzewia. Kiedy ksiądz po modłach przed jednym ołtarzem udawał się do drugiego, łamało się gałązki,

ogółając ołtarze. Ułamane gałązki zabierano do domów, przechowywano i palono podczas burzy, gdyż miały moc odpędzania piorunów od zagrody.

Bardzo uroczyście obchodzono noc poprzedzającą dzień św. Jana (23/24 czerwca). Zwyczaj ten zachował się do tej pory, choć w zmienionej formie. Odbýwały się tańce i miały miejsce różne obrzędy, skierowane zwłaszcza przeciwko czarownicom, które w tę noc miały być szczególnie aktywne.

Święto Matki Boskiej Siewnej tradycyjnie związane było z dożynkami i początkami zasiewów zimowych. Żniwiarze splatali wieniec z kłosów i kwiatów, ustrojony wstążkami, i nieśli go do gospodarza. Procesję prowadziła najpiękniejsza żniwiarka, którą w czasie powitania przez gospodarza obficie polewano z ukrycia wodą. Następnie odbywała się uczta, śpiewy i tańce.

W trzecią niedzielę października, kiedy nie tylko zboże było już w domu, ale i ziemniaki wykopane, i buraki zebrane z ogrodów, w kościele odprawiano dziękczynne nabożeństwo zwane „kiermaszem”, a w domu miał miejsce „odomasz”, czyli uczta.

Również dzień Wszystkich Świętych obchodzono bardzo uroczyście, podobnie jak i dzisiaj.

Podsumowując krótki opis dorocznej obrzędowości religijnej, kultywowanej w Muszynie, należy podkreślić, że wiele jej elementów zachowało się w zupełnie niezmienionej formie. Część jednak uległa znacznemu uproszczeniu i unowocześnieniu, a część została zaniechana, zwłaszcza przez ludzi młodych.

Obrzędowość rodzinna

Najważniejszymi wydarzeniami w rodzinie były – i są – narodziny dzieci, śluby i pogrzeby. Często miały one swą „oprawę magiczną”, związaną z licznymi wierzeniami, obrzędami i zwyczajami. Kobiety w ciąży obowiązywały przeróżne zakazy, po których pozostały obecnie nikiel wspomnienia. Przestrzegano przyszle matki przed tzw. „zapatrzeniem się”, podając konkretne przykłady jego skutków. W latach powojennych wszystkim muszynianom znany był na przykład mężczyzna, mieszkający nieopodal kościoła, który miał dziwne rysy twarzy i brak mu było prawej dłoni. Ludzie opowiadali, że jego matka podczas ciąży lubiła klęczeć na stopniach ołtarza św. Jana, koło chrzcielnicy. Obok znajdowała się figura anioła, któremu ktoś oderwał prawą dłoń. Kobieta długo wpatrywała się w figurę i „się zapatrzyła”. Urodziła chłopca o twarzy anioła, bez prawej dłoni. Podobno istotnie człowiek ten, nawet w starszym wieku, zachował rysy twarzy owego bezrękiego anioła.

Muszyńskie kobiety w ciąży unikały „zapatrzenia”, mijały więc ludzi brzydkich czy ułomnych, odwracając wzrok, bądź zasłaniając rękami oczy.

Po narodzinach odbywały się chrzciny dziecka. Do kościoła zanosili je „kumowie” – rodzice chrzestni dziecka. Gdy wracali z kościoła, mówili: „Wynieśliśmy poganina, przynosimy chrześcijanina! Gdzie jest ojciec?” Jemu oddawali dziecko, a ten z kolei przekazywał maleństwo matce.

Kolejnym ważnym etapem w życiu rodziny było wesele. W Muszynie miało ono odpowiednio tradycyjną oprawę. W niektórych rodzinach – zwłaszcza bogatych – uważano, że córkę (narzeczoną) należy kupić. Syn dobrze sytuowanej rodziny nie miał

z tym problemów. Gorzej było, gdy pochodził z rodziny biednej. Wtedy jedynym dlań wyjściem było porwanie ukochanej (dość powszechnie praktykowane). Wstępem do wesela były zmówiny. Dwaj starsi mężczyźni, reprezentujący młodzieńca, udawali się w czwartek wieczorem do domu rodziców panny młodej. Szedł z nimi też sam zainteresowany, ale zostawał przed domem. Swatowie pytali rodziców panny młodej o zgodę na jej zamążpójście. Jeżeli rodzicom – czy dziewczynie – konkurent się nie podobał i odmawiali – wówczas swatowie odchodzili. W wypadku przyzwolenia, swatowie wyciągali z kieszeni butelkę wódki i wołali szczęśliwego narzeczonego. Rodzice informowali wtedy, jaki będzie posag panny. W tym czasie dziewczyna kryła się przed młodzieńcem i wychodziła dopiero, gdy ją wywołano. Nareczony od swych rodziców otrzymywał ziemię, panna pieniądze i wyprawę. Wyposażenie jej w ziemię nie przyparało szacunku panu młodemu. Zamiejscowych chłopców, którzy ożenili się w Muszynie, nazywano „przystasiami”, jako że „przystawali” do miejscowej rodziny.

W dzień ślubu rano (śluby kościelne odbywały się w soboty) pan młody przybywał z друзbami do domu narzeczonej. Wpuszczano go do środka po specjalnej ceremonii targowania się. Panna młoda z płaczem całowała bochenek chleba, po czym oboje z narzeczoną wysłuchiwali oracji starosty. Następnie młoda para prosiła rodziców o błogosławieństwo.

W pierwszą noc po ślubie następowały oczepiny, czyli wprowadzenie panny młodej w krąg mężatek. Kobiety sadzały ją na dzieźce pośrodku izby i śpiewając pieśni obrzędowe obcinały jej warkocze, a następnie nakładały czepek na głowę. Panna młoda protestowała, płakała, zrzucała czepek, ale w końcu godziła się z losem.

Smutnym wydarzeniem w rodzinie była śmierć kóregoś z jej członków. Agonia uważana była za „zbieranie się” duszy do wyjścia z ciała. Dawano choremu gromnicę do ręki i zabraniano płaczu i hałasu, by „nie przecinać duszy”. Jeżeli chory męczył się i nie mógł skonać, uważano, że jest wielkim grzesznikiem. Oczy zmarłego zamykano, aby nie „wypatrzył kogoś z rodziny na drugi świat”. Ciało ubierano w nowe okrycie i nakładano mu specjalne obuwie, ponieważ uważano, że nieboszczyka czeka daleka droga.

Domownicy wciągali na siebie odświętne stroje, a do pogrzebu nie wolno im było pracować. Ciało pozostawało w domu przez dwie noce, które zwano „pustymi”. Zmarłe dzieci wkładano do trumny białego koloru. Dla panien przeznaczony był niebieski, a dla starszych osób – czarny. Jeżeli umarło jedno z małżonków, pozostały przy życiu partner (partnerka) siekierą rozcinał najdrobniejszą monetę i jedną połowę kładł do trumny, drugą zatrzymywał dla siebie. W ten sposób symbolicznie dzielił majątek na dwie połowy, dzieląc się ze zmarłym, by ten nie miał pretensji i nie wracał z drugiego świata. Przy wynoszeniu trumny z domu lekko trzy razy stukano nią w próg. Mówiono, że w ten sposób zmarły żegna się z domem.

Żałobę celebrowano w rodzinie przez czterdzieści dni. Po tym czasie zbierali się znów krewni i znajomi na odmawianie różańca i śpiewanie pieśni pogrzebowych.

Lecznictwo ludowe

Niski poziom higieny, złe odżywianie się i ciężka praca były powodem szerzenia się wielu chorób. Walcząc z nimi, ludowe leczenie wspierało się magią. Stąd utarło się

mniemanie, że jest ono niczym innym, jak tylko zbiorem zabobonnych środków i praktyk. Tymczasem ludzie, stosując dostępne środki, by zbić gorączkę, czy uśmierzyć ból, mimochodem znajdowali racjonalne lekarstwa i metody leczenia. Stąd lecnictwo ludowe można podzielić na racjonalne i nieracjonalne.

Do lecnictwa racjonalnego należało picie wody mineralnej, picie naparów ziół, kąpiele w wodzie zaprawionej ziołami, nacieranie chorych części ciała maściami, alkoholem, tłuszczem, stosowanie okładów na chore miejsca. Podobnie, jak i gdzie indziej, w Muszynie stosowano – jako okład na rany – chleb ugnieciony z pajęczyną, długo przed wynalezieniem penicyliny. Opowiadając o lecnictwie ludowym, warto przytoczyć autentyczny przypadek, jaki miał miejsce w pewnej muzyńskiej rodzinie. Dziesięcioletnia dziewczynka zapadła na „tyfus wodny”, a przywołany lekarz stwierdził, że nie ma lekarstwa na tę chorobę. Przewidział stopniowy zanik działalności zmysłów i mięśni, w końcu śmierć. Nawet gdyby dziecko jakimś cudem przeżyło, byłoby kaleką, niedorozwiniętą umysłowo z powodu uszkodzenia mózgu. Istotnie zapowiedź lekarza sprawdzała się – dziewczynka chudła i stopniowo traciła władzę w kończynach, a żywiła się jedynie śmietaną, wlewając jej przez matkę do gardła. W krytycznym momencie odwiedziła tę rodzinę znajoma, która wcale nie uważała się zresztą za znachorkę, i poradziła matce dziewczyny, by wykąpała ją w wodzie zaprawionej w połowie... gnojówką. Kolejne kąpiele stopniowo polepszały stan dziecka – ku osłupieniu lekarza.

W nieracjonalnym postępowaniu leczniczym nie tylko, że stosowano środki nie mające nic wspólnego z leczeniem, ale również używano „odpowiednich” słów, bądź „wyklinano” chorobę. Wiara w skuteczność tych środków była tak wielka, że zdarzało się, iż osoby leczące ziołami, na wyraźne żądanie chorego, musiały wymyślać specjalne czynności i zaklęcia (na przykład: chory ma wstać z łóżka o północy, obejść izbę tyłem trzy razy, odmawiając „Ojcze nasz”). Pacjent stosował się do instrukcji, a wtedy „zioła pomagały”. Więcej kłopotu sprawiało czasem wymyślanie różnych praktyk magicznych, niż poznanie choroby i dostosowanie do niej odpowiednich ziół.

Na skutek wiary, że chorobę można wywołać przez wymówienie jej nazwy, muzynianie unikało oficjalnych określeń, znajdując zastępcze, często – dla udobruchania choroby – zwąc ją „ciotką”, „babką”, czy „siostrą”. Do dziś czasem używa się w Muszynie podobnych określeń.

Ludzie podawali różne powody powstawania chorób, np.: wichura miała powodować ból głowy, choroby skóry, padaczkę, a nawet obłęd u ludzi i zwierząt; woda miała powodować wodną puchliznę; wiele chorób powodowały robaki, które mogły zagnieździć się w jelitach, sercu i mózgu człowieka; choroby mogły być wywoływane też przez pewne osoby, zwłaszcza te, które rzucały zawistne spojrzenia, powodując ból i zawroty głowy, nudności itp.

Jeszcze długo po II wojnie światowej w Muszynie cieszyły się powodzeniem trzy „znachorki”, które leczyły przy pomocy magii. Chociaż korzystano z ich usług, nie cieszyły się sympatią, jako że były „nieczystymi kobietami”, zadającymi się z „czartami”, a więc – czarownicami. O tym nie wolno było jednak głośno mówić, bo znachorki mogły się srogo zemścić.

Mężczyźni w Muszynie raczej nie zajmowali się leczeniem, pozostawiając tę czynność kobietom. Niemniej jednak znani byli znachorzy wśród „baczów” wołoskich, którzy

w okolicznych górach doglądali juhasów wypasujących owce i bydło. Muszynianie często korzystali z usług baczów (także słowackich) w leczeniu różnych chorób.

Wiele z wymienionych zwyczajów i obrzędów rodzinnych zachowało się do dnia dzisiejszego. Kulturowane są głównie w domach, gdzie żyją jeszcze starsi członkowie rodzin, którzy doskonale je pamiętają i pragną jak najdłużej podtrzymać tradycję.

Od autorki:

Artykuł oparto m.in. na książkach i opracowaniach Franciszka (Franka) Kmietowicza: *Zwyczaje i wierzenia dawnych mieszkańców Muszyny*, Wyd. Cyryla i Metodego, Montreal 1996; *Czarownica*, Londyn 1956; *Dzieje Muszyny*, Katowice 1987. Patrz też artykuły Witta Kmietowicza: *Muszyńskie czarownice, mamuny, boginki i...*, Almanach Muszyny 1993; *Muszyńskie wesele*, Almanach Muszyny 1996; *Muszyńskie chrzciny*, Almanach Muszyny 1997.



Stary Zajazd z XVIII wieku – obecnie siedziba Muzeum Regionalnego w Muszynie
(drzeworyt Aleksandra Rojny)

KORESPONDENCJA ALMANACHU MUSZYNY

50 LAT PRZYJAŹNI Z MUSZYNA

Zauroczona wspomnieniami Magdy Małeckiej-Myślik, zamieszczonymi w ubiegłorocznym *Almanachu Muszyny*, przywołałam w pamięci moje muszyńskie przeżycia. W lipcu 2001 roku minęło 50 lat od czasu, kiedy zaraz po ślubie przyjechałam do Muszyny. Zakochałam się w niej i miłość ta trwa nadal. Przez wszystkie te lata, gdy zdarzało mi się spędzać wakacje w innych miejscach, pozostawał mi zawsze pewien niedosyt. Mówiłam wtedy: „Urlop był piękny, ale to nie Muszyna”. Tu zawsze było cudownie, zachwycało mnie wszystko: dymy z komina pachnące drewnem, grzmoty i błyskawice w czasie burzy, opary po deszczu unoszące się z lasów. Także szum Popradu, płynącego po kamieniach.

Z tych pierwszych lat pamiętam festyny, szczątkową już muszlę koncertową i kiosk z napojami. Pamiętam starszych mieszkańców Muszyny, odpoczywających wieczorami na ławeczkach lub schodkach przed domami. Wszyscy się tu znali i nawzajem sobie kłaniali. Woda w Popradzie była czysta, przejrzysta, można było się w niej kąpać – to tu właśnie nauczyłam się pływać. Z czasem Muszyna piękniała, były urocze skwery z ławeczkami, ławki nad Popradem, Muszynką i ukwiecony źródło „Antoni”. Przyjeżdżało coraz więcej letników i dzieci na kolonie, więc zjedzenie obiadu w „Adrii”, czy w „Podhalance”, było problemem – przeważnie, czekając na stolik, stałam komuś za plecami, a potem ktoś inny z kolei zaglądał mi w talerz. Przybywało sanatoriów i prywatnych willi. Niektórzy muszynianie – jak słyszałam – sprytnie omijali zakaz burzenia starych domów (lub ich remontowania) i stawiali ściany z cegły wewnątrz budynku. Po jakimś czasie zdejmowali drewno i zostawał murowany dom. Po paru latach wybudowano „Żerań” (obecnie „Muszyna”) i „Ursus” („Korona”), i teraz wieczorami spoglądałam na dwa oświetlone rzęsiście budynki, niczym okręty płynące po oceanie nocy. Lubiłam wieczorami patrzeć na rozjaśniony światłami pociąg, jak wiję się po torach w kierunku rampy na ul. Piłsudskiego. Niestety, nowo wybudowane domy zabrały mi tę przyjemność. Wieczorami spotykaliśmy się z przyjaciółmi męża i wspominali dni smutne i wesołe z czasów II wojny światowej, a także powojenny okres gimnazjum w Muszynie. Chodziliśmy na tańce do „Adrii”. Z biegiem lat tych spotkań wspomnieniowych było coraz mniej, niektórzy ze znajomych przestali przyjeżdżać do Muszyny, bo nie mieli tu już rodziny, inni pewno wybrali bardziej atrakcyjne miejsca wypoczynku, a jeszcze innych po prostu zabrakło.

Muszynę kochało wiele osób. Janusz Roszko, literat, dziennikarz (uczęszczał po wojnie do gimnazjum w Muszynie) tak pięknie opisał Poprad i Muszynę w albumie pt. „Brzegami Popradu” (wyd. 1973). Tyle w nim tęsknoty i zauroczenia. Nasz szwagier, Mieczysław Jarończyk, nowosądeczanin, wraz ze swoim przyjacielem Adamem Kozłowskim, mieszkającym w Gdyni, założyli w 1960 roku rodzinne Koło Miłośników Ziemi Muszyńskiej „Ryś” i przez kilkanaście lat organizowali w pierwszą sobotę sierpnia Złot na Pustej Wielkiej. Kto tylko mógł z rodziny czy przyjaciół wziąć w tym czasie urlop, zjeżdżał do

Muszyny. Podjeżdżało się autobusem do ostatniego przystanku i – dalej w góry! Nieśliśmy wielki sagan na herbatę oraz wałówkę. Na miejscu organizowano różne konkursy: wiadomości o Muszynie i okolicznych górkach, zbierania jagód, strzelania z wiatrówki. Opowiadano też dowcipy, śpiewano. Były nagrody, wspólne zdjęcia, a każdy uczestnik dostawał plaketkę na pamiątkę udziału w Zlocie. Później ze śpiewem schodziliśmy do Muszyny. Niektórzy odjeżdżali najbliższym pociągiem, a pozostali urządzali tzw. „bankiet”. Wspólne zloty i działalność Koła „Ryś” zakończyła się chyba w 1975 roku, kiedy Mieczysław Jarończyk wyszedł zobaczyć, czy już rosną grzyby i gdzieś w okolicy Rusinowa niestety dostał wylewu.

No właśnie, grzyby. Czy jeszcze ktoś pamięta cudowny zapach grzybów zbieranych w okolicach Muszyny? Zawsze wracałam do domu z „wiankiem”, aby mieć je na wigilię.

A kto pamięta pierwszą kawiarenkę „Szarotkę”? Mieściła się w drewnianym domku, na rogu ulicy Piłsudskiego i Ogrodowej – urokliwe wnętrze i pyszne ciastka!

Z tak wieloma zakątkami Muszyny łączą mnie wspomnienia. Byłam tu w 2000 roku. Jechałam w jedną stronę 12 godzin, aby pobyć w Muszynie chociaż trzy dni, napić się wody, pogadać z bliskimi, zapalić znicze na grobach rodziny i przyjaciół, których coraz więcej na cmentarzu. Muszyna wydała mi się smutna. Mniej jest kwiatów, zniszczone ławki za Muszynką (a lubiłam posiedzieć sobie przy zdroju „Anna” i popatrzeć na Malnik), czciciele taniego trunku siedzą i głośno kląną na resztkach skweru przy przystanku kolejowym. Mniej jest wczasowiczów, nawet „Korona” i „Żerań” już nie tak oświetlone.

W lecie 2001 roku, po śmierci mojego męża, znowu zawitałam do Muszyny. Godzinami włóczyłam się po drogach i drózkach. Widziałam śliczny pawilonik budowany przy „Antonim”. Przypuszczam, że będzie tam ujęcie wody mineralnej. Zawsze złościło mnie, że tyle wody mineralnej marnuje się, lecąc bez przerwy. Nareszcie ruszyło dokończenie drogi przy ulicy Ogrodowej. W przypadku przystanku „Muszyna - Zdrój”, co pewnie leży w gestii PKP, wystarczyłoby chyba trzy puszki farby (bywa, że jest to pierwszy kontakt wczasowicza czy turysty z miastem). No i nadal tylko jedna ławka nad Muszynką, a przy „Annie” połamana i często trwa wyścig, kto pierwszy dojdzie do ławki (sama tego doświadczyłam i zwyciężyłam!).



Pijalnia wody mineralnej „Anton” (maj 2002 r., trzy tygodnie przed otwarciem)

Mój mąż przez długie lata – podczas każdego pobytu w Muszynie – ubolewał, że zniknął orzeł z postumentu przed willą „Wanda” i z radością powitał jego powrót. Czytając *Almanach*, mąż przypomniał sobie, że dr Mściwujewski był dobrym znajomym mego teścia i nigdy nie chciał wziąć honorarium za leczenie. A w powojennym gimnazjum pan Peszkowski uczył męża matematyki, a jego córka – francuskiego.

Prawie taką samą miłością, jak Muszynę, darzę Krynice. Przebywałam w niej od czerwca 1941 roku do lipca 1945 roku. Mieszkałam początkowo w spalonym teatrze, przerobionym na kino, w którym ojciec mój dostał pracę (po wysiedleniu z Poznania). Później ojciec trafił do Oświęcimia, a my z mamą zostałyśmy do końca wojny w Krynicy. Mam w Krynicy z tamtych szkolnych lat przyjaciółkę, z którą utrzymuję stały kontakt. Przyjaźń trwa już 60 lat; przez długie lata każde nasze spotkanie zaczynało się słowami: „Czy pamiętasz?”, czego nie wytrzymywali nasi mężowie.

Pozwolę sobie jeszcze na trzy uwagi – uzupełnienia:

- * W *Almanachu* 2001 na stronie 42 w podpisie pod fotografią powinno być: Władysław Kaczałuba (wuj mojego męża);
- * Za czasów rządów Antoniego Jurczaka mój teść, Stanisław Kalafut, był sekretarzem w Gminie;
- * Pan Antoni Jurczak był chrzestnym ojcem mojego męża, też Antoniego. Imię nadano mu, by uhonorować muzyńskiego burmistrza.

Alicja Kalafut
Świebodzice

SŁOWO ZZA OCEANU

(...) Jak dziś pamiętam syna doktora Mściwujewskiego, jak łowił ryby na piękną wędkę i zarzucał muszki przez całą szerokość Popradu. Ja z małą wędką, na bosaka, łowiłam po stronie Szczawniczka. Wciąż słyszę te drobne fale Popradu, skaczące po kamieniach. (...)

Chcę przypomnieć, że moja żona Janet też była żołnierzem, w latach 1942-1945 w stopniu starszego sierżanta w brytyjskiej Artylerii Przeciwlotniczej [wspomnienia Wiktora Borzemskiego publikowaliśmy w *Almanachu Muszyny* w 2000 roku, przyp. red]. Już 60 lat minęło od naszych zaręczyn, a 58 małżeństwa. Przeżyliśmy miłe chwile i trudne momenty życia – zawsze razem, ręka w rękę. Mocna miłość i przyjaźń trzymała nas razem. Pragniemy, by urny z naszymi prochami spoczęły na muzyńskim cmentarzu kombatanów. Bo choć ukończyłem gimnazjum w Warszawie (na Pradze) i przeszedłem trochę świata, dusza i myśl do kochanej Muszyny powracają. Powracają tam, gdzie jest moja Ojczyzna.



Janet Robertson Borzemski w czasie służby wojskowej

Chciałbym też parę słów skierować do młodych mieszkańców Muszyny:

*Oh, gdybym był poetą, mógłbym pisać wiersze o Muszynie –
o tym miasteczku nad Muszynką w popradzkiej dolinie,
ze starą Basztą trwającą na straży
i strumieniem Szczawniczkiem z drugiej strony ...*

*Mógłbym pisać o tej starej szkole, do której po stromych schodach w 1923 roku
wstąpiłem... Patrzę na fotografie z Muszyny i choć nie jestem rasistą, z olbrzymią radością
patrzę na Wasze piękne europejskie buzie (...)*

*Chłopcy i Dziewczyny –
bądźcie dumni, że jesteście z Polski i z Muszyny!*

*A gdy się po świecie rozejdziecie, nie zmieniajcie nazwisk, bo to czasem wszystko, co
Wam Ojciec pozostawił. Przyjmujcie obywatelstwa, by nie pozostać na uboczu społeczeńst-
wa, a języka nowego uczcie się szybko – zwłaszcza angielskiego, który stał się już językiem
międzynarodowym. (...) Ale Polska i język ojczysty niech Wam pozostaną w sercach na
zawsze.*

Szczęść Wam Boże –

Wiktor Borzemski
Milwaukee, USA

O FIGURZE MATKI BOŻEJ Z POSESJI PRZY ULICY PIŁSUDSKIEGO 106

Matka Boża Zwycięska króluje w naszym domostwie od ponad stu lat. Wedle napisu na pierwszym postumencie, który uległ zniszczeniu w czasie wielkiej powodzi w 1958 roku, fundatorami figury byli w roku 1873 Józef i Franciszka Śliwińscy, którzy postawili ją na granicy naszej posiadłości i gminnej parceli obok, tuż przy drodze w kierunku dworca kolejowego. Parcele z figurką dostała moja Mama Antonina w wianie od swojego ojca, Andrzeja Krynickiego. Jak się potem okazało, nie było to trafne lokum. Tartak, znajdujący się po drugiej stronie ulicy, przecierał masy drewna od okolicznych dostawców, stanowiąc zresztą źródło utrzymania wielu rodzin. Wiecej furmani często mieli trudności z opanowaniem pojazdu i kaleczyli przy skręcie wielkimi okrągłakami fundament posągu. Nieraz postać Matki Bożej zdrząła od potężnego uderzenia. W końcu Rodzice postanowili figurkę ulokować w ogródku kwiatowym tuż przed domem. I tak sobie Matka Boża królowała, wielbiona przez wielu ludzi, nie przeszkadzając tartacznej spółce Segal - Żupnik - Wilf. Czas okupacji minął, posągowi zagroziła dopiero powódź w 1958 roku. Groźnie spiętrzona woda płynęła ulicą, a jedno z niesionych silnym prądem drzew trafiło w postument, rozbiło go na spore bloki, natomiast posąg wpadł do wody. Po powodzi piaskowcową figurę poddano renowacji.

W roku 1996 Zarząd Ochrony Zabytków po raz pierwszy oddał figurę do reperacji fachowcom, kolory okazały się jednak mocno nietrwałe. W dodatku przy remoncie zdjęto zadaszenie znad figurki, w rezultacie spadająca gałąź uszkodziła nos posągu, który do dziś nie został naprawiony. Nowy daszek na mą prośbę wykonał artysta w swoim zawodzie, pan Stanisław Wrona.

*Janina Plachy
Muszyna*



Figura Matki Bożej na ul. Piłsudskiego 106

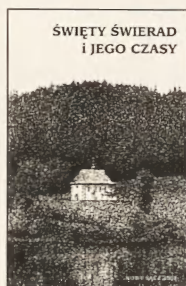
INFORMACJA O FUNDUSZU STYPENDIALNYM IM. STANISŁAWA PIGONIA

Fundusz stypendialny im. Stanisława Pigonia przeznaczony jest dla studentów ze wsi i z małych miasteczek, studiujących na jednej z polskich wyższych uczelni. Twórcom Funduszu przyświecała idea wyrównania szans edukacyjnych dla młodzieży z prowincji, której coraz mniejszy procent ma możliwość podjąć lub kontynuować studia. W roku akademickim 2001/2002 stypendium w wysokości 400 zł miesięcznie przyznano 52 studentom z 10 szkół wyższych.

Kwoty przekazywane przez darczyńców zostają w całości przekazane na stypendia, Uniwersytet Jagielloński ze swej strony zapewnia bezpłatną obsługę Funduszu. Dla najhojniejszych Rektor przeznacza statuetki przedstawiające królową Jadwigę oraz pamiątkowe dyplomy.

Z upoważnienia Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego sprawami Funduszu i rozdziałem stypendiów zajmuje się prof. Andrzej Banach – prodziekan Wydziału Historycznego UJ (ul. Gołębia 24, 31-007 Kraków).

WITRYNKA WYDAWNICZA



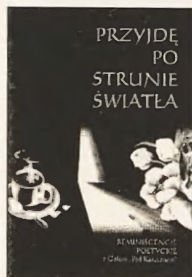
Święty Świerad i jego czasy
Symposium w Tropiu 10-11 lipca 1998
Pod red. **Ks. Stanisława Pietrzaka**
Nowy Sącz 2001



Adam Ziemianin
Na głowie staję
Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa
Słowaków w Polsce, Kraków 2002



Wojciech Piziak
Poprad. Przewodnik wędkarski
Seria: Najlepsze Łowiska
Wydawnictwo Turystyczne
Kraków 2002



Przyjdę po strunie światła
Reminiscencje poetyckie z Galerii
„Pod Kasztanem”, Oddział Towarzystwa
Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krynicy
Krynica 2001

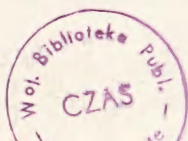
SPIS TREŚCI

<i>Słowo do Czytelnika</i>	3
Jarosław Stolarski, <i>Skamieniałe fotografie z Muszyny</i>	5
Adam Ziemianin, <i>Dom</i> [w]	11
Tomasz Pietras, <i>Biskup krakowski Jan Muskata a dzieje Muszyny</i>	12
Adam Ziemianin, <i>Piosenka siedmiu żołnierzy – w tym czterech nieznanych – poległych w 1914 roku w okolicach Muszyny</i> [w]	19
Stanisław Heilman, Jerzy Krzyś, <i>Działania wojenne w okolicach Muszyny 1-6 września 1939 roku</i>	20
Krystyna Dulak-Kulej, <i>Na powrót Ojca Świętego</i> [w]	34
Elżbieta Ślusarczyk, <i>Kościół greckokatolicki w kluczu muzyńskim</i>	35
Waldemar Oszczęda, <i>Zarys historii Kościoła greckokatolickiego w Słowacji</i>	46
Kazimierz Przyboś, <i>Jakub Zadzik, biskup krakowski (1582-1642), właściciel państwa muzyńskiego</i>	55
Janina Kumorek, <i>Kapliczka w Powroźniku</i> [w]	62
Leszek Zakrzewski, <i>Panowie, za rogiem spadł samolot! czyli katastrofa lotnicza w Krynicy 22 maja 1930 roku</i>	63
Hanna Bień-Bielska, <i>Muszyna, jaką pamiętam. Adam Bień nad Popradem</i>	71
Jerzy Krzyś, Kazimierz Heilman-Rawicz, syn kierownika muzyńskiej szkoły	74
Štefan Popovič, <i>Terézia Vansová a Vansovej Lomnička</i>	77
Rafał Żebrowski, <i>„Letnia Łoża” B’nei B’rith w Krynicy</i>	82
Barbara Krężolek Paluchowa, <i>Kirkut krynicki</i> [w]	91
Leszek Hońdo, <i>Żydowski cmentarz w Krynicy</i>	92
Basia Gumulak, <i>List do Aniola</i> [w]	97
Józef Szajna, <i>Dno</i>	98
Tadeusz Plechta, <i>Jak przekraczałem muzyńską „zieloną granicę” w czasie okupacji</i>	103
Witt Kmiotowicz, <i>(Nie tylko) syberyjska odyseja Antoniego Kmiotowicza</i>	112
<i>Ze starego albumu</i>	119
Ryszard Kruk, <i>Krynica na dawnej pocztówce</i>	120
<i>W Bibliotece i w Muzeum</i>	136
Adam Ziemianin, <i>Lipkowa cykoria</i> [w]	137
Witt Kmiotowicz, <i>Pogoda i klimat Muszyny</i>	138
Jolanta Kosecka, Wiesław Wczęśny, <i>Sądecka Biblioteka Publiczna im. J. Szujskiego</i>	144
Basia Gumulak, <i>Patrz</i> [w]. <i>Ponieważ</i> [w]	152
Anna Totoń, <i>O Bolesławie Barbackim – „wybrańcu wielu muz”</i>	153
Władysława Lubasiowa, <i>Kuligiem</i> [w]	157
Helena Krzywka, <i>Kartki z dziejów muzyńskiej elektrowni oraz tartaku. Jak Józef Serwiński w elektrowni i tartaku pracował</i>	158
Piotr Osóbka, <i>Wspomnienia z mojej pracy w Żegiestowie Zdroju</i>	161
Sławomir Wyka, <i>Obiekty Światowego Dziedzictwa państw Grupy Wyszehradzkiej</i>	168
Alina Kowalska, <i>Galeria Przyjaciół Muszyny. Mieczysław Sierostawski</i>	171
Janina Kumorek, <i>Wilcze</i> [w]	172
Małgorzata K. Przyboś, <i>Poradnik potencjalnego poszukiwacza skarbów</i>	173
Adam Ziemianin, <i>Stara pocziwa buda</i>	179

Adam Ziemianin, <i>Jaworzyna</i> [w]	182
Basia Gumulak, <i>Mój zaklęty świat</i> [w]	183
Barbara Rucka, <i>Twórcy z pogranicza</i>	184
Zuzanna Myślik, <i>Młody Wyszehrad w Muszynie i w Starej Lubowli</i>	188
Zuzana Folvarčíková, <i>Babylon zbližovania</i>	191
Tadeusz Petrowicz, <i>Opowieści leśniczego. Muszyńskie wspomnienia</i>	194
Basia Gumulak, <i>Zwyczajny dzień</i> [w]	196
<i>Fundusz Stypendialny Almanachu Muszyny</i>	197
Piotr Kruk, <i>List ku czci Juliusza Jarończyka, gościa honorowego</i> <i>Spotkania Przyjaciół Almanachu Muszyny</i>	201
Janina Kumorek, <i>Karczma w Żegiestowie</i> [w]	202
Jadwiga Kracoń, <i>Zwyczaje i obrzędy muszyńskie w XX wieku</i>	203
<i>Korespondencja Almanachu Muszyny</i> Alicja Kalafut, <i>50 lat przyjaźni z Muszyną</i>	209
Wiktor Borzemski, <i>Słowo zza oceanu</i>	211
Janina Plachy, <i>O figurze Matki Bożej z posesji przy ul. Piłsudskiego 106</i>	213
<i>Informacja o funduszu stypendialnym im. Stanisława Pigionia</i>	214
<i>Witryna wydawnicza</i>	214
Janina Kumorek, <i>Beskid</i> [w]	IV okł.



Muszyńska kapela na Placu Zamkowym w Warszawie w czasie Dni Sądeczyny (maj 2002 r.)



P.W.



Sp. z o.o.

33-370 Muszyna, ul. J. Piłsudskiego 11, tel. (0-18) 471-90-70
Oddział Kraków, ul. Kołodziejska 11, tel. (0-12) 267-37-87

ŚWIADCZYMY USŁUGI:

- budowlane
- transportowe
- sprzętowe
- roboty ziemne
- handel

konspol

TO KURCZAK WEGETARIANIN

(hodowany na paszach roślinnych)

TO ZDROWA ŻYWNOSĆ

(wyroby w 100% z mięsa kurczaka)

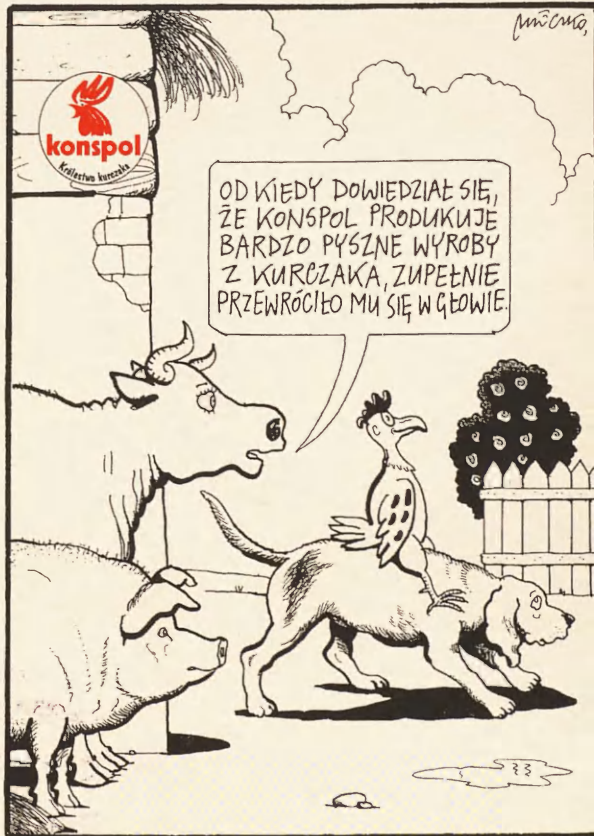
TO UNIKALNA JAKOŚĆ

(zdobywca 30 medali

na Międzynarodowych Targach,
posiadacz Certyfikatu

Profilaktyki Cholesterolowej oraz
znaków Zdrowa Żywność Atestowana,
laureat nagród:

Polski Producent Żywności,
Najwyższa Jakość Małopolska)



Konspol Holding Sp. z o.o. - Zakład Przetwórstwa Kurczaka
ul. Grottgera 40, 33-300 Nowy Sącz, tel. 0-18 443-57-27
fax 0-18 443-57-43, e-mail: konspol@konspol.com.pl
Konspol Bis Sp. z o.o. - Zakład Uboju Kurczaka
ul. Poznańska 39, 62-400 Słupca, tel. 0-63 275-12-61
fax 0-63 275-32-60, e-mail: konspolb@kn.onet.pl
Pasz Konspol Sp. z o.o. - Zakład Produkcji Pasz, Gierlatowo
ul. 62-330 Nekla, tel. 0-61 438-69-90, tel./fax 0-61 438-69-86

BESKID

gdy się już wypełnią
dni
stanie przed Panem
Beskid
z urodą gór
i lasów
z wrzosowiskami
z łąkami pełnymi kwiatów
z bukietami wierszy
z pięknem swojej
duszy

Janina Kumorek

WBP Kraków

BgrIR



nr inw.: Czas2 - 20911

ISSN 1234-6276

Fot.: Stanisław Murzyn